

Eden

Coulter Catherine



calibre 0.9.43

Catherine Colter

Eden

Tytuł oryginału: Beyond Eden
Przełożyła Ewa Westwalewicz-Mogilska

Robertowi Gottliebowi, który od dziesięciu lat jest moim przyjacielem i agentem.

Prolog

Nowy Jork

Słyszała natarczywy odgłos syren. Łomotały w jej głowie. Nienawidziła ich. Chciała od nich uciec, ale nie mogła się poruszyć. Ktoś ścisnął jej dłoń, nagle poczuła jego palce, ciepłe i grube. Jakiś mężczyzna przemawiał do niej cicho i łagodnie, ale z naciskiem. I bez przerwy. Chciała mu powiedzieć, żeby zamilkł, ale nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. W pierwszej chwili nie rozumiała, co do niej mówi, ale zorientowała się, że powtarza wciąż to samo i, wbrew sobie, zaczęła mu się przysłuchiwać, pozwalając, by swym głosem wyprowadził ją na zewnątrz.

- Wiesz, kim jesteś?

Otworzyła oczy. Nie, tylko lewe oko. Prawe oko pozostało zamknięte. Dziwne, ale tak właśnie było. Mężczyzna znajdował się tuż obok niej. Był młody, na jego górnej wardze widniał rzadki wąsik. Miał bardzo niebieskie oczy i duże uszy. Pomyślała, że jest Irlandczykiem. Zdała sobie sprawę, że nie może oddychać.

Spróbowała zrobić wdech i poczuła palący ból. Tylko ból, bez powietrza.

- Spokojnie. Wiem, że trudno ci oddychać. Oddychaj płytko. Nie, nie, bez paniki. Tak, teraz lepiej. Myślę, że masz zapadnięte płuco. Dlatego daliśmy ci tę maskę tlenową. Oddychaj pomału i płytko. O, tak. Powiedz mi, wiesz jak się nazywasz?

Trudno było oddychać, nawet tym płytkim oddechem. Skupiła się na masce tlenowej, przykrywającej nos i usta. Ale tak bardzo bolało. Ponowiła próbę i wciągnęła trochę powietrza, jednak ból był nie do zniesienia. Mężczyzna znowu ją spytał, kim jest. Głupie pytanie. Jest sobą i znajduje się tutaj, i nie wie, co się z nią dzieje, co się stało, wie tylko tyle, że czuje ból i nie może oddychać.

- Pamiętasz, jak się nazywasz? Proszę, powiedz, jak ci na imię. Kim jesteś? Czy wiesz, kim jesteś?

- Tak - odparła, pragnąc, by zamilkł. - Nazywam się Lindsay.

Boże, jak bolało, bolało tak strasznie, że miała *ochotę* wrzeszczeć, ale nie mogła. Jęknęła przerażona, a mężczyzna szybko powiedział:

- Oddychaj płytko. Nic więcej. Tylko oddychaj, nie rób nic więcej. Rozumiesz mnie? Na twarzy masz maskę tlenową, która ma ci ułatwić oddychanie. Nie walcz z nią; pozwól, by ci pomogła. Myślę, że masz zapadnięte płuco. Stąd ten ból. Ale musisz być przytomna i uważna, dobrze?

Boże, jaki okropny ból. Usiłowała wstrzymać oddech, aby uniknąć straszliwego przesywającego klucia, ale to także nie pomogło. Mężczyzna znów się odezwał. Dlaczego wciąż powtarza to samo? Ma ją za głupią?

- Wiem, że cię boli, ale staraj się wytrzymać. Dojeżdżamy do szpitala, a tam już na ciebie czekają. Spokojnie. Rób te lekkie oddechy. Cieszę się, że cię poznałem, Lindsay. Nazywam się Gene.

Leż nieruchomo. Już zaraz będziemy w szpitalu. Nie, nie próbuj się poruszać.

- Co się stało? - Tak bardzo bolało, kiedy mówiła. A przemawianie poprzez białą plastikową maskę sprawiało, że jej głos docierał jakby z bardzo daleka.

- Zdarzył się wybuch i zostałam zraniona przez spadające szczątki wyciągu.

- Czy ja umrę?

- O, nie. Wyzdrowiejesz, na pewno.

- Taylor. Proszę, zadzwonicie do Taylora.

- Dobrze, zadzwonię, obiecuję ci to. Nie, nie ruszaj się. Masz podłączoną kroplówkę. Nie chcę, żebyś wyrwała igłę. Oddychaj.

- Słyszałam krzyki.

- Nikt prócz ciebie nie został ranny, ale wszyscy byli przerażeni. Stałaś tuż obok tej imitacji wyciągu, kiedy nastąpił wybuch. Powiedz mi jeszcze raz. Kim jesteś?

- Byłam tam, bo jestem Eden.

Mężczyzna zmarszczył brwi, ale ona tego nie spostrzegła. Tak bardzo ją bolało, a nie chciała, żeby widział, jak traci panowanie. Odwróciła twarz w przeciwną stronę. Ból nie ustawał. Nigdy przedtem nie wyobrażała sobie jak to jest, kiedy nie można oddychać. Przy każdym płytkim wdechu czuła tak wielki ból, że drżała na całym ciele. Zamknęła oczy i starała się wytrzymać.

- Co z nią, Gene?

- Dobrze sobie radzi, przynajmniej taką mam nadzieję. Boli ją, ale jest przytomna - odpowiedział kierowcy, a potem zwrócił się do niej: - Przykro mi, Eden, ale nie możemy ci dać żadnych środków przeciwbólowych. Najpierw musisz zostać przebadana. Trzymaj się, musisz się trzymać. Ściskaj moje palce, myśl o moich palcach i ściskaj je, ilekroć poczujesz ból. Jesteśmy prawie na miejscu, prawie na miejscu. - Gene zastanawiał się, czy Taylor to jej mąż. Dobry Boże, facet przeżyje szok, kiedy ją zobaczy. Modelka. Gene spojrzał na prawą stronę jej twarzy. Trudno powiedzieć, jak bardzo została zmasakrowana, bo wszędzie była masa krwi.

Mocniej uścisnął jej dłoń. Gene O'Mallory chciał, aby wyzdrowiała. Pragnął tego z całego serca.

*

Wycofała się w głąb siebie. Coraz głębiej i głębiej, aby uniknąć bólu. Oddychać powoli, płytkimi wdechami. Ten ból pochodził z klatki piersiowej, to ona sprawiała, że oddech był taki słaby. A to dziwne syczenie dochodziło z plastikowej maski na nosie i ustach. Tak bardzo boli. Coraz bardziej. Oddalała się, aż poczuła, że nadchodzi ciemność, która łagodzi przenikliwy ból. Więc pozwoliła, aby powróciła przeszłość, wszystkimi myślami zagłębiła się w sobie... Dziwne, zobaczyła twarz tej reporterki - nazywała się Kattering - i usłyszała to, co jej powiedziała na pogrzebie, że bardzo jej przykro z powodu śmierci babci.

Głębiej, jeszcze głębiej... Zabierała tam ze sobą wspomnienia, odpychając, cały czas odpychając ból. Zobaczyła żalną dziewczynę, taką niepewną siebie, niezręczną, wysoką i kościstą, z chudymi, kanciastymi łokciami i kolanami, paskudną przy nich wszystkich, nie pasującą do nich, osobną, stojącą wśród nich i pragnącą, by naprawdę stać się jedną z nich. Bardzo nieszczęśliwą dziewczynę.

ROZDZIAŁ 1

Ślub, czerwiec 1981

Paula Kettering przekręciła kluczyk w stacyjce swego srebrzystego BMW, wsłuchując się w uspokajający odgłos automatycznie blokujących się drzwi samochodu, po czym przeszła dwie przecznice aż do Old Saint Mary Cathedral, starego kościoła, który przetrwał trzęsienie ziemi w 1906 roku, doznając tylko niewielkiego uszczerbku, i który szczycił się tym, że nie uległ żadnemu z pożarów miasta. Paula kochała ten stary kościół, wybudowany przez pierwszego arcybiskupa San Francisco, Alemany'ego, w 1853 roku. Kochała także to miasto, zwłaszcza w czerwcu, kiedy, jak i tego dnia, panowała typowa dla tej pory roku pogoda - temperatura nie przekraczała dwudziestu stopni Celsjusza - i widać było wszędzie strzępy mgły, które w ciągu dnia, jak zwykle, znikwały lub pozostawały na wiele godzin. Nikt nigdy nie był tego pewien. Paula uznała, że jeśli zależałoby to od panny młodej, słońce zabłysłoby o pierwszej po południu. Sydney Foxe wiedziała, czego chce, a co ważniejsze, dostawała to, czego pragnęła.

Był to jeden z nielicznych ślubów wśród wyższych sfer, na które Paula czekała z utęsknieniem. Przez całe lato miała zajęte wszystkie soboty i niedziele właśnie z powodu ślubów. Jednak ten stanowił nie lada kąsek, był ślubem roku. Błyskotliwa córka sędziego Royce'a Foxe'a, pasierbica jego bogatej drugiej żony, Jennifer Haven Foxe, wychodziła za mąż za zamożnego włoskiego księcia, Alessandro di Contini. Paula pamiętała, co Albo Gadsby napisał w „Chronicie” i żałowała, że przed pół rokiem nie mogła niczego tam dopisać. Sydney Trellison Foxe, chodząca doskonałość, absolwentka Wydziału Prawa na Uniwersytecie w Harvardzie, członkini Phi Beta Kappa oraz Mensy, adwokatka międzynarodowej firmy prawniczej Hodges (oraz Krammer, Hughes i kilkanaście innych nazwisk), poślubia jakiegoś cholernego księcia z Mediolanu. Zostanie księżną i prawnikiem w jednej osobie i stanie się tak obrzydliwie bogata, że zwykłemu człowiekowi na samą myśl zbiera się na mdłości...

Tak, pomyślała Paula, tak właśnie napisałabym, zgodnie z prawdą i wywołując niesmak.

Paula umierała z ciekawości, jaką suknię ślubną przywdzieje Sydney. Był to oryginalny model Brali prosto z Rzymu i kosztował sędziego Foxe'a dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Cóż, nie trafiło na biednego - starego flirciarza stać było na taką sumę.

Paula wybrała sobie najprzystojniejszego družbę, Francuza o nieskazitelnych manierach i czarnych jak węgle oczach, aby ją wprowadził do kościoła i posadził wśród gości panny młodej. Po stronie pana młodego nie siedziało zbyt wiele zaproszonych osób, co było zrozumiałe, jako że księżę przybył aż z Włoch. Obecna była tylko jego najbliższa rodzina. Wysoki szczupły dżentelmen po siedemdziesiątce, dziadek ze strony matki, szlachetny i dostojny jak z renesansowego malowidła. Obok niego matka księcia o równie wspaniałej powierzchowności - dama z klasą. Widać było, że oboje pławią się w pieniądzu i luksusie.

Przy matce siedziała młoda dwudziestokilkuletnia kobieta, siostra pana młodego, pozbawiona już tego dostojnego wyglądu. Wyglądała jak tandetna cali girl wciśnięta na tę okazję w pożyczone eleganckie ciuchy, które ją krępują. Jej ciemne, gniewne oczy spoglądały ponuro. Co ją tak złościło? Wszak w San Francisco nie brak chętnych mężczyzn. Paula mogłaby jej wskazać właściwych kandydatów.

Paula wyjęła złote pióro Altona z oprawionego w skórę notesu i zaczęła robić notatki do felietonu, który miał się ukazać w niedzielę rano.

Przebiegł ją dreszcz. Rozejrzała się. W mgliste letnie dni we wszystkich katedrach panowały wilgoć i chłód, od których Pauli drętwiały palce. Cierpiała na zespół Raynauda i zmiany temperatury sprawiały, że siniąły jej dłonie. Notowała przez kilka minut, potem podniosła głowę, gdyż nawa nadchodziły w dziwacznych podrygach cztery druhny w przepisowych, paskudnych sukienkach. Czas włókł się niemiłosiernie.

Nagle organista zaintonował Marsz Weselny (a więc Sydney była tradycjonalistką), sygnalizując zbliżanie się panny młodej. Wszyscy wstali z miejsc i spojrzeli za siebie. Paula po raz pierwszy przypatrzyła się seniorce rodu, Gates Glover Foxe, władczej starej damie po siedemdziesiątce. Paula słyszała, że leciwa dama wygląda zaledwie na sześćdziesiątkę, ale ponieważ dla Pauli sześćdziesiąt lat równało się śmierci, ów hołd dla nieprzemijającej urody matki rodu wydał jej się przesadzony.

Lady Jennifer, druga żona sędziego - zanotowała Paula - miała na sobie kreację z blad różowego jedwabiu. Wyglądało na to, że Lady Jennifer przybrała na wadze i suknia została zaprojektowana tak, by to ukryć. Ale nie ukryła, przynajmniej nie przed doświadczonym okiem Pauli. Lady Jennifer wyglądała staro jak na swoje czterdzieści jeden lat, a w jej ciemnych włosach pojawiły się pierwsze siwe pasma. Naprawdę nie wyglądało to najlepiej. Dlaczego nie położyła sobie na nie farby?

Była tam także córka Jennifer Foxe, Lindsay, stojąca w cieniu matki, długaśna piętnasto - czy szesnastolatka, która zbyt szybko urosła i stała się niezręczna, koścista i kanciasta. Miała kręcone włosy, polakierowane i przyklepane na czubku głowy. Cera dziewczyny była bladożółta, a usta zbyt wydatne. Jej jedyną ozdobę stanowiły niewiarygodnie piękne ciemnoniebieskie oczy, niestety przyćmione pospolitym wyglądem „całej reszty” Lindsay. Dzieciak odziedziczył po starym ojcu przynajmniej jedną dobrą rzecz - właśnie te oczy, barwy nieba o północy, którymi mógł uwieść każdą kobietę.

Paula, jak zawsze metodyczna, skupiła wreszcie całą uwagę na Sydney, która, spoglądając lśnącymi z podniecenia orzechowymi oczami, kroczyła u boku ojca. Jej promienna uroda działała na wszystkich zebranych. Paula, wraz z innymi, wstrzymała oddech - po prostu nie można było postąpić inaczej. Jeżeli w San Francisco znajdowała się prawdziwa księżniczka z bajki, Paula miała ją właśnie przed oczami. Sydney została obdarzona przez łaskawy los pełnymi piersiami, cienką talią i długimi nogami. W przeciwieństwie do większości rudowłosych istot, miała kremowo białą cerę pozbawioną piegów, które nie ośmieliły się skalać takiej doskonałości. Wyglądała niezwykle wyrafinowanie i elegancko. Miała klasę. Jej bujne kasztanowe włosy piętrzyły się na czubku głowy, a po obu stronach twarzy spływały długimi pasmami.

Suknia ślubna okazała się tak prosta, że wręcz trudno ją było opisać - cała składała się z koronek. Żadnych ozdóbek, falbanek, kokardek, żadnego głębokiego dekoltu, żadnych fiszbin, unoszących biust; tylko wąskie rękawy sięgające do nadgarstków oraz najdłuższy tren, jaki Paula kiedykolwiek widziała. Taki opis mógł wydać się mało zajmujący, ale suknia wcale nie była banalna. Była doskonała. W dodatku Sydney przesłoniła twarz woalką, co powinno wyglądać niemodnie, ale nie

wyglądało.

Paula szybko notowała swoje wrażenia. Następnie zajęła się sędzią. Royce Foxe był diabelnie przystojny, o postawie równie dostojnej, co dziadek księcia, tylko że Royce dobiegał zaledwie pięćdziesiątki. Powszechnie wiadomo było, że jest równie pożądlivy jak w wieku lat trzydziestu i że zawsze bez wahania robi to, na co ma ochotę, nie licząc się z żoną. Właśnie przed dwoma miesiącami rozstał się z kochanką, młodą fotografką, nie starszą od Sydney, która robiła zdjęcia Jennifer i Lindsay. Chodziły słuchy, że znów szuka zdobyczy.

Paula uniosła pióro, bo przypomniała sobie, że należy odnotować, jak ksiązę zareagował na przybycie panny młodej. Jego twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Pozostał całkowicie spokojny. Bardzo dziwne, pomyślała Paula. Jego oczy były ciemne i miały ten szczególny blask, typowy dla niektórych Latynosów, lecz na widok nadchodzącej Sydney nie rozbłysła w nich choćby najślubsza iskierka. Boże, ależ on jest przystojny, pomyślała Paula, która intuicyjnie wyczuwała, że pan młody wie, jak sprawić kobiecie rozkosz. Wiedziała również, że ksiązę bez większego wysiłku zachowa sprawne ciało do końca swoich dni.

Nie sprawiał wrażenia uradowanego czy choćby zadowolonego z powodu szczęścia, jakie go spotkało. Sydney Foxe stanowi przecież nagrodę od losu. Jest nie tylko piękna i mądra, ale ma także pieniądze, a w przyszłości, po śmierci starej pani Foxe, otrzyma jeszcze więcej. Ksiązę i jego rodzina są oczywiście również niewyobrażalnie bogaci, prawdopodobnie nawet bogatsi niż Foxe'owie. Ale i tak wydawało się to dziwne, że pan młody nie sprawia wrażenia choć odrobinę podekscytowanego.

Jennifer Haven Foxe patrzyła, jak jej pasierbica zwraca się ku ojcu i uśmiecha się do niego, podczas gdy on umieszcza jej dłoń w dłoni pana młodego.

Royce pośpiesznie ucałował córkę i poklepał ją po policzku. A następnie usiadł obok Jennifer.

- Ona jest niewiarygodnie piękna - powiedział, nie spuszczać oczu z córki.

- Tak jak ty - szepnęła Jennifer.

- Tak, wdała się we mnie i poślubia mężczyznę, jakiego sam bym dla niej wybrał. Teraz jej życie stanie się doskonałe, tak jak planowałem.

- Sprawiasz wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. Żeby tylko życie nie sprawiło ci zawodu. A ono zazwyczaj zawodzi. Wiem na ten temat więcej niż inni. Zapewniam cię, Royce, że staniesz się świadkiem wielu pomyłek, bólu i rozczarowań.

- Mówisz jak stara zgorzkniała kobieta. Nic złego jej się nie przytrafi. Mylisz się. Tylko na nią spójrz.

Royce wciąż się uśmiechał. Biskup Claudio Barzini, stary przyjaciel Gates Foxe, specjalnie sprowadzony na ślub Sydney aż z Chicago, przemawiał głębokim głosem, rozbrzmiewającym w katedrze i przyprawiającym o gęsią skórę nawet najzwardziajszych cyników spośród zgromadzonych. Royce nie zgłosił zastrzeżeń, kiedy ksiązę zdecydował, że ślub będzie katolicki. Royce uznał, spoglądając na Sydney, iż kościelna pompa oraz bogate stroje księdza i jego pomocników stanowią doskonałą oprawę dla klejnotu, jakim jest jego córka. O wiele lepszą niż ceremonia prezbiteriańska.

Jennifer patrzyła na pasierbicę, kiedy ta wypowiadała przysięgę ślubną, słuchając jej ślicznego i czystego głosu. Sydney sprawiała wrażenie pewnej siebie, aroganckiej i dumnej. Zawsze taka była. Już wtedy, gdy jej nowa macocha, Jennifer, pojawiła się w posiadłości Foxe'ów, gdy Sydney miała zaledwie sześć lat. Spojrzała wtedy na Jennifer, uśmiechnęła się i powiedziała bardzo cicho, tak by

usłyszała ją tylko macocha:

- Nie zastąpisz mojej matki. Nie zastąpisz nikogo. Dopilnuję tego.

Jennifer uśmiechnęła się, patrząc, jak książę wsuwa na palec Sydney rodową obrączkę ślubną rodu di Contini. Pomyślała: teraz przynajmniej będziesz daleko ode mnie, ty przeklęta suko.

Lindsay Foxe czuła całe swoje ciało, zwłaszcza nogi. Bolały ją i pulsowały. Rajstopy tylko pogarszały sytuację, tak samo jak pantofle na niskim obcasie, które uciskały ją w palce. Lindsay wierciła się na twardej drewnianej ławce, starając się znaleźć wygodniejszą pozycję. Matka spojrzała na nią z dezaprobatą i dziewczyna znieruchomiała. Starła się skupić na uroczystości, ale całą jej uwagę przykuwał wyłącznie książę.

- Alessandro, czy bierzesz sobie za żonę, tę oto, Sydney Trellison Foxe?

Lindsay spojrzała na profil matki i spostrzegła na jej ustach pełen zadowolenia uśmiech. Zastanawiała się, o czym ona teraz myśli. Przeniosła wzrok na księcia, który powtarzał przysięgę. Nie chciała na niego patrzeć, ale nie mogła się powstrzymać. Była w nim śmiertelnie zakochana, od pierwszego spojrzenia na zdjęcie przedstawiające księcia na pokładzie jachtu „Bella Contini”, które Sydney przysłała do domu jakieś osiem miesięcy przed ślubem. Książę był cały ubrany na białą, a jego czarne włosy, ciemne oczy i smągła skóra sprawiały, że wyglądał jak przebrany za anioła diabeł. Lindsay leżąc w łóżku, fantazjowała, że książę porywa ją na swój jacht i odpływa z nią w dal. Śpiewa dla niej, wyznaje, jak bardzo ją kocha, i karmi ją winogronami.

Kiedy książę i Sydney przyjechali do San Francisco w zeszłym tygodniu, Lindsay przekonała się, że w rzeczywistości jest jeszcze przystojniejszy niż na zdjęciu.

Nie chichotała jak jej przyjaciółki i nie omdlewała na jego widok, ani nie przewracała oczami. Po prostu zamierała, kiedy znajdował się w pobliżu. Widząc go z krwi i kości, już nie mogła uwierzyć, by kiedykolwiek mógł ją pokochać. Wydawał się bóstwem pozostającym poza jej zasięgiem.

Dziwne, ale on nigdy nie spoglądał na nią z pobłażaniem i rozbawieniem, z jakim traktował przyjaciółki Lindsay. Kłaniał się jej z powagą, bez cienia uśmiechu. W pobliżu Lindsay pozostawał milczący. Ona przyznawała, że jest przystojny, jak przystało na prawdziwego księcia, ale to nie jego wygląd sprawiał, że sztywniała, pociła się i zapominała języka w gębie. Kiedy się do niej zwracał, był zawsze nieskończenie grzeczny, a jego głos brzmiał pieszczotliwie, jakby mu na niej zależało, jakby nie zauważał, że jest niezręczną nastolatką, prawie dorównującą mu wzrostem. Zupełnie jakby nie dostrzegał jej głupawego zachowania. Jak w ogóle mógł ją zauważać. Była tylko dzieckiem, niezdarnym i śmiesznym, jakże brzydkim z tymi poskręcanyimi włosami. On przecież poślubiał piękną Sydney, która miała doskonałe ciało.

Książę mówił stanowczym głębokim tonem, ślubując żonie wierność i miłość na całe życie. Jego głos był równie piękny jak głos biskupa. Dlaczego książę miałby dbać o to, że Lindsay chętnie oddałaby za niego życie? Miał przecież Sydney; miał cały świat.

Lindsay odwróciła od niego wzrok i przełknęła łzy. To było zbyt bolesne. Kolana bolały ją i dziwnie trzeszczały, kiedy zmieniała położenie nóg. W wieku szesnastu lat doszła do wniosku, że życie składa się z nielicznych chwil szczęścia i wielu chwil nieszczęścia. Pomyślała o swoich marzeniach o księciu. Głupie i absurdalne. Po prostu żalosne.

- ... dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Na niebie mocno świeciło słońce. Była pierwsza po południu. Paula Kattering pokiwała głową na myśl o swojej przepowiedni. Piękny ślub, doskonale zaplanowany, idealnie przeprowadzony.

Pojechała swoim BMW do posiadłości Foxe'ów wzniesionej na rogu ulic Pacific i Bayberry, na najbardziej eleganckie i wystawne przyjęcie weselne roku.

*

Księżna Sydney, jak już ją zwali przyjaciele, stała w sypialni siedziby Foxe'ów i spoglądała na swoje odbicie w lustrze.

Była zarumieniona z zadowolenia, policzki ją piekły. Wszystko poszło idealnie. Oczywiście nigdy nic nie pozostawiała przypadkowi, to nie w jej stylu. Była zapobiegliwa. Między innymi dlatego stała się doskonałym adwokatem - ale także dlatego, że była tak piękna, iż jej przeciwnicy zapominali, po co znaleźli się na sali sądowej, i tylko wlepiali w nią oczy. Zazwyczaj sromotnie z nią przegrywali. Kiedy z kolei miała za przeciwników kobiety, niemal zawsze udawało jej się kompletnie je onieśmielić.

Nałożyła na usta świeżą warstwą błyszczycy i odwróciła się od lustra. Do sypialni wsunęła się Lindsay. Sydney zmarszczyła czoło.

- Na miłość boską, wyprostuj ramiona! Wyglądasz jak garbata. Na szczęście nie masz pryszczatej cery nastolatki. To by już było za wiele.

Lindsay dotknęła dłonią twarzy, a następnie opuściła zbyt długie ramiona wzdłuż ciała. Czowała, że jej ręce są wielkie i nieużyteczne.

- Masz rację. Wyglądasz pięknie, Sydney. Księżę prosił mnie, żebym sprawdziła, czy jesteś gotowa, by zejść na dół. Mama chce, żebyś pokroiła tort.

- Lady Jennifer może poczekać. Dobrze jej to zrobi. I tak jest za gruba. Ślubny tort to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje.

Lindsay poruszyła się niespokojnie, żałując, że Sydney nie umie ugryźć się w język. Nie potrafiła tego jednak wyrazić, więc powiedziała tylko:

- Wiesz, że mama nie jest szczęśliwa.

Sydney wzruszyła ramionami i poprawiła koronkę na nadgarstku.

- Gdyby się tak nie zaniedbała, tatuś nie musiałby rznąć wszystkich kobiet dookoła. Powiedział mi, że kochanie się z krową nie sprawia mu przyjemności.

Lindsay szybko się odwróciła.

- Powiem im, że wkrótce zejdziesz.

- Tak właśnie powiedz. Ach, i jeszcze coś, Lindsay. Twoja szczenięca miłość do księcia jest zabawna, tak przynajmniej myślałam na początku. Ale on mi powiedział, że wprawiasz go w zakłopotanie. Ojciec mnie prosił, żebym z tobą porozmawiała. Twierdzi, że to żalosne. Staraj się zachować swoje dziewczęce westchnienia dla siebie, dobrze, kochanie?

Lindsay zbladła.

- To kłamstwo i dobrze o tym wiesz! Nie ma powodu, by dokuczać Lindsay - zawołała od progu Jennifer.

- Upadłaś tak nisko, by podsłuchiwać?

- To dobra, łagodna dziewczyna, a ty uparcie ją niszczysz. Naśladujesz w tym ojca. Nie potrafisz żyć na własny rachunek, Sydney. Musisz robić to samo, co twój przeklęty ojciec, bez względu na skutki, bez względu na to, jak bardzo jest to bolesne dla innych? Zawsze zakładasz, że on ma rację. Cóż, w tym przypadku nie ma, po prostu jest podły i złośliwy, a ty go kopiujesz jak bezmyślna, bezduszna kserokopiarka. Sydney wzruszyła ramionami.

- Prawdę powiedziawszy, dzieciak nic mnie nie obchodzi, tak samo jak nie obchodzi ojca. Jest

żałosna. I Alessandro jest tego samego zdania. Ojciec twierdzi, że to chwast w ogrodzie, wielki i paskudny. Przykro mu, że musi na nią patrzeć. Planuje wysłać ją z domu, sama wiesz.

Jennifer miała ochotę ją spoliczkować. Sydney kłamała. Royce nigdy by tak nie postąpił, nigdy by nie wysłał Lindsay z domu, nigdy. Jego matka nie pozwoliłaby na to.

Jennifer drżała, zaciskając pięści.

- Zejdź na dół. Pokrój ten cholerny tort i wynoś się stąd do diabła. Przetrwam ten dzień tylko dzięki perspektywie, że wkrótce zamieszkasz osiem tysięcy mil od domu.

- A ojciec myśli tylko o tym, aby pokonać te osiem tysięcy mil i odwiedzić mnie w Mediolanie.

ROZDZIAŁ 2

Na wygnaniu, sierpień 1981

- Nie, to nie może być prawda. Sydney mi powiedziała, że chcesz wysłać Lindsay z domu, ale ja w to nie wierzę. Nigdy jej nie wierzyłam, choćby przez minutę, dlatego nic nie mówiłam, ale teraz... - Jennifer Foxe pomachała przed nosem męża grubą kopertą. - Powiedz, że to nieprawda, Royce. Powiedz, że to pomyłka.

- Przeciwnie, Jennifer. To najprawdziwsza prawda. Wyprowadzam stąd twoją córkę. Czy to dokumenty?

Nareszcie. Świetnie. Już zaczynałem być niespokojny, czy nie trzeba telefonować do tej Anglethrope, która kieruje szkołą, żeby sprawdziła, czy jej papiery gdzieś po drodze nie zaginęły.

- „Jej”? Ona ma imię, Royce! Twoja córka nazywa się Lindsay Gates Foxe. Na miłość boską, kiedy wreszcie przestaniesz ją porównywać z twoją bezcenną Sydney? Co z tego, że Lindsay nie zostanie prawniczką albo, Boże uchronaj, sędzią, jak jej słodki tatuńcio? Co z tego, że nie poślubi włoskiego księcia? Czy to ma jakieś cholerne znaczenie?

- Rynsztokowy język nie przystoi kobiecie w twoim wieku, Jennifer. Chociaż, może właśnie jest odpowiedni dla kogoś, kto pije jak dorożkarz. Tak się składa, że uważam za bardziej prawdopodobny wybuch wojny jądrowej niż możliwość, by twoja córka wyrosła na ludzi. Ten przekłety chwast będzie mnie prześladował aż do śmierci. A skoro Sydney wspomniała ci o tym wcześniej, dlaczego pytasz dopiero teraz?

- Bo uznałam, że ona kłamie. Mówiłam ci już. Kłamie tylko po to, by sprawić mi przykrość. Sprawianie przykrości zawsze doskonale jej się udawało, ale ty zawsze...

Royce Foxe wzruszył ramionami.

- Nie kłamała. Sydney nigdy nie kłamie. A co do tego, dokąd ją wysyłam...

Royce wyjął kopertę z rąk Jennifer, która pośpiesznie wstała i podeszła do dużego okna, wychodzącego na Zatokę San Francisco. Ranek był mglisty, ale do południa powinno się wypogodzić. W ciągu lata zawsze tak było, pomyślała Jennifer, starając się opanować furię. Dygotała. Nienawidziła takiego dygotu. Nienawidziła własnej bezsilności i przekłetej nadwrażliwości. On zawsze był górą. Zawsze. Musi mu się postawić.

Właśnie miała odwrócić się od okna, kiedy usłyszała głos teściowej, Gates Foxe, która mówiła władcym tonem:

- Lindsay pojedzie do Connecticut, do szkoły dla dziewcząt, którą dla niej osobiście wybrałam, Jennifer. Niepotrzebnie się niepokoisz. Powiedziałam Royce'owi, że to szkoła w sam raz dla niej. Akademia Stamford, bardzo wysoko ceniona. Nasz chwast będzie tam miał dobrze.

Jennifer stanęła jak oniemiała. Royce się zarumienił i usiłował ratować sytuację. Dobry Boże, wciąż się jej obawiał. Chodziło o pieniądze, Jennifer dobrze o tym wiedziała, o pieniądze, o nic

innego.

- Ja nie miałem zamiaru, matko.

- Doskonale znam twoje zamiary, Royce. A teraz dość o tym. Powinniście pamiętać, że dziewczyna ma dobre uszy i bardzo dociekliwą naturę. Ja usłyszałabym was aż z palarni.

Jennifer uniosła podbródek.

- Ona ma na imię Lindsay.

- Tak, kochanie, pamiętam.

Jennifer uniosła podbródek i głos jeszcze wyżej.

- A na drugie ma Gates. Po tobie, matko.

- Zawsze się zastanawiałam, dlaczego nadałaś jej moje imię. Royce mi powiedział, że to był twój pomysł. Nigdy za mną nie przepadałaś, Jennifer, i nienawidziłaś tego domu, nienawidziłaś ulegania mi, starej jędzy. Absolutnie nie pojmuję, dlaczego zgodziłaś się tu zamieszkać. Przypuszczam, że sprawił to status rezydencji i nieliczne pieniądze, chociaż własnych masz tyle, że starczyłoby ich dla kilku osób na dostatecznie długie życie, Jennifer. Czasami się zastanawiam, co by powiedział Cleveland, widząc naszego syna w tym domu. Zawsze powtarzał, że chłopak powinien odejść na swoje, a nie mieszkać z rodzicami. Czy też z matką, jak w tym wypadku.

Royce zrobił srogą minę, jak przystało na sędziego federalnego. Jennifer zawsze podziwiała, jak łatwo się dostosowywał do sytuacji. Teraz powiedział:

- Sądziłem, matko, że ponieważ nie jesteś już tak młoda i sprawna jak dawniej, będziesz chciała mieć przy sobie kogoś, kto się tobą zajmie.

- Byłoby to naprawdę miłe - zgodziła się Gates Foxe.

- Po co te wszystkie bzdury? - zawołała Jennifer. - Nie chcę, żeby moja córka jechała na wschód. Jest zbyt młoda, będzie tam nieszczęśliwa.

- Prawdę mówiąc - przerwał jej spokojnie Royce - jest zachwycona tą perspektywą.

- Nie wierzę - zaprotestowała Jennifer. - Kłamiesz.

- Dlaczego miałbym kłamać? Przez chwilę myślałem nawet że zgrozą, że zarzuci mi na szyję te swoje kościste ramiona.

- Nie, nie. To nieprawda. Ona nie zechce się ze mną rozstać. Pójdę poszukać Lindsay. Ona powie mi prawdę, że nie chce stąd iść.

- Nie uznałabym tego za prawdę, moja droga - powiedziała Gates, nadspodziewanie łagodnym tonem. - Royce nie ma powodu kłamać. Zbyt łatwo można by go sprawdzić. A co się tyczy ciebie, Royce, bez względu na to, co sobie wyobrażasz, dziewczyna wcale nie jest głupia. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że przejrzała twoje plany na długo przedtem, nim jej cokolwiek powiedziałaś. Ona słyszy, co się mówi, i ma intuicję. Doskonale wyczuwa ludzi. Royce powiedział prawdę, Jennifer. Ona naprawdę jest podniecona na myśl o wyjeździe do szkoły. Nic nie powiedziała, bo nie chciała cię zranić, Jennifer. Ale pragnie się wyrwać z tego domu. Nie, Royce, ona nie jest głupia. Jest może nieładna i zbyt wysoka, a także trochę niezręczna i kłopotliwa przez swoją małomówność, ale wcale nie jest głupia. Ma bardzo wiele z ciebie, Jennifer. W przeciwieństwie do Royce'a, ta dziewczyna umie przeczuć, co stanie się za kilka lat.

- Wychodzę - powiedziała Jennifer.

- Nie zapomnij, moja droga, że komitet szpitala Moffit ma dziś zebranie o czwartej po południu, a ty jesteś sekretarzem i skarbnikiem. A ty, Royce, wyjdiesz z domu przed przybyciem pierwszej damy.

- Tak, matko.

Gates Foxe gestem ręki nakazała im wyjść. Obydwoje ją męczyli. Potem podeszła do ulubionego fotela, który stał zwrócony oparciem w stronę wspaniałych okien, naprzeciw ściany, na której wisiał olejny obraz namalowany w roku 1954 przez Malone'a Gregory'ego, zupełnie niezłe oddający wygląd jej zmarłego męża, Clevelanda. W tamtym czasie Cleveland zaczynał się starzeć, pomyślała Gates, spoglądając na jego obwisły podbródek i worki pod oczami. Ale w jego oczach nadal płonął ogień, chociaż Cleveland zbliżał się do sześćdziesiątki i Gates podejrzewała, że w czasie pozowania do portretu rozmyślał o tej głupiej dwudziestolatce, z którą sypiał, dopóki nie dostał zawału. Sydney była podobna do Clevelanda z czasów młodości, miała tę samą iskrę, która rozpalala ludzi i sprawiała, że starali jej się przypodobać. Teraz była mężatką i włoską księżną. Gates zastanawiała się, czy Sydney porzuci praktykę adwokacką i stanie się żoną w tradycyjnym pojęciu. Trudno jej było to sobie wyobrazić, ale nigdy nie wiadomo...

Zaczęła rozmyślać o niekończących się rozdzwiękach panujących w rodzinie. Nie wiedziała, jak wiele Lindsay wie o nieporozumieniach pomiędzy jej rodzicami. Lindsay niczego nie dawała po sobie poznać; trzymała wszystko w ukryciu, pod maską niewzruszonego oblicza, i nie dawała najmniejszych sygnałów, nawet babci.

Lindsay stała cicho w cieniu pod głównymi schodami. Patrzyła, jak matka, a potem ojciec, wychodzą z biblioteki. Nie poruszyła się. Chwast, myślała, chwast w ich ogrodzie. Dotknęła dłonią poskręcanych włosów. Jak zwykle były rozczochrane i tłuste, bo kiedy je myła zbyt często, wyglądały jak kopa siana. Nagle zdała sobie sprawę, że bardzo pragnie wyjechać z tego domu, jeszcze bardziej niż poprzednio. Chciała się uwolnić. Jeszcze dwa tygodnie, a będzie wolna. Stamford w stanie Connecticut. Naprawdę daleko. Poczula krótkotrwały ból z powodu rozstania z matką, ale szybko się z niego otrząsnęła. Matka będzie się musiała nauczyć troszczenia o samą siebie. Po kwadransie Lindsay opuściła kryjówkę i wyszedłszy z rezydencji, ruszyła Bayberry w kierunku Union Street.

*

Kolacje w domu Foxe'ów były zgodne z ceremonią i eleganckie; przebiegały zawsze tak samo. Wieczór w przeddzień wyjazdu Lindsay nie stanowił wyjątku. Kucharka Dorrey wkroczyła nadąsana do jadalni, ponieważ dwie posrebrzane tace, które wносиła, były ciężkie, a ona sama znacznie przytyła od zeszłego roku. Ostrożnie postawiła tace przed panem domu. Kiedy ten skinął głową, uniosła pokrywy i zaczęła, aż z aprobatą smakosza spojrzy na połówkę duszoną ze słoniną, a następnie zwróci oczy ku dwóm misom, z których jedna pełna była małych czerwonych ziemniaków i zielonego groszku, posypanych migdałami, a druga maleńkich japońskich cebulek o perłowej barwie. Następnie kucharka zdjęła z tacy naczynia z warzywami, zabrała prawie pustą wazę po zupie grzybowej i wróciła do kuchni, przelękając ślinę na myśl o sześciu plastrach połówki, które odkroiła dla siebie.

Royce zasiadał u szczytu stołu, a babcia Gates na przeciwnym końcu. Kierowali rozmową na zmianę. Jennifer zajmowała miejsce po prawicy męża. Odzywała się dopiero wtedy, gdy teściowa lub małżonek rozpoczęli jakiś temat i zapytali ją o zdanie. Jennifer spoglądała poprzez stół na swoją córkę i po raz pierwszy zastanawiała się, co dziewczyna myśli, ponieważ jej milczenie było absolutne. Jadła, nie wydając najmniejszego dźwięku. Jennifer miała wątpliwości, czy postąpiła słusznie, pozwalając Lindsay, by zeszła do jadalni z dorosłymi. Dziewczyna była przeokropnie chuda i niezręczna. Mogła w każdej chwili wylać sobie zupę na kolana. Wkrótce jej wygląd powinien się poprawić, nie sposób było sobie wyobrazić, że Lindsay może stać się jeszcze chudsza i bardziej

niezdarna.

- Dostałem dziś list od Sydney - powiedział Royce, przeżuwszy dokładnie kęs duszonej polędwicy. Doszedł do wniosku, że Dorrey zasłużyła na podwyżkę.

- Co u niej? - spytała Jennifer, marząc, by Sydney w magiczny sposób zniknęła z jej życia na zawsze. Mediolan we Włoszech nie był wystarczająco daleko, by się pozbyć dziewczyny, która do chwili wyjazdu na uczelnię w Harvardzie uczyniła z życia Jennifer prawdziwe piekło.

- Jesienią przybędzie wraz z mężem do San Francisco. Wydamy na ich cześć przyjęcie, co o tym sądzisz, matko? Niewielkie, dla jakichś stu osób.

- Oczywiście, będzie to bardzo odpowiednie. Jak Sydney przystosowała się do Włoch i Włochów?

Royce bez pośpiechu przeżuł następny kęs polędwicy. Następnie wzruszył ramionami i odparł, nie spoglądając na matkę:

- Jest, ma się rozumieć, szczęśliwa. Właśnie wrócili z podróży poślubnej po Turcji i wyspach na Morzu Egejskim. Sydney wspomina o tym, że willa di Continich jest bardzo stara i wymaga modernizacji, którą ma zamiar niedługo rozpocząć. Píše także o rym, że teściowa wydaje się osobą rozsądną, a szwagierka jest flądram.

Gates chrząknęła, a jej syn nadal wychwalał Sydney. Dotarło do niej słowo „flądram”, ale nie obudziło to jej zainteresowania. Udało jej się pochwycić spojrzenie Lindsay, wpatrującej się w ojca. W jej oczach widoczny był głód i dziwny rodzaj pełnej smutku akceptacji. Gates szybko skierowała wzrok w inną stronę. To było nie w porządku, ale przecież nigdy nie uważała, że życie jest szczególnie sprawiedliwe. Wysłanie dziewczyny do szkoły z dala od domu było doskonałym pomysłem. Lindsay pozna tam przyjaciółki. Nareszcie będzie dostosowana. Jej pozostanie w domu byłoby dla wszystkich katastrofą. Dla Royce'a zawsze liczyła się wyłącznie Sydney i tylko ją kochał. Tak, lepiej będzie, jeśli dziewczyna wyjedzie z San Francisco, przynajmniej na tak długo, dopóki nie uzbroi się przeciw ojcu, w broń, której będzie potrzebowała aż po dzień jego śmierci.

Tego wieczoru Jennifer poszła z córką do jej pokoju, by obejrzeć nowe ubrania zakupione na wyjazd do szkoły, głównie ciepłe rzeczy, bo zimy w Connecticut są mroźne.

- Podoba ci się, Lindsay?

Był to piękny gruby sweter w bładoniebieskim kolorze. Lindsay skinęła głową bez przekonania, co bezgranicznie zasmuciło Jennifer.

- Skoro ci się nie podoba, dlaczego zgodziłaś się, bym go kupiła?

- Podoba mi się, mam. Tylko, że wyglądam w nim na jeszcze wyższą i jeszcze chudsza.

- Nieprawda. - Jennifer zamilkła, wiedząc, że córka nie będzie się z nią sprzeczała. - Jesteś podniecona wyjazdem?

- Chyba tak. Mam nadzieję, że polubię szkołę.

- Z pewnością. Babcia osobiście ją wybrała. Będiesz tam szczęśliwa.

Lindsay znowu skinęła głową. Matka się stara, pomyślała. Ale ona nie pragnęła jej towarzystwa, wolała, żeby matka ją zostawiła i poszła się położyć. Lindsay bawiła się, obracając na palcu paskudny pierścionek, z rodzaju takich, które znajduje się w opakowaniu płatków śniadaniowych. Matka zwróciła uwagę na błyskotkę.

- Skąd to masz?

- Od przyjaciela.

- Chłopaka? - Tak.

- Jak ma na imię ten chłopak?

- Allen. - A dalej?

- Carstairs. Jego rodzice mieszkają przy Filbert. Chodzi ze mną do jednej klasy.

- Pierścionek jest tani i paskudny - Jennifer wyciągnęła rękę. - Daj mi go.

Po raz pierwszy od szesnastu lat Lindsay zaprotestowała.

- Nie, jest mój. Dostałam pierścionek w prezencie i go zatrzymam. - Schowała dłoń za plecami.

Jennifer poczuła się głupio z wyciągniętą ręką i nadstawioną dłonią. Spodziewała się, że córka okaże jej posłuszeństwo. Teraz wiedziała, że Lindsay nie odda pierścionka. Boże, miała nadzieję, że głupia dziewczyna nie puściła się z tym Allenem Carstairssem. Tego tylko brakowało, ciężarnej Lindsay, której ruchy nie były dość skoordynowane, by sprawnie zejść po schodach.

- Bardzo dobrze - powiedziała poirytowana. - Zachowaj ten złom, ale wiedz, że twój palec wygląda w nim na jeszcze bardziej kościsty. I dopilnuj, żeby ten Allen Carstairs nie wlaź ci pod spódnicę. Twój ojciec nie zniósłby, gdybyś zaszła w ciążę.

Lindsay wpatrywała się w matkę, która od czasu ślubu Sydney straciła na wadze co najmniej pięć funtów.

- Nie zrobiłabym tego, mamó. Dobrze wiesz, że bym nie zrobiła.

- Dopilnuj, żeby do tego nie doszło. - Jennifer zdała sobie sprawę, że jest podła i nedorzeczna, żaden chłopak nie zainteresowałby się Lindsay jako obiektem seksualnym. Ten cały Allen Carstairs był prawdopodobnie gejem i widział w Lindsay wyłącznie przyjaciółkę. Jennifer poczuła się winna. Szybko przytuliła córkę.

- Spodoba ci się w szkole, Lindsay. Wiem, że tak się stanie. Dobra z ciebie dziewczyna.

Luty 1982

Lindsay lubiła szczypiący w nos mróz. Lubiła śnieg i absolutną ciszę ośnieżonych gałęzi w sosnowym lesie. Stała się doskonałą narciarką i każdy weekend spędzała z przyjaciółkami w Elk Mountain w Vermont. Dziwne, ale przestała być taka niezdarna jak jeszcze pół roku temu. Poruszała się gładko i gibko, zwłaszcza na nartach. Czuła, że ma wdzięk. Powiedziała to Gayle Werth, najlepszej przyjaciółce, podczas gdy wjeżdżały wyciągiem na szczyt zwany przez początkujących narciarzy Górą Kretynów, skąd prowadziła trasa dla zaawansowanych.

Gayle, zabójcza blondyna, walczyła z klamerkami na zębach, które właśnie jej założono i które miały jej zadawać ból co najmniej przez tydzień.

- Jasne, że nie jesteś niezdarna, Lindsay. Już nie. Twoje włosy wciąż wyglądają okropnie, ale jeśli przyjedziesz do mnie na następny weekend, moja mama poradzi ci, co z nimi zrobić.

Lindsay miała na głowie czerwoną czapkę narciarską. Ściągnęła ją i zwróciła twarz ku Gayle.

- Sztywne loczki - powiedziała, starając się potraktować lekko zmoreę swego życia. - Będzie wiedziała, co z nimi zrobić?

- Tak. Będzie wiedziała. Po prostu przyjeźdź, dobrze?

- I tak nie mam nic innego do roboty. Czemu nie? Chętnie poznam twoją mamę, Czarodziejkę.

- Wiesz co, Lind, nie są już takie bardzo poskręcane. A te wszystkie fale są naprawdę ładne i takie gęste, że nie wiadomo, jak nad nimi zapanować. Mama coś na to wymyśli.

- Ścigajmy się! - wrzasnęła Lindsay, kiedy zsiadały z krzeselka wyciągu.

Ten zjazd zakończył dla Lindsay zimowy sezon roku 1982. Złamała nogę w połowie stoku. Złamanie bez komplikacji, które sprawiło, że zbladła i rozdygotana poczuła mdłości. Chłopak, który na nią wpadł, był początkujący; stracił panowanie nad nartami. Wyszedł z tego prawie bez szwanku.

Lindsay nie pomyślała, by zawiadomić rodziców. Wspomniała o tym lekarka, młoda kobieta z turkusowymi szklami kontaktowymi.

- Zadzwoń do nich, Lindsay. Jesteś trochę otumaniona po tym środku przeciwbólowym, który ci podałam. Mogłabyś ich przestraszyć. Wiesz, jacy są rodzice.

- Mojego ojca nic nie jest w stanie przestraszyć - powiedziała Lindsay.

- W takim razie twoją matkę.

- Jej także nic by nie przestraszyło. Niech się pani nie kłopotczy, pani doktor. To naprawdę nic ważnego. Jestem tutaj, a oni w San Francisco i nie chcę im nic mówić.

- Bzdury - skwitowała doktor Baines.

Ku zdumieniu Lindsay, kilka dni po wypadku, odwiedziła ją w akademiku siedemdziesięciosiedmioletnia, wciąż pełna sił, babcia, ubrana w modny różowy kostium wełniany od Givenchy i dzwonowaty kapelusz tego samego koloru.

- Nie przyjechałaś na Boże Narodzenie - powiedziała, zatrzymując się przy łóżku Lindsay.

Dziewczyna miała nogę w gipsie i śmiała się z trzema koleżankami. Gates omiotła wzrokiem rozdartą torbę z czipsami, dwa puste opakowania po tortilli oraz niezliczoną ilość puszek po napojach gazowanych. W pokoju panował bałagan. Lindsay szybko przedstawiła babci przyjaciółki i dziewczyny natychmiast wybiegły. Gayle złapała po drodze torbę z czipsami, które były jej wkładem w przyjęcie. Gates usiłowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek się tak zachowywała. Nie mogła sobie tego wyobrazić. Nie, ona zawsze nosiła pas elastyczny i nylonowe pończochy. I rękawiczki. Rzadko przeklinała, ale tylko jeden Bóg wiedział, ile przekleństw przełknęła w swoim długim życiu.

- Usiądź proszę, babciu.

Gates schyliła się nad łóżkiem i pozwoliła wnuczce ucałować swój policzek.

- Myślę, że powinnam tego spróbować - powiedziała. - Ślina napływa mi do ust. Zostało trochę czipsów?

- Chyba tak, ale są nie bardzo świeże i do tego pokruszone. Nie sądzę, by ci smakowały. Zadzwoń do Gayle, przyniesie nam nowe.

Gates zrezygnowała z poczęstunku, chociaż z westchnieniem żalu. Pocieszała się myślą, że jej delikatny żołądek prawdopodobnie zareagowałby skurczami.

- Jestem tu przede wszystkim po to, żeby sprawdzić, jak się czujesz. Widać, że jesteś zadowolona. Chcę ci także przekazać wiadomość o rozwodzie twoich rodziców, Lindsay. Twoja matka czuje się nieszczęśliwa i dlatego nie przyjechała cię odwiedzić. Uważam, że takich wieści nie przekazuje się przez telefon.

Serce Lindsay waliło mocno i powoli. Rozwód nie był niespodzianką, naprawdę. Pamiętała wrzaski i kłótnie, okropne rzeczy, które sobie wykrzykiwali. Pamiętała, co ojciec mówił o niej, zawsze porównując ją do Sydney, a Jennifer broniła córki, zawsze broniła.

- Rozwód? Dlaczego? Gates wzruszyła ramionami.

- Są głupcami, i tyle.

- Ale już mnie tam nie ma!

Gates nie była zaskoczona, że dziewczyna automatycznie obwinia siebie. Dzieci są takie wrażliwe na kłopoty rodziców.

- Rozwodzą się nie z twojego powodu. - Gates szybko odwróciła wzrok, wiedząc, że kłamie. - Nie mogłabyś być powodem - powiedziała stanowczo. - Posłuchaj mnie. Masz już siedemnaście lat, Lindsay, i nie jesteś już dzieckiem. Wiesz, że twój ojciec nie był wiernym mężem. Nie był wierny

także pierwszej żonie. Przed rozwodem uratowała ją śmierć. - Gates wzruszyła ramionami, myśląc o swoim mężu, cudzołożnym rozpustniku. - Niektórzy mężczyźni bywają właśnie tacy. Twój dziadek także do nich należał. Miał więcej kochanek, niż twój ojciec mógłby sobie wyobrazić. Przymykałam na to oczy. Ale teraz jest inaczej. Żony nie muszą się już na coś takiego godzić. Twoja matka, po prostu, miała tego dość, przynajmniej tak twierdzi. Jest teraz chuda. Zbyt chuda. Czy to nie dziwne?

- Chyba nie jest chora?

- Nie wiem, dziecko. Jestem zmęczona. Zbyt stara na te wszystkie szaleństwa, ale uznałam, że zasługujesz na to, by ci to powiedzieć osobiście, nie przez telefon. Zmieniłaś się. Wyglądasz na bardziej dojrzałą. Cieszę się. Poprosiłam twego ojca, żeby się wyprowadził z posiadłości. Dziwne mieszkać tylko z nim, bez twojej matki. Szkoda, naprawdę. Zawsze lubiłam tę kobietę. Tylko że nie miała szans z twoim ojcem, zwłaszcza po. Ale to ciebie nie dotyczy. W każdym razie kupił sobie elegancki dom w wiktoriańskim stylu, przy Broadway, niedaleko Steiner i sprowadził stado dekoratorów wewnątrz. A matka kupiła kondominium na Nob Hill.

- Zostałaś sama, babciu?

- Tak, i czuję się cudownie. Więc nie wyobrażaj sobie, że umieram z samotności. Twoi rodzice naprawdę byli męczący. Pragnę spędzić moje złote lata w błogosławionym spokoju.

Gates zamilkła i wyjrzała przez okno na pokryty śniegiem krajobraz. Mieszkając w San Francisco zapomniała o zimnie, mrozie, śniegu i przenikliwych wiatrach. Boże, jak można je znosić?

- Ojciec był tutaj trzy tygodnie temu - powiedziała nagle Lindsay, unikając wzroku babci.

Gates była zdumiona.

- Przyjechał tu, żeby się z tobą zobaczyć?

- Nie. W ogóle się ze mną nie spotkał. Zobaczyłam go przypadkiem. Nie wiem, dlaczego tu przyjechał, może po to, żeby sprawdzić, czy nie przynoszę wstydu rodzinie Foxe'ów, czy nie zażywam narkotyków, nie mam złych stopni lub coś w tym rodzaju.

- Lub coś w tym rodzaju - powtórzyła Gates. - Nic mi nie mówił, że się tutaj wybiera, ale, cóż, jest przecież pełnoletni i może jeździć, gdzie mu się żywnie podoba. Kupił udziały w akademii, więc może po prostu przyjechał sprawdzić, czy dobrze zainwestował. Tak, to ma sens. Chciał przedyskutować stan interesów z nowymi udziałowcami. Ja także jestem tym zainteresowana.

- Rozumiem.

Dlaczego nie wpadł tylko po to, żeby się przywitać? Gdyby chodziło o Sydney, przybiegłby do niej natychmiast, zabrał do najlepszych restauracji, obsypał najkosztowniejszymi prezentami, śmiałyby się z jej dowcipów, ścisnął ją i obejmował. Dlaczego kupił udziały w akademii? Lindsay słyszała, jak jedna z sekretarek wspominała coś na ten temat, ale nie przywiązywała do tego wagi. A więc, to prawda. Czyżby się bał, że ją wyrzucą ze szkoły i był to sposób chronienia nazwiska? Kłopotliwa sytuacja; Lindsay miała nadzieję, że żadna z koleżanek się o tym nie dowie. Dlaczego przynajmniej nie zatelefonował?

- Mama nie dzwoniła do mnie od czasu Bożego Narodzenia.

- Tak. I wcale się temu nie dziwię. Już ci mówiłam, że nie czuje się dobrze. Ach, Lindsay, jeszcze jedno. Sydney poroniła. Nic jej nie jest, ale księżę jest niepokieszony. Jego matka i siostra bardzo się o niego martwią. Prawdę powiedziawszy, przypuszczam, że to nie było samoistne poronienie. Sydney prowadziła samochód i zdarzył się jakiś wypadek, który spowodował przedwczesny poród. To był chłopiec, ale ważył mniej niż dwa funty. Nie można go było uratować.

- Och.

- Twój ojciec poleciał do Mediolanu, żeby być przy niej. Wkrótce stamtąd wróci. Mówił, że Sydney znów zaczyna pracować w firmie prawniczej. Usiłowała być tradycyjną żoną i sprostać wszystkim obowiązkom towarzyskim di Continich. Nie wiem, czy jej się to udało. Po stracie dziecka zmieniła zdanie. Zobaczmy, co będzie dalej. Alessandro nie jest zadowolony z jej decyzji, ale co może na to poradzić? Sydney postępuje zgodnie z własną wolą. Jest silna. Zawsze taka była. Nie musisz się o nią martwić.

Sam dźwięk imienia Alessandro sprawiał, że Lindsay czuła się jak obnażona i bezbronna. Biedny Alessandro. Lindsay zastanawiała się, jak szybko jechała Sydney. Zastanawiała się, czy to rzeczywiście był wypadek. Sydney prawdopodobnie jechała bardzo szybko i sama zawiniła. Biedny książę, chciał zostać ojcem, mieć syna, ale Sydney nie dała mu go. Lindsay wiedziała, czuła intuicyjnie, że Sydney ponosiła odpowiedzialność za śmierć dziecka. A teraz opuści Alessandro i nie będzie wypełniała obowiązków żony.

Lindsay spojrzała na swoje biurko. Starannie ukryte w jedwabnej kopercie leżały tam trzy widokówki przysłane przez księcia w ciągu ostatnich sześciu miesięcy; każda pochodziła z innego miasta, wszystkie jednakowo bezcenne. Jedna z Santorini, gdzie książę i Sydney spędzili kilka dni podróży poślubnej. Nawet wtedy o niej myślał, nawet będąc z Sydney. Wszystko, co napisał, było pełne ciepła i interesujące, i podpisane „z miłością”. Nie „pozdrawienia od szwagra” lecz „z miłością od Alessandro”.

Lindsay przełknęła ślinę. Sydney nie zasługiwała na księcia. A teraz jeszcze to. Oszukała jego ojcowskie uczucia. Zabiła jego dziecko. Lindsay zdała sobie nagle sprawę, że babcia przygląda jej się z ciekawością, więc prędko spytała ją o komitet szpitalny, o Dorrey i o Landsforda, który od trzydziestu lat był lokajem Foxe'ów.

Następnego ranka Gates spotkała się z panią Anglethorpe, przełożoną szkoły, kobietą po czterdziestce, czarnowłosą, z grubym pasmem siwych włosów na lewej skroni, uczesaną w wielki kok. Kobieta miała obfity biust i była długonoga, dobrze ubrana, łagodna w sposobie bycia i szczerza w wypowiedziach. Candice Anglethorpe poczęstowała Gates herbatą i najlepszymi bułeczkami szkockimi.

Gates przyglądała się pani Anglethorpe. Tak, to było jasne. Kobieta była ładna, mądra, pełna wdzięku, miła i wrażliwa. Nadawana się na opiekunkę Lindsay.

- Chciałabym się dowiedzieć, jak sobie radzi moja wnuczka.

- Ach, wszyscy byliśmy bardzo zatroskani, kiedy złamała nogę. Zdaję sobie sprawę, że wypadek był trudny do uniknięcia, ten chłopak był początkującym narciarzem, nie panował nad nartami. Rozumie pani.

- Nie chodzi mi o złamaną nogę. Jak się tu zaadaptowała? Jak się uczy?

Candice Anglethorpe zaczęła wyliczać na palcach:

- Jest spokojna, ale nie nieśmiała. Jest mądra, ale nie błyskotliwa. Ma dwie lub trzy koleżanki, ale tylko jedną bliską przyjaciółkę, Gayle Werth, której rodzice zajmują się polityką. Jej ojciec to senator George Werth z Vermont, a jej matka jest ustawodawcą stanowym. Lindsay nie interesuje się chłopcami. Ale, oczywiście, wszystkie dziewczynki chichoczą, fantazjują i zmyślają bajdy. Jeśli chodzi o to, jak Lindsay się tu zaadaptowała, proszę mi wierzyć, uważam, że to miejsce jest dla niej najodpowiedniejsze. Ona tu pasuje.

- Wiedziałam, że będzie zadowolona. Jej rodzice właśnie się rozwodzą, myślę że pani już o tym wie. - Gates zamilkła na chwilę, ale pani Anglethorpe pozostała czujna i milcząca. Gates uniosła

lekko lewą brew. - Nie wiedziała pani? Cóż, właśnie powiadomiłam o tym Lindsay. Wygląda na to, że się zbyt nie przejęła, ale czy z młodymi dziewczętami można być czegoś pewnym? Może się obwinia, co jest absurdalne, jak jej zresztą powiedziałam. Wspominam o tym, żeby była pani poinformowana, w razie jakiegoś dziwnego zachowania Lindsay.

- Rozumiem. Powiedziano mi także, że jest pani tutaj w imieniu swego syna, który został niedawno udziałowcem Stamford Girls Academy. Wystarczy jedno słowo, a przedstawię pani do wglądu wszelkie dokumenty. Dam pani do dyspozycji moją sekretarkę, pani Foxe.

Gates skinęła lekko głową i sięgnęła po następną niebiańską bułeczkę. Jej nadzienie było niezrównanie pyszne.

- Tak - powiedziała po chwili. - Proszę o przepis na bułeczki i na nadzienie.

Candice Anglethrope roześmiała się. Odczuwała głęboką ulgę. Stara dama o niczym nie wie, a nawet jeśli coś wie, nie ma zamiaru wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Candice pracowała w Akademii dopiero od czterech lat i według siebie samej odnosiła wielkie sukcesy. Ale nigdy nic nie wiadomo, zwłaszcza gdy nowym współnikiem zostaje sędzia federalny z oddalonego o trzy tysiące mil San Francisco. Będzie się musiała dowiedzieć, dlaczego kupił udziały w Akademii. Dla niego wydawało się to nie mieć większego znaczenia, dla niej było niesłychanie ważne i owa obojętna postawa bogacza wydawała się jej intrygująca. Teraz miała okazję poznać jego matkę.

- Oczywiście, skoro tu jestem, porozmawiam z radą nadzorczą i księgowymi. To dotyczy interesów i nie ma nic wspólnego z panią, Mrs Anglethorpe. A tak przy okazji, każe się pani tytułować Mrs ze względu na dziewczynki?

Candice Anglethrope wzdrygnęła się, ale natychmiast się opanowała. Stara dama życzy sobie otwartości, więc niech ją ma. Jeżeli zechce czegoś więcej, będzie musiała zapytać wprost, bo Candice wie, że nie należy się wychylać.

- Tak, pani Foxe, „Mrs” brzmi lepiej. Dla dziewczynek i dla ich rodziców. Jestem też wdową.

- Rozwódka nie kojarzy się najlepiej. I brzmi jakoś nieodpowiednio.

- Całkowicie się z panią zgadzam.

- Nie obwiniam pani. W takich okolicznościach postąpiłabym identycznie. Bardzo rozsądnie z pani strony, chociaż nie należy ukrywać takich rzeczy, zwłaszcza przed wścibską starą kobietą. Przez całe życie odgadywałam to, czego wiedzieć nie powinnam była. Dziwne, ale prawdziwe.

Kiedy Gates Foxe wyszła, Candice dopilnowała, by jej sekretarka wysłała przepis na bułeczki i nadzienie do San Francisco. A następnie poszła na górę, aby odwiedzić Lindsay. Podchodząc do drzwi, usłyszała rozgadane i śmiejące się dziewczynki. Uśmiechnęła się i lekko zastukała, wiedząc, że jej nie usłyszą. Nie usłyszały. Candice cicho uchyliła drzwi.

Bitsie Morgan malowała na gipsie Lindsay obrazek, przedstawiający nagiego chłopca. Gayle Werth pękała ze śmiechu. Nie wiedziały, jak sobie poradzić z penisem. Powinny go ukryć, czy wystawić na światło dzienne?

Postanowiły opasać nim nogę Lindsay. Candice przyglądała się Lindsay, zanim dziewczyna zdała sobie sprawę z jej obecności. Była zarumieniona i bardzo zadowolona. Tak, czuła się tutaj szczęśliwa. Pasowała do tego miejsca. Rozwód rodziców wcale jej nie zmartwił.

Lindsay podniosła wzrok i Candice uśmiechnęła się do niej. Ach, te jej oczy. Lindsay jeszcze tego nie wie, ale pewnego dnia mężczyźni będą szaleć za tymi niewiarygodnie pięknymi oczami. Tak, zupełnie jak oczy jej ojca. Za każdym razem, gdy Royce zapadał w nią, oparty na łokciach,

pomrukując z wysiłku, Candice spoglądała w jego piękne, pełne seksu, niebieskie oczy i doznawała orgazmu.

ROZDZIAŁ 3

Zdrada, kwiecień 1983

Wreszcie jechała, aby się z nim zobaczyć. Od półtora dnia nic nie miała w ustach, była zbyt podniecona. Na sam widok jedzenia dostawała mdłości, nawet na widok ukochanych cheeseburgerów. Zmieniła się, wiedziała o tym, ale czy wystarczająco? Książę nawykł do doskonałości Sydney. To prawda, że Lindsay nie wyglądała już jak niezdarna smarkula, która wpatrywała się w niego cielecym wzrokiem, niezdolna do wyduszenia z siebie głosu. Ale od tamtej pory minęły prawie całe dwa lata. Była wtedy młoda, bardzo młoda, niezręczna i głupia. Teraz dorosła i dojrzała. Miała osiemnaście lat i stała się prawie kobietą. Dłonie jej zwilgotniały.

Na dodatek była we Francji i jechała białą limuzyną, przyslaną przez księcia, znajdowała się w drodze do hotelu George V, i miała zobaczyć Alessandro po raz pierwszy, od kiedy poślubił Sydney. Wciąż pamiętała, jak wyglądał w smokingu, wciąż pamiętała jego śnieżnobiałą koszulę, która tak pięknie i wytwornie odcinała się od jego śniadej cery. Ach, i te jego oczy, ciemne oczy, spoglądające na nią tak uporczywie, tak poważnie. Lindsay zadrżała na to rozkoszne wspomnienie. Oczywiście, będzie z nim Sydney, ale Lindsay nie dbała o to. Po prostu pragnęła go zobaczyć, patrzeć na niego i wiedzieć, że jest szczęśliwy.

Wyjęła z torebki pomięty list i przeczytała go po raz kolejny. Kierowca limuzyny opuścił dzielącą ich szybę, więc była zupełnie sama i bezpieczna. Silnik pracował cicho i gładko. Lindsay wygładziła kartkę i przeczytała:

Moja najdroższa Lindsay.

Będziemy z Sydney w Paryżu, przez tydzień, od 11 kwietnia. Posyłam bilet. Chcemy, żebyś do nas dołączyła. Przyjedź. Zwłaszcza ja pragnę Cię znowu zobaczyć.

I podpis. Taki sam jak na widokówkach, które przysyłał przez ostatnie dwa lata. „Z miłością, Alessandro”. Miesiąc temu skończyła osiemnaście lat. Była teraz dorosła. Miała także kobiecą figurę, nie tak doskonałą jak Sydney, ale zupełnie niezłą. Miała biust i biodra. Była wprawdzie okropnie wysoka, ale pamiętała, że on był wyższy. Zobaczy ją teraz dorosłą. Tutaj przestawała marzyć. Jak zwykle. Był mężem jej przyrodniej siostry. Oto cała prawda.

Z tego, co wiedziała, Sydney nie zaszła więcej w ciążę. Biedny książę. Gdyby był jej mężem, zrobiłaby dla niego wszystko, urodziłaby mu tyle dzieci, ile by zechciał. Był kimś wyjątkowym, zasługiwał na wszelkie dobrodziejstwa, jakie niesie życie. Był cudowny.

Zaczęła marzyć o księciu. Zawsze tak samo, wprowadzając tylko niewielkie zmiany. Niósł ją na rękach i mówił, że kocha nad życie, że jest mu bardzo droga i tylko ona potrafi sprawić, że staje się taki otwarty i dobry. Niósł ją na pokład swego jachtu, a załoga uśmiechała się i kłaniała, a próbując fakt, że są razem. Wszystko było idealne. Sydney w jakiś magiczny sposób zniknęła; oczywiście nie umarła, coś takiego nie mogło się nigdy zdarzyć. Po prostu odeszła i książę był wolny i Lindsay była

z nim i miała z nim zostać na całe życie. Och, jak bardzo go kochała, a w marzeniach on kochał ją jeszcze bardziej. Był jej Alessandro. Był jej księciem. Był jej bogiem. Westchnęła, bo przeszkadzał jej przytłumiony hałas ulicznego ruchu. Marzenie wprawiało ją w błogostan i trudno było się z nim rozstać.

Miała na temat księcia trzy nowe wycinki z gazet, jeden ze zdjęciem. Owo zdjęcie miała przy sobie w portfelu. Wyjęła je i przyglądała mu się. Książę na fotografii wyglądał posepnie, ale i tak Lindsay dostrzegła jego magnetyzm, a także piękno i słodycz. Artykuł opisywał kłopoty w należącej do rodziny Continich fabryce amunicji, niedaleko Mediolanu, o atakach irackich terrorystów na transporty broni do Iranu. Lindsay nie interesowała się artykułem, szukała wyłącznie wiadomości na temat życia osobistego księcia. W jednym z artykułów znajdowała się wzmianka o tym, że książę ożenił się z amerykańską prawniczką i dziedziczką fortuny, Sydney Foxe di Contini z międzynarodowej firmy Hodges, Krammer, Hughes itd., obecnie współniczką firmy. Dalej pisano o przodkach księcia, ale dla Lindsay nie miało to znaczenia.

Nie widziała siostry od czasu jej ślubu. Nie widziała nawet zdjęcia Sydney. Kiedy książęca para odwiedzała San Francisco, nikt nie zaprosił tam Lindsay. I ani razu nie zatrzymali się w Connecticut. Lindsay wiedziała, że to zasługa Sydney. Przyrodnia siostra przestała ją lubić, a może nigdy jej nie lubiła i po prostu przestała udawać. Lindsay wciąż pamiętała, jak Sydney wyśmiewała ją w dniu swego ślubu, mówiąc, że książę dworuje sobie z jej ciełej miłości. Że uważa ją za żalosną. I ojciec także. Tu Lindsay przerwała tok myśli.

Dlaczego Sydney nagle zmieniła zdanie? Dlaczego raptem zapragnęła ją zobaczyć? Lindsay nie wiedziała, co ma o tym sądzić. Święcie wierzyła, że to książę miał w tym swój udział. Dzięki niemu znalazła się teraz w Paryżu. *Sydney* nie miała wyboru i musiała *się* z tym pogodzić. Książę był szefem i Sydney musiała ustąpić wobec jego życzeń.

Dla ojca Lindsay jakby przestała istnieć. Wiedziała, że spędził we Włoszech całe trzy miesiące, ale nic więcej, bo kiedy z nim rozmawiała przez telefon, powiedział jej tylko, że Sydney jest jak zawsze piękna i szczęśliwa. O Alessandro, swoim zięciu, nigdy nie wspominał. A Lindsay była zbyt onieśmielona, by zapytać. Raz ośmieliła się spytać o matkę, ale ojciec odłożył słuchawkę.

Limuzyna wjeżdżała do Paryża. Lindsay opuściła szybę. Powietrze było chłodne i pachniało słodko; kwiecień w Paryżu, najbardziej romantyczny miesiąc w najbardziej romantycznym ze wszystkich miast świata. Lindsay dotknęła swoich włosów. Głębokie fale, a przy twarzy drobne pasemka loczków... Mama Gayle niewiele zrobiła z gęstą burzą pokręconych włosów, ale powiedziała, że Lindsay nie ma powodu do żartów. Kiedy skończy dwudziestkę, świat mody będzie na nią czekał. Lindsay wyjęła puderniczkę i przyjrzała się swojej twarzy. Nieco zbyt blada, bez makijażu. Jedynie odrobina różowego błyszczycy na ustach, który prawie całkiem zliziała.

Była tak zdenerwowana, że czuła mdłości. Przełknęła ślinę i wdychała cudowne powietrze Paryża, przepowiadając sobie w myśli, jak powita księcia. Miała mętlik w głowie i czuła się ogłupiała. Nie mogła pozbierać myśli i wiedziała, że zrobi z siebie idiotkę przed nim i przed Sydney. I Sydney będzie się z niej naśmiewać. A potem opowie wszystko ojcu i on także będzie się naśmiewał.

Miała pójść do recepcji hotelu George V i poprosić, by ją zaprowadzono do apartamentu księcia Alessandro di Contini. Zastanawiała się, czy zostanie przywitana przez księcia, czy przez Sydney. To bez znaczenia, przekonywała samą siebie, wkrótce pojawi się książę i Lindsay będzie mogła nacieszyć oczy jego widokiem i, daj Boże, powiedzieć coś dowcipnego, coś, co go oczaruje, co

sprawi, że nawet Sydney spojrzy na nią z podziwem.

Jej walizka była stara i zniszczona, i Lindsay po raz pierwszy poczuła zakłopotanie. Portier jednak zdawał się tego nie dostrzegać. Wprowadził ją do środka, gdzie mogła wypróbować swoją francuszczyznę, a następnie powiódł przez wielki hol do windy.

Boy hotelowy zawiózł ją na dwunaste piętro, a potem ruszył przodem wzdłuż wyścielonego dywanem korytarza. Lindsay zwolniła; miała wilgotne dłonie i pocila się pod pachami. Poprzedniego wieczoru ogoliła sobie nogi i zacięła się w trzech miejscach. Dobrze, że krwawienie ustało i obeszło się bez plastrów pod rajstopami.

Boy zastukał delikatnie do drzwi apartamentu. W środku panowała cisza.

Zastukał po raz drugi. Lindsay usłyszała zbliżające się kroki. A potem, powoli, drzwi uchyliły się. Ujrzała księcia w czarnych spodniach i białej, rozpiętej pod szyją, koszuli. Uśmiechał się do Lindsay i wyglądał tak pięknie, że zapomniała o całutkim świecie. Na szyi miał mały medalion ze świętym Krzysztofem. Pokazał boyowi, gdzie ma postawić bagaż. Dał mu napiwek. Lindsay chłoneła wzrokiem każdy jego ruch, słuchała płynnej francuszczyzny, dostrzegała jego wdzięk, nawet kiedy zwracał się do boya, zauważyła, że chłopak także reagował na naturalny magnetyzm księcia.

Księżę zwrócił się do Lindsay i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- A więc jesteś - powiedział. Wyciągnął do niej ramiona i nagle znalazła się w jego objęciach, zupełnie jak w swoich marzeniach. Nie mogła w to uwierzyć. Tulił ją do siebie, cieszył się, że ją widzi, a jego ciało było ciepłe i zapraszające, roztapiało się w jej ciele. Głaskał jej włosy, plecy; czuła na twarzy jego słodki oddech.

Odsunął ją od siebie i w milczeniu obejrzał od stóp do głów. Lindsay stała całkiem nieruchoma i wyprostowana jak struna, bo babcia zapowiedziała wnuczce, że ją udusi, jeżeli ta ośmieli się garbić, aby stać się niższą. Lindsay mierzyła sześć stóp i jednaście cali, prawdę mówiąc sześć stóp i jednaście oraz dwie trzecie cala.

- Mój Boże - powiedział Alessandro. Lindsay usiłowała się uśmiechnąć.

- Przeszłaś moje najśmielsze oczekiwania. Jeszcze dwa lata, a staniesz się bardzo piękną kobietą.

Roześmiała się i szturchnęła go w ramię, zupełnie jak dziecko, pomyślała, i miała ochotę zbesztać się za to, ale jego słodkie pochlebstwo brzmiało tak śmiesznie i dziwacznie.

- Dwa lata temu byłam szczeniakiem - powiedziała odrobinę za głośno, bo była bardzo przejęta. - A teraz trochę wysubtelniałam.

- Bzdury - powiedział i znów ją przytulił, całując w policzek. - Szkoda, że musiałaś dorosnąć. Ale oto jesteś, prawie dorównujesz mi wzrostem.

Omal się nie przygarbiła.

- Nie, nie, nie krytykuję cię. Podobasz mi się. Małe dziewczynki muszą dorosnąć. Lubię twój wzrost. Nad twoją siostrą muszę się nachylać i dostaję skurczu w karku. Tak, wysoka dziewczyna jest bardzo przyjemna.

- Gdzie jest Sydney?

Księżę odwrócił wzrok. Wzruszył ramionami.

- Nie ma jej tutaj.

Lindsay poczuła ucisk w żołądku. A więc będzie musiała stąd odejść. To niesprawiedliwe. Tak długo czekała na tę chwilę. To niesprawiedliwe. Księżę nie będzie nalegał, by tu została, skoro nie ma Sydney. Chciało jej się płakać. Miała ochotę zabić samolubną siostrę. A niech ją diabli.

- Odleciała dziś rano do Londynu - powiedział księżę po chwili milczenia.

- Ale dlaczego nie próbowała się ze mną zobaczyć? Wiedziała, że przyjadę dziś po południu! Dlaczego?

- Przepraszam, Lindsay. Chciała się z tobą zobaczyć. Ale jeszcze bardziej pragnęła uciec przede mną. Nie bierz tego do siebie. Będę z tobą szczerą. Sydney nie przepada już za mną i dlatego zdarza jej się postępować tak niedelikatnie. Słyszałaś pewnie od ojca, że wróciła do pracy. Robi karierę! Jestem bogaty; mogę się nią zaopiekować, kupić jej wszystko, czego zapragnie, ale ona twierdzi, że chce być ode mnie niezależna. Błagałem ją, by tego nie robiła, prosiłem, żeby została w willi, pełniła obowiązki pani domu, aby nawiązała przyjacielskie stosunki z ludźmi od dawna związanymi z rodziną, ale mi odmówiła. Ach, moja słodka Lindsay, nie powinienem ci o tym opowiadać. Zapomnij o tym. Uwierz mi, przysięgam, że Sydney nie wyjechała ze względu na ciebie.

Dojrzał w jej niewiarygodnie pięknych oczach uwielbienie, a potem gniew na siostrę i uśmiechnął się.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Lindsay. Chodź, zaniesiemy bagaż do twego pokoju, a potem pójdziemy zwiedzać miasto. Jesteśmy w Paryżu i mam ci tyle do pokazania. Nie ma powodu, byś zrezygnowała z pobytu, prawda?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, skinęła głową i uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

*

Lindsay usiłowała nie myśleć o tym, co usłyszała.

Sydney już go nie lubiła? Na miłość boską, dlaczego? Czy to oznacza, że chcą się rozwieść? Uczepiła się tej myśli. Jeśli tak się stanie, księżę będzie wolny. Przestraszyła się. Chryste, ona ma zaledwie osiemnaście lat. Księżę ma trzydzieści jeden lub dwa. Nie ożeni się z nią. To głupie. Jest dla niego dzieckiem, niczym więcej. Jest jego młodą szwagierką, niczym więcej. W ogóle jest niczym.

Ale jeśli on i Sydney się rozwiodą, to czy jeszcze go kiedyś zobaczy? Na tę myśl napłynęły jej łzy do oczu.

- Co się stało, mała? Skąd te łzy? Nie smakują ci ślimaki? Powiedz mi, o co chodzi.

Co miała mu powiedzieć? Patrzyła na niego ponad blatem małego stolika w ogródku przed Les Deux Magots. Francuzi mówią tak głośno, pomyślała; cudze rozmowy raziły jej uszy. Był piękny, ciepły, kwietniowy ranek, on nazwał ją po włosku „kochana”.

- Napij się jeszcze wina.

Nie miała ochoty. Rzadko pijała wino i czuła się oszołomiona. Bała się, że zwymiotuje. Pokazała mu, że ma jeszcze pół kieliszka. Księżę uśmiechnął się i dolał do pełna.

- Wypij to, Lindsay.

Wypiła, żeby mu sprawić przyjemność. Chciała, żeby się uśmiechał, żeby chociaż na chwilę zapomniał o Sydney i paskudnych rzeczach, które mu zrobiła.

- Opowiedz mi o szkole - powiedział, odchylając się na oparcie. - Czy opowiadacie sobie z koleżankami o randkach? Opowiadacie sobie o wyczynach waszych chłopców? Porównujecie ich fizyczne walory?

Lindsay potrząsnęła głową.

- No, powiedz, masz jakiegoś przyjaciela?

- Nie. Może będę miała na uczelni. Moja przyjaciółka, Gayle, mówi, że wtedy przeważnie...

- Przeważnie co? Ach, moje najmilsze małe kochanie, chcesz powiedzieć, że wtedy przeważnie traci się cnotę?

Nie mogła mówić; skinęła głową. Jego kochanie. To przez wino. Nie słyszała go dobrze.

- Jeszcze nie spotkałam chłopca, którego chciałabym pocałować.

Chyba wyczuł jej zakłopotanie, bo porzucił ten temat.

Zaczęło padać.

Szli w deszczu, nie przejmując się nim. Książę obejmował ją ramieniem, tuląc do swego boku. Śmiali się. Czowała dla niego uwielbienie, bezgraniczne oddanie. Miała wrażenie, że on zdaje sobie z tego sprawę. Ale nie dbała o to.

Kiedy wrócili do apartamentu, nie zachęcał jej do dłuższej rozmowy. Pośpiesznie ucałował ją w czoło i delikatnie wepchnął do sypialni. Lindsay nie chciała, żeby wieczór już się kończył, ale czuła że jest pijana, nie bardzo, ale trochę kręciło jej się w głowie. Myjąc zęby w łazience, uśmiechała się i chichotała. Wciągnęła przez głowę bawełnianą koszulę nocną i położyła się na łóżku. Pokój wirował. Czowała ciepło i słodycz. Cudowny wieczór, o wiele lepszy niż wszystkie marzenia. Najwspanialszy ze wszystkich wieczorów. Książę był dobry, ciepły i taki czuły. Idealny. Może jutro będzie tak samo.

Zastanawiała się, dokąd zabierze ją jutro. Tego wieczoru błądzili po Montmartrze i Alessandro opowiadał jej zabawne historyjki o artystach, którzy mieszkali tu pod koniec zeszłego wieku. Nazywał te czasy *La Belle Epoque*. Opowiedział jej, jak pewien malarz namalował siebie w trakcie miłosnego aktu z modelką i jak jego żona przyszła na wystawę i zobaczyła ten obraz i podpaliła - obraz, malarza i modelkę. Obraz został sprzedany trzy lata temu pewnej Japonce, która zapłaciła za niego niebotyczną sumę.

Książę był najbardziej romantycznym ze wszystkich ludzi na świecie.

Lindsay prawie zasypiała. Myśli plątały się i zacierały.

Drzwi sypialni uchyliły się cicho i na twarz dziewczyny padła smuga światła z salonu.

Zdezorientowana, szybko usiadła.

- Coś się stało, Alessandro?

Książę stanął na progu. Miał na sobie ciemnoniebieski szlafrok, spod którego widać było bosa stopy. Oczy Lindsay przywykły do światła. Zobaczyła, że książę się uśmiecha. Niepewnie odwzajemniła uśmiech.

- Rozmyślałem, mała - powiedział i wszedł do jej pokoju. - Myślę o tobie od czasu ślubu. Nie przestaję o tobie myśleć.

Zauważyła, że nie miał na sobie spodni od pizamy. Jego nogi były tak samo nagie jak stopy. I owłosione. Porośnięte czarnymi włosami. Stopy miał długie i wąskie. Coś się w niej poruszyło, coś alarmującego, coś okropnie dziwnego, coś, co sprawiło, że serce skoczyło jej do gardła, coś, co ją przeraziło. Naciągnęła kołdrę pod brodę i czekała, nie rozumiejąc, nie chcąc zrozumieć jego słów, które bombardowały jej mózg.

- Pomyślałem sobie, że to bez sensu, że piękna niewinna dziewczyna ma stracić dziewictwo z jakimś niezręcznym chłopakiem. Nie będziesz z tego miała żadnej przyjemności. Będziesz płakała. Zdecydowałem, że nie mogę na to pozwolić.

Teraz już dokładnie wiedziała, co on ma na myśli.

I to ją zupełnie zmroziło. Jej marzenia o księciu nagle zmieniły się w popiół. Alessandro stał się obcym mężczyzną, a ona była przerażona. Wyglupiała się, okazała się ślepą idiotką, niemądrą małą dziewczynką. Boże, co ma teraz zrobić? Była z nim sam na sam. Czowała się zziębnięta, oszołomiona i wystraszona.

- Masz szczęście, Lindsay - ciągnął ciepłym łagodnym głosem i zbliżał się do łóżka.

Skamieniała ze strachu, śledziła każdy jego krok. Oddech uwiązał jej w piersi.

- Nie patrz tak na mnie, mała. To ja, Alessandro, mężczyzna, którego kochasz od prawie dwóch lat. Nie zmieniłem się. I nauczę cię, jak być kobietą, a ty mi za to okażesz wdzięczność. Podziękujesz mi za to. Powiedz mi, mała, jak cię pieścili, na ile pozwalałaś swoim chłopcom?

Zaschło jej w ustach. Wyszeptała spieczonymi wargami:

- Jesteś mężem mojej siostry. Wzruszył ramionami.

- Sydney to kastrująca suka. Jest oziębła i denerwująca ze swoim mieszczańskim pojmowaniem moralności. Jest także głupia, wbrew temu, co wyobraża sobie wasz bezmózgi ojciec. Sydney nie jest ani piękna, ani doskonała. Jest niczym. Nic dla mnie nie znaczy, podobnie jak ten głupi dzieciak, którego nie donosiła. Będąc w ciąży zachowywała się tak, jakby to było ważne dla niej, dla mnie, dla całej mojej rodziny. Miałem jej po dziurki w nosie, zanim jeszcze w jej brzuchu zagnieździł się ten malec. A potem stała się nie do zniesienia. Pamiętam, jak cię zobaczyłem po raz pierwszy. Byłaś niezręczna i koścista, składałaś się z samych kolan i łokci. Bardzo w moim guście. Kiedy cię zobaczyłem na ślubie, wiedziałem, że w przyszłości staniesz się bardzo ładna, ale wiedziałem też, że staniesz się starsza i nienawidziłem tej myśli. Pragnąłem ciebie takiej, jaką byłaś wtedy, z całą niezręcznością, niewinnością i szczerością nastolatki. Boże, pragnąłem ciebie i twego dziewictwa. Chciałem się zagłębić w twojej słodkiej niewinności. Nadal cię pragnę; a twego dziewictwa chcę jeszcze bardziej niż wtedy. Nie przypuszczałem, że tak będzie, bo masz już osiemnaście lat, a wciąż tego pragnę. Inni mężczyźni docenią twoją urodę w przyszłości, ale dla mnie ona się nie liczy.

Nie mogę już czekać dłużej, Lindsay. I tak czekałem zbyt długo. Pociłem się na samą myśl, że będzie za późno. A twój przeklęty ojciec dał ci swobodę, wysyłając cię do tej szkoły w Connecticut. Dobrze wiem, jakie są dzisiejsze dziewczyny, pieprzą się w młodym wieku, o wiele za młodym, pozwalają chłopakom, żeby je zabierali na tylne siedzenia swoich brudnych samochodów. Ale tobie udało się dotrzeć do osiemnastki w dziewiczym stanie. Bóg jeden wie, że zanim ukończysz dwudziestkę, pozwolisz się rznąć co najmniej kilku chłopakom. Tym amerykańskim niezdarom. Nie, nie mogę na to pozwolić. Nauczę cię, co dobre. Pokażę ci, jak pieprzy książę.

Stał teraz tuż przy łóżku. Pochylił się i zapalił lampę w stylu Tiffany'ego. Usiadł obok Lindsay. Ujął jej spoconą dłoń i ścisnął zimne palce.

- Powiedz mi, mała, czy pozwalałaś chłopcom, by wsuwali ci język do ust? Pozwalałaś im na francuski pocałunek?

Skinęła głową, nie spuszczając oczu z jego twarzy.

- Przyjemnie ci było?

Potrząsnęła głową. Pochylił się i dotknął wargami ust Lindsay. Natychmiast się wyprostował.

- Nie, nie lubiłaś tego. Te chłopaki to głupcy, w przeciwieństwie do mnie, dojrzałego mężczyzny. Nie mam ci za złe, że jesteś przestraszona, Lindsay, to dla mnie naprawdę nie ma znaczenia. Może mnie nawet bawi. Czy któryś z chłopców bawił się twoimi piersiami? Całował brodawki?

Patrzyła na niego skamieniała, sparaliżowana ze strachu.

- A co z krocem? Wkładali ci tam palce? Nie? Więc ja to teraz zrobię, bardzo delikatnie. Dziewczyny lubią, żeby je tam głaskać i całować. No i masz tam lechtaczkę. Masturbujesz się, Lindsay? Sprawiasz sobie rozkosz? Czy dziewczyny w szkole rozmawiają na ten temat? Jak bardzo tego potrzebują?

Znów się nad nią pochylił, wpatrując się w jej wargi.

- Wyobrażasz sobie, jak to będzie, kiedy poczujesz na łechtaczce mój gorący język?

Lindsay wrzasnęła i dźwięk własnego głosu sprowadził ją do rzeczywistości. Ale owa rzeczywistość była paskudna i znajdowała się tuż obok niej. Sturlała się z łóżka na podłogę i wstała.

Książę wciąż się uśmiechał. Wstał i obszedł łóżko.

- Dlaczego się boisz? To ja, Lindsay. A ty mnie kochasz od pierwszego wejrzenia. Przyznaj to.

- Nie, nie, nie podchodź do mnie. O, Boże, nie jesteś taki, za jakiego cię miałam.

Rzucił się na nią i, kiedy chciała uskoczyć, chwycił ją za ramiona i zawlókł z powrotem na łóżko.

- Nie mam nic przeciwko temu, żebyś się broniła - powtarzał z ustami przy policzku Lindsay.

Jego oddech był gorący, a głos wysoki z podniecenia.

- Tobie nie będzie bardzo przyjemnie, ale ja odczuję rozkosz. Chryste, będzie mi cudownie. -

Wciąż się uśmiechał i Lindsay widziała złotą plombę w jednym z jego zębów trzonowych.

- Nie, do diabła, nie!

Te słowa nie odniosły najmniejszego skutku. Miał zamiar ją zgwałcić. W chwili, kiedy sformułowała tę myśl, przed oczami przeleciały jej straszliwe obrazy. Zupełnie oszalał. Zrywał z niej bawełnianą koszulę i Lindsay poczuła chłód na piersi. Gwałtownie podrzuciła nogi, silne nogi, bo trenowała piłkę nożną. Książę zawył z bólu. Trafiła go kolanami w krocze. Chwycił Lindsay za nadgarstki i przydusił do łóżka, unieruchamiając jej nogi. Ciężko dyszał z wysiłku, starając się utrzymać nadgarstki jedną ręką, ale Lindsay była zbyt silna.

- Zachowujesz się jak cholerna amerykańska dziwka! - wrzasnął jej w twarz. - Na miłość boską, przestań! Nie bądź taka sama, jak twoja zwariowana siostra!

Oto prawdziwy Alessandro, mężczyzna, którego Sydney poślubiła w dobrej wierze, mężczyzna, o którym śniła i fantazjowała Lindsay. Uknuł to wszystko po to, by ją zgwałcić. Boże, nie mogła w to uwierzyć. Wiła się i wrywała, usiłowała zgiąć nogi, żeby znów go kopnąć. Nie zamierzała leżeć jak ofiara. Przypomniła sobie kursy samoobrony. Wrzeszcz, wrzeszcz, wrzeszcz. Czy on już to robił z włoskimi dziewczętami? A one po prostu leżały, łkając i pozwalały się gwałcić? Ryknęła prosto w jego twarz, obryzgując go śliną, i uniosła się, prawie zrzucając go na podłogę.

Książę niespodziewanie wypuścił jej prawą rękę, a ona wpiła mu palce w twarz. Wtedy zdzielił ją pięścią w szczękę. Lindsay poczuła ból, zobaczyła gwiazdy przed oczami i z trudem chwyciła powietrze. Uderzył ją jeszcze raz, mocniej.

Lindsay na kilka sekund prawie straciła przytomność. A on w tym czasie zdążył rozedrzeć koszulę.

Dosiadł ją teraz okrakiem, unieruchamiając jej nogi, i spoglądał z góry w twarz dziewczyny. Uśmiechał się triumfująco.

- Nie spodziewałem się, że masz takie pełne piersi i takie duże brodawki - powiedział z wyraźnym niezadowoleniem w głosie. Wszelka czułość i łagodność zniknęła. - Większość młodych dziewcząt nie jest tak dobrze rozwinięta, ale to nie szkodzi. Postanowiłem poczekać, więc sam sobie zawiniłem.

Nie mógł utrzymać rąk Lindsay jedną dłonią, więc musiał unieść jej rękę, żeby móc dotknąć piersi dziewczyny.

Poczuła na chłodnym ciele dotyk palców Alessandro i krzyknęła.

Wypuścił jej rękę i jeszcze raz uderzył pięścią w twarz. Nie przestawał się uśmiechać.

Nie zareagowała na uderzenie; wrzasnęła po raz drugi, krztusząc się własną śliną.

Ryknął z wściekłości i szybko zakrył jej usta wargami. Poczuła ból i smak krwi. Ugryzła się w

język.

Pragnęła, by wsunął jej język do ust. Odgryzłaby mu go.

Uderzył ją znowu. Bez ostrzeżenia.

Przez chwilę była nieprzytomna; kiedy otworzyła oczy, stwierdziła, że Alessandro leży pomiędzy jej nogami i patrzy na nią, jednocześnie brutalnie ją obmacując. Był gotowy, dobrze o tym wiedziała, i chciał, żeby oprzytomniała. Zobaczył jej otwarte oczy i błysk świadomości, odchylił się do tyłu i natarł na nią.

Lindsay uniosła się na łóżku, bez opamiętania wrzeszcząc z bólu. Wbijał się w nią coraz mocniej i mocniej, a ona wrzeszczała i płakała, lecz on nie ustawał.

Zaczęła się dławić łzami.

- Zamknij się, do diabła!

Uderzył ją z całej siły, aż podrzuciła gwałtownie głowę. Dyszał, zadając jej jeszcze większy ból. Zamroczona stwierdziła, że sprawia mu to przyjemność. Właśnie to lubił najbardziej, w tym był najlepszy. I dokładnie to pragnął od niej otrzymać. Wrzasnęła jeszcze raz, na dolnej wardze miała świeżą jaskrawoczerwoną krew i czuła jej żelazisty smak. Udało jej się oswobodzić prawą rękę. Wepchnęła mu pięść do ust. Rzucił się na nią wściekle, uderzając biodrami w przyspieszonym rytmie. Nagle wygiął się w łuk i zastygł napięty, jego ciało zamarło. Lindsay waliła go głową, wrzeszczała i odpychała. Czuła jego wytryskającą spermę, głęboko w jej wnętrzu, i zapragnęła umrzeć.

- Boże, o mój Boże, nie!

Lindsay spojrzała w kierunku nieoczekiwanego głosu i, niedowierzając oczom, wrzasnęła jeszcze raz. Stała tam Sydney, patrzyła na nich z rozdziawionymi ustami, nieruchoma w drzwiach sypialni.

- Pomóż mi, Sydney! Proszę cię, pomóż!

Księżę zdawał się nie słyszeć głosu swojej żony. Dyszał ciężko i podskakiwał nad Lindsay. A potem zaczął stękać i Lindsay poczuła, jak jego ciało skręca się w skurczach orgazmu.

- Pomóż mi, Sydney!

Księżę roześmiał się i znowu uderzył ją w szczękę. Uniósł pięść, zamierzając się do następnego ciosu, uśmiechając się z uciechy.

Rozległ się głośny wystrzał. Księżę nagle zeszywniał i spojrzał na Lindsay, marszcząc brwi. Obejrzał się powoli, wciąż pozostając wewnątrz dziewczyny, i spostrzegł stojącą w odległości dziesięciu stóp żonę z pistoletem kaliber 32 wycelowanym prosto w niego.

- To ty, Sydney? Co tutaj robisz? Powinnaś być w domu, powinnaś usługiwać mojej matce. Dlaczego do mnie strzeliłaś? Dlaczego?

Sydney zbladła i wrzasnęła:

- Na Boga, przecież to moja siostra! - wycelowała i jeszcze raz nacisnęła spust.

Alessandro wzdrygnął się, kiedy nabój wszedł w jego ciało, a następnie upadł na bok, zsunął się z Lindsay i ześlizgnął się na podłogę.

Lindsay nie mogła go pochwycić. Widziała broń, widziała krew rozpryskaną na łóżku. Schyliła się i spojrzała na niego. Całą pierś miał we krwi, a potem spostrzegła własną krew na udach i ściekającą z nich powoli spermę. Przyglądała się jej, dygocąc.

Była zmarznięta, nie panowała nad sobą, ale nie mogła na to nic poradzić. Bolało ją w środku i nie potrafiła zebrać myśli. Spojrzała na Sydney, śmiertelnie pobladłą, z rozszerzonymi źrenicami i przeklętym pistoletem, wycelowanym wprost w Lindsay, powtarzającą monotonnym głosem, jakby

nuciła piosenkę:

- Skrzywdził cię, Lindsay?

- T-tak.

- Jezu, nie zdążyłam na czas. Przepraszam cię, Lindsay. Nie zdążyłam na czas. Boże, tak strasznie mi przykro. Przyjechałam, jak tylko zdałam sobie sprawę, co on planuje. Łajdak, tym razem rzeczywiście dobrze zatarł ślady, więc potrzeba mi było więcej czasu. Kiedy się zorientowałam, że wciąż ma na ciebie chrapkę, wpadłam w szal. W pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć. To było zbyt chorobliwe, nawet jak na niego. O, Boże, co my teraz zrobimy?

- Nie żyje?

- Na Boga, powinien. Trafiłam go dwa razy. - Spojrzała na bezwładne nagie ciało księcia. - Strzeliłam do niego - powtórzyła. - Trafiłam drania dwa razy.

Sydney niespodziewanie upadła na kolana. Kołysała się do przodu i do tyłu, a z jej gardła wydobywał się dziwny żaloszny dźwięk. Upuściła pistolet na dywan.

To właśnie widok siostry - doskonałej, błyskotliwej i pięknej Sydney, wyglądającej na całkiem szaloną, dodał sił Lindsay. Powróciła do rzeczywistości i zdała sobie sprawę z tego, co im grozi.

Podpełzła do klęczącej na podłodze siostry. Nie spojrzała na księcia. On się teraz nie liczył. Nie przejmowała się powiewającą wokół jej ciała podartą koszulą.

Chwyliła siostrę za ramiona i potrząsnęła nią z całej siły.

- Musimy coś zrobić! Przestań, Sydney. Na miłość boską, Sydney, przestań. Weź się w garść!

- Zamordowałam go. Nic się nie da zrobić. Zamordowałam go i jest po wszystkim.

Uniosła twarz znad dłoni i spojrzała na Lindsay niewidzącym wzrokiem.

- Nasz tatuś jest sędzią. Czy to ma jakieś znaczenie, Lindsay? Jest pieprzonym sędzią!

- Nie, nie. Posłuchaj. Uratowałaś mnie. On mnie gwałcił, a ty mnie uratowałaś! To była samoobrona. Wszystko będzie dobrze. Przysięgam ci, Sydney.

Sydney wpatrywała się w nią, potrząsając głową. Lindsay przestraszyła się, że jej siostra zaraz zemdleje, tak bardzo była blada. Nie zemdliała jednak.

- Ty mała głupia idiotko - powiedziała, kręcąc głową, jakby sama sobie zaprzeczała. Jej głos brzmiał teraz głośno i silnie. Oczy stały się ciemne i spoglądały dziko. - Ty głupia dziewczyno, pozwoliłaś mu, żeby myślał, że tego właśnie pragniesz. On nie jest normalny. Wziął twoje szczenięce zauroczenie za zaproszenie do łóżka. Przez dwa lata dawałaś mu do zrozumienia, że jesteś na to gotowa. A co on robił przez ten czas? Przysyłał ci te miłutkie pocztówki? Pokazywał, jak bardzo jest czuły i troskliwy? Jak bardzo cię ceni? Nie fatyguj się, nie musisz nic odpowiadać. Jest za późno. Dobrze wiem, że nie zmienił swego sposobu postępowania. Nie musiał, bo pozwalałam mu się zabawiać. Kiedy zorientowałam się, o co chodzi, nie miałam wyboru. Wiesz, dlaczego się ze mną ożenił, Lindsay? Jezu, oczywiście, że nie wiesz. Poślubił mnie ze względu na mój przyszły spadek! Procenty z mojego funduszu powierniczego wcale go nie interesowały. No, i byłaś jeszcze ty, wpatrzona w niego jak w jakieś bóstwo. Przybiegłaś tu bez zastanowienia, prawda? On lubi młode dziewczyny, nie domyśliłaś się tego? Mnie uważa za starą. Uważał, że jestem zbyt stara, już kiedy brał mnie za żonę. Osiemnaście lat to dla niego górna granica. Musiał na ciebie czekać, bo nie mógł cię dostać wcześniej. Założę się, że umierał z niepokoju, czy zdąży przedtem, nim jakiś amerykański chłopak pozbawi cię dziewictwa. Och, to nie ma znaczenia. Zabiłabym go i tak, bez względu na to, czy by cię gwałcił, czy nie. Ty mała głupia idiotko. Jezu, głupia, głupia idiotko.

Sydney zaczęła płakać, ukrywając twarz w dłoniach. Z jej gardła dobywały się ochryple łkania.

Lindsay przyglądała się jej, nie mogąc się poruszyć, nie mogąc zebrać myśli. Słowa przyrodniej siostry wciąż brzmiały jej w uszach. Nie czas o tym rozmyślać, czas działać.

Lindsay zrzuciła z siebie podartą koszulę. Pomiędzy udami czuła obrzydliwą lepkość, a wewnątrz pochwy bolesne pieczenie. Twarz pulsowała od razów, które zadał jej książę. Chciało jej się wymiotować. Miała osiemnaście lat. Była zbyt młoda, zbyt młoda, ale nie miała nikogo, kto by jej pomógł. Równie dobrze mogłaby być tu sama z zastrzelonym mężczyzną.

Co robić?

Udało jej się wstać z podłogi. Poczwała, że zaczyna dygotać, wiedziała, że zaraz może stracić opanowanie, tak jak stało się z Sydney. Nie mogła na to pozwolić. Podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę. Wpatrywała się w nią, zastanawiając się, jak ma po francusku wezwać policję. Drżała jej ręka. Odetchnęła głęboko. Wzięła się w garść. Uzyskawszy połączenie z recepcją, powiedziała:

- *Les gendarmes, s'il vous plait. Cest tres important.*

Nagle książę jęknął.

ROZDZIAŁ 4

Pokłosie

Kiedy policjanci wbiegli do apartamentu, Lindsay wymiotowała w toalecie. Podniosła się i poprawiła na sobie koc. W ustach czuła gorycz i suchość. Sydney stała blada i nieruchoma, z pistoletem kaliber 32 w dłoni, i spoglądała na męża, który leżał nagi na dywanie, skrwawiony i jęczący.

Lindsay zdawała sobie sprawę, że policjanci przyglądają się jej, Sydney i księciu. Ściągnęła poły koca. Bolała ją obita twarz, piekły srom i pochwa, żołądek miała podrażniony. Nie mogła z siebie wydusić ani słowa, tylko patrzyła na policjantów. Słyszała szloch Sydney, a potem dostrzegła jeszcze dwóch mężczyzn, wnoszących do pokoju składane nosze. Ułożyli na nich księcia, przykryli kocem i wynieśli z apartamentu. Lindsay zachowała wspomnienie poszarzałej twarzy Alessandro, czarnych włosów zlepionych potem. Jęczał. Jeden z mężczyzn był prawdopodobnie pracownikiem hotelu, mówił coś szybko i w zdenerwowaniu wykręcał sobie palce.

Młody policjant o gęstych czarnych włosach i ogromnych wąsiskach podszedł do Lindsay. Cofnęła się przed nim, osłaniając się dłonią. Zrobiła to instynktownie. Policjant zatrzymał się. Mówił cicho, a ona go nie rozumiała. Nie rozumiała ani słowa. Inny mężczyzna odezwał się po angielsku:

- Jesteś za słaba, żeby chodzić o własnych siłach. Zaniesiemy cię, *mademoiselle*. Nie zrobimy ci krzywdy. Obiecuję, wszystko będzie dobrze.

Dobrze? To jakieś szaleństwo. A słowa wypowiedziane z francuskim akcentem brzmiały jeszcze dziwniej. Zamknęła oczy, policjant uniósł ją z podłogi i zaniósł do windy, a potem przez elegancki hol hotelu George V, aż do wozu policyjnego, który parkował przy frontowych drzwiach. Słyszała wycie syreny i cichą rozmowę dwóch policjantów na przednich siedzeniach. Widziała żądne sensacji twarze, zaglądające przez okna samochodu, i słyszała krzyki gapiów. Odwróciła głowę od okna. Nie mogła znieść otaczającej ją rzeczywistości. Zastanawiała się, gdzie teraz jest Sydney. Czuła narastający ból w ciele i grozę na myśl o tym, co zaszło. Nie potrafiła opanować drżenia, ale wiedziała, że nie dygoce z zimna. Mężczyzna, który ją przyniósł, mówił coś cicho. Słyszała jego słowa, ale przed oczyma miała upiornie poszarzałą twarz księcia oraz łakome spojrzenia ludzi, którzy otaczali samochód.

Policjant wniósł ją do pomieszczenia pogotowia ratunkowego w szpitalu świętej Katarzyny. Lindsay dostrzegła ogromny napis nad budynkiem. Następnie Ułożył ją na stole w jednym z małych pokojów odgradzonych przepierzeniami. Dygotała na całym ciele, szczękała zębami i czepiała się koca, jakby to była ostatnia deska ratunku. Czepiała się policjanta. Znów coś powiedział i odepchnął jej rękę. Wyszedł. Do pomieszczenia zajrzała pielęgniarka. Lindsay uchwyciła słowo „Amerykanka”, ale nie zrozumiała nic więcej. A potem pojawiło się dwóch mężczyzn, obydwaj w białych fartuchach. Mieli przygnębione i zniecierpliwione miny. Ściągnęli z niej koc. A ona była naga,

wiedziała, że jest naga, a na udach ma spermę księcia, wciąż ściekającą, a także własną krew, i tego już było za wiele. Zaczęła z nimi walczyć, wrzeszczała, żeby ją zostawili w spokoju, a po policzkach spływały jej łzy.

Wszystko na nic. Jeden z mężczyzn przytrzymał ją siłą. Drugi zdarł z niej koc i cisnął na podłogę. A potem zgiął jej nogi i przycisnął do klatki piersiowej. Mówili coś do niej, obydwaj, ale ona nie rozumiała.

Zamachnęła się i uderzyła jednego z lekarzy pięścią w szczękę, tak że zatoczył się do tyłu i rozstawił ramiona, żeby utrzymać równowagę, po czym strącił tacę z przyborami medycznymi. Lindsay usiłowała chwycić koc, ale znajdował się poza jej zasięgiem. Nagle pojawił się jeszcze jeden mężczyzna i teraz przytrzymywali ją wszyscy trzej. Znowu przygięli jej nogi.

Jeden z lekarzy rozsunął je na boki. Pielęgniarka lekko gładziła ją po policzku, starając się dziewczynę uspokoić. Ale Lindsay widziała tych mężczyzn, a oni zaglądali jej między nogi i dotykali ją, a potem jeden z nich wepchnął w nią dwa palce, aż poczuła ostry ból i wrzasnęła, starając się cofnąć na zimnym stole. Poczowała jego palce poruszające się głęboko w jej wnętrzu. Wrzeszczała i wrzeszczała bez przerwy. Potem zobaczyła jego twarz. Skinął głową do pozostałych lekarzy, oglądając palce, które z niej wyjął.

Pielęgniarka wyglądała na rozgniewaną na lekarzy i powiedziała im coś ostrym tonem. Jeden z nich odpowiedział jej równie ostro i zagłębił długie narzędzie w pochwie Lindsay.

Badanie trwało bez końca. Wkładano jej i wyjmowano zimne, twarde i grube przyrządy. Lekarze rozmawiali między sobą, a od czasu do czasu wtrącała się także pielęgniarka. Lindsay patrzyła na nich załzawionymi z bólu i upokorzenia oczami. Czowała pieczenie we wnętrzu, a potem ukłucie igły w udo. Igła była zimna. Jeden z lekarzy poklepał ją po nodze, jakby była dzieckiem lub zwierzęciem. A potem nie czowała już nic.

Obudziła się w separacie. Od pasa w dół była goła. Nogi miała szeroko rozrzucone. Zaczęła krzyczeć i usiłowała usiąść, ale lekarzy już tam nie było, tylko pielęgniarka, która myła ją ciepłą wodą z mydłem.

Kobieta była młoda i ładna. Uśmiechnęła się i lekko poklepała Lindsay po brzuchu. Palce miała ciepłe i wilgotne. Powiedziała bardzo wyraźną angielszczyzną, bez cienia akcentu:

- Nie, nie bój się, proszę. Nie ruszaj się. O, tak. Połóż się. W końcu pozwolili, żebym cię umyła. Lekarze zebrali wszystkie potrzebne dowody i sprawdzili, czy nie masz obrażeń wewnętrznych. Przykro mi, ale za chwilę, kiedy skoczę cię myć i podam ci pigułki, będę musiała zrobić następny zastrzyk. Nie chcemy, żebyś od tego zaszła w ciążę. O tak, nie ruszaj się. Nie, nie płacz. Cierpisz z powodu wstrząsu, to zupełnie naturalne. Ci przekłęci lekarze, musieli cię nieźle wystraszyć, prawda? Mężczyźni to głupki, zwłaszcza po tym, co wycierpiałaś! Giselle mówiła, że nie obeszli się z tobą delikatnie. Nie mają najmniejszego zrozumienia dla twoich przeżyć, a poza tym strasznie się śpieszą.

Lindsay myślała: „Leżę tu goła i myje mnie obca kobieta. Zostałam zgwałcona, a Sydney strzeliła do swego męża i go zabiła”. Zbyt wiele na jeden raz. Zamknęła oczy, pragnąc zatrzeć straszliwe krwawe obrazy, które wypaliły ślad w jej pamięci. Pielęgniarka wciąż do niej mówiła, opowiadając, jak muszą sobie poradzić z ofiarami kolizji, w której uczestniczyły trzy samochody, oraz z tym przystojnym młodym człowiekiem - Amerykaninem - który złamał sobie rękę. Lekarze naprawdę nie chcieli być dla Lindsay tacy brutalni, ale bardzo się śpieszyli, bo inni pacjenci ucierpieli znacznie bardziej niż ona.

Tak, ciało zmiążdżone w wypadku samochodowym, to coś znacznie gorszego niż zwyczajny

gwałt. Pielęgniarka podała Lindsay pigułki i zrobiła zastrzyk w pośladek. Została przy niej, trzymając za rękę, dopóki dziewczyna nie usnęła. Powtarzała cicho, hipnotyzującym głosem:

- Pochodzę z Kansas City. Nazywam się Ann O'Conner. Mieszkam w Paryżu od jedenastu lat. Cieszę się, że tu byłam, kiedy cię przywieźli. Masz kogoś, z kim się możesz dogadać. Nawet pielęgniarki bywają oschłe dla obcokrajowców. To smutne, ale prawdziwe. Masz bardzo posiniaczoną twarz, ale kości nie są uszkodzone. Sińce zbledną po kilku dniach. A teraz śpij. Kiedy się zbudzisz, poczujesz się znacznie lepiej. Wrócę do ciebie, obiecuję.

Lindsay zrobiła tak, jak powiedziała jej pielęgniarka O'Conner.

Kiedy się obudziła, na dworze było widno. Słońce świeciło wysoko na niebie. Przez chwilę nie rozumiała, gdzie się znajduje. Skoncentrowała się na świetle promieni słonecznych. A potem przypomniało jej się wszystko, chociaż umysł bronił się przed wspomnieniami. Zaczęła płakać, jakby ktoś odkręcił kurek, i nie mogła powstrzymać łez. Gardło miała zaciśnięte i z trudnością przełykała ślinę. Ocierała oczy, ale wciąż napływały do nich nowe łzy. W końcu przestała z nimi walczyć. Była sama. Dzięki Bogu, była zupełnie sama. Twarz ją okropnie bolała. Czowała się tak, jakby ją ktoś obił od środka.

Drzwi otworzyły się cicho. Nie spojrzała w ich stronę. Nie chciała nikogo oglądać. Może to jeden z tych okropnych lekarzy, którzy tak źle ją potraktowali, którzy wpychali w nią różne przedmioty i straszliwie zawstydzali.

Odezwał się bardzo łagodny męski głos:

- *Mademoiselle?* Nie śpi pani, prawda?

Jego angielski, w przeciwieństwie do angielszczyzny pielęgniarki O'Conner, nie był pozbawiony akcentu, ale brzmiał zrozumiale. Lindsay nie poruszyła się jednak, ani nie odezwała. Może sobie stąd pójdzie. Boże, spraw, żeby sobie poszedł.

- Przepraszam, że panią nachodzę po tym, co się stało, ale muszę. Nazywam się Galvain i jestem inspektorem z paryskiego *Surete*. Przysłali właśnie mnie, bo znośnie mówię po angielsku. Mam nadzieję, że się porozumiemy. *Mademoiselle?* Proszę ze mną porozmawiać. Przykro mi, ale tak być musi. Nie mamy wyboru, ani pani, ani ja.

Powoli zwróciła głowę w stronę mówiącego. Spostrzegła na jego twarzy wyraz zaskoczenia i litości. Uniosła dłoń i dotknęła palcami posiniaczonego policzka i szczęki. Książę uderzył ją wiele razy, mocno, pięścią.

- Czy on nie żyje?

Inspektor odparł bez wahania, jego ton brzmiał rzeczowo:

- Nie. Pani siostra chybiła. Książę di Contini będzie żył. Przez jakiś tydzień lub dwa będzie się czuł raczej kiepsko, ale wyjdzie z tego. Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co zaszło.

Lindsay potrząsnęła głową. Przelknęła łzy. Skąd brało się tyle łez? Okropnie bolała ją gardło.

- Proszę się wziąć w garść. Już lepiej. Proszę się nie śpieszyć, mamy czas. Wszystko jest takie trudne, wiem, *petite*. Nie musisz się śpieszyć.

- Nic pan z niej nie wyciągnie, inspektorze. Ja panu powiem, co się stało.

Royce Foxe stał w drzwiach separatki. Sprawiał wrażenie bardzo silnego i pewnego siebie. Lindsay nie wierzyła własnym oczom. Ojciec dowiedział się, co zaszło, i natychmiast do niej przyjechał. Przyjechał, bo był jej teraz potrzebny. Domyślił się tego i przyjechał. Lindsay poczuła przypływ miłości i przebaczenia za minioną obojętność, za minione okrucieństwo. Spróbowała usiąść, ale była zbyt osłabiona. To bez znaczenia, jej ojciec przyjechał tu ze względu na nią.

Uśmiechnęła się i podniosła rękę.

- Tatuś - wyszeptwała.

Ojciec spojrział na nią, a potem szybko odwrócił wzrok. Zanim inspektor zdążył coś odpowiedzieć, wskazał dłonią Lindsay.

- Ta głupia dziewczyna zakochała się w księciu Alessandro di Contini jakieś dwa lata temu, kiedy miała zaledwie szesnaście lat, podczas ślubu księcia z jej starszą siostrą, Sydney. Uwielbiała go i obsypywała dowodami swego idiotycznego uczucia. Traktowała go, jakby był bóstwem, więc co miał począć? Jest przecież mężczyzną. Zaprosił ją tutaj, sfinansował podróż, a ona przyjechała ochoczo, może mi pan wierzyć, inspektorze, może mi pan wierzyć. Kiedy ksiązę zdecydował się wziąć, co mu ofiarowywała, dziewczyna zmieniła zdanie i zaczęła się z nim bić. Moja nieszczęsna starsza córka była zmuszona ją obronić. Została zmuszona do postrzelenia własnego męża. - Zwrócił się do Lindsay i powiedział bardzo cicho. - Jesteś żalosalną małą dziwką. Popatrz na siebie. Nie mogę uwierzyć, że jakikolwiek mężczyzna miał ochotę cię tknąć. I spójrz, do czego doprowadziłaś.

- *Monsieur! C'est assez!* Dosyć tego!

Royce cofnął się od łóżka. Oddychał z trudem, był wściekły. Ta przekłeta dziewczucha omal nie zrujnowała życia Sydney. A teraz płacze i dygocze, starając się okryć szpitalną koszulą te jej długie nożyśka.

- To nieprawda, tatusiu! Dobrze wiesz, że to nieprawda. Sydney powiedziała, że on lubi młode dziewczyny, młodsze ode mnie, że nie podobała mu się, bo była dla niego za stara już w chwili ślubu. Powiedziała, że czekał na mnie tak długo, bo nie mógł mnie dostać wcześniej. Powiedziała, że jest nienormalny i że przyjechała natychmiast, gdy się zorientowała, co on planuje.

- Zamknij się, ty cholerna idiotko! - Ryknął Royce, a potem wyszczał złośliwie. - Nie próbuj mnie okłamywać, Lindsay. Przyznałaś się, że miałaś z nim romans. Rozgniewał się i przyłożył ci parę razy, a ty zaczęłaś się wydzierać, że cię gwałci i twoja siostra musiała ci pomóc. Boże, nie spodziewałem się, że nadejdzie czas, kiedy będę musiał bronić Sydney przed tobą! Popatrz, co narobiłaś! Zrujnowałaś życie siostrze!

Inspektor Galvain wkroczył pomiędzy ojca i córkę. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Był tak zaskoczony, że język stanął mu kołkiem w ustach. Boże w niebiesiech, cóż takiego uczyniła ta dziewczyna, by zasłużyć na podobne traktowanie?

- Proszę stąd natychmiast wyjść, monsieur Foxe - powiedział bardzo urzędowym tonem. - Lekarze mnie poinformowali, że pańska córka nie otrząsnęła się jeszcze z szoku. Ksiązę brutalnie ją pobił, widzi pan chyba sińce na twarzy. Ma także obrażenia wewnętrzne. Powinien pan przemyśleć swoje słowa i zachowanie. Ksiązę był brutalny, to zwierzę. Porozmawiamy później, *monsieur*.

Royce miał ochotę powiedzieć inspektorowi, żeby się odpieprzył, ale pomimo wściekłości, zdał sobie sprawę, że to by nie było rozsądne. Inspektor mógłby mu sprawić kłopoty. To jego kraj, a Royce nie ma tu żadnego autorytetu. Patrzył na mężczyznę, który sprawiał wrażenie takiego nieporadnego i zupełnie nie wyglądał na inspektora - niski i wąty, z prawie łysą czaszką i smutnymi brązowymi oczami. To ma być policjant? Nawet jego głos był pozbawiony mocy. A potem pomyślał o swojej słodkiej Sydney, czekającej na dole w samochodzie, zmęczonej, zbezczeszczonej i milczącej, o wiele bardziej poszkodowanej niż ta mała suka, leżąca tu i wpatrująca się w niego, jakby zmiażdżona jego słowami. Sydney go potrzebowała, potrzebowała jego rady, jak ma postępować, potrzebowała go, by doprowadzić sprawy do porządku. Jest jej ojcem; kochają. Zajmie się wszystkim. Skinął głową inspektorowi.

W końcu powiedział prawdę; powiedział to, co chciał powiedzieć, co musiało zostać powiedziane.

Odwrócił się i, nie spojrzawszy na Lindsay, wyszedł z pokoju.

Inspektor w milczeniu przyglądał się dziewczynie. Było mu jej żal. Miał ochotę sprać Royce'a po gębie. Zamiast tego odezwał się cicho, powstrzymując impuls, by pogłaskać Lindsay:

- Mam córkę dokładnie w pani wieku, *mademoiselle*. Ma na imię Felice. W zeszłym roku zakochała się w starszym od siebie mężczyźnie i zachowywała się tak głupio i po wariacku, że wszyscy byliśmy zmartwieni i zaniepokojeni. Ale ten mężczyzna był normalny, nie miał żadnych niezdrowych pomysłów i rozumiał, że to po prostu młoda dziewczyna dręczona miłością. Był dla niej miły, ale nic więcej. Nie wykorzystał jej. Żaden normalny mężczyzna by tego nie zrobił. Rozumie mnie pani?

Jego pomyślona córka nic jej nie obchodziła.

- Tak, rozumiem - powiedziała.

- Dobrze. A teraz proszę mi opowiedzieć, co się stało.

- Mój ojciec już panu powiedział - odrzekła obojętnym tonem, który zaniepokoił inspektora. - To prawda, ale nie całkowita. Księżę napisał do mnie, że oboje z moją siostrą chcą, żebym ich odwiedziła w Paryżu. Chciałam go zobaczyć, to prawda. Uważałam, że to najwspanialszy mężczyzna na całym świecie. Uwielbiałam go. Uważałam, że moja siostra nie jest dla niego wystarczająco dobra, nie jest go warta.

- A pani, *mademoiselle*, jest jedyną odpowiednią dla niego kobietą?

- Tak. Wierzyłam, że ona źle go traktuje, że nie daje mu tego, czego on potrzebuje, na co zasługuje. Oczywiście, opowiedział mi, jaka jest dla niego niedobra.

- A więc została pani, pomimo nieobecności siostry?

- Tak. To wydawało się takie naturalne. Powiedział mi, że Sydney go nie lubi, i że wyjechała. Powiedział, żebym się o nic nie obwiniała. Bardzo mu współczułam. Byłam zła na siostrę za to, że go krzywdzi. Był cudowny i taki miły i wszędzie mnie oprowadzał, pokazał mi cały Montmartre, opowiadał pasjonujące historie. Moje wszystkie marzenia stały się jawą. A potem, w nocy, przyszedł do mojej sypialni i zaczął wypytywać, na ile pozwalam chłopcom, i powiedział, że chce mnie wszystkiego nauczyć. Opowiedział, jak na mnie czekał. I wtedy zobaczyłam, jaki jest naprawdę. Już mi się nie wydawał przystojny, ani miły, ani czarujący. Okropnie się go bałam i zdałam sobie sprawę, że nie był tym, za kogo go brałam. Uderzył mnie, ale się broniłam i wrzeszczałam z całych sił, tak jak nas uczono na zajęciach samoobrony. A potem zaczął mnie bić i bić, i wtedy...

Inspektor czekał. Spozstrzegł, że Lindsay nie może dobrać głosu, więc powiedział łagodnie:

- I wtedy przyszła pani siostra i strzeliła do niego. Czy miał wytrysk?

Spojrzała na niego.

Galvain szukał w pamięci odpowiedniejszego słowa.

- Wszedł w panią? - zapytał wreszcie. Skinęła głową, wstrząsana dreszczami.

- Siostra strzeliła po raz drugi?

- Tak. Musiała. Żeby mnie bronić. Spadł ze mnie na podłogę. Myślałyśmy, że nie żyje. A potem jęknął.

Galvain poklepał ją po dłoni, nie potrafił powstrzymać się przed tym ludzkim odruchem. Nie zdziwił się, kiedy gwałtownie cofnęła rękę. Biedna dziewczyna, pomyślał, nieszczęsna dziewczyna.

- Niech pani teraz odpocznie, *mademoiselle*, i nabierze sił. Cała sprawa zblaknie, sama pani

zobaczy.

Modlił się, aby tak się stało, ale mocno w to wątpił. Może i zblaknie, ale nie dla niej osobiście. Zaczął się zastanawiać, jaka ona będzie za pięć, dziesięć lat.

- Pani ojciec wynajął dwóch ochroniarzy, żeby trzymali paparazzich, wszystkie sępy i ciekawskich z daleka od pani - dodał. - Wkrótce i tak przestaną się panią interesować. Niedługo znów przyjdę porozmawiać. Odpoczywaj, *petite*.

*

Royce Foxe mówił zmęczonym głosem, oczy miał załzawione i zaczerwienione. Otworzył drzwi apartamentu i spojrzał na inspektora, którego spotkał już wcześniej w szpitalnej separacie Lindsay.

- Czego pan chce, do diabła? Znów chodzi o tego przekłętą księcia? Zdawało mi się, że twierdził pan, iż z każdą chwilą czuje się lepiej.

W ciągu minionych trzech dób Royce prawie nie spał. Jeszcze teraz miał mnóstwo do zdziałania. A tu znów go nachodzi ten francuski inspektor, ten spokojny mały człowieczek, którego Royce zaczynał doceniać. Może nie jest wcale taki pozbawiony znaczenia. Ale i tak nie ma szans z sędzią Roycem Foxe'em.

- Zapewniono mnie, że córka nie zostanie oskarżona o usiłowanie morderstwa. Że w ogóle nie zostanie oskarżona. Działała w obronie siostry. Jestem prawnikiem i amerykańskim sędzią federalnym, z pewnością orientuje się pan, że nie można liczyć na moją ignorancję, bo takowa nie istnieje.

- Tak, wiem, że jest pan sędzią, *monsieur*.

- Łajdak wyliże się z tego. Co chce pan wiedzieć?

- To prawdziwa ulga - powiedział Galvain, rozglądając się dookoła. - Nie, pańska córka nie zostanie oskarżona o usiłowanie zabójstwa. Nigdy jej to nie groziło. Przychodzę do pana z innego powodu, *monsieur*. Lindsay Foxe złoży zeznania obciążające tego mężczyznę. W szpitalu powiedziano mi, że wczoraj zabrał ją pan stamtąd.

- Co takiego?

Inspektor pozostał spokojny i nieporuszony.

- Księżę di Contini ją zgwałcił - odparł cierpliwym tonem. - Brutalnie ją pobił. Czy pańska córka jest tutaj, *monsieur*? Muszę z nią porozmawiać.

- Nie, nie będzie pan z nią rozmawiał. Nie ma takiej potrzeby. Sądzi pan, że zwariowałem? Nie będzie żadnych zarzutów wobec księcia. Żegnaj inspektorze.

- Muszę to usłyszeć od *mademoiselle*.

Royce nie wiedział, co ma począć. Przekłęty człowieczek z uprawnieniami policjanta. Royce po prostu nie pomyślał, że takie będą konsekwencje.

- Jutro skontaktuję pana z moją córką, inspektorze. Wydawało mi się, że jest pan bardzo przejęty jej stanem zdrowia. Proszę więc to udowodnić i odejść. Ona teraz odpoczywa.

- Nie, to nieprawda. - Do salonu weszła powoli Lindsay w koszuli nocnej i szlafroku; na bosych stopach miała klapki. Kręcone włosy otaczały jej twarz obfitymi falami. Sprawiała wrażenie szesnastolatki, pominąwszy żółknące sińce na policzkach i pełen zmęczenia wyraz oczu, nie licujący z tak młodym wiekiem.

- Wracaj do łóżka, Lindsay - powiedział Royce. - Natychmiast. Nie jesteś tu potrzebna.

Inspektor Galvain odczuł zadowolenie, gdy zwróciła się do niego, pomijając ojca:

- Witam, inspektorze. Wszystko w porządku? Czy Sydney nie ma jakichś kłopotów?

- Nie, nie ma powodu do obaw.

- Muszę stwierdzić, że jej zainteresowanie siostrą jest cokolwiek spóźnione.

Galvain patrzył, jak dziewczyna kurczy się smagana ostrymi słowami ojca. Przeklęty łajdak, równie zimny i brutalny jak książę. Słowa czy pięści, na jedno wychodzi. Inspektor Galvain żałował, że nie może jej zabrać do swego domu, do żony Lisse, która by ją pocieszyła i zapewniła, że nie ma sobie czego wyrzucać.

- Muszę pani zadać pytanie, mademoiselle - zwrócił się do niej oficjalnym tonem. - Muszę wiedzieć, czy wniesie pani oskarżenie przeciw księciu.

- Już panu mówiłem, że córka nie wniesie żadnego oskarżenia!

- *Mademoiselle?* - Inspektor dobrze wiedział, że żąda rzeczy niemożliwej. Ale musiał spróbować. Chciał się przekonać, co warta jest ta dziewczyna. Gdybyż tylko mógł się na chwilę pozbyć jej ojca. Ale Royce i tak potem by się na niej odegrał. Ukaralby ją jeszcze brutalniej niż książę, tylko że metodami emocjonalnymi, a nie fizycznymi. Bóg jeden wiedział, jakimi sposobami terroru dysponował.

Lindsay nie spojrzała na ojca. Na jej twarzy pojawił się wyraz wielkiego zmęczenia.

- Jeżeli bym wniosła oskarżenie, inspektorze - spytała ku jego zdumieniu bardzo spokojnym tonem - co by się stało?

Inspektor uciszył Royce'a gestem dłoni i odparł łagodnie:

- Jestem z pani dumny, że nie odrzuciła pani bez zastanowienia możliwości sądowego ukarania tego człowieka. Sprytna z pani dziewczyna.

- Chciałabym wnieść oskarżenie. Bardzo mnie pobił. Zgwałcił. Nie jest normalny. Chciałabym mieć pewność, że inne dziewczyny, które okażą się dość głupie, by ulec jego wdziękowi i urodzie, nie zostaną przez niego skrzywdzone. Powinien przynajmniej poddać się leczeniu.

- Doskonale, *mademoiselle*. Jestem zachwycony pani słowami. To najprawdziwsza prawda.

- Ale nie ma najmniejszego znaczenia! - wrzasnął Royce. - Ona i tak nie wniesie oskarżenia!

Galvain nie zwracał uwagi na Royce'a Foxe.

- Powtarzam, jest pani rozsądną dziewczyną, mademoiselle. I wykazała się pani odwagą.

Nie spodziewał się tego po niej. Ale teraz musiał jakoś z tego wybrnąć. Nie mógł jej narażać na gniew ojca. Być może ten łajdak jej ojciec, czegoś się o niej dowiedział. Słaba nadzieja.

- Chce pani wiedzieć, co by się stało? - zwrócił się łagodnym tonem do dziewczyny. - Powiem bez ogródek. Rozprawa wywołałaby międzynarodowy skandal. Pani rodzina jest dobrze znana w Ameryce, a rodzina księcia równie znana w Europie. Byłaby pani napastowana przez prasę i sąd. Rodzina byłaby prześladowana. Gdyby sprawa o gwałt nie została wygrana, siostra pani prawdopodobnie zostałaby oskarżona o usiłowanie morderstwa. Rozumie mnie pani, *mademoiselle*?

Wpatrywała się w niego. Inspektor z żalem spostrzegł, że z jej twarzy znika wszelki blask. Spojrzenie znów stało się apatyczne.

- Proszę mnie źle nie rozumieć. Ma pani prawo wnieść oskarżenie. Bardzo się cieszę, że wzięła pani pod uwagę taką możliwość. Ale jednocześnie muszę być z panią szczery. Ta rozprawa zniszczyłaby panią. I pani siostrę. Przykro mi, ale nie mogę pani okłamywać. Tak właśnie by się stało. Nie ma litości dla młodej dziewczyny, której zdarzyło się zostać zgwałconą, zwłaszcza przez kogoś z rodziny. Sprawiedliwość zawodzi w tym względzie. Bardzo mi przykro.

- Sam bym jej o tym powiedział.

Lindsay milczała. Wpatrywała się w podłogę. W końcu odezwała się bezbarwnym tonem:

- Dziękuję, inspektorze. Był pan dla mnie miły. Powiedział mi pan prawdę. Myślę, że powinnam panu podziękować także za to, że otworzył mi pan oczy na to, co stałoby się z moją rodziną. Sądziłam, że w razie oskarżenia o gwałt ucierpiałabym tylko ja, a nie cała rodzina. Brałam pod uwagę wniesienie oskarżenia, bo książe jest okropnym człowiekiem, ale teraz, teraz rozumiem - przerwała potrząsając głową.

Powoli wyszła z pokoju, wlokąc za sobą pasek szlafroka, a jej ostatnie słowa ponuro zawisły w ciszy. Sprawiała wrażenie tak obolałej, że inspektor wątpił, czy kiedykolwiek się z bólu otrząśnie.

Royce był zadowolony. Patrzył z uśmiechem na wychodzącą z pokoju córkę, a potem z triumfem zwrócił się do inspektora:

- Skończył pan z nami?

- O, tak, w zupełności. Ale paparazzi będą mieli pełne ręce roboty. Są jak sfora psów. Czytał pan gazety i oglądał telewizję. Radziłbym zabrać obie córki i jak najprędzej wyjechać z Paryża. Opuścić arenę, tak bym to ujął.

- Zgadzam się. Rodzina księcia jest w Paryżu, oczywiście w odosobnieniu. Przenieśli księcia pod Paryż do prywatnej kliniki, która jest strzeżona jak twierdza. Nie sądzę jednak, by mieli zamiar milczeć. Ta suka, matka księcia, powiedziała mi protekcjonalnie, że się zawiodła na Sydney. Niech pan sobie wyobrazi, obwinia Sydney! Muszę stać na straży reputacji córki i pilnować, by jej nie oczerniali na łamach prasy. - Royce przeczesał palcami włosy i przez chwilę sprawiał wrażenie wrażliwego i przejętego. - Niech mi pan powie, inspektorze, co mam zrobić z tym przeklętym łajdakiem.

- Mnie pan pyta, *monsieur*? Cóż, w takim razie odpowiem panu. Załadowałbym następny pistolet i odstrzelił mu jaja.

To rzekłszy, Galvain skinął Royce'owi głową i opuścił apartament.

ROZDZIAŁ 5

Nowy York, Taylor

Taylor wpadł na pogotowie, blady i przerażony.

Przełożona pielęgniarek, Ann Hollis, tęga, zaprawiona w bojach sześćdziesięciolatka, spostrzegła zbliżającego się przerażonego mężczyznę i spodziewała się wybuchu. Wrzasków, bezsilnego gniewu, nieokiełznanej furii, wściekłości. Ku jej najwyższemu zdumieniu, mężczyzna przemówił cicho i spokojnie.

- Chciałbym panią prosić o pomoc - spojrzał na jej tabliczkę z nazwiskiem. - Tak, pani Hollis. Ma na imię Lindsay albo Eden. Rozumiem, że miał miejsce jakiś wypadek i ona została ranna, i teraz jest tutaj. Jestem jej narzeczonym. Proszę mi powiedzieć, co się stało. Wszystko jest takie niejasne.

Ann Hollis powiedziała mu prawdę.

- Powiem panu tyle, ile wiem. Po pierwsze, niech się pan przestanie niepokoić. Proszę tu zostać, a ja pójdę i dowiem się, co się stało. Dobrze?

Taylor skinął głową i pielęgniarka odeszła. Stał nieporuszony. Czekał, czując, że to, co dla niego najważniejsze, zawisło w próżni.

Ann Hollis dotknęła jego ramienia.

- Dwa złamane żebra. Podłączona jest do sztucznych płuc. Dzięki temu łatwiej jej oddychać.

- Dziękuję.

- Stłuczenia i rany szarpane, ale nie bardzo groźne - zamilkła, a potem westchnęła i dodała: - No i jeszcze twarz. - Znowu dotknęła jego ramienia. - Trudno teraz powiedzieć, bo doktor Perry właśnie do niej przyszedł. Będzie ją badał. Zanim zdiagnozuje, musi wykonać tomografię komputerową.

- Co się właściwie stało z jej twarzą?

- Jest mocno pokiereszowana.

Wzdrygnął się na obraz, który wywołały jej słowa, ale i tak był jej wdzięczny za szczerość.

- Doktor Perry jest jednym z najlepszych chirurgów plastycznych w Nowym Jorku. Prawdopodobnie będzie bezzwłocznie operował. Chodzi o opuchliznę, pan rozumie.

Taylor milczał. Starał się nie dygotać. Siostra Hollis jeszcze raz poklepała go po ramieniu. Wiedziała, że dotyk jest bardzo ważny, pociesza, sprawia ulgę, daje ciepło i przekazuje ludzkie uczucia. Dotykając, sprawia się, że druga osoba nie jest taka samotna.

- Kiedy tylko dowiem się czegoś nowego, powiem panu. Proszę usiąść. Wiem, że jest panu ciężko, ale powinien pan zachować spokój. Ona nie umrze. Twarz jej się wygoi. Mówiłam już, że doktor Perry jest jednym z najlepszych specjalistów rekonstrukcji twarzy.

- Dziękuję pani, pani Hollis.

Patrzyła, jak się powoli oddala. Widziała twarz tej młodej kobiety. Jeszcze jej nie oczyszczono i wszędzie było pełno zakrzepniętej krwi i okrwawionych włosów. Tak, trudno pozostać piękną po

takim wypadku.

Taylor czuł, że przygniata go ciężar bezsilności. I nagle przypomniał sobie, jak zawiódł w Paryżu tę młodą dziewczynę, która nie rozumiała, co się z nią dzieje, młodą dziewczynę, którą została brutalnie zgwałcona, wielokrotnie pobita i, chociaż znalazła się w szpitalu, ból i krzywda nie ustawały, a ona nie potrafiła sobie z nimi poradzić. A on nie mógł jej pomóc. Tak samo, jak nie pomógł jej teraz.

Zmiazdżona twarz. Dobry Boże, co się stało? Ale potrafił myśleć tylko o osiemnastoletniej Lindsay w paryskim szpitalu, obolałej, pobitej i przerażonej. I bez najmniejszej winy. Tak samo jak teraz. I że nie potrafi jej pomóc w tej chwili, tak samo, jak nie umiał pomóc wtedy.

ROZDZIAŁ 6

Kwiecień 1983, Taylor

Usłyszał jej wrzaski i natychmiast na nie zareagował, bo był gliniarzem. Usiłował wstać, z całych sił starał się pójść na pomoc, ale nie mógł. Zatoczył się i z powrotem opadł na stół, przytrzymując złamaną rękę. Kręciło mu się w głowie po przeżytych wstrząsach, a ból w ręce był nie do wytrzymania.

Znajdował się w jednej z przegródek, sąsiadującej z przegródką dziewczyny, i widział, jak kilka minut wcześniej została przyniesiona przez policjanta. Młoda dziewczyna z rozczochranymi włosami, owinięta w koc. Jej twarz była straszliwie posiniaczona, oczy dzikie i niewidzące. Głęboki szok. Z tego, co usłyszał, została zgwałcona.

No więc, została zgwałcona. Ale dlaczego ciągle krzyczy? Co jej robią? Szybko się połapał, że była Amerykanką i nie mówiła po francusku ani go nie rozumiała. Taylor biegle mówił po francusku. Był frankofilem. Odkąd skończył osiemnaście lat, co najmniej dwa razy w roku latał do Francji. Tym razem spędził tu dwa tygodnie, podróżując na motocyklu Doliną Loary, a potem wrócił na trzy dni do Paryża. A teraz to. Co oni jej, do diabła, robią?

Płakała i płakała. Słyszał jej bolesne wrzaski przepełnione łzami, strachem i bezsilnością. Teraz docierały do niego także słowa lekarzy, bo musieli mówić głośniejszym głosem, aby ją przekrzyczeć. Byli niezadowoleni, że dziewczyna ich nie rozumie, źli, że utrudnia im pracę, wściekli, że się broni. A była silna, kopła ich i nie mogli utrzymać jej w pozycji leżącej. Niecierpliwili się i chcieli, żeby wreszcie zamilkła i pozwoliła dokończyć badanie. Powinien był wstać, przejść za kotarę i pomóc jej, myślał, przynajmniej przetłumaczyć, co mówią lekarze, ale wiedział, że kiedy się ruszy, upadnie na twarz. Nasłuchiwał, co mówili:

- ...zgwałcona przez szwagra, tak powiedział gliniarz. Spójrz na jej twarz. Ten facet to bydlak.

- Pomóż mi ściągnąć z niej koc. Nie, przestań się bronić. Cholera, ona nie rozumie ani słowa. Trzymaj ją, Giselle! Jacques spójrz no tutaj. Była dziewicą, spójrz na krew. Facet nieźle ją rozorał. Psia krew, przestań się wiercić!

- Rozsuń jej nogi. Muszę jej wsadzić palce. O, tak, przyciśnij nogi do klatki piersiowej. Przestań! Nie, trzymaj ją! Cholera, nie rozumie, co do niej mówię! Chryste!

Uderzyła lekarza. Sądząc z jego okrzyku, nielekką. Taylor słyszał, jak lekarz się zatacza, słyszał jak taca z instrumentami pada na pokrytą linoleum podłogę.

Uśmiechnął się. Punkt dla niej. Widział, jak do pomieszczenia obok wpada jeszcze jeden lekarz. Dziewczyna została zgwałcona, a oni ją obnażają i obmacują, jakby była ochłapem mięsa. Nic dziwnego, że jest przerażona, rozhisteryzowana i obolała. Taylor słyszał, że mają tam teraz ofiary karambolu, w którym zderzyły się trzy samochody, dlatego on leży bez opieki. Dobrze, że przynajmniej zajrzeli do dziewczyny.

Ale czy nie mogliby zająć się nią trochę delikatniej?

Słyszał jej płacz i łkania. Słyszał, jak pielęgniarka Giselle napomina lekarzy, żeby nie zachowywali się jak świnie, bo to przecież młoda dziewczyna, która boi się wszystkich mężczyzn, bo, na miłość boską, właśnie została zgwałcona. Na co jeden z lekarzy odpowiedział:

- Nie taka znowu młoda, Giselle. Trzymaj ją, dobrze?

- Tak - dodał drugi. - Co gorsza, nie jest też mała. Trzeci lekarz milczał, z trudem łapał oddech. Taylor żałował, że nie może rym draniom zdrowo przyłożyć. Ale mógł tylko leżeć i słuchać rozmawiających lekarzy. Słuchać, jak przeklinają, bo pacjentka z nimi nie współpracuje. Słuchając wrzasków dziewczyny, zapominał o własnym bólu. Zamknął oczy, ale nie na wiele się to zdało, wiedział, że przez długi czas nie zapomni tych krzyków.

- ...dwa palce, do diabła. Musisz je wsadzić głębiej i dobrze ją wyczyścić. Gliniarze chcą mieć spermę tego drania, a ty musisz wyczuć uszkodzoną tkankę. Prawdopodobnie ma obrażenia wewnętrzne.

Teraz płakała bezsilnie. Taylor zobaczył lekarza wychodzącego zza przepierzenia. Ocierał dłonie o nogawki spodni. Wszedł do przegródki, w której leżał Taylor. Skinął głową i zadał pytanie przesadnie wyraźną francuszczyzną. Amerykanie mówią tak samo po angielsku, żeby zrozumieli ich ci głupi obcokrajowcy. Taylor odpowiedział mu biegle po francusku, bez cienia akcentu, a potem dodał bez wstępów:

- Ta zgwałcona dziewczyna, co z nią? Wylize się z tego?

Lekarz bąknął pod nosem coś o Amerykanach, którzy powinni pilnować własnego nosa. Taylor nie zraził się i powtórzył pytanie. Pochylony nad złamaną ręką Taylora lekarz, wzruszył ramionami.

- To Amerykanka. Ma osiemnaście lat. Jej szwagier, jakiś cholerny włoski książę, nieźle ją urządził. Roztrzaskał jej twarz i rozorał od środka. Krwawi jak zarzynana świnia. Ale wyjdzie z tego. Przynajmniej fizycznie. Słyszałam, że siostra dziewczyny strzeliła do faceta. Przywieźli go na chirurgię. Chryste, ale bigos.

- Po czym jeszcze raz wzruszył ramionami, jakby mówił: ale czego się można spodziewać po głupich obcokrajowcach?

Potem lekarz zajął się ręką Taylora. Mruczał pod nosem i wykręcał ją, co Taylor przyjął jako karę za wścibstwo.

- Jestem gliną - powiedział Taylor, zaciskając zęby z bólu. - Ile czasu potrwa zranienie? Muszę wracać do domu i do pracy.

Lekarz uniósł głowę, uśmiechnął się i odpowiedział najszybciej jak potrafił:

- Sześć tygodni. I odstawić motocykl. Co się tyczy głowy, miał pan szczęście, że był pan w kasku. Przeklęte maszyny kiedyś pana zabiją.

- Nie ma obawy - odparł Taylor. - Nie jestem głupcem. Lekarzowi coś zaświtało w głowie.

- Niech się pan przyzna, jest pan Francuzem, prawda? Wyemigrował pan do Stanów?

- Pudło - odparł Taylor z szerokim uśmiechem.

- Urodzony i wychowany w Pensylwanii. - Zamilkł, a potem dodał: - Po prostu mam smykałkę do języków, a poza tym, prawdę powiedziawszy, francuski jest bardzo łatwy.

Żałował, że to powiedział, bo lekarz tak manipulował jego ramieniem, że Taylor z bólu wstrzymał oddech.

- Przepraszam. Teraz wyślę pana na rentgen. Żadnych środków przeciwbólowych. Proszę tu poczekać, zaraz kogoś po pana przyślę. I rzeczywiście, nie jest pan Francuzem.

Taylor westchnął, zamknął oczy i usłyszał ciche łkanie dziewczyny. Musiała mieć zdarte gardło,

bo jej płacz brzmiał ochryple. Czekał jakieś pięć minut. Wywieziono ją na łóżku. Widział ją przez chwilę. Poskręcane gęste włosy wokół twarzy. I, o Boże, jej twarz! Cała w sińcach, zapuchnięta. Górna warga pęknięta i krwawiąca. Wyglądała teraz znacznie gorzej, niż kiedy ją tu przywieźli. Była nieprzytomna. Prawdopodobnie dali jej jakiś środek nasenny. Sprawiała wrażenie bardzo młodej. Dobrze, że jej siostra postrzeliła drania.

Taylor nie rozumiał, jak facet mógł coś takiego zrobić, ale Bóg jeden wiedział, że w czasie dwóch lat pracy widywał w swoim obwodzie znacznie gorsze rzeczy.

Cholerny włoski ksiączę. Taylor westchnął. Pragnął, by ktoś się zjawił i ulżył mu w bólu.

Wypisano go dwa dni później z ręką w gipsie. Nadal cierpiał na uporczywe bóle głowy. Zapłacił osiemset dolarów za szpitalne leczenie. Zostało mu tylko na bilet do Nowego Jorku. Co się tyczyło wypożyczonego w Paryżu Harleya, ubezpieczył go, więc potrącono mu tylko stówę.

Był zmęczony i litował się nad sobą, chociaż obiektywnie rzecz biorąc, powinien być wdzięczny losowi, że przeżył. Facet, który tak go załatwił, wyjechał swoim białym Peugeotem z wąskiej uliczki i po prostu w niego uderzył, wyrzucając w powietrze. Dzięki Bogu, Taylor nie wylądował na bruku, lecz w gęstych krzakach. Te krzaki uratowały mu życie. Facet odjechał, a Taylor przeklinał, przytrzymywał złamaną rękę i czekał na przyjazd policji. Zabrali go do szpitala Świętej Katarzyny, gdzie leżał słuchając krzyków nieszczęsnej dziewczyny. Był gliną; powinien to puścić mimo uszu. Ale z jakiegoś powodu nie potrafił.

Następnego dnia był już na lotnisku Charlesa de Gaulle. Tam spostrzegł gazeciarza, wykrzykującego wiadomości na temat księcia Alessandro di Contini, który przeżył, mimo że żona dwukrotnie go postrzeliła. Wywołano lot Taylora. Odszedł od kiosku i poczuł nawrót bólu głowy. Zostawił gazetę na ladzie. Wsiadł do samolotu. Poprosił stewardesę o dwie aspiryny, odchylił głowę na oparcie, zamknął oczy i odmówił modlitwę na intencję szczęśliwego lotu.

Myślał o Dianie, z którą od czterech miesięcy był zaręczony. Zastanawiał się, czy rozsądnie będzie się z nią ożenić. Od pół roku mieszkali razem w mieszkaniu Diany na East Side. Ona była bogata, on nie. Diana chciała, żeby zrezygnował ze służby w policji, ale on nie miał takiego zamiaru. Pogodziła się z tym. Wyprawa do Francji była jego ostatnim kawalerskim wypadem. Diana uważała go za wariata, bo wołał sam jeździć na motocyklu po obcym kraju, ale złościła się tylko trochę i zadowolili się trzykrotnym ostrzeżeniem, by nie złapał czegoś od Francuzek. Wszyscy doskonale wiedzą, jakie to rozpustnice. Taylor usiłował jej wytłumaczyć, że interesuje go ten kraj; nie umiał jej wyjaśnić, że podróżując po Francji autostopem, kiedy miał osiemnaście lat, nagle poczuł, po prostu poczuł, że kiedyś wcześniej tu mieszkał, był częścią tego miejsca i tej kultury. Poprzednie życie? Może. Wiedział, że czuje się cudownie, kiedy podąża na motocyklu wzdłuż Loary, wdycha zapach dojrzewających winogron w Bordeaux, patrzy z zachwytem na antyczne ruiny rzymskie w Prowansji.

Wkrótce będzie w domu, o kilka dni wcześniej. Zastanawiał się, czy jeszcze przyjedzie do Francji. Zaczynał za nią tęsknić. Za dwa tygodnie skończy dwadzieścia pięć lat, a za trzy tygodnie się ożeni.

Pomyślał o młodej dziewczynie na pogotowiu. Wiedział, że nie zapomni jej pobitej twarzy ani łez, ani gwałtu. Że nie zapomni jej imienia i nazwiska, które przeczytał w gazecie w kiosku na lotnisku w Paryżu. Lindsay Foxe. Chociaż to nie ma żadnego znaczenia. Żadnego znaczenia.

1987 Lindsay

Dopiero zaczął się maj, a pogoda była upalna. Lindsay siedziała na kamiennej ławce pod dębem na kampusie uniwersytetu Columbia. Miała na sobie szerokie szorty koloru khaki i białą bluzkę z

krótkimi rękawami, na nogach reeboki i grube białe skarpetki. Na prawy nadgarstek włożyła opaskę, do gry w tenisa - prezent od siebie samej. Była wielbicielek Chris Evert.

Od dwóch miesięcy radziła sobie bardzo dobrze na korcie, ale daleko jej było do doskonałości. Forhend miała zabójczy, bekhend nieprzewidywalny. Jeśli chodzi o serwis, to zdobywała co najmniej jeden punkt na dwadzieścia. Jutro rano będzie grała z Gayle Werth, najlepszą przyjaciółką ze Stamford Girl's Academy. Gayle grała lepiej niż Lindsay i była jej partnerką w deblu.

Lindsay musiała zdać jeszcze jeden egzamin końcowy. Za dwa tygodnie z doskonałą oceną ukończy wydział psychologii. Na uniwersytecie Columbia, uczelni o doskonałej reputacji.

I co dalej? Kilka miesięcy temu uczelnię odwiedzili przedstawiciele rozmaitych firm, ale to, co mieli do zaoferowania, w ogóle jej nie interesowało. Z wyjątkiem pracy za granicą. To brzmiało ekscytująco, przynajmniej do czasu, kiedy spotkała się z młodym człowiekiem, który reprezentował firmę. Nie mówił o niczym innym prócz Włoch. A Lindsay nie wybierała się do Włoch. Nigdy.

Zaburczało jej w brzuchu i zdała sobie sprawę, że od wieczornego posiłku w pokoju Marleny nie miała nic w ustach. Pizza z salami i dodatkowym serem oraz puszka piwa. Na samą myśl zrobiło jej się niedobrze. Pizza sama w sobie nie była taka zła. O mdłości przypawił ją ten facet, Peter Merola, przyjaciel Marleny, chłopak z roku. Był namolny, a kiedy udał, że niechcący natrafił ręką na jej pierś, Lindsay zamknęła się w łazience i zwymiotowała do muszli klozetowej. Kiedy wróciła, Peter zabierał się do następnej dziewczyny, która wyglądała na zainteresowaną.

Wstała i wyjęła notes z torby, uszytej z cienkiej skóry w jasnobrązowym odcieniu. Lindsay miała ją już cztery lata. Nosila w niej wszystko, kalkulator, książki, piłki tenisowe, golarkę oraz zapasową parę skarpetek i bieliznę.

Otworzyła notes. Przejrzała notatki z ostatniego wykładu, prowadzonego przez profesora Gruskę, który był zagorzałym freudystą. Miał wyraziste spojrzenie, wyglądał jak przystało na profesora i mieszkał z ojcem przy Osiemdziesiątej Czwartej Ulicy na West Side. Miał co najmniej pięćdziesiąt lat i nigdy nie był żonaty. Był dziwny i wydawało mu się, że Lindsay też jest dziwna. Po przeczytaniu krótkiej sztuki autorstwa Lindsay, o stosunkach panujących w pewnej rodzinie, profesor Gruska doszedł do wniosku, że jego studentka padła ofiarą gwałtu. Lindsay wymyśliła tę rodzinę, ale Gruska i tak się zorientował. Posunął się do tego, że odczytał fragmenty podczas wykładu. A potem zaprosił ją do swego gabinetu. Wypytywał o ojca i zastanawiał się, czy Lindsay miała do niego skłonność. Powiedział, że mógłby jej pomóc. Mogą zacząć choćby natychmiast.

Lindsay wyszła bez słowa. Była roztrzęsiona i wystraszona. Przeklinała jego paskudny, ciasny gabinet. Czas zrobił swoje, ale nie wyleczył jej z nienawiści do Gruski, z nienawiści zaprawionej sporą dozą strachu. Nigdy by do niego nie wróciła, ale potrzebne jej było zaliczenie kursu. Po dwóch tygodniach zmusiła się do przeprosin; kosztowało ją to wiele wysiłku. Profesor skinął głową i miał bardzo poważną minę. Powiedział, że może się do niego zwrócić w każdej chwili, telefonując do biura lub do domu. Może mu zaufać. Lindsay zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie przeczytał o niej w starych gazetach i dowiedział się, że została zgwałcona przez szwagra. Zdała sobie również sprawę, że nie wie, co o niej pisano w prasie; nie chciała tego czytać. Podobno przedstawiono ją jako uwodzicielkę, która postrzeliła księcia Alessandro. Przestała wspominać.

Czytała notatki w drodze do bufetu i myślała, że to stek bzdur. Nigdy nie miała seksualnej skłonności do ojca; pragnęła jedynie, by ją zauważał i traktował jak córkę. Czy to było nienormalne? Prawdopodobnie nie bardziej niż wybranie psychologii jako kierunku studiów. Miała nadzieję, że dzięki niej zyska umiejętność większego wglądu w samą siebie, co pomoże jej nie dygotać z

przerażenia, gdy jakiś mężczyzna się do niej zbliża.

Niektóre zajęcia okazały się pomocne. Widząc ją teraz, nikt by się nie domyślił, co przeszła. Dorosła, rozumiała, że książę był psychicznie chory, a ona była bezsilną, naiwną dziewczyną, która uległa jego czarowi. Zrozumiała, że jej strach przed mężczyznami nie jest normalny, ale zupełnie naturalny, zważywszy, co zrobił jej książę. Pogodziła się z tym i nawet uśmiechała na myśl, że ktoś może się naprawdę obawiać przedstawicieli płci odmiernej. Ale nocą, kiedy była sama, przytłaczały ją bolesne wspomnienia własnej głupoty i upokorzenia. Jakoś sobie radziła. Dzięki zajęciom z psychologii. Nie radziła sobie tylko z tym głupkiem, Gruską.

Wkładając notatki do torby, zauważyła list od babci. Przyszedł wczorajszego popołudnia, a ona zapomniała go przeczytać. Wyjęła kopertę i przytknęła do nosa, by poczuć słabą woń róż i piżma, ulubiony zapach babci, komponowany specjalnie dla niej w Grasse we Francji, przez człowieka noszącego imię d'Alembert, po osiemnastowiecznym francuskim filozofie. Gates Foxe miała lat osiemdziesiąt dwa, a d'Alembert robił dla niej perfumy od prawie czterdziestu. Na życzenie babci, Lindsay poleciała do San Francisco w czasie Bożego Narodzenia. Nie widziała jej od kilku lat. Gates stała się powolna, ale wciąż miała jasny umysł, kochała życie i usiłowała sprawować kontrolę nad rodziną. Tylko, że teraz nie miała już nikogo w pobliżu. Royce znów się ożenił. Jego nowa żona, Holly Jablow, była wdową po senatorze stanu Waszyngton, Martinie Jablowie. Miała trzydzieści pięć lat. Była próżna i żarłoczna, i skupiona wyłącznie na swoim nowym mężu oraz na sobie. Uwielbiała lustra. Szybko dostrzegła niechęć męża do córki i natychmiast ją podchwyciła. Wymądrzała się, doradzając Lindsay, jak ma się ubierać, czesać i malować paznokcie. Lindsay zносиła to w milczeniu. Swoją matkę widziała tylko raz. Jennifer była teraz zbyt chuda, nerwowa i bezustannie paliła papierosy. Sypiała z dwudziestosześcioletnim mężczyzną. Przedstawiła mu córkę, kiedy ta któregoś popołudnia, niezapowiedziana, przyszła do jej mieszkania. Traktowała własną córkę jak rywalkę. Lindsay szybko wyszła. Czowała chłód, smutek i osamotnienie. Straciła ostatnie więzy łączące ją z San Francisco.

Wyjęła z pachnącej koperty dwie kartki papieru i z uśmiechem zabrała się do czytania. Spodziewała się ploteczek o przyjaciołach rodziny i o najbogatszych mieszkańcach San Francisco. Babcia miała lekkie pióro. List zaczynał się tak, jak się spodziewała.

Ostatnie nowiny, wiadomości o Moffit Hospital i o tym, jak rada nadzorcza nie chce dać pieniędzy na modernizację oddziału radiologii. Następnie babcia pisała o polityce Reagana, martwiła się stosunkiem liczby Demokratów i Republikanów w Kalifornii. A potem Lindsay przestała się uśmiechać.

„Sądzę, że nikt się nie zatroszczył, by Cię o tym poinformować, bo tak naprawdę nigdy nie obchodziłaś ojca, co, jak dobrze wiesz, jest jego winą, nie twoją. Sydney jest w ciąży. Nie mam pojęcia, czy ojcem jest książę. Twój ojciec również tego nie wie. Przypuszczam, że rodzina uzna dziecko za potomka di Continich. Naprawdę nie mają wyboru, bo Sydney wytrwała przy Alessandro i odgrywa rolę skruszonej żony, przyobleczonej w woal niekończących się wyrzutów sumienia. Mimo że jestem w podeszłym wieku, wciąż mnie coś zadziwia. Sydney jest jakaś odmieniona, ale musiałabyś zobaczyć ją na własne oczy, by zrozumieć, co mam na myśli. Kilka tygodni temu była tu sama. Ma w sobie pewną kruchą twardość, a także jakąś głębię, które sprawiają, że nie jest taka jak dawniej. Tak, jakby czuła się odpowiedzialna za cały świat. Dziwne, ale w jakiś sposób prawdziwe. To już cztery lata, prawda, kiedy widziałas ją po raz ostatni? W czasie owych straszliwych zajęć w Paryżu?”

Lindsay zeszytniała. Babcia dobrze wie, że nie widziały się z siostrą od tamtych okropnych chwil w Paryżu. Dlaczego więc znów je wywleka? To nie ma znaczenia; inteligentna dorosła osoba z dobrym wglądem w siebie, potrafi sobie poradzić z przeszłością i pogodnie kroczyć przez życie.

„Sydney powiedziała mi, że księżę jest taki sam jak dawniej, więc uznałam, że nadal lubi młode dziewczyny. Wybacz, jeśli sprawiam Ci przykrość, Lindsay, ale to już tyle lat, że powinnaś spojrzeć prawdzie w oczy. W czasie świąt Bożego Narodzenia widziałam, że stałaś się bardzo ostrożna i, że nie chciałaś się zbliżyć nawet do tego miłego chłopca, Cala Faraday, który jest synem Claya i Elviry. Cal jest bardzo bystry i studiuje na pierwszym roku medycyny. Wiem, co mówi Twój ojciec. Ale on nie ma racji i nie musisz mu wierzyć. Zostałaś zgwałcona nie z własnej winy. Dorośnij, moja droga, i zostaw przeszłość za sobą”.

Lindsay uniosła głowę znad listu. Jakże łatwo jest analizować i osądzać, serwować dobre rady. Tego także dowiedziała się, studiując psychologię.

Szybko złożyła list i wepchnęła do przepaścistej torby. Weszła do siedziby wydziału psychologii i wspięła się schodami na drugie piętro. Wkroczyła do sali numer 218, gdzie zajęła swoje stałe miejsce. Studenci prawie nie rozmawiali. Każdy chciał napisać pracę egzaminacyjną i mieć to wreszcie z głowy. Profesor Gruska i jego asystent rozdali niebieskie zeszyty, a potem wręczyli pojedyncze kartki papieru, na których znajdowały się pytania. Lindsay wyjęła z torby długopis i zaczęła pisać.

Pisała przez trzy godziny, zapełniła dwa niebieskie zeszyty, oddała je profesorowi Grusce i szybko wyszła z budynku. Na dworze było jeszcze goręcej. Nie miała już zajęć. Była wolna. Skończyła uniwersytet Columbia. Wkrótce uzyska dyplom w dziedzinie psychologii i nie będzie miała pracy ani żadnego pomysłu, co dalej.

Wsiadła na prom i popłynęła ku Statule Wolności. Potem usiadła na ławce i bezmyślnie przyglądała się turystom.

Tego wieczoru niespodzianie zadzwonił do niej Cal Faraday i zaprosił ją na kolację oraz do kina. Właśnie skończył pierwszy rok studiów i przyjechał na kilka dni do Nowego Jorku, żeby odwiedzić przyjaciół. Odmówiła bardzo miłym tonem i położyła się do łóżka z książką.

1987 Taylor

Taylor miał wolne. Ubrany był w swoje ulubione ciemnobrązowe welwetowe spodnie, białą bawełnianą koszulę i długą kamizelkę. Jechał, aby zabrać na kolację Dorothy Ryan z jej mieszkania na rogu Lexington i Sześćdziesiątej Trzeciej. Pogwizdywał. Czuł się świetnie. Dorothy była ładna, zabawna i szybko robiła karierę w reklamie. Poznał ją na meczu Giantów, kiedy zawodnicy z Montany bezlitośnie ogrywali jego faworytów. Dorothy wrzeszczała i przeklinała, i Taylor zaczął jej się przyglądać, zamiast śledzić mecz. Kupił jej piwo i hot doga i jeszcze tego wieczoru poszli do łóżka.

Lubiła seks, przekomarzała się z Taylorem, całowała go, sprawiała, że jęczał i wzdychał, a potem pozwalała, by doprowadził ją do orgazmu. Była kochająca i miła i niesłychanie zadowolona ze swego życia. Kiedy mu oświadczyła, że nie jest zainteresowana małżeństwem, uwierzył jej. Prawdziwa ulga.

Zaczął pogwizdywać głośniej. Nagle usłyszał wrzask, a potem jeszcze jeden, a wreszcie serię zduszonych krzyków. Docierały z eleganckiego domu. Z frontowych drzwi wypadła starsza kobieta i zbiegła po schodkach. Wrzeszczała co sił w płucach.

Kobieta wyglądała jak służąca. Włosy miała ufarbowane na jadowicie czerwony kolor,

paznokcie polakierowane na pomarańczowo. Ubrana była w jaskrawą suknię w hawajskie wzory. Na nogach miała kłócące się z tym strojem buciki, jakie noszą starsze panie, oraz opadające pończochy. Była gruba, o nalanej, przesadnie wymalowanej twarzy. Powtarzała coś bez ładu i składu.

- Jestem oficerem policji - zwrócił się do kobiety. - Co się stało?

Usiłowała odzyskać oddech, nie wierząc własnym oczom, że stoi przed nią gliniarz. Następnie zmarszczyła czoło, jakby nie życzyła sobie jego obecności. Taylor chwycił ją za ramiona i lekko potrząsnął. Następny krzyk, dzięki Bogu, zamarł jej na ustach.

- Jezu, o, Jezu! Moja mała córeczka wykrwawi się na śmierć!

- Wezwała pani karetkę?

Kobieta pokręciła głową, wywracając oczami.

- Niech mnie pani natychmiast do niej zaprowadzi.

Musiał ją popchnąć, żeby się ruszyła z miejsca. Minęło ich kilka osób, pochylając głowy i odwracając oczy. W końcu to był Nowy Jork. Coś takiego nie powinno się zdarzyć w tej okolicy.

Taylor wszedł na pierwsze piętro po szerokich, wypastowanych, dębowych schodach. Były doskonale utrzymane.

- Córka się skaleczyła? Co się stało? Dlaczego krwawi?

Kobieta potrząsnęła głową, skrzyła w szeroki, nieskazitelnie czysty korytarz i otworzyła ciężkie drzwi.

- Ellie? - wrzasnęła. - Jesteś tam, dziecko? Taylor usłyszał cichy płacz. Odepchnął kobietę i przebiegł przez obszerny salon do holu. Wpadł do pierwszego pokoju i tam ją zastał. Leżała naga na łóżku, dziewczyna zaledwie piętnastoletnia. Jej twarz była zapuchnięta i pokryta plamami. Na nogach i na pościeli było mnóstwo krwi. Ellie z trudem chwyciła oddech. Ujrawszy Taylora naciągnęła na siebie prześcieradło i usiadła. Miała rozszerzone z przerażenia źrenice i zapuchnięte od łez oczy. Taylor zatrzymał się w progu.

- Co się stało? - zapytał. - Jestem z policji i nie zrobię ci krzywdy. Pozwól sobie pomóc, dobrze? Powiedz, co się stało?

- Bandy wsadził to we mnie i pokaleczył mnie i teraz wykrwawię się na śmierć.

- Jak masz na imię?

- Ellie.

- Ellie - powtórzył z przyjaznym uśmiechem. Gwałt, pomyślał. Spozstrzegł telefon na stoliku przy łóżku.

- Wszystko będzie dobrze. Wezwę karetkę. Zgadzasz się? Nie, nie płacz. Nic ci nie zrobię.

Zamarła z przerażenia, ale przestała płakać. Jej mała twarzyczka pobladła jeszcze bardziej. Taylor wykręcił numer 911. Potem popatrzył na stojącą w drzwiach kobietę. Załamywała dłonie, wpatrując się w córkę. Zapytał o adres. Musiał powtórzyć pytanie. Uzyskawszy odpowiedź, podał pogotowiu adres i odłożył słuchawkę.

- A teraz - zwrócił się do dziewczynki - opowiedz mi o Bandym. - Pochylił się i łagodnie wyjął z jej rąk prześcieradło. - Nie zrobię ci krzywdy. Muszę sprawdzić, ile krwi straciłaś. Proszę cię, zaufaj mi Ellie.

Dziewczynka skinęła głową.

- Bandy bardzo mnie skrzywdził.

- Wiem, wiem. Muszę cię obejrzeć. Nie ruszaj się. - Mówiąc te słowa i ściągając z niej okrwawione prześcieradło, wspominał noc w paryskim pogotowiu. I wiedział, dlaczego Ellie tak

krwawi.

- Kto to jest Bandy? - powiedział. Biedactwo. Wzdrygnął się na widok spermy zmieszanej z wielką ilością krwi. Dziewczyna wciąż krwawiła. - Nie ruszaj się, Ellie. - Zwrócił się do kobiety. - Ręczniki, szybko!

Uniósł biodra dziewczyny i wsunął pod nie dwie poduszki. Kiedy kobieta w milczeniu podała mu ręczniki, przycisnął jeden z nich do Ellie i przykrył ją drugim. Usiadł obok niej.

- Opowiedz mi o Bandym. - Nie!

To krzyknęła kobieta. Twarz miała czerwoną i dygotała.

- Bandy nic nie zawinił. Nic a nic! Ta głupia dziewczyna narzucała się mu, więc co miał zrobić?

O, Boże, pomyślał Taylor, a przed oczami znów stanęła mu noc w Paryżu. A potem artykuł w gazecie, opisujący, jak Lindsay Foxe uwiodła swego szwagra. Więcej nie czytał, ale wciąż pamiętał, co powiedział mu lekarz. Spojrzał na Ellie. Do diabła, ta nieszczęsna kruszyna w ogóle się nie skarżyła, tylko płakała ze strachu i bólu.

- Opowiedz mi o Bandym, Ellie - powtórzył. A potem zwrócił się do kobiety, która już otwierała usta. - Zamknij się. Wyjdź przed dom i wskaż drogę pielęgniarzom, kiedy przyjadą. Rusz się!

- To kłamczucha! Niech pan nie wierzy w ani jedno jej słowo!

Chryste, pomyślał Taylor. Uniósł dłoń i lekko dotknął gładkiego policzka dziewczynki.

- Wszystko będzie dobrze, Ellie.

- Bandy jest moim wujkiem. Bratem mamy. Znam go od zawsze.

Taylor skinął głową. Chyba by nie zniósł, gdyby mu powiedziała, że Bandy to jej szwagier.

- Po raz pierwszy wetknął to w ciebie? Dziewczynka skinęła głową.

- Już od dawna chciał, żebym robiła mu różne rzeczy, ale nigdy dotąd nie wepchnął mi tego swojego grubasa. Nie chciałam, ale mnie zmusił. Zmusił mnie, żebym się schyliła i wepchnął mi to.

- Gdzie on jest?

- Uciekł, kiedy mama wróciła wcześniej do domu. Zostawił mnie - odpowiedziała, dławiąc się łzami.

Taylor poczuł ciepło krwi na swej dłoni przytrzymującej ręcznik. Odjął go i rzucił na podłogę. Spostrzegł, że krwawienie jest równomierne, zaklął cicho i przyłożył świeży ręcznik.

- Leż bez ruchu, kochanie. Jeszcze chwila i wszystko będzie dobrze. Dopadnę wujka. Nie daruję mu tego, co ci zrobił.

Taylor doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby dziewczyna nie dostała krwotoku, jej matka nie wpadłaby w panikę i nie wybiegłaby z domu na ulicę, a gwałt na Ellie przeszedłby nie zauważony, nie zgłoszony na policję. Wujek Bandy zabawiałby się z dziewczyną, dopóki nie uciekłyby z domu.

Pogotowie przyjechało niecałe pięć minut później. Do pokoju weszli kobieta i mężczyzna. Taylor opowiedział im, co zaszło, i co dej pory zrobił.

- Dobra robota, poruczniku. Chodź, Linda, zabieramy to biedne dziecko do szpitala. Przyjedzie pan tam, poruczniku? Lekarze zechcą z panem porozmawiać.

- Tak, przyjadę. Dbajcie o nią. - Uśmiechnął się do dziewczyny i powiedział: - Nie bój się, będą cię traktować, jakbyś była samym prezydentem. Już ja przygwożdżę drania, który jej to zrobił - zwrócił się do pielęgniarzy. - Powiedzcie lekarzom, żeby ją dokładnie zbadali. Potrzebne będą próbki spermy. Znacze zasady.

Zatelefonował do Dorothy z budki i odwołał spotkanie. Usłyszał, że westchnęła, ale weszła w rolę i posłusznie zapytała o stan dziewczynki.

Wziął taksówkę, dojechał do Lenox Hill i poszedł na pogotowie. Już od progu słyszał łkanie Ellie. Znow nawiedziły go wspomnienia. Nieświadomie roztarł lewe ramię, chociaż złamanie już dawno się wyleczyło.

Nie mógł wtedy pomóc Lindsay Foxe. Bez wahania wkroczył do małego pomieszczenia. Lekarka badająca Ellie spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Jestem porucznik Taylor. To ja ją znalazłem. Usłyszałem, że płacze, i zaniepokoiłem się. Czy mógłbym jakoś pomóc?

Lekarka skinęła głową.

- Dobrze, poruczniku. Niech pan z nią porozmawia. Powie jej, że wszystko będzie dobrze.

Taylor pogłaskał policzek dziewczynki. Wzdrygnęła się.

- Już skończyłam, poruczniku. Dziękuję panu. O, jest jej matka. Pani Delliah?

- Tak, jestem jej matką. Nic jej nie będzie, prawda, pani doktor?

- Tak. Ale chcę ją na kilka dni zostawić w szpitalu. Krwawienie prawie ustało. Pobrałam próbki dla policji.

- Żadnej policji - powiedziała pani Delliah, splatając ramiona na obfitym biuście. - Żadnej policji.

- Ach, tak - odparła beznamiętnie lekarka. - Który z członków rodziny jej to zrobił? Ojciec? Wuj? Brat?

Taylor spojrzał na nią zdumiony. Zrozumiał, że lekarka napatrzyła się przypadkom gwałtów i molestowania seksualnego. Prawdopodobnie widziała ich zbyt wiele. Sprawiała wrażenie niewiarygodnie umęczonej, jej oczy miały wyraz tępego gniewu.

- Nikt - odparła stanowczo pani Delliah. - Dziewczyna bawiła się wieszakiem do ubrań. Sama się skaleczyła.

Ellie zaczęła płakać, dławili ją łkania. Taylor miał ochotę udusić tę babę.

- Dlaczego ona to robi? - Powiedział Taylor i wziął dziewczynkę za rękę. - Dość tych kłamstw. Dlaczego chroni pani brata, pani Delliah? Niech pani spojrzy, co zrobił pańskiej córce! Na miłość Boską, chce pani, aby mu to uszło na sucho? Ten człowiek jest chory.

Taylor krzyczał, dygocąc z gniewu. Lekarka położyła mu dłoń na ramieniu. Pani Delliah cofnęła się o dwa kroki.

Ellie płakała i płakała.

*

Taylor o północy wrócił do swego mieszkania na rogu Lexington i Pięćdziesiątej Piątej. Był zmęczony i pełen obrzydzenia. Dopadnie tego wujka. O, tak, przygwoździ tego nędznego drania. Nikt go przed tym nie powstrzyma.

ROZDZIAŁ 7

Następnego dnia nagrał na taśmę magnetofonową zeznanie Ellie. W tym celu przyszedł do jej separatki wczesnym rankiem, mając nadzieję, że w ten sposób uniknie obecności jej matki. Bóg jeden wie, co ta straszna kobieta wymyśliłaby teraz.

Na jego widok Ellie uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę nieśmiałym gestem dziecka wobec dorosłego, który okazał się miły. Taylor zastanawiał się, jak ma formułować swoje pytania. Mówił powoli i łagodnie. Jej żalosne opowiadanie omal nie złamało mu serca. Wuj napastował ją, odkąd skończyła jedenaście lat. Powiedział jej, że jest jego słodką małą dziewczynką, więc miała pozostać słodka, bo w przeciwnym razie ona i jej matka nie będą mogły mieszkać w ich pięknym mieszkaniu w eleganckim domu, a Ellie nie będzie mogła uczęszczać do porządnej prywatnej szkoły i bawić się z miłymi przyjaciółkami. Aby ją zgwałcić, poczekał, aż miała prawie piętnaście lat. Taylor nie wiedział i nie potrafił jej spytać, czy wuj dobierał się do niej analnie. Wujek Bandy zawsze dawał jej ładne prezenty, ale zadawał jej ból i Ellie się go bała. Tym razem sprawił, że strasznie krwawiła.

Taylor zdobył to, czego potrzebował, i poprosił, aby Ellie opowiedziała mu o szkole, do której chodziła, i o przyjaciółkach. Był zachwycony naturalnością, z jaką mówiła, i żałował, że nie może jej zabrać do swego domu.

Przyszła pani Delliah. Tego ranka była mniej krzykliwie ubrana. Miała na sobie kosztowny płaszcz z wielbłądziej wełny, a pod nim prostą wełnianą suknię brązowego koloru. Zmyła makijaż i Taylor stwierdził ze zdumieniem, że nie przekroczyła jeszcze czterdziestki. Rude włosy miała szesane w kok. Tego ranka wyglądała na służącą, która nie dorabia na boku jako prostytutka. Ku wielkiej uldze Taylora nie zaatakowała córki. Wobec niego była chłodna, ale przynajmniej nie znęcała się nad Ellie. Ucałowała ją, pogłaskała i powiedziała, że chce, by córka już wróciła do domu.

- Chciałbym z panią porozmawiać, pani Delliah - powiedział Taylor. - Kiedy przekona się pani, że Ellie dobrze się czuje. Poczekał na panią na korytarzu.

Po dziesięciu minutach pani Delliah wyszła z separatki. Wyglądała na zaniepokojoną i nieufną. Taylor wprowadził ją do poczekalni.

- Pani brat to chory człowiek - powiedział bez wstępów. - Potrzebuje natychmiastowego leczenia psychiatrycznego. Do diabła, potrzebował go pewnie już ze dwadzieścia lat temu. Mógł zabić pani córkę. Powinna pani wnieść oskarżenie i dopilnować, by się nim zajęli.

Kobieta wykręcała sobie palce i obracała na nich grube pierścienie.

- Nie mogę.

- Jeśli pani tego nie zrobi, nadal będzie gwałcił Ellie. Dobrze pani o tym wie. Nie wiedziała pani, że ją prześladował już od czterech lat? Nawet jeśli pani nie wiedziała, teraz jest inaczej, to był prawdziwy gwałt. Będzie to znosić, aż do chwili, kiedy ucieknie z domu. A wtedy znajdzie się sama,

na ulicy, a tam czekają narkotyki i prostytutka i Bóg wie co jeszcze. Czy tego chce pani dla swojej córki?

- Nie mam pieniędzy.

- Istnieją organizacje, które pani pomogą. Nie jest pani głupia, pani Delliah. Może pani znaleźć jakąś pracę.

- Pan nie rozumie.

- Rozumiem, że wysługuje się pani bratu, wykorzystując do tego własną córkę. Jeśli nie wniesie pani oskarżenia, doniosę na panią do władz i zabiorą pani Ellie.

Zaczęła płakać. Taylor pozostał niewzruszony. Budziła w nim obrzydzenie.

- Wniesie pani oskarżenie, czy mam dopilnować, żeby Ellie została oddana pod opiekę rodzinie, która ją ochroni przed molestowaniem?

- On mnie zabije - jęknęła, obejmując się ramionami i kiwając w przód i w tył.

- Niech pani nie będzie głupia. Oczywiście, że pani nie zabije. Niech pani poda jego nazwisko, pani Delliah.

- Nie wiedziałam, że ją zgwałci. Nie wiedziałam, że z nią to robi. Nie wiedziałam! Myślałam, że on po prostu...

Nie, nie była głupia. Była wystarczająco sprytna, by zamilknąć.

Miał ochotę jej przyłożyć, ale zamiast tego powiedział:

- Wniesie pani oskarżenie?

W końcu się zgodziła. Zabrał ją na posterunek policji, gdzie podpisała nakaz aresztowania i zeznanie. Późnym popołudniem Taylor i jego partner, Enoch Sackett, poszli pod wskazany przez nią adres.

Taylor nie był zaskoczony, ale Enoch, wysoki i chudy jak tyczka, stał jak zaczarowany i wpatrywał się we wspaniały, luksusowy dom.

- Cholera, Taylor - powiedział - facet z takiego domu dręczy małe dziewczynki? Dlaczego? Facet, który ma to wszystko? Dlaczego on to robi?

- Nie wiem.

Wujek Bandy okazał się panem Brandonem Waymerem Ashcroftem z domu maklerskiego Ashcroft, Hume, Drinkwater i Henderson, przy Water Street w Nowym Jorku, w stanie Nowy Jork. Otworzył drzwi, ubrany w smokingową marynarkę, która załatywała Londynem, w miękkie pasiaste wełniane spodnie i skórzane papucie. Miał przystojną prostokątną twarz. Wyglądał na czterdzieści kilka lat. Był szczupły i gładki. Na widok policjantów udął niebotyczne zdumienie. Uniósł ciemne brwi, ale zachowywał się w sposób cywilizowany. Obejrzał ich legitymacje i odsunął się, zapraszając do środka. Weszli po pięknym starym dywanie do gabinetu z wbudowanymi w ściany półkami, na których pyszniły się ciężkie książki w bogatych ciemnych okładkach. W powietrzu unosiła się woń dobrego tytoniu.

- Co mogę dla panów uczynić, panowie? Proszę usiąść. Może coś do picia? Sherry? Och, wybaczcie. Piwo?

- Lepiej będzie - powiedział Taylor - kiedy założę pan buty i zostawi w szafie tę marynarkę. Odpowiedniejszy będzie sportowy nie rzucający się w oczy płaszcz. Amerykańskiej firmy. Jest pan aresztowany, panie Ashcroft, pod zarzutem zgwałcenia swej siostrzenicy, panny Eleanor Delliah.

Jego zdumienie wzmogło się jeszcze bardziej. Zmarszczył brwi. Wydawał się zelżony. Nie stracił jednak gładkości. Bawił się nie zapaloną fajką. Taylor uznał to za trik, pozwalający mu zyskać na

czasie. Niech się zastanawia do woli. Na nic mu się to nie zda.

- Doprawdy nie rozumiem, panowie - powiedział wreszcie, a potem dodał szybko: - Sądzę, że powinienem zatelefonować do mego adwokata. - Pomyślał również, że musi zobaczyć się z siostrą, aby uzyskać wyjaśnienie dla tego szaleństwa.

Taylor wyraził zgodę.

Enoch mrugnął do Taylora i zręcznie skuł kajdankami pana Brandona Ashcrofta. Z rękami na plecach. Doprawdy, nie było ku temu najmniejszego powodu, ale Taylor życzył sobie tej odrobiny upokorzenia. Facet zasługiwał na nie. W drodze na posterunek pan Ashcroft opowiedział im z wolnej, nie przymuszonej woli, że jego nieszczęsna siostra zaszła przed laty w ciążę, a on zmusił faceta, by się z nią ożenił - słono mu płacąc. Ale facet oszedł i Ashcroft od piętnastu lat utrzymywał siostrę i jej córkę. Widzieli przecież jej mieszkanie. Jest bardzo ładne. Matce i córce niczego nie brakuje. Chyba się z tym zgadzają? Musiała zająć jakaś pomyłka.

- Rozumiem, panie Ashcroft - powiedział Taylor. - Zapewniał im pan jedzenie i dach nad głową, w zamian za seksualne molestowanie dziewczynki.

Gdyby jego ręce nie były skute kajdankami, Ashcroft wymachiwałby nimi z oburzeniem.

- To bzdura, poruczniku, zupełna bzdura. Jestem człowiekiem sukcesu. Jestem wrażliwy. Mam wykształcenie. Dlaczego, do diabła, ja, człowiek na wysokim stanowisku, miałbym robić coś tak podłego, kompletnie niezrozumiałego, jak seksualne napastowanie dziecka?!

- Może psychiatra odpowie na to pytanie.

Pan Ashcroft nie został aresztowany. Jego adwokat przybył na policję po godzinie. Sędzia ogłosił wypuszczenie z aresztu za niską kaucją. Pan Ashcroft był wolny i powrócił do swego luksusowego domu w dzielnicy bogaczy.

Taylor czuł niesmak, ale nie było to nic nowego. Bronią tego faceta były pieniądze. Ale on jeszcze przygwoździ Ashcrofta. Miał zeznania matki i córki. Miał rozpoznanie lekarskie, spermę Ashcrofta. Wszyscy zajmujący się tą sprawą byli zbulwersowani i wściekli.

- Facet jest przyzwyczajony do władzy - zzywał się Taylor, naświetlając sytuację Dennisowi Bradly, mężczyźnie o wyjątkowej dobroci i cierpliwości, który w milczeniu przypatrywał się, jak jego podwładny nerwowym krokiem przemierza gabinet. - Przywykł, że otrzymuje wszystko, na co ma ochotę, bo ma pieniądze. Będzie upokarzał swoją siostrę i Ellie. Dobrze o tym wiesz. I ja także. Tak samo prokurator. Pytanie brzmi, jak mamy je chronić? Jak postępować z tym łajdakiem?

- Posłuchaj mnie, Taylor. - Bradly zamilkł i przeczesał palcami rzednące siwe włosy. - Wiem, że ugrzęzłeś w tej sprawie po szyję. Znalazłeś tę dziewczynę i prawdopodobnie uratowałeś jej życie. Jesteś za blisko i to zaburza ci perspektywę, utrudnia myślenie. Odpuść sobie.

- Co sobie odpuścić, kapitanie?

- Ashcroft to wielka szycha.

- Ashcroft to wielkie gówno.

- To też. Zobaczymy. Posłuchaj, sprawie nadano bieg. Prokurator robi, co się da, ale... - Wzruszył ramionami i sięgnął po plastikowy kubek z ostygłą kawą. - Nie trać głowy, Taylor. Pamiętam, że sprawa Kreidera zupełnie cię wytrąciła z równowagi. Zrobiłeś, co w twojej mocy, wszyscy o tym wiemy, ale prawo mówi, że oskarżony musi mieć możliwość skonfrontować się z oskarżycielem.

- Tak, szkoda tylko, że oskarżyciel został unieszkodliwiony na dwa dni przed rozprawą. Dobra robota, nasz chłoptaş wyszedł sobie na wolność, a dwudziestojednoletnia dziewczyna, która nigdy

nie zrobiła nic złego, poza tym, że widziała, jak Kreider mordował inną kreaturę, dostała kulkę w głowę, bo namówiłem ją, żeby zeznawała przeciwko niemu.

- To nie była twoja wina. Takie rzeczy się zdarzają. Usiłowaliśmy ją chronić, dobrze o tym wiesz. Czasami to nie wystarcza. Do diabła, Taylor, jesteś w policji wystarczająco długo. Ile to już, sześć lat?

Taylor skinął głową.

- Ashcroftowi nie ujdzie na sucho, kapitanie.

- Mam nadzieję, że nie - odparł kapitan Bradley, ale w jego głosie brakowało pewności.

Taylor spotkał się z asystentem prokuratora, młodym, dość bystrym człowiekiem, który choć nie miał wielkiego doświadczenia, wciąż jeszcze był zdolny do słusznego gniewu. Cieszyły go przytłaczające dowody przeciw Ashcroftowi. Był przekonany, że załatwi sprawę. Powiedział Taylorowi, że adwokat Ashcrofta już rozmawiał z prokuratorem, ale ten się nie ugiął. Taylor poczuł się dobrze. Zaczął odczuwać nadzieję. Przynajmniej tutaj sprawiedliwości stanie się zadość. Jego partner, Enoch, tylko patrzył i kręcił głową, i powtarzał, że nie należy zbyt wiele oczekiwać.

Przesłuchanie wstępne wyznaczono na najbliższy czwartek rano. Taylor nie mógł się doczekać. Ashcroft ze swoim chytrym adwokatem tym razem się nie wywiną. Nie ma mowy. Już Taylor go przygwoździ.

Jego optymizm wzrósł jeszcze bardziej na wiadomość, że rozprawę poprowadzi sędzia Riker. Był surowy, nieustępliwy i zaciekły. Nie było na niego mocnych. Sędzia nienawidził przemocy. Mając do czynienia z gwałcicielami, wpadał w furję. Mówiono, że jakieś dziesięć lat temu zgwałcono jego siostrzenicę, ale sprawcy nie zostali ukarani, bo policjanci nie zebrali wystarczających dowodów.

Sędzia Riker energicznie wszedł do niewielkiej sali. Gęste czarne włosy sprawiały, że wyglądał jak Mojżesz. Powiedział asystentowi prokuratora, żeby zaczynał.

Asystent prokuratora zaczął i sprawa się skomplikowała.

Próbki spermy, niewątpliwie zidentyfikowanej jako pochodzące od Brandona Ashcrofta, zniknęły z laboratorium. Nikt nie mógł ich odnaleźć.

Pani Delliah zajęła miejsce dla świadków i zeznała, że, jak się okazało, jej córka pozwoliła jednemu z kolegów szkolnych zabawić się z nią. Ten zranił ją i to było przyczyną krwotoku. Ellie się przestraszyła i obwiniła o wszystko wuję, ponieważ był jedynym mężczyzną, jakiego знаła. Żle się stało, powiedziała pani Delliah, przykładając do oczu chusteczkę, bo wuj bardzo kocha Ellie. I teraz spotyka go taka przykrość.

Adwokat oskarżonego uśmiechnął się i powiedział, że nie ma pytań. Zażądał, by sędzia oddalił oskarżenie.

Sędzia Riker spojrzał twardo na asystenta prokuratora i zapytał:

- Czy chce pan, żeby zeznawała dziewczynka?

- Przy zamkniętych drzwiach, wysoki sędzie.

- Oczywiście.

Taylor czekał przez trzy kwadransy, niespokojnie przemierzając korytarz.

- Oddalam oskarżenie przeciw panu Ashcroftowi. Następną sprawą - powiedział sędzia Riker.

I po wszystkim. Po prostu. Nic więcej. Po wszystkim i facet został uwolniony. Taylor poszedł do męskiej toalety i zwymiotował trzy filiżanki kawy, którą wypił. Enoch starał się go uspokoić.

- Posłuchaj, Taylor. Takie rzeczy się zdarzają. Obydwaj o tym dobrze wiemy. Do diabła, co

jeszcze mógłbyś zrobić?

Taylor spojrział na niego i wyjął z kieszeni małą kasetę magnetofonową.

- Odtworzyć to sędziemu - powiedział.

Sędzia Riker siedział jak skamieniały, słuchając taśmy, na której Ellie Delliah opowiadała Taylorowi o gwałcie.

Kiedy nagranie się skończyło, sędzia przycisnął grubym paluchem guzik magnetofonu i skasował zapis.

- Przykro mi, poruczniku, ale dziewczyna przysięgła, że to, co powiedziała jej matka, jest zgodne z prawdą. Odmówiła jednak podania nazwiska chłopaka. Wierzę panu. Oczywiście, że panu wierzę. Wierzę, że jej wuj jest winny i potrzebuje pomocy specjalistów. Ale nie mogę nic zrobić. Niech pan zapomni o całej sprawie, poruczniku. Jest mi równie przykro jak panu, ale prawo jest prawem. Proszę wracać do pracy i zapomnieć o wszystkim.

Taylor wstał, wpatrując się w magnetofon.

- Dobrze pan wie, że życie tej małej zmieni się w piekło. Chyba pan sobie nie wyobraża, że wuj teraz przestanie. Będzie pewny, że może ją teraz bezkarnie wykorzystywać. Już raz udowodnił, że znajduje się poza prawem.

- Nie. Myślę, że wuj zapłacił jej matce za zmianę zeznań. Zapłacił jej mnóstwo pieniędzy. Może pan być pewien, że wkrótce obie stąd znikną i pojedą w nieznane. Więc, jak widać, coś dobrego ze sprawy wynikło. Dziewczynka uwolni się od faceta.

Taylor nie był uszczęśliwiony. Ale skinął głową i uściśnął dłoń sędziego, po czym wyszedł z sądu. Modlił się, by sędzia miał rację. Po odwołaniu oskarżenia sprawa nie kwalifikowała się dla opieki społecznej. Nie można było matce odebrać prawa do opieki nad Ellie.

Trzy tygodnie później Taylor zakończył dochodzenie w sprawie rozprowadzania kokainy. Troje nastolatków umarło z przedawkowania, a sprzedawca, dziewiętnastoletni chłopak, pozostał na wolności. Kapitan zawołał Taylora do swego gabinetu, zamknął drzwi i oświadczył, że Ellie Delliah nie żyje.

- Przykro mi, Taylor - powiedział cicho. - Dziewczyna wyskoczyła przez okno toalety w prywatnej szkole na rogu Osiemdziesiątej Pierwszej i Madison. Trzecie piętro. Spadła na betonowy chodnik.

Następnego dnia Taylor zrezygnował z pracy w policji. Enoch Sackett, jego długoletni partner i przyjaciel, także odszedł.

1987 Lindsay

Przejeżdżająca taksówka chlapnęła czarnym błotem i zbryzgała Lindsay nowiutkie botki z jasnobrązowego zamszu. Oglądała je, przeklinając pod nosem. Były zupełnie zniszczone. Zaklepała jeszcze raz. Kupiła je za wypłatę od wydawnictwa Hoffmana i Meyersa, gdzie od pół roku pracowała w dziale reklamy. Rozzłoszczona, weszła do cichego baru na rogu Sześćdziesiątej Piątej i Broadwayu, dokładnie na wprost Centrum Lincolna. Był to staroświecki bar irlandzki o nazwie County Cork, mroczny i wygodny, przesiąknięty zachęcającym zapachem.

Lindsay usiadła we wnęcie na czarnej skórzanej kanapce i wdychała zmieszana woń piwa, whisky i solonych orzeszków. O tej porze dnia, obszerne pomieszczenie było prawie puste. Dochodziła czwarta po południu, była środa. Wszyscy byli jeszcze w pracy. Wszyscy z wyjątkiem Lindsay, która właśnie rzuciła pracę i odczuwała ulgę oraz przygnębienie.

Spojrzała na barmana i zamówiła białe wino. Raz jeszcze popatrzyła na swoje nowe botki. Plamy

ślota przeszły i pozostawiły na złocisto brązowym zamszu ohydne ciemne ślady.

Kiedy barman przyniósł jej wino, miała ochotę wypić je jednym haustem, ale powstrzymała się i zaczęła powoli sączyć zawartość kieliszka. Spoglądała w zamyśleniu na rzeźbiony, pięknie wypolerowany drewniany stół. Wspomniała swego szefa, Nathana, i żałowała, że odchodząc godzinę temu z pracy, nie przyłożyła mu pięścią. Lecz była przecież opanowana i dorosła. Powiedziała mu tylko, żeby sobie znalazł inną niewinną duszyczkę z dyplomem psychologii. Wyszła, zastanawiając się, czy facet się zorientował, że zapłacono jej z góry za pracę do końca tygodnia. Kto by się tym przejmował? Miała to z głowy. Do jej obowiązków należało, między innymi, towarzyszenie autorom i opieka nad nimi oraz usuwanie im wszelkich kłód spod nóg.

Jej ostatni podopieczny był zapalonym graczem w golfa i napisał książkę na temat skandali dotyczących tej dziedziny sportu. Lindsay słuchała go, śmiała się z opowiadanych przez niego anegdot, starała się go wprawić w dobry nastrój. Facet chciał ją zaciągnąć do swego apartamentu w hotelu. Kiedy poskarżyła się w pracy, co ten głupek chciał zrobić, szef kazał jej wracać i uszczęśliwić klienta. Odparła, że umowa nie przewidywała świadczenia usług prostytutki.

W czasie rozmowy z jej szefem, golfista nazwał ją donosicielką i uskarżał się na jej niechęć do współpracy. Lindsay roześmiała się, wspominając wyraz twarzy swego byłego przełożonego. Znow mogła się śmiać. Była wolna, dopóki nie znajdzie sobie nowego zajęcia. Rozejrzała się po barze. Trzymając w obu dłoniach kieliszek, spostrzegła mężczyznę sączącego whisky. Prowadził chaotyczną rozmowę z barmanem, wąsatym i brzuchatym mężczyzną przepasanym fartuchem. Barman przecierał kieliszki białą ściereczką, ruchy miał powolne i hipnotyzujące. Jego oczy spoglądały sennie i ze znużeniem. Lindsay zastanawiała się, czy barman rzeczywiście słucha swego rozmówcy.

Klient opowiadał o swoim BMW i o tym, jak tłok pompy nie znosi śniegu i ślota i jak karoseria się niszczy od soli, którą posypano nawierzchnie po zamieci. Barman kiwał głową i przecierał kufle na piwo. Mężczyzna dopił whisky i zamówił następną. Znow zaczął mówić, ale Lindsay nie rozumiała jego słów. Był po czterdziestce. Jego cera miała oliwkowy odcień, włosy były gęste i kręcone, sylwetka szczupła. Do tego chłopięce rysy twarzy i pełen wdzięku uśmiech. Ubranie wyglądało na kosztowne. Głos brzmiał łagodnie i miękko. Lindsay słuchała go w roztargnieniu, po to tylko, żeby zabić czas, dopóki nie przeschną jej buty. Żadnych spacerów w taką pogodę. Była umówiona na kolację z Gayle Werth w ich ulubionej meksykańskiej restauracji na Siedemdziesiątej Pierwszej Ulicy i miała do tego czasu jeszcze kilka godzin.

Do baru weszła jakaś kobieta. Lindsay nie mogła od niej oderwać oczu. Kobieta była otulona w czarne futro z norek. Na nogach miała czarne skórzane botki na wysokich obcasach. Nosiła ogromny kapelusz, także z norek, i torebkę, w której prawdopodobnie nie miała nic prócz szminki. Była wspaniała, pewna siebie i najwyraźniej przyszła tu w ważnej sprawie. Podeszła do mężczyzny przy barze i dłonią w rękawiczce lekko dotknęła jego ramienia.

- Ach, rudzielcu - powiedział, zwracając się do niej z uśmiechem. - Cieszę się, że jesteś. Napijesz się czegoś?

- Tak, dziękuję, Vinnie. Piwo imbirowe. A potem chcę z tobą porozmawiać. Glen mi powiedział, że cię tutaj zastanę.

- Glen za dużo gada. Dickie zrób drinka rudej. Żadnych kalorii. Spójrz na swoje uda, Janine. Fałdy tłuszczu widoczne nawet przez futro. Na dziś dość przekąsek, kochanie, zrozumiałaś?

I wtedy Lindsay ją rozpoznała. Modelka. Lindsay widziała ją kilka dni temu na okładce czasopisma dla kobiet, w poczekalni u dentysty. Była prawie równie piękna jak na zdjęciu. Teraz

wściekała się na mężczyznę przy barze. Mówiła coś ze złością, z każdym słowem coraz głośniejsze.

- Dość mam twoich pouczeń, Vinnie, słyszysz? Do cholery, mam dosyć!

Ciekawe, czego ma dość? zastanawiała się Lindsay.

- Posłuchaj mnie, dziecino, albo będziesz przestrzegająca zasad, albo odejdiesz w niepamięć.

Barman podał jej szklanekę wody mineralnej Perrier.

- Od dąsów i skamlania dostałaś zmarszczek wokół ust. Dość tego. Żadnych humorów, zrozumiałaś?

Kobieta chlusnęła mężczyźnie wodą w twarz. Plasterek cytryny wylądował mu na kolanach.

- *I jeszcze jedno. Wychodzę za mąż za Arthura Penderleya III i będę cię mogła kupić i odsprzedać, ty pozbawiony fiuta draniu!*

Otuliła się swoimi pięknymi norkami, imponującym gestem odrzuciła głowę do tyłu, tak że omal nie spadł jej futrzany kapelusz, i wyszła z baru.

- Rany - powiedział barman. - To dopiero dama. Nosi na grzbiecie z dziesięć tysięcy dolców.

- Można o niej wiele powiedzieć - odparł mężczyzna o imieniu Vinnie, ocierając sobie twarz. - Ale z pewnością nie to, że jest damą. Do diabła, Dickie, cieszę się, że odeszła z biznesu. Była już wypalona i to zaczęło być widoczne w jej pracy. Zdarzyło się już kilka skarg na jej zachowanie, masz pojęcie? Kiedy reżyser lub fotograf zaczyna się uskarżać na modelki, mamy kłopoty. Zwykle są tacy zajęci sobą, że nie zauważą nawet samego Pana Boga. Tak to właśnie wygląda. Daj mi jeszcze jedną serwetkę, dobrze?

Nagle barman zawołał:

- Hej, panienko, chce pani drugi kieliszek wina? Lindsay zajęta śledzeniem zdarzeń, odkrzyknęła:

- Tak, tym razem podwójny!

Facet o imieniu Vinnie uniósł głowę. Przestał wycierać spodnie. Skinął głową i uniósł swoją whisky w milczącym toaście.

Lindsay uśmiechnęła się do niego. Nie ma nic lepszego niż cudze kłopoty, aby zapomnieć o swoich, pomyślała z zadowoleniem i przesłała mu szeroki uśmiech.

Vincent Rafael Demos nie wierzył własnym oczom. To wina whisky, pomyślał. Ten jej uśmiech. Elektryzujący. I te jej wilgotne włosy - zmierzwiłone, gęste i przesycone wieloma barwami - od jasnopopielatych po ciemnobrązowe. Wszystkie zdawały się chłonać światło i załamywały je w głębokich naturalnych falach. Świetne włosy bez żadnej pianki. Co się tyczy jej oczu, cóż, wkrótce je zobaczy.

- Ja jej zaniosę to wino, Dickie. Dopisz mi do rachunku.

Lindsay widziała, że mężczyzna zbliża się do niej. W prawej dłoni trzymał wino, w lewej whisky. Patrzył na nią uważnie, teraz już bez uśmiechu. Poczowała przelotny strach. Zwalczyła go. Żadnego strachu. A przynajmniej strachu nieusprawiedliwionego. Skoro ten facet chce jej postawić wino, cóż to szkodzi? Była bezrobotna. To wcale nie znaczy, że mężczyzna ma zamiar się na nią rzucić. A poza tym czuła się przygnębiona.

- Nazywam się Vincent Demos, albo po prostu Vinnie, jak zwracała się do mnie Janine. Albo po prostu Demos, co wolę. Oto pani wino. Ja stawiam. Czy mogę się na chwilę przysiąść?

- Jasne. O ile nie będzie pan opowiadał o BMW. Uśmiechnął się i usiadł naprzeciw Lindsay. Uniósł kieliszek.

- Studiuje pani?

- Już nie. Posiadam wyuczony zawód. Dziś po południu porzuciłam pracę. Nazywam się Lindsay

Foxe.

Uścisnęli sobie dłonie. Jego była wąska i sucha, uścisk miał silny.

- Miło mi panią poznać, madame. Skinęła głową.

- Ma pani najpiękniejsze oczy, jakie dotychczas widziałem. Pełne seksu i inteligencji, to ciekawa kombinacja. To nie są barwne szkła kontaktowe, prawda? Nie, myślę, że to naturalny kolor. Ile pani waży?

- Sto trzydzieści funtów. Co wygram, jeśli prawidłowo odpowiem na pańskie pytania?

- A wzrost?

Zdziwiona przekrzywiła głowę.

- Pięć stóp, jedenaście cali. W porządku, mam prawie sześć stóp wzrostu.

- Nie wyglądasz na otyłą. Masz długie nogi?

- Do samej ziemi.

- Jesteś także pyskata. Lubię takie. Jak już mówiłem, nazywam się Demos, jestem właścicielem Agencji Modelek na rogu Madison i Pięćdziesiątej Trzeciej. Jestem uczciwy, możesz zapytać Dickiego, nie wykorzystuję kobiet. Chciałbym ci zrobić próbne zdjęcia. Nic cię nie będą kosztowały. Ja zapewniam fotografa i stroje. Jesteś zainteresowana?

- Nie wyglądasz na takiego, co wykorzystuje kobiety.

- Bo to prawda, słowo honoru. I nie musisz pozować nago do tych zdjęć. Nie robię kalendarzy ani rozkładówek do magazynów z gołymi babkami. Trudnię się reklamą, wszystko jest legalne. Jesteś dobra. Możesz zbić niezła kasę i ja także. Ile masz lat?

- Dwadzieścia dwa. Wiosną ukończyłam wydział psychologii na uniwersytecie Columbia. Wiem, że to nic nie warte, ale zawsze to jakieś studia.

- Pozowałaś już kiedyś jako modelka? Pokręciła głową, a potem powiedziała:

- Ta kobieta, która tu była. Poznałam ją. To modelka. Widziałam ją na okładce jakiegoś pisma.

- Okładka „Cosmo” z ostatniego miesiąca. To już eksmodelka. Janine odeszła na emeryturę.

- Potrzebujesz następczyni Janine? Przyglądał jej się uważnie, długo i w milczeniu.

- Nie - odparł w końcu. - Chcę czegoś zupełnie nowego, i to możesz być ty. - Opadł na oparcie, zamyślił się i wznosił kieliszek z resztką whisky.

- Masz dobry układ kości. To połowa sukcesu. Więc jak? Zrobimy te próbne zdjęcia, Lindsay Foxe?

- Kiedy?

- Jutro. Powiedzmy o pierwszej.

- Czemu nie? Już od dwóch godzin nie pracuję w wydawnictwie.

- Jesteś związana z jakimś facetem? Zesztywniała.

- Nie.

- To dobrze. Przyjaciel tylko by nam zawadzał. Zdjęcia wykonuje się o różnych dziwacznych porach.

- Nie mam chłopaka.

- Mówisz, jakby tak było zawsze.

- Bo tak jest, panie Demos. Tak właśnie jest.

- Wolisz kobiety?

- Me. Z nikim się nie wiązę.

- Dobrze. Jeśli się nadasz, będziesz musiała stracić jakieś dziesięć funtów, może piętnaście.

Aparat fotograficzny dodaje ciała.

- Słyszałam o tym. Dziesięć funtów to bardzo dużo. Piętnaście to zupełnie niemożliwe. Nie wiem, czy mogę tyle zrzucić i czy zechcę się aż tak głodzić.

- Tylko się zastanawiam. Na zdjęciu możesz wyglądać inaczej. Te wspaniałe cienie pod kośćmi policzkowymi mogą zupełnie zniknąć. A podbródek może wyglądać jak ochraniacz hokeisty. Jesteś także trochę za stara jak na początkującą modelkę. Przemyśl to sobie, Lindsay. Zadzwoń jutro rano i powiedz, co postanowiłaś. I wyśpij się, żeby te piękne oczy nie były jutro przekrwione.

- Trudno uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Zupełnie jak w filmie.

- Wiem - Demos odpowiedział z uśmiechem, ukazując dwie złote plomby. - Ale zawsze twierdzę, że to życie czerpie z filmu, nie na odwrót. Prawda jest taka, Lindsay, że modelki nie pojawiają się w moim biurze znikąd. Przychodzą tam zwykle nieciekawe dziewczyny. Janine wypatrzyłem na przyjęciu w Village. Miała krzywe zęby i okropnie utlenione włosy, ale dojrzałem w niej możliwości. Dwie świetne modelki spotkałem po prostu w barze, jak ciebie. Jednej z nich trzeba było skorygować uszy. Inną modelkę zobaczyłem na pogrzebie mojej ciotki. Jeszcze inną moja matka wypatrzyła w programie „Randka w ciemno”. Nigdy nie wiadomo. Jeśli się chce, żeby agencja odnosiła sukcesy, tak jak moja, trzeba mieć stale otwarte oczy. Zadzwoń do mnie, OK?

Tego wieczoru w Los Panchos, przy margaricie, czipsach i ostrym sosie, Lindsay powiedziała swojej przyjaciółce, Gayle Werth:

- Może w przyszłym roku znajdę się na okładce Vogue'a.

- Jasne, kochana. A może zostaniesz wybrana Miss Stanów Zjednoczonych.

- Modelek się nie wybiera.

- Mówię tylko, żebyś sobie nie robiła zbyt wielkich nadziei, Lindsay. Facet może być kryminalistą.

Sprawdź go, zanim się zaangażujesz, co?

- Już to zrobiłam. Jest bardzo znany w swojej branży. Znalazłam go w książce telefonicznej, adres jest prawdziwy i agencja mieści się w bardzo dobrym punkcie. Zatelefonowałam nawet do „Cosmo” i wypytałam o niego. Hmm... Mam duże cycki. Czy modelki nie muszą przypadkiem wyglądać jak anorektyczki?

Gayle wzruszyła ramionami.

- Pójdę tam z tobą. Chcę mieć pewność, że nie okazałaś się nazbyt ufna i nie podpisałaś jakiejś niekorzystnej oferty.

- Ja zbyt ufna? - Lindsay była bardzo zaskoczona. - Chyba żartujesz?

- Nie, jesteś cholernie naiwna, Lindsay. Och, zapomniałam ci powiedzieć. Dziś rano widziałam w kampusie tego twojego profesora Gruskę. Rzucił się za mną, żeby mnie dogonić. Chciał się dowiedzieć, co u ciebie. Chciał, żebym mu dała twój numer telefonu.

Lindsay zakrztusiła się czipsami i musiała popić go wodą.

- Nie dałaś.

- Nic się nie martw. Podałam mu zmyślony numer. Odszedł bardzo zadowolony.

- Czego on może chcieć?

- Prawdopodobnie tego, czego chcą wszyscy mężczyźni. Chce się znaleźć w tobie.

- Nie sądzę. Ojciec by mu na to nie pozwolił.

- Wydawało mi się, że jesteś taka niezyciowa, Lindsay. A tu się okazuje, że masz drugie, nieznanne oblicze. Cyniczne i dowcipne. Czasami w ogóle cię nie rozumiem.

- Nie ma tu nic do rozumienia - odparła Lindsay i zawołała na Ernesto, żeby przyniósł jeszcze

dwie margarity, mrozone i z solą.

ROZDZIAŁ 8

1988, Lindsay/Eden

Był upalny czerwcowy dzień, południe dopiero się zbliżało, a temperatura już przekroczyła trzydzieści stopni. Lindsay nie chciało się iść piechotą do Agencji Demosa, ale przybrała na wadze dwa funty, a pocenie się podczas spaceru było najłatwiejszym sposobem zrzućcia wagi. Dotarła do Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy i spojrzała w górę, oczekując, że zobaczy Glena, machającego do niej z okna jedenastego piętra przedwojennego budynku z solidnej cegły, ciemnego i brudnego, wymagającego porządnego czyszczenia, jak większość domów w tej dzielnicy. Nie dostrzegła Glena. Uśmiechała się na myśl o czekającym ją pozwaniu. Miała reklamować kosmetyki Lancome, a ludzie z agencji reklamowej byli zabawni i inteligentni, prawdziwi żartownisie. Dzisiaj ona ich rozbawi.

Schyliła się, żeby podciągnąć luźne wojskowe skarpetki, miły dodatek, pomyślała, do zielonej bawełnianej koszulki wyrzuconej na wytarte dzinsy.

Zauważyła pięknie ubraną kobietę wysiadającą z taksówki. Prawdziwe zjawisko, w jasnoróżowym jedwabiu, który powinien się gryźć z lśniąco rudymi włosami uczesany w wysoki kok, ale jakoś się nie gryzł. Lindsay pożerała ją wzrokiem. Pokręciła głową, jak by chciała zaprzeczyć temu, co widzi, a potem odezwała się bardzo spokojnie:

- Sydney, to ty?

Jej przyrodnia siostra obejrzała się i spojrzała na Lindsay, na jej poskręcane włosy związane gumką w koński ogon, na błyszczącą twarz bez śladu makijażu i na luźną białą koszulę.

Milczała, patrzyła i wyglądała pięknie; szczupła i doskonała jak zawsze. Przyglądała się twarzy Lindsay, jej włosom i dyndającym u uszu kolczykom w kształcie butelek coca-coli.

- Sydney, to ty, prawda?

- Cześć, Lindsay. Dawnośmy się nie widziały. Lindsay nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nikt jej nie ostrzegł, że Sydney tu będzie. Poczła gniew i ból. Stała i patrzyła na swoją przyrodnią siostrę. Owo chłodne, wspaniale stworzenie bardzo się różniło od rozhisteryzowanej kobiety sprzed pięciu lat. A potem, rozhisteryzowana kobieta z Paryża zmieniła się w złośliwą jędzę, sprzymierzoną z ojcem.

- Tak - powiedziała Lindsay, wciąż nieporuszona. - Kawał czasu. Pięknie wyglądasz, Sydney.

- A ty, cóż, wciąż jesteś tą samą Lindsay, prawda?

- Myślę, że ludzie tak bardzo się nie zmieniają. Lindsay zdziwiła się wrażeniem, jakie zrobiły na niej słowa siostry. Poczucie niższości, nagłe bardzo dotkliwe poczucie niższości. Wydała się sobie brzydka nic niewarta, niezręczna i nieciekawa. Wyprostowała się na całą wysokość, górując nad Sydney, która w swoich modnych szpilkach miała zaledwie pięć stóp i siedem cali.

- Wydawało mi się, że się troszkę zmieniłaś. Przynajmniej na tych lśniącoych fotosach wyglądasz z całą pewnością inaczej. Jak oni to robią? Posługują się dymem, lustrami?

- Ciepło, ciepło - roześmiała się Lindsay. - Mamy fotografa, który potrafi nieźle dokuczyć, i człowieka kierującą zdjęciami, który zwykle wrzeszczy, grozi i wymachuje pięściami, specjalistę od makijażu i od włosów, i kogoś od ubrań, ekipę techniczną... Cóż, sama widzisz. Pomyślisz, że to obłąd, ale tak nie jest. Zazwyczaj wszystko idzie gładko. Tylko że wszyscy są hałaśliwi i dużo mówią.

Stały na trotuarze, wokół nich przechodzili ludzie, słońce prażyło je w głowy.

Żadna z sióstr się nie poruszyła.

- Chciałabym z tobą zawrzeć pokój - powiedziała nagle Sydney.

Lindsay spojrzała w twarz siostry, ale nie dostrzegła w tam niczego prócz absolutnie doskonałych rysów i uderzającego piękna orzechowych oczu, które wyrażały jedynie chłodny intelekt.

- Straszny tu upał. Mam jeszcze chwilkę - zaproponowała Lindsay. - Przejdziesz ze mną na drugą stronę ulicy, żeby się napić czegoś zimnego?

Sydney Foxe di Contini, znana jako *La Principessa*, stała nieporuszona. Pięć lat, to długo, bardzo długo, myślała. Doznała wstrząsu, kiedy sięgnęła po kwietniowy numer „Elle” i na okładce ujrzała swoją przyrodną siostrę, tak nieziemsko piękną, szczupłą, modną. Po dokładnym przestudiowaniu fotografii doszła do wniosku, że nie ma do czynienia z klasyczną pięknoscią. To była twarz Lindsay, pełna tego czegoś nieuchwytnego, co jest właściwością niektórych kobiet.

Sydney patrzyła wtedy na fotografię; teraz miała przed sobą zwykle stworzenie. Nie, mało powiedzieć, zwykle. Miała przed sobą katastrofę. Te okropne adidasy na grubej podeszwie... Zastanawiała się, czy Lindsay uważa za zabawne paradowanie w takim stroju, by potem poddać się niewiarygodnej transformacji i przedzierzgnąć w luksusową modelkę.

Jeszcze raz wspomniała wspaniałą egzotyczną piękność z okładki „Elle”. Dziewczynę o gęstych lśniących włosach, aroganckim uśmiechu i owych seksownych niebieskich oczach. To nie mogła być Lindsay. Nie, Lindsay była niezgrabną, żalosalną dziewczyną, którą widziała w Paryżu, zgwałconą przez Alessandro.

Sydney natychmiast chwyciła za telefon, by zapytać ojca, dlaczego jej nie powiedział. Ale po chwili odłożyła słuchawkę. Ojciec nigdy nie mówił o Lindsay. Takie pytanie tylko by go zdenerwowało, a Sydney nie lubiła, kiedy był zły, bo stawał się wtedy zimny, twardy i nieustępliwy. I nagle wpadła na doskonały pomysł, naprawdę błyskotliwy. Była przecież znana jako *La Principessa*, słynna z urody, wdzięku i dobrego smaku. Wkrótce wprowadziła pomysł w czyn. Wszystko przebiegło tak, jak sobie zaplanowała. Zresztą nigdy nie wątpiła, że tak się stanie. Trzy dni temu zostawiła Melissę pod opieką babci i pradziadka oraz trojga służących rodziny di Contini, po czym wsiadła w samolot odlatujący do Nowego Jorku.

Bardzo dziwne, że nikt jej nie powiedział o sukcesie Lindsay jako modelki, myślała wielokrotnie podczas lotu. Nie wiedziała, gdzie jej siostra mieszka, i nie bardzo ją to obchodziło. Nie miała zamiaru pytać o adres babcię Foxe, bo starsza pani mogłaby uznać jej nieznajomość przedmiotu za obojętność wobec przyrodniej siostry. Jak miałyby jej wytłumaczyć, że pytając o adres Lindsay, musiałyby wspominać owe okropne chwile przeżyte w Paryżu? Musiałyby spojrzeć w oczy własnej słabości, żalosalnej hysterii, kobiecie, która nie była prawdziwą Sydney. Na samo wspomnienie siebie w Paryżu robiło jej się niedobrze.

Uśmiechnęła się na widok bardzo zwyczajnej kobiety stojącej naprzeciw. Widząc Lindsay, poczuła się dużo pewniej. I nie wspominała Francji. Lindsay wyglądała tak jak zawsze. Nie było w niej nic magicznego. Nic a nic. Była okropnie wysoka i koścista, ubrana niegustownie w rzeczy, które

wyglądały jak odrzuty z lat siedemdziesiątych. Przez ramie przewieszoną miała wypchaną torbę, w której zmieściłaby się lodówka. Kto ją ubierał? Śmiechu warte. Sydney nie czuła wyrzutów sumienia. Nie czuła nic. Poza ogromną ulgą. Wkrótce ruszy swoją drogą ku sukcesom.

- Sydney?

- Jasne. Chodźmy do tego małego baru. Przyjechałam na kilka dni, w interesach, i pomyślałam sobie, że powinniśmy pogadać. Spieszysz się? Może porozmawiamy teraz? W tym upale nie od rzeczy będzie kieliszek wina. Zapomniałam, jak bardzo nienawidzę Nowego Jorku latem. Nie rozumiem, jak ty to znosisz.

- Nikt tego nie lubi. Po prostu się żyje.

Weszły do Jay Glick's Saloon i Lindsay natychmiast sięgnęła po telefon. Zadzwoiła do agencji. Natrafiła na Glena w najgorszym z możliwych nastrojów.

- Tak, słonko, jestem tu, ale ciebie nie ma. Gdzie się podziewasz, do diabła? Wyjrzałem przez okno i widziałem cię z tą elegancką kobietą. Czy to kobieta, słonko? A może dopisało mi szczęście i nie jest tylko kobietą? To jakaś królowa?

- Nie, Glen. To moja przyrodnia siostra. Powiedz Demosowi, że przyjdę na czas. Mam prawie trzy kwadransy do chwili, kiedy pojawią się ludzie z Lancome. - Zamilkła i wysłuchiwała potoku słów Glena. Kiedy się wygadał, udało jej się wtrącić: - Nie, Glen. Moja siostra dopiero przyjechała. Tak, właśnie. Słynna *principessa*. Dobrze, później. Godzinę, nie dłużej. Nie, powiedz Demosowi, że jem ekierki tuzinami. Jasne, niech dostanie zawału. O, tak, prawdziwa uczta dla ludzi od reklamy. Tak, bezczelna, i tym razem ich zażyję. Do zobaczenia wkrótce.

Lindsay usiadła naprzeciw siostry. Na stole czekał już kieliszek białego wina. Uniosła go, a potem odstawiła z westchnieniem. Zamówiła Perriera. Sydney powiedziała:

- Wiesz, że mam córkę?

- Tak. Ma na imię Melissa. Babcia przysłała mi jej zdjęcie. Piękna. Wygląda zupełnie jak ty.

- Nie wiedziałam, że jesteś modelką.

Lindsay wzruszyła ramionami i stuknęła szklanką Perriera o kieliszek Sydney. Czuła ból w żołądku. Sydney pewnie miała ją za nic. Powiedziała babci i matce o karierze modelki, ale najwidoczniej żadna z nich nie uznała za stosowne poinformować o tym ojca lub Sydney. A może mu powiedziały, ale jego to po prostu nie obeszło. Nic nowego. Ale dlaczego babcia nie powiedziała Sydney?

- Widziałam cię na okładce „Elle”.

- Miałam szczęście, tak to określił Demos. Redaktorka „Elle” narzekała na kształt moich uszu, czy coś takiego.

- Jesteś u Vincenta Rafaela Demosa.

- Skąd o nim wiesz?

- Większość kobiet z wyższych sfer słyszało o Deiosie i o jego modelkach, Lindsay.

- Ho ho! Wyższe sfery! - roześmiała się Lindsay, zachwycona snobizmem siostry. Ku jej zdziwieniu Sydney spąsowiała.

- Żartowałam.

- Jasne, Sydney. - Po raz pierwszy w życiu Lindsay poczuła, że jest górą. Wspaniałe, cudowne uczucie. - Co się mówi o Demosie i jego modelkach?

Sydney wzruszyła ramionami.

- Chodzi o jego reputację. Musiał sobie na nią zasłużyć, jak sądzę.

- Demos zawdzięcza ją Glenowi. - Lindsay ugryzła się w język. O mało nie wypaplała, że Glen jest kochankiem Demosa. - Glen jest dla niego matką, spowiednikiem, sekretarzem, asystentem, krótko mówiąc, jest jego prawą i lewą ręką. Kilkanaście lat temu uznał, że reputacja kobieciarza będzie korzystna dla profesjonalnego image'u Demosa. Demos rzadko sypia z kimś poza pudłem o imieniu Yorkshire oraz trzema syjamskimi kotami. - I, oczywiście, Glenem. - A teraz powiedz, co robisz w Nowym Jorku. Przyleciałaś, żeby sprawdzić, czy sypiam z Demosem? - Zamilkła na ułamek sekundy, po czym dodała: - Jesteś tu sama?

Sydney skinęła głową, wyczuwszy rysę w pewności Lindsay. Na pierwszy rzut oka młodsza siostra mogła się wydawać inna, ale to złudzenie. Niektóre sprawy nigdy się nie zmieniają. Sydney opadła na oparcie i przyglądała jej się z uśmiechem.

- Masz na myśli mego męża? W tym tygodniu Alessandro jest w Rzymie. Ostatnio rzadko przebywa w swojej willi w Mediolanie. Mieszkają w niej teraz jego dziadek i matka, Melissa oraz ja i kilkoro służby. Ta posępna świnią, jego siostra, wyszła za mąż za greckiego magnata od okrętów i spędza większość czasu na Krecie. Teraz ja się zajmuję prowadzeniem interesów rodziny. Tylko pomyśl, fabryka broni! Ojciec mieszka z nami przez jakieś trzy miesiące w roku. Cieszy się Melissa i, oczywiście, sprawia mu przyjemność moje towarzystwo. Jego żona jest znośna, przy pewnym wysiłku. Poznałaś ją, prawda? Holly to suka, ale jak już powiedziałam, można z nią wytrzymać, jeśli się nią odpowiednio pokieruje. Ja to potrafię. Podczas ostatniej wizyty ojca została w domu. Jest o mnie zazdrosna. Ojciec znalazł sobie kochankę w dwa miesiące po ślubie. On nigdy nie stanie się wiernym mężem. Twoja matka też się o tym przekonała zaraz. Zmieniłaś się. Trochę.

- Jestem już dorosła. Żyję samodzielnie. Ojciec z pewnością nie był także wierny twojej matce, Sydney.

- Moja matka umarła! Dobrze o tym wiesz! Ojciec ją kochał. Tylko ją. A po jej śmierci zmienił się, poddał.

Lindsay otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Kiedyś, przed wielu laty, podsłuchiwała jak Lansford, lokaj rodziny Foxe, mówił do kucharki, Dorrey, że pierwsza pani Foxe uciekła od sędziego i przeniosła się na Nową Zelandię. Wcale nie umarła. Ale Sydney z pewnością o tym wie. Tylko lubi udawać, że jest inaczej. Lindsay znowu poczuła, że jest górą. Uśmiechnęła się.

- Masz jakieś szczególne powody, by się ze mną zobaczyć, Sydney?
- Na miłość boską, dlaczego miałabym mieć jakieś specjalne powody? Jesteś moją siostrą!
- Jestem twoją siostrą od dwudziestu trzech lat. Więc dlaczego właśnie teraz? Nie widziałyśmy się przecież od pięciu lat.

Sydney milczała. Sączyła wino. Uznała, że sarkazm Lindsay jest zabawny. Co ma jej odpowiedzieć? Jeszcze chwilę potrzyma ją w niepewności.

- Może przyjechałam tu, żeby poszukać jakichś młodych dziewczic dla Alessandro. Lubi nówki. Teraz wyrzuciłby cię na zbity pysk i nawet na ciebie nie spojrzał. Jesteś dla niego za stara. To dotyczy twarzy i całego ciała. Czy wiesz, że Alessandro powiedział mi, że staniesz się piękną? Powtarzał mi to, a ja się śmiałam, bo dostrzegałam jedynie kościste nogi, sterczące łokcie i włosy, które wyglądały jak zmierzwiona kupa siana. On, oczywiście, wolał, kiedy byłaś koścista i niewinna. Gdyby cię zobaczył taką jak teraz, pewnie znów by cię zapragnął. Może by nawet przyznał, że się omylił co do twojej piękności. Zapytam go.

Lindsay skamieniała.

- Wciąż wspominasz tamtą noc? Doprawdy Lindsay, cóż znaczy zwykły seks w porównaniu do

dwukrotnego postrzelenia własnego męża? Pamiętam wyraz jego twarzy. Absolutne zdumienie, a potem zsunął się z ciebie. - Sydney wzruszyła ramionami. - Ale to już prawie pięć lat, Lindsay. Czas o tym zapomnieć. Muszę ci jednak wyznać, że wielokrotnie żałowałam, że taki marny ze mnie strzelec.

- Nie uważam, że coś takiego jest łatwo zapomnieć. Dlaczego się z nim nie rozwiodłaś?

- Chciałam uniknąć skandalu. To proste. Z tego samego powodu nie wniosłaś przeciwko niemu oskarżenia. Ojciec bardzo się dla nas napracował. I jest jeszcze sprawa pieniędzy. Ale dość gadania o moim mężu. Jak ci idzie w branży?

Lindsay chętnie zmieniła temat rozmowy. Boże, tyle o tym mówiły, a jednak wciąż za mało. Jak można o czymś takim zapomnieć? Zdała sobie sprawę, że Sydney się jej przygląda i szybko powiedziała:

- Demos znalazł mnie w zeszłym roku, w barze. Właśnie rzuciłam pracę w małym wydawnictwie i taksówka zachlapała błotem moje nowe botki. Topiłam przygnębienie w winie, kiedy mnie spostrzegł i się przysiadł. Brzmi nieprawdopodobnie, ale tak właśnie było. Powiedział mi, że tak bywa nawet często. Lubię Demosa. Jest sprytny i zabawny.

- Bardziej zabawny niż Alessandro?

Lindsay ścisnęła kieliszek. Szkło pękło i skaleczyło ją w palec. Wpatrywała się w spływającą krew.

- Chcesz plaster? - Tak.

Sydney starła serwetką krew z palca Lindsay i zalepiła go plastrem.

- Jest jak nowy.

- Dlaczego to powiedziałaś, Sydney? Dlaczego wciąż chcesz, żebym się podle czuła?

- Wcale tego nie chcę. Nie bądź głupia, Lindsay. Ale przyznaj, miałaś swoją przyjemność z Alessandro. Byłaś w nim ślepo zakochana przez ponad dwa lata, pamiętasz? I wcale nie starałaś się odejść, kiedy stwierdziłaś, że nie ma mnie w Paryżu z Alessandro, prawda? Poczułaś się kimś wyjątkowym. Już on się o to postarał. Jego urok jest nieodparty i Alessandro umie się nim posługiwać.

- Byłam głupią nastolatką!

- To prawda, Lindsay. Czy wiesz, że Alessandro nadal twierdzi, że go uwiodłaś? Mówi, że wcale cię nie pragnął, ale litował się nad tobą, bo byłaś taka niezręczna i zakłopotana, i taka cholernie żalosna. Dlatego właśnie zaprosił cię do Paryża. Nikt cię nie chciał i byłaś taka samotna. Nie miał pojęcia, że myślałaś o nim poważnie. Twierdzi, że go uwiodłaś, że się narzucałaś.

Lindsay spojrzała na swój zalepiony plastrem palec. Czowała się obnażona, naga i zmarznięta do szpiku kości. To się nigdy nie skończy. Wiedziała o tym. Przeszłość będzie ją wciąż prześladować, ciemna i paskudna. Nawet po pięciu latach. Nie może pozwolić, żeby Sydney miała ją za nic. Nie teraz. Jest już dorosła, ma dwadzieścia trzy lata.

Spojrzeła na przyrodną siostrę.

- To, co mówisz, ma oczywiście sens - powiedziała spokojnie. - Teraz, kiedy się zastanowię, widzę, że biedny Alessandro nie mógł się przeciwstawić mojemu urokowi nastolatki. Zagroziłam mu, że będę wrzeszczana na cały hotel, jeżeli mi nie przyłoży w szczękę, co najmniej dwa razy. Tak, to było cudowne. To wspaniałe, być poszarpaną od środka. Nie ma nic przyjemniejszego. Każda nastolatka powinna się dowiedzieć, jaką posiada władzę nad mężczyznami. Cóż, mam to już za sobą, więc może porozmawiamy o sporcie albo o czymś równie podniecającym.

- Uzbroiłaś się, prawda?

- A ty robisz się nudna, Sydney. Po co tu przyjechałaś? Czego chcesz? Drażnić się ze mną, żeby nie wyjść z wprawy?

- Och, nie. Nigdy nie stanowiłaś godnej przeciwniczki. Zawsze byłaś taka wrażliwa. Zapominałaś języka w gębie nawet po najniewinniejszym żarciku. Wiedziałaś, że jesteś paskudna.

- Stara śpiewka. Po co tu przyjechałaś? Co ci złego zrobiłam?

Lindsay patrzyła na przyrodnią siostrę, starając się ją zrozumieć, żalując, że nie może jej przejrzeć na wylot. Boże, ależ ona jest piękna. W porównaniu do niej Lindsay czuła się jak koczoluch. Piękna, doskonała Sydney z idealnym dzieckiem i z mężem, który miał słabość do nastolatków.

- Poruszyłam temat mego męża, żeby zobaczyć, jak zareagujesz, siostrzyczko. Twierdzisz, że jesteś dorosła. Chciałam to sprawdzić, przekonać się, czy mówisz prawdę. Możesz mi wierzyć, albo nie, ale Alessandro jest raczej dobrym ojcem, a może nawet uczciwym mężem, jak na mężczyznę. Przykro mu, że tak źle się z tobą obszedł. Chciał, żebym ci to powiedziała. Mam mu uwierzyć? Nie jestem pewna.

- To dlaczego powiedziałaś mi to wszystko, wtedy w Paryżu? Dlaczego wróciłaś? Dlaczego przyniosłaś rewolwer? Na Boga, Sydney, strzelałaś do niego!

Sydney tylko wzruszyła ramionami.

- Nie pamiętam, co ci wtedy powiedziałam. Byłam zdenerwowana, widząc że młodsza siostrzyczka pieprzy się z moim mężem. Gdybyś ty była na wierzchu, prawdopodobnie strzeliłabym do ciebie. - Jeszcze raz wzruszyła ramionami. - Alessandro jest jak większość mężczyzn. Łącznie z moim, o, przepraszam, naszym ojcem. Od czasu do czasu błądzi. Tak stało się z tobą. Zbłądził. Już ci mówiłam, że mu jest z tego powodu przykro. Chciałby się z tobą zobaczyć, żeby naprawić swój błąd.

- Nie. Za nic w świecie nie zobaczę się z tym łajdakiem. A ty kłamiesz, Sydney. Dlaczego?

- Widzę, Lindsay, że nic się nie zmieniło. Minęło pięć lat. To bardzo długi czas. Byłaś wtedy młoda i zakochana, i głupia. On nie powinien pozwolić ci zostać w apartamencie, ale postąpił źle. Stało się. Po prostu o tym zapomnij.

Lindsay nigdy nie zdoła zapomnieć, przynajmniej nie dopóki Sydney będzie się co pięć lat pojawiać w jej życiu i rozrywać zabliznione rany. Prędzej umrze, niż się upora ze wspomnieniami. Wie o tym, pogodziła się z tym i jakoś sobie z tym radzi.

- Przyjechałam, żeby się z tobą zobaczyć. Ale także z kimś innym. Nie mówiłam ci i nie powiedziałam ojcu. Będzie się wściekał, jestem pewna, ale nie dbam o to. Kilka tygodni temu rozmawiałam z Vincentem Demosem, a przedtem posłałam mu kilka swoich pięknych fotosów. Krótko mówiąc, moja droga siostrzo, on chce, żebyśmy pozowały razem. Uważa, że jestem piękna i stylowa oraz mam patrycjuszowski wygląd. W przeciwieństwie do ciebie, reprezentującej typ zdrowej Amerykanki. Oczywiście w odpowiednim stroju i makijażu. Demos uważa, że dwie siostry - włoska księżniczka oraz znana modelka - będą się bardzo dobrze sprzedawać. Mają teraz wypuścić nowe perfumy Arden i chcą, żebyśmy je reklamowały. Sama rozumiesz, zapach, który przemawia do dwóch odmiennych typów kobiet.

Lindsay nie mogła w to uwierzyć.

- Nic mi nie powiedział.

- Powiedziałam, żeby ci nie mówił. Chciałam ci to zakomunikować osobiście. Nie rozumiesz? *La Principessa* i Eden. Obie całujemy butelkę z perfumami albo się nimi wzajemnie spryskujemy.

- Ale dlaczego zapragnęłaś zostać modelką? To wcale nie takie zabawne, Sydney. To ciężka harówka. Wciąż trzeba pilnować diety, kłaść się spać o dziewiątej wieczorem, bo zdjęcia przeważnie robi się wcześniej rano, a trzeba zrobić makijaż, fryzurę i przygotować ubrania. To wyczerpujące. Często się zdarza, że reżyser to wariat, a fotograf. Na miłość boską, jesteś prawniczką, księżną, prowadzisz interesy!

Sydney roześmiała się, popijając wino.

- Mówiłam ci, że podoba mi się twój pseudonim? Eden. To brzmi buńczucznie, ma klasę, jest tajemnicze. Demos ci go wymyślił?

- Wpadliśmy na to razem.

- Bardzo interesujące. Myślę, że tak jak ty, będę się musiała wyrzec alkoholu. To czysty cukier. Oczywiście nigdy nie miałam problemów z wagą.

Lindsay spojrzała na przyrodną siostrę i pomyślała: Dlaczego ona to robi? Nie po to, by mnie poniżyć. Nie zasługuję na jej wysiłek, czas, starania.

- Dlaczego? Dlaczego to robisz?

- Mogę ci powiedzieć. Dla pieniędzy, moja droga, dla pieniędzy. Kiedy postrzeliłam Alessandro, długo nie mógł przyjść do siebie. Zmienił się. Oczywiście przez ciebie. I nie jest już okrutny i nieczuły. Omal nie zbankrutował. Więc pieniądze z pozwania uratują interes. A poza tym stanę się sławna i będę miała trochę zabawy. Tylko dlatego, Lindsay. O, tak, i będziemy się widywać i razem pozować. Tylko pomyśl, my dwie, jako modelki. Ciekawe, którą z nas uznają za starszą?

- Nie zrobię tego.

- Oczywiście, że zrobisz. Chyba że wciąż jesteś o mnie zazdrosna i nie potrafisz tego ukryć przed kamerą.

- Nie jestem o ciebie zazdrosna.

- Skoro tak mówisz.

- Nie chcę już o tym rozmawiać, Sydney.

- W porządku. Dziś o drugiej spotkamy się obie u Demosa. A co do żony ojca, Holly, to suka, nie uważasz?

- O tym także nie chcę rozmawiać.

- Wiedziałaś, że ona i ojciec wprowadzili się z powrotem do domu babci? Holly ma na oku jej fortunę. W tym roku babcia skończyła osiemdziesiąt trzy lata. Ojciec nie ma z nią łatwego życia. Ale przecież nie będzie żyła wiecznie. Ojciec przebąkuje coś o oddaniu jej do domu starców.

- Nie, tego nie zrobi! Babcia jest ostra jak brzytwa i ma zbyt wiele znajomości, żeby się na to odważył. Co się tyczy Holly, to jakakolwiek była dla ojca, prawdopodobnie sobie na to zasłużył.

- Myślę, że właśnie dlatego tatuś za tobą nie przepada, Lindsay. Zawsze go krytykowałaś, sprawiałaś, że nie czuł się mężczyzną, okazywałaś mu swoją niechęć. Zawsze trzymałaś stronę matki, która jest alkoholiczką i sypia z mężczyzną w twoim wieku.

Lindsay w milczeniu patrzyła na siostrę. Chlastała i cięła jak jakiś chirurg. Była bardzo precyzyjna. Po raz pierwszy od czasu Paryża, Lindsay nieźle z nią sobie radziła. Skończyło się tylko na skaleczonym palcu.

Sydney wstała i wygładziła jedwabną spódnicę.

- Myślę, że dałam ci do myślenia. Nigdy nie byłaś zbyt bystra, prawda? Zobaczymy się po południu w apartamencie Demosa. Mam nadzieję, że do tego czasu coś z sobą zrobisz. Och, pozwól, że ureguluję rachunek.

1988 Taylor

Taylor pochylił się nad starym człowiekiem i wymacał tętnicę szyjną. Nie żył. Żadnych zewnętrznych obrażeń. Wyglądało na to, że zmarł na zawał. Ale Taylor ani przez chwilę nie wierzył w naturalny zgon. Wstał powoli i rozejrzał się dookoła. Kobieta oczywiście zniknęła.

Zawołał Enocha, który właśnie nadchodził:

- Sprowadź karetkę i staraj się znaleźć tę kobietę.

Taylor szybko przeszukał portfel mężczyzny. Brak dokumentu stwierdzającego tożsamość, brak kart kredytowych; żadnych fotografii, nic, tylko złożona kartka papieru w wewnętrznej przegródce. Zostawiona przez zapomnienie? Możliwe, ale Taylor w to nie wierzył. Rozprostował papier i przeczytał: „Jeśli spotkasz Glorię, powiedz jej, że Demos usiłuje się ukryć, ale nie na długo. On go znajdzie. Zawsze znajduje”. Nie było podpisu.

Taylor usłyszał zawodzenie syreny i uniósł głowę. Szybko złożył kartkę. Już miał ją odłożyć do portfela mężczyzny, ale nagle zmienił zamiar. Nie było powodu, by tak uczynić.

Kim, do diabła, był Demos? Nazwisko wskazywało na jakiegoś mafiozo z New Jersey albo na drobnego maklera.

Taylor wstał na widok dwóch uzbrojonych policjantów.

- Ach, to ty, Taylor - powiedział starszy gliniarz. Wskazał dłonią zmarłego. - Co się stało? Kto to jest?

Starszy policjant nazywał się Mahonney. Był to tęgi, łysiejący facet, bardzo sprytny i bystry. Towarzyszył mu młodzik z paskudnym trądzikiem.

Taylor żałował, że nie jest we Francji, żałował, że jest na brudnej uliczce w East Orange w stanie New Jersey. Dwa tygodnie temu wrócił z zagranicy; objechał na Harleyu calutką Bretanię.

- Znalazłem to w portfelu. Nic poza tym. Facet nie miał żadnych dokumentów.

Taylor podał kartkę Mahonneyowi. Ten przeczytał wiadomość i wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, kto to jest Demos. A ty, Taylor?

- Też nie. Chodziłem za starym, bo jego żona chciała, żebyśmy go z Enochem śledzili.

Mahonney przyklęknął i przyjrzał się zmarłemu.

- Wygląda na zbyt starego, żeby figlować z kobietami. Ile mu dasz? Około sześćdziesiątki? Zawał?

- Na to wygląda. Nie widać krwi ani siniaków. Ale nie wierzę, by serce ot, tak, po prostu, przestało bić. Ktoś go załatwił. Tak, jest za stary i myślę, że ktoś nas w to wrobił. Pierwszy raz widzę faceta z bliska. Jego żona pokazała nam zdjęcie o wiele młodszego faceta. Podać nazwisko żony?

- To wszystko nie trzyma się kupy - powiedział Mahonney, drapiąc się w ucho. - Po co wynajęła ciebie i Enocha? Jeżeli ktoś go zabił, po co chciał mieć was na świadków?

Taylor wzruszył ramionami. Znów spojrział na zmarłego.

- Może - powiedział powoli - zabijając go na naszych oczach, przesłał wiadomość do tego Demosa. Facet był śledzony przez dwóch eksgliniarzy, a i tak został zabity. A może to jest wiadomość dla kogoś innego, kto wie? Ale posłuszenie się mną i Enochem ma sens.

Mahonney skinął głową.

- Arogancja świadczy o profesjonalizmie. Ma wyglądać na to, że są nieuchwytni. Pójdę pogadać z żoną denata. Chcielibyście być w pobliżu?

- Jasne.

Okazało się, że kobieta, która ich wynajęła, nie była żoną zmarłego. Oskarżyła Taylora i Enocha o śledzenie niewłaściwego faceta. Nigdy nie widziała tego starego piernika. Nie była jego żoną. Była oburzona, nie chciała zapłacić ani centa. Powiedziała, że są do niczego. Policjanci mieli pewne podejrzenia, ale nie mogli się niczego uczeplić. Taylor i Enoch zastanawiali się, jak ją załatwić, ale nic im nie przyszło do głowy.

Następnego dnia późnym rankiem, Enoch wkroczył do ich małego biura na drugim piętrze Cox Building, przy rogu Pięćdziesiątej Czwartej i Lexington, na Manhattanie. Na drzwiach z matowego szkła widniał napis: „Taylor i Sackett”. Enoch wziął pocztę z biurka Maude, wszedł do gabinetu, który dzielił z Taylorem, i usiadł.

- Makulatura - powiedział Taylor, wskazując na stertę papieru w ręce Enocha. - Nie trać czasu. Niech się tym zajmie Maude.

- Dobra - Enoch położył listy na podłodze, a potem spojrzał na Taylora i spytał: - Cholera, i co teraz?

Enoch siedział pochylony, długie ramiona zwiesił między kolanami.

- Nic się nie martw - pocieszył go Taylor. - Nie grozi nam śmierć głodowa, a Sheila nie zmyje ci głowy. W poniedziałek będzie nowa robota. Od Salex Corporation. Mają kłopoty z nowym oprogramowaniem. Zapłacą wielkie pieniądze. Przeżyjemy. Popracuj nad sprawą Lamarcka, dobrze?

- Czemu nie? Chodzi tylko o to, żeby wykryć, kto wykrada tajemnice kosmetyków, no nie? To żaden problem. Niewielka robota. - Enoch westchnął. - Sheila nie będzie zachwycona. Nie lubi, kiedy mam do czynienia z nieboszczykami. Miałem wczoraj szczęście. Kiedy wróciłem wieczorem do domu, była na brydżu u znajomych, więc nie musiałem patrzeć jej w oczy. Jezu, chyba dlatego zostałem policjantem, żeby się drażnić ze starą. Jeśli chodzi o forszę, nie ma się czym przejmować. Masz rację, tysiąc dolców to znowu nie majątek.

Czterdziestodwuletni Enoch wciąż mieszkał z matką. Kłócili się jak stare małżeństwo. Enoch nigdy nie nazywał jej matką. Zwracał się do niej po imieniu, Sheila. Ojciec zmarł, gdy Enoch miał osiemnaście lat, i jego mama, Sheila, odziedziczyła okrągły milion dolarów oraz dziesiątkę sklepów z obuwiami. Sheila była bogata i miała ostry język. Była również bardzo utalentowana muzycznie. Taylor przepadał za nią. Sheila uważała, że powinien się powtórnie ożenić. Nigdy jednak nie wspominała o ewentualnym małżeństwie Enocha, mimo że od lat bywał związany z różnymi kobietami.

- Ciekawe, kto to jest ten Demos - zastanawiał się Enoch.

- Mahonney mi powie, jeśli dowiedzą się od informatora - powiedział Taylor. - W okolicy nie ma wielu Demosów. Tym lepiej. Ciekawe, kto napisał ten cholerny liścik?

- Myślę, że masz rację. Tak samo jak gliny. Zostaliśmy wrobieni tylko po to, żeby przekazać wiadomość dalej, prawdopodobnie owemu nieszczęsnemu Demosowi. Żeby mu pokazać, iż nie należy zadzierać z twardzielami. Rozmawiałem z lekarzem sądowym, Boggsem. Powiedział mi, że facet został dźgnięty cieniutkim ostrzem w samo serce. Rana była maleńka i prawie nie krwawiła, dlatego Mahonney niczego nie zauważył. Myślisz, że to zrobiła ta Gloria? A może Demos? Czy kobieta, którą widzieliśmy z nim, to Gloria?

- Bóg raczy wiedzieć. Mahonney jeszcze nawet nie zidentyfikował nieboszczyka. Napijesz się piwa?

- Tak, Sheila się wkurzy. Specjalnie uronię kropelkę na ubranie. Sheila będzie wrzeszczała i nawyzywa mnie od degeneratów. - Enoch zatarł dłonie, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Złośliwiec z ciebie, Enoch.
- Na tym polega mój urok, Taylor.

ROZDZIAŁ 9

Lindsay

Lindsay stała wysoka, sztywna i wyprostowana naprzeciw biurka Demosa.

- Nie zrobię tego, Vinnie - powtórzyła, tym razem nieco spokojniej. - Nie namówisz mnie na to, więc daj sobie z tym spokój.

- Mówiłem ci już, że w tym stroju wyglądasz naprawdę milutko, Lindsay? Istny cukiereczek. Glen opowiadał mi, jak zażyłaś ludzi z ekipy Lancome. Tym razem ty byłaś górą, dziecino. Moje uznanie.

- Słuchasz mnie, Vinnie? Nie będę pozować z moją przyrodnią siostrą. Nie chcę z nią mieć nic wspólnego. Nie chcę, by ktokolwiek wiedział, że jesteśmy spokrewnione. Zerwę umowę i będziesz mnie musiał oskarżyć w sądzie. Wynikną z tego same kłopoty. Mówię poważnie, po prostu tego nie zrobię.

Vincent Rafael Demos odchylił się na oparcie krzesła i złączył palce obu dłoni. Zmarszczył czoło. Glen wciąż mu powtarzał, że jego umysł działa jak piła tarczowa, dopóki problem nie zostanie wyjaśniony i usunięty. Ale teraz Demos miał w głowie całkowitą pustkę.

- Dobrze wiesz, dlaczego tego nie zrobię. Vinnie wzruszył ramionami.

- Twoja siostra powiedziała mi, że jesteś o nią zazdrosna, że dorastałaś w jej cieniu. Roześmiała się i dodała, że cię nie rozumie, bo teraz jesteś przecież słynną modelką, a ona jest nikim. Czy o to chodzi, dziecino? Boisz się, że wszyscy będą ją woleli od ciebie?

Lindsay uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd weszła do gabinetu Demosa. Wszędzie było pełno mebli obitych białą skórą: sofa, kanapa, fotele, nawet fotografie na ścianach oprawiono w skórzane ramki.

- Wiem, Vinnie, ja też tak myślałam, ale tylko przez chwilę. Myślałam sobie: mam wreszcie coś, czego ona nie ma, więc chce sobie to odbić i mnie przyćmić. Ale nie. Przemyślałam sprawę i to nie to. Po prostu podsunęłam jej pomysł, to wszystko. Posłuchaj, nie jestem już dzieckiem. Dorosłam. Gdyby chodziło o samą zazdrość, opanowałabym ją.

Lindsay westchnęła.

- Wypluj to wreszcie.

- Nie chcę z nią pozować z tego samego powodu, dla którego musieliśmy znaleźć dla mnie pseudonim. Jestem Eden i już.

- Ach.

- Wiem, że zapomniałaś.

- Od zdarzeń w Paryżu upłynęło już pięć lat, Lindsay. Kto będzie o tym pamiętał? Nikt, nawet brukowce.

- To nieprawda. I dobrze o tym wiesz. Już widzę te nagłówki: „*La Principessa* i Jej Młodsza Siostra Eden. Lindsay/Eden, znów razem. Wspólnie pozują do zdjęć. Znow dzielą się tym samym

mężczyzną. Czy młodsza siostra znów oskarży o gwałt? Gdzie jest Książę?”. Nie Winnie, nie ma mowy.

- Nie przyszło mi to do głowy, Lindsay. Naprawdę. Nie wiedziałem, że wciąż to tak przeżywasz.

- Jeżeli chcesz, żeby Sydney pozowała do reklam Arden, to niech to robi sama. - Lindsay

wepchnęła ręce do kieszeni džinsów. Dłonie jej drżały. Czowała chłód, ale była zdecydowana.

- Dobrze.

- Co „dobrze”?

- Zrobi to sama. Ludzie z Arden są nią bardzo zainteresowani. Jest cholernie piękna, błyskotliwa i wyrafinowana. I wszystko maluje się na jej twarzy. Żałuję, że nie odkryłem jej trochę wcześniej. Wytrzymasz, jeśli się zdecyduje zostać modelką?

- Dopóki nikt się nie dowie, kim jestem.

- Nie mogę jej zakneblować. Jeśli zechce rozgłaszać, kim jest Eden, cóż, i tak to zrobi.

To prawda, Lindsay wiedziała, że jeśli Sydney zdecyduje się mówić, nikt jej nie zdoła powstrzymać.

Wróciwszy do domu, włączyła klimatyzację i otworzyła dietetyczną colę.

Co powinna teraz zrobić?

Znała Sydney. Zechce wszystko obrócić w żart. Albo odkręci to tak, że Lindsay wyjdzie na nieletnią dziwkę. Będzie opowiadać, że jej biedna młodsza przyrodnia siostra Lindsay-Eden nie rozumiała, o co naprawdę chodzi, i jak nieszcześny książę zlitował się nad brzydkim kaczątkiem.

Nie mogła na to pozwolić. Musiała coś zrobić. Sydney zatrzymała się w hotelu Plaża. Lindsay zobaczy się z nią, będzie błagać, żeby milczała. Zrobi wszystko, wszystko, żeby się tylko zgodziła milczeć.

Przypomniała sobie, jak zachowywał się Vinrrie, kiedy mu opowiadała o gwałcie. Nic nie mówił. Tylko od czasu do czasu kiwał głową. Nie okazał współczucia, ani razu nie pogłaskał po dłoni. Ale, co ważniejsze, nie wątpił w prawdziwość jej słów.

- Nie ma sprawy - powiedział, kiedy skończyła. - Wiesz co, Lindsay? Wcale nie wyglądasz na Lindsay. Wyglądasz na Eden. Jak ci się podoba taki pseudonim zawodowy? Po prostu Eden. To wywołuje wspaniałe obrazy, obiecuje tajemnice, działa na wyobraźnię. Nikt się nie domyśli, kim jesteś. Co ty na to?

Ale teraz pojawiła się Sydney. Lindsay podniosła słuchawkę i wykręciła numer informacji. Po chwili miała Sydney na linii.

- Ach, Lindsay, to ty? Czego chcesz?

- Chcę wiedzieć, czy zamierzasz zostać modelką.

- Cóż, tak. Myślę, że tak. Ludzie z Arden mają na mnie chrapkę, a forsa, jaką proponują, przyprawia mnie o zawrót głowy. W końcu jestem prawdziwą księżną, a nie sztucznym tworem jak, na przykład, Eden. Okazało się, że zaakceptowali ciebie tylko dlatego, że Demos forsował pomysł z siostrami. Tak, myślę, że zostanę twarzą ich kampanii dotyczącej nowych perfum. Czy wiesz, że rozważają nazwanie ich „*La Principessa*”? Pokażą mnie we wszystkich materiałach reklamowych. W telewizji, czasopiśmie, wszędzie. „People” napisze o mnie cały artykuł. Lindsay zacisnęła pięść, aż zbieleły jej knykcie.

- Masz zamiar mówić o mnie? Czy chcesz powiedzieć, że jestem twoją przyrodnią siostrą i że twój mąż, książę... - Lindsay zabrakło odpowiednich słów. Dyszała ciężko i dłonie tak jej zwilgotniały, że omal nie wypuściła słuchawki.

- Ojciec byłby przygnębiony na wieść, że wstydzisz się swego własnego nazwiska - powiedziała Sydney. - Ale z drugiej strony poczułby ulgę, że nie jesteś z nim w żaden sposób związana.

Lindsay wiedziała, Sydney wkrótce zostanie rozpoznana jako żona próbująca zabić swego męża, którego zastała pięć lat temu w Paryżu, w łóżku z przyrodnią siostrą. Nie przepuści takiej okazji. Ukaże fakty w fałszywym świetle i wciągnie we wszystko Lindsay, na którą znów spadnie cały wstyd i cała wina. Spokojnie odłożyła słuchawkę. Wypiła jeszcze jedną dietetyczną colę i położyła się do łóżka.

O północy nadal nie spała, leżała po ciemku, roztrząsając, rozmyślając, wstrzymując oddech na samo wspomnienie nazwiska tego mężczyzny.

Nazywał się Edward Bensonhurst. Był biznesmenem w branży zajmującej się produkcją części do maszyn automatycznych. Miał dwoje dzieci i była żoną w New Jersey, a sam mieszkał na Manhattanie. Lindsay poznała go na jakimś przyjęciu i polubiła. On jednak chciał czegoś więcej. Kiedy mu odmówiła, wściekł się. Powiedziała, żeby dał jej spokój, i odeszła. Po dwóch dniach zatelefonował do niej. Wiedział, kim była. Powiedział, że jeśli to ją podnieca, może udawać księcia. Był w tym samym wieku, co książę wtedy w Paryżu. Cholera, może nawet uda mu się namówić swoją byłą żonę, żeby przysłała i strzeliła do niego ślepymi nabojami. Jeśli Lindsay sobie życzy, gotów się nawet ubrać w skórzany garnitur.

Lindsay nie wiedziała, jak się dowiedział, a on nie chciał się przyznać. Odłożyła słuchawkę i przez najbliższe trzy tygodnie nie odbierała telefonów, tylko odsłuchiwała automatyczną sekretarkę. Dzwonił jeszcze dziesięć razy. Namawiał, groził, ale w końcu przestał telefonować. Lindsay modliła się, by uznał, że nie jest warta jego starań.

Boże, czy to się nigdy nie skończy?

Rozległ się dzwonek telefonu i Lindsay podniosła słuchawkę. Przez chwilę myślała, że to znowu Edward Bensonhurst. Szalony pomysł. Okazało się, że to ojciec.

*

Vincent Rafael Demos od dłuższej chwili siedział w swoim biurze, w milczeniu i po ciemku. Szum klimatyzacji zagłuszał hałasy dochodzące z ulicy. Była dziesiąta wieczorem. Glen wyszedł przed godziną, odmawiając ugotowania kolacji.

- Nie zrobię ci nawet omletu w kuchence mikrofalowej! - wrzasnął.

Demos siedział w bardzo chłodnym biurze, lecz zalewał się potem. Bez końca rozmyślał o krótkiej wzmiance w prasie.

„...niezidentyfikowanego mężczyznę, około sześćdziesiątki, znaleziono zasztyletowanego w East Orange, w stanie New Jersey. Przy ciele nie było żadnych dokumentów, tylko krótka notatka”.

Ta cholerna notatka! Boże, ktoś ma nadzieję, że czytelnicy rozpoznają Glorię i Demosa i zadzwonią na policję? Tylko tego potrzebował, żeby wezwano go na policję. Wiedział, że nie ma wyboru. Jeżeli nie zgłosi się teraz, policja znajdzie nowe poszlaki i w końcu zostanie osaczony. Wystarczy popatrzeć, jak załatwili tego ekspliniera, prywatnego detektywa. Tak, Taylor mu było, śledził denata, a oni i tak go zabili, grając na nosie glinom. Musi coś zrobić, bo w przeciwnym razie zdarzy się następny wypadek. Przyjdą po niego. Zginie następny człowiek, być może ktoś ze znajomych Demosa.

W końcu podniósł słuchawkę i wybrał numer. Odpowiedziała automatyczna sekretarka. Po sygnale nagrał wiadomość:

- Zostawię pieniądze tam gdzie zawsze.

Pomyślał o pięknym oryginalnym olejnym obrazie Stanisłasa, który będzie musiał sprzedać, aby uzyskać potrzebną sumę. Kupił go w 1968 roku w Village, kiedy obraz był niewiarygodnie tani, a on niewiarygodnie biedny. Żeby go nabyć, zastawił nóż myśliwski.

Pomyślał o zabitym mężczyźnie, prawdopodobnie był to Ellery Custer. Wyglądało na to, że nieszczęsny Custer został zabity po to, by Demos dostał wiadomość. Prawdopodobnie zadźgała go ta suka Susan, tym swoim srebrnym szpikulcem do lodu, który dostała w prezencie od byłego męża. I to ona zostawiła notatkę, w której podała fałszywe imię, Gloria, i prawdziwe nazwisko, Demos. Jego nazwisko.

Dobra, już po wszystkim. Teraz jest bezpieczny.

*

Lindsay wzięła taksówkę z lotniska w San Francisco do Szpitala Prezbiteriańskiego na Webster Street. Dotarła tam wczesnym popołudniem. Pierwszą osobą, jaką spotkała, była jej nowa macocha Holly, siedząca w małej poczekalni, z czasopismem w dłoni. Zrzuciła buty i huśtała bosą nogą. Uniosła głowę, spostrzegła Lindsay i się uśmiechnęła.

- Kogóż to widzimy? Oto i wnuczka. Cóż, świetnie. Starsza pani bez przerwy się ciebie domaga. Nie chciałam, żeby twój ojciec do ciebie telefonował. To taka długa podróż. Ale powiedział, że jego matka zagroziła mu, że jeśli nie przyjedziesz, obwini go i da mu się we znaki. Chodzi oczywiście o pieniądze. Doskonale wiedziała, że przyjedziesz, niezależnie od tego, co akurat robisz. To stara wiedźma. Ale twarda. Muszę ją za to podziwiać.

- Tak. Przyjechałam ją zobaczyć.

- Myślisz, że zostawi ci cały swój majątek, Lindsay? Dlatego tak się spieszyłaś, kochaneczko?

- Nie.

- I dobrze. Nie oszukuj się, bo tak się nie stanie. Wszystko przejdzie na twego ojca i na mnie. I tak być, powinno. To jej jedyny syn. A zresztą, ona doskonale wie, że robisz niezłą forszę jako modelka.

- Chcę się z nią natychmiast zobaczyć. Gdzie jest ojciec?

- W sądzie, naturalnie. Pracuje, sama wiesz. Powiedział mi, żebym tu na ciebie czekała. Skoro już jesteś, mogę odejść. Przyjemnej zabawy ze starą wiedźmą. Och, jeszcze jedno. Masz się zatrzymać w rezydencji. To rozkaz ojca.

Lindsay nie miała ochoty zbliżyć się do rezydencji, ale nic nie odrzekła. Podeszła do pokoju babci i cicho otworzyła drzwi. Była to piękna separotka, utrzymana w pastelowych barwach. Na ścianach wisiało kilka obrazów impresjonistów francuskich; doskonałe kopie. Znajdowała się tam również mała kanapka i dwa fotele, obok szpitalnego łóżka. Okno natomiast było ogromne.

Lindsay stała w milczeniu, spoglądając na babcię. Jest taka mała, przemknęło jej przez głowę. Liczyła teraz osiemdziesiąt trzy lata, ale nie wyglądała na tyle. Skórę miała gładką i jędrną, srebrne włosy nadal były gęste, brwi dobrze zarysowane, policzki różowe. Lindsay widywała starych ludzi i wszyscy wyglądali jak pozbawione ciała mumie, same zmarszczki i kości. Ale Gates Foxe wyglądała tak jak zawsze. Miała na sobie jasnożółtą lizeskę ze staroświecką koronką przy kołnierzu. Lindsay podeszła do łóżka. Gates otworzyła oczy.

- Cześć, babciu.

- Cieszę się, że tu jesteś, Lindsay. Lindsay się uśmiechnęła.

- Jak to się dzieje, że zawsze tak świetnie wyglądasz? Czuję się przy tobie jak kocmołuch.

- To zasługa budowy kości. Doskonałe kości. Ty także masz takie, moja droga. Za wyjątkiem przeklętego biodra. Spadłam ze schodów. Taka ze mnie niezdara. Pękło jak zapalka. Ale wkrótce

stanę na nogi. Nie poleżę ani chwili dłużej, niż to niezbędne.

- Bardzo cię boli?

- Nie. Widzisz tę rurkę? Kiedy ból staje się nie do zniesienia, po prostu przyciskam ten mały guziczek i środek przeciwbólowy spływa wprost do krwi. Nie muszę czekać na pielęgniarkę, sama decyduję, czy minęło dość czasu. Medycyna idzie naprzód. A teraz, moja droga, powiedz mi, jak długo tu zostaniesz. Jak idzie pozowanie i kiedy znajdziesz się na następnej okładce wielkiego czasopisma.

Lindsay posłała babci sześć kopii „Elle”.

- Odwołałam trzy sesje zdjęciowe. Nie były specjalnie ważne. Mam wrócić do Nowego Jorku za półtora tygodnia. Robimy zdjęcia dla „Women’s World” i muszę tam być. Będę odgrywać maklera giełdowego w pełnym rynsztunku biznesmena. Zdjęcia będą robione na Wall Street obok Kościoła Trinity. A co do następnej okładki, kto to wie?

- Usiądź, Lindsay. Pochylasz się nade mną i czuję się nieswojo. O, tak. Przysuń sobie fotel. Jesteś taka wysoka, zupełnie jak twój dziadek. A odkąd jesteś modelką, wydajesz się jeszcze wyższa. To mi się podoba. Nie lubiłam, kiedy się garbiłaś. Jesteś już zupełnie dorosła. Czuję się bardzo stara. Dziś rano odwiedziła mnie twoja matka. Spotkasz się z nią, oczywiście.

- Tak.

- Nie zmieniła się, tak mi się zdaje. Jest z ciebie dumna, ale...

- Tak, ale.

- Jest bardzo nieszczęśliwa. Nie umie się otworzyć. Dusi w sobie przykrości, a alkohol wcale nie pomaga.

- Nie.

Lindsay patrzyła, jak babcia ostrożnie przyciska guzik i wkrapla sobie dożylny środek przeciwbólowy.

- Jestem zmęczona, Lindsay. Pójdź teraz do rezydencji i rozgość się tam. Wróc tu wieczorem.

- Wolalabym się zatrzymać gdzie indziej, babciu.

- Bzdura. Jesteś już dorosłą kobietą, a nie nastolatką. Prędzej czy później będziesz się musiała nauczyć postępować z ojcem. Już czas, najwyższy czas. Przestań być ofiarą własnych wspomnień. Nie jesteś już małą dziewczynką, którą można dowolnie ranić i krzywdzić. Zaczynaj żyć teraźniejszością. Jeśli chodzi o twego ojca, nie wiesz o nim wielu rzeczy, ale one nie mają znaczenia. Pamiętaj, nie pozwól się nikomu onieśmielać, nawet Royce’owi.

Łatwo powiedzieć, pomyślała Lindsay. Zastanawiała się, czy ktokolwiek ośmielił się przeciwstawić babci.

- Gdybym ci się przeciwstawiła, na pewno postarałabyś się mnie onieśmielić - powiedziała z uśmiechem, ściskając jej dłoń.

- To co innego. Jestem twoją babcią. Bardzo starą i chorą kobietą, a ty musisz mi okazywać należyty respekt. Idź już teraz. Och, dla twojej wiadomości. Holly jest w rozsypce. Nie drocz się z nią, nawet gdyby ci to miało sprawić przyjemność. Jest teraz na to zbyt wrażliwa.

Wychodząc, Lindsay porozmawiała z lekarzem. Nazywał się Bojd i uważano go za najlepszego chirurga-ortopedę na Zachodnim Wybrzeżu, przynajmniej tak powiedział jej ojciec. Lekarz był zdumiony szybką poprawą stanu zdrowia pani Foxe. Przewidywał jeszcze jeden tydzień pobytu w szpitalu, o ile będzie wracać do zdrowia w tym samym tempie. Uśmiechnął się do Lindsay i spytał, czy nie napiłaby się kawy w bufecie. Aby dokładniej omówić przypadek babci. Jego uśmiech stał się

jeszcze szerszy. Pan doktor był bardzo pewny siebie.

Lindsay odmówiła z równie słodkim uśmiechem i wyszła ze szpitala. Do rezydencji Foxe było niedaleko. Zapłaciła taksówkarzowi, postawiła na chodniku swoje dwie walizki i stała chwilę, przypatrując się domowi oraz błękitnemu niebu nad Zatoką San Francisco. Był to jeden z owych nielicznych dni czerwcowych pozbawionych mgły. Powietrze stało się tak krystalicznie czyste, rześkie i świeże, że aż szczypało w oczy. Most Golden Gate odcinał się na jaskrawo czystym niebie.

Rezydencja była wielka i przytłaczająca, wzniesiona z jasnej, teraz pokrytej patyną wieku, cegły. Dziwne, dom wydał się Lindsay większy niż w czasach dzieciństwa. Trawnik był doskonale utrzymany. Bujne róże, fuksje i hortensje pyszniły się odcieniami czerwieni, oranżów, różów i bieli. Lindsay spostrzegła, że drzwi frontowe otwierają się i pojawia się w nich nieznajoma kobieta. Pomachała ręką do Lindsay.

Pani Dreyfus, nowa gospodyni, zaprowadziła dziewczynę do jej dawnego pokoju w końcu wschodniego skrzydła na drugim piętrze. Lindsay podziękowała i spytała, co się dzieje z Landsfordem, który od trzydziestu lat piastował funkcję lokaja pani Foxe. Okazało się, że odszedł na emeryturę, ale Dorrey, kucharka, nadal pracuje. W domu są teraz dwie pokojówki, bo sędzia Foxe i jego żona powrócili do rezydencji.

Lindsay została sama. Wyrzała przez okno wychodzące na Alcatraz. Potem położyła się na łóżku i natychmiast zasnęła.

Jedna z pokojówek zbudziła ją o szóstej.

Czas, aby zobaczyć się z ojcem. Lindsay nie miała na to ochoty. Ale musiała.

Umyła twarz i uczesała włosy w miękki kok upięty na karku. Po bokach pozostawiła pasma poskręcanych włosów. Nałożyła lekki makijaż i ubrała się we wzorzystą granatowobiałą jedwabną suknię. Sprzedawczyni zapewniła ją, że suknia podkreślała kolor jej oczu. Lindsay nie знаła się na tym, ale lubiła ten ciuch i dobrze się w nim czuła. Włożyła białe pantofle na bardzo wysokich obcasach. Miała w nich sześć stóp i dwa cale wzrostu - tyle samo, co ojciec. Uśmiechnęła się na widok własnego odbicia w długim lustrze. Ich oczy znajdują się na tym samym poziomie. A gdy odchylił głowę do tyłu, stanie się nawet trochę od niego wyższa. Po raz pierwszy w życiu nie czuła się onieśmielona perspektywą spotkania z ojcem. Nie pozwoli, by ją poniżał. Była gotowa stawić mu czoło. Pamiętała rady babci.

Jej pewność siebie zniknęła w chwili, gdy weszła do ogromnego salonu. Przy kominku stała Sydney z kieliszkiem wina w dłoni i rozmawiała z ojcem. Śmiała się i dotykała ramienia ojca. Ojciec mówił coś szybko, a kiedy skończył, Sydney wybuchnęła śmiechem, odrzucając głowę do tyłu.

- O, Lindsay, wejdz, proszę.

Lindsay skinęła głową Holly, która, ubrana w jasnokremową jedwabną piżamę, siedziała na sofie. Po raz ostatni obie siostry były w tym pokoju, gdy Lindsay miała szesnaście lat, w dniu ślubu Sydney. Brakowało tylko matki Lindsay oraz pięciuset gości. Była za to Holly, która wyraźnie przytyła i sączyła coś, co wyglądało na podwójne martini.

- Cześć, siostrzyczko.

- Cześć, Sydney. Witaj, ojciec.

Royce zmierzył ją od stóp do głów i zmarszczył czoło.

- Zrobiłaś się jeszcze wyższa. Wyglądasz jak jakaś cholerna Amazonka.

- W butach na obcasach dorównuję ci wzrostem.

- To je zdejmij. Wyglądasz dziwnie. Nie jak kobieta, ale jakiś dziwny stwór udający kobietę.

Lindsay zdjęła pantofle. Pozwoliła się poniżyć czy też po prostu okazała posłuszeństwo ojcu? Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała odwagę spojrzeć mu w oczy i powiedzieć, żeby się wypchał.

- Tak lepiej - stwierdził Royce. - Niewiele, ale nie możesz zrobić nic więcej.

Lindsay się roześmiała. Nie mogła się powstrzymać. Schyliła się i z powrotem założyła pantofle. Wyprostowała się na całą wysokość.

- Tak czuję się lepiej. Już ci mówiłam, ojcze, że jestem teraz twojego wzrostu. Zapomniałeś, że jestem modelką. Mam wyglądać jak Amazonka.

Royce miał jej ochotę przyłożyć. Przez chwilę zapomniał języka w gębie. Nigdy dotąd nie postąpiła wbrew jego woli, nigdy. Spójrzcie na nią, na tę kościstą tyczkę! Odetchnął głęboko. Już on przypilnuje, żeby go znowu słuchała. Strącił pyłek z rękawa popielatej marynarki.

- Holly mówi, że byłaś dziś po południu w szpitalu u babci. Co u niej?

Lindsay zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech ze strachu przed reakcją ojca. Wygrała. Tym razem się udało. Babcia miała rację - koniec z onieśmianiem i poniżaniem. Gdybyż jeszcze nie czuła bólu, kiedy spoglądał na nią z tą obojętną niechęcią.

- Babcia jest w doskonałym nastroju - odparła uprzejmie. - Doktor Bojd cieszy się, że tak szybko wraca do zdrowia.

- Przeżyje nas wszystkich - wtrąciła Holly, dotykając czterech złotych łańcuszków na szyi. Na palcach prawej dłoni miała cztery złote pierścienie. Nie nosiła obrączki. - Sydney mówi, że nie pijesz alkoholu, bo jesteś zbyt gruba. Masz ochotę na wodę mineralną?

- Tak, chętnie, Holly. Nie spodziewałam się ciebie tutaj, Sydney.

- Niby dlaczego? Ona jest także moją babcią, a z Nowego Jorku było mi bliżej niż z Włoch. Właśnie opowiadałam ojcu, że zostanę modelką firmy Arden. To nic uwłaczającego, nie przyniosę wstydu sędziemu federalnemu. Tylko pomyśl, obie będziemy modelkami.

- Będziesz wspaniała, Sydney.

- Prawdopodobnie. Właśnie opowiadałam ojcu, jak twoja nieuzasadniona zazdrość, teraz, kiedy dorosłaś, sprawiła, że straciłaś jasność widzenia. O tym, jak chciałam, żebyśmy razem pozowały do reklam, dwie siostry, takie niepodobne, takie różne.

Lindsay przerwała jej pogodnie.

- To nie ma nic wspólnego z zazdrością. - Holly wcisnęła jej do ręki szklanekę z wodą sodową. Lindsay upiła łyk. - Chodzi mi to, co się zdarzyło pięć lat temu. Wyjaśniłam Demosowi, dlaczego nie chcę, żeby ta stara sprawa znowu wypłynęła. - Zamilkła, a potem dodała: - Proszę cię, Sydney, żebyś nie opowiadała, jak się naprawdę nazywam, ani jakie nas łączy pokrewieństwo.

Sydney spoglądała na nią przez dłuższą chwilę. Sprawiała wrażenie rozbawionej.

- Eden - parsknął Royce. - To twoje imię nie ma sensu. Za każdym razem, kiedy o nim pomyślę, wzruszam ramionami. Mam nadzieję, że nikt nie wywęszy twojej przeszłości. Chociaż brukowce są żądne taniej sensacji. Nie sądzę, by Sydney miała zamiar roztrząsać przeszłość, bo to by ją zraniło, a dobrze wie, że ja nie chcę, by cierpiała. Już i tak wystarczająco się nacierpiała z twojego powodu. - Tu zwrócił się do Sydney: - Jesteś zdecydowana na pracę modelki?

- Potrzebujemy pieniędzy - odparła Sydney rzeczowym tonem. - A Arden zapłaci krocie, tak zapewnił mnie Demos. Poza tym Włochy są nudne i tak daleko od domu. Prawdziwa księżna to coś niezwykłego, tak twierdzi Demos. A ponieważ jego udział zależy od tego, ile wyciśnie dla mnie, robi, co w jego mocy.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Ja wciąż nie wiem, co o tym myśleć - powiedział Royce. - Ufam, że nie wywleczesz pokrewieństwa z Lindsay. Nie życzę sobie, żeby te brudy znowu wypłynęły. Nie chcę, żebyś znowu cierpiała.

- Moje cierpienie to przeszłość. Zapewniam cię, ojciec.

Royce wciąż wyglądał na nieprzekonanego. Spojrzał na portret Gates, namalowany w 1955 roku. Patrzyła z niego chłodna, bardzo pewna siebie i własnej dominacji nad synem.

- Boże, Holly ma rację. Ta kobieta będzie żyła wiecznie.

Lindsay wypła jeszcze trochę wody, żeby nie dać się sprowokować. A potem usłyszała swój własny głos:

- Więc jak, Sydney? Nie powiesz, kim jestem?

- Ojciec ma rację - odparła Sydney z uśmiechem. - Eden to takie głupie imię, w sam raz dla dziecka, które chce udawać kobietę. Może powinnaś oczyścić atmosferę, stawić czoło przeszłości i nauczyć się z niej śmiać? Może coś takiego popchnęłoby twoją karierę naprzód? A może wprost przeciwnie.

Sędzia Royce Foxe roześmiał się i pogłodził Sydney po policzku.

- Zawsze lubiłem twoje poczucie humoru, ty mała figlarko.

- Siadajmy do kolacji - powiedziała Holly i zerwała się z sofy. Rzeczywiście przybrała na wadze, pomyślała Lindsay. Co najmniej piętnaście funtów. Zupełnie jak matka. Patrzyła, jak Holly przystaje przed lustrem obok drzwi.

*

- Nie wiem, co robić, babciu - powiedziała Lindsay następnego dnia po południu.

Gęsta mgła przesłaniała widok za szpitalnym oknem. W separacie było przytulnie, ciepło i bezpiecznie.

- No, nareszcie powiesz mi, dlaczego przez ostatnie pół godziny przemierzałaś pokój wzdłuż i w szerz! O co chodzi?

- Nie chcę ci sprawiać kłopotu, naprawdę.

- Nudzi mi się, Lindsay. Po prostu nudzi. Podziel się swoim kłopotem, daj mi coś, nad czym mogłabym się głowić, na czym mogłabym się skupić, żeby zająć umysł.

- Sydney ma zamiar zostać modelką. Tak samo jak ja.

- Bzdura!

- Nie. Już nawet powiedziała ojcu. Nie był pewien, co o tym sądzić. Ale go przekonała. Zauważyłaś, że Holly przybiera na wadze?

- Coraz więcej pije. Zupełnie jak twoja matka. Ale wracając do Sydney. Dlaczego to robi?

- Powiedziała ojcu, że potrzebuje pieniędzy.

- No, dobrze. Dlaczego się tym przejmujesz? Lindsay poczuła skurcz w żołądku i wydusiła z siebie:

- Ludzie szybko się zorientują, kim jest, a ona będzie rozpowiadać o mnie i wszystko się zacznie od nowa. Dlatego przybrałam imię Eden. Nie mam nazwiska. Nikt w Nowym Jorku nie kojarzy mnie z Lindsay Foxe. W ciągu minionego roku byłam bezpieczna.

Gates Foxe milczała. Przyglądała się wnuczce. Lindsay mówiła dalej.

- Sydney opowie to w taki sposób, że każdy pomyśli, że to ja uwiodłam księcia, że wszystko stało się z mojej winy, że jestem jakąś perwersyjną dziwką.

- Nie, moja droga. Ona nie powie ani słowa.

- Ale nie słyszałaś, co mówiła wczoraj wieczorem! Nie wiem, co mam robić! Próbowałam ją błagać, ale ona...

- Jak możesz być taka głupia? Sydney nie można błagać, to strata czasu. Ona pogardza słabością. Jestem zaskoczona, że sama na to nie wpadłaś. Oczywiście, trzeba ci oddać sprawiedliwość, nie widywałaś jej często. Dzieli was dziewięć lat różnica wieku. Zapamiętaj, moja droga, Sydney kieruje się wyłącznie własnym interesem. Poza tym przepada za robieniem ci na złość. Jesteś dla niej wspaniałym celem, tak jak wcześniej twoja matka. Ponieważ liczysz się z uczuciami. Własnymi i cudzymi. Sydney - nie.

- Ale opowiadając o Paryżu i o Alessandro zrani także samą siebie, prawda? Nie rozumiem, dlaczego w ogóle bierze pod uwagę taką możliwość.

- Sydney jest taka sprytna, że czasem mnie to przeraża. Przedstawi sprawę tak, żeby odmalować cię jako Lolitę. Przedstawi cię jako pozbawioną sumienia dziwkę, a ona sama odegra rolę poczciwej żony cierpiętnicy i wszyscy będą jej współczuć i ją uwielbiać.

- Muszę ją powstrzymać. Nie mogę, nie zniosę tego jeszcze raz.

- Czy dlatego wybrałaś psychologię? Żeby sobie z tym poradzić?

- Zabiję ją.

- Obawiam się, że to mało praktyczne rozwiązanie, moja droga. Nie, Lindsay. Załatwię to z Sydney. Ty tego nie potrafisz. Jeszcze nie potrafisz. Tak, zostaw to mnie.

Następnego popołudnia Sydney przyszła do sypialni Lindsay. Wyglądała pięknie, nieskazitelnie, szykownie. Była rozgniewana. Ale kiedy przemówiła, w jej głosie dźwięczało rozbawienie.

- Tym razem wygrałaś.

- Co masz na myśli?

- Zleciłaś babci swoją brudną robotę. Nikomu o tobie nie powiem, taka jest umowa. Możesz sobie być przasną Eden ze słodkim uśmiechem. Och, media oczywiście wywęszą, kim naprawdę jestem, i będą mnie wypytywać o Alessandro i o to, co naprawdę zaszło w Paryżu. Ale ciebie nie wydam, siostrzyczko. Zapamiętaj sobie jednak. Przycmię cię, Lindsay, nie wyobrażaj sobie, że nie. Daj mi pół roku, a Eden będzie należała do przeszłości.

Lindsay już jej nie słuchała. Zastanawiała się, jakich argumentów użyła babcia, żeby uciszyć Sydney. Własny interes. To oznacza pieniądze.

ROZDZIAŁ 10

1991, Lindsay

Nadszedł koniec października, pożółkły liście. Central Park nigdy nie był tak piękny jak jesienią. Lindsay szła z East Side do West Side, aby się spotkać z Gayle Werth w ich ulubionej restauracji meksykańskiej przy Siedemdziesiątej Pierwszej Ulicy.

Powietrze było rześkie, chłodne. Lindsay pokonywała drogę pieszo, żeby się wypocić i stracić na wadze.

Usłyszała dziecięce głosy i uniosła głowę. Dzieci wrywały sobie zabawkę. Matki stały obok, zatopione w rozmowie i nie zwracały uwagi na swoje pociechy. Lindsay uśmiechnęła się i bez słowa ruszyła dalej. Miłe dzieciaki. I wtedy, bez ostrzeżenia, przez jej głowę przemknęła myśl: mam dwadzieścia sześć lat. Boję się mężczyzn. Nigdy nie wyjdę za mąż i nie będę miała dzieci.

Kopnęła wielką kupę zeschniętych liści. Przestań, ty głupia wariatko, pomyślała. Twoje życie jest w porządku, świetnie sobie radzisz. Jeśli spojrzeć na to pod odpowiednim kątem, ostatnie dwa lata były czymś w rodzaju cudu.

Sydney, *La Principessa*... Pojawiała się nie tylko w czasopiśmie i telewizji, ale także na przyjęciach wyższych sfer nowojorskich. Książę zawsze był nieobecny. „Jest w Mediolanie, prowadzi rodzinny interes, biedak” - zwykła mawiać Sydney. „Kiedy tylko mogę, jeżdżę, by zobaczyć zarówno jego, jak i moją drogą córeczkę. Staram się, oczywiście, że się staram. Jestem pewna, że w najbliższy weekend zobaczę się z rodziną”. Ale Lindsay podejrzewała, że jej siostra nigdy nie latała do Włoch.

Lindsay musiała się przyznać, że od czasu do czasu, biorąc do ręki jakieś czasopismo, odczuwała ukłucie zazdrości. Nie miało znaczenia, że Sydney liczyła już trzydzieści pięć lat. Nie miało znaczenia, że została modelką po trzydziestce. Kiedy Sydney coś sobie wbiła do głowy, wszystko było bez znaczenia. Ale na szczęście myliła się, twierdząc, że Eden odejdzie w niepamięć. Lindsay dobrze sobie radziła. Nie była top modelką jak jej przyrodnia siostra, ale cieszyła się popularnością, była lubiana, większość fotografów chętnie z nią pracowała, a ona sama umiała uzyskać prawie każdy efekt, jakiego sobie życzyli klienci.

Tajemnica Lindsay Foxe pozostała nieodkryta. Nikt w Nowym Jorku nie podejrzewał, że Eden to także Lindsay Foxe, paryska Lolitka. Dzięki podstępowi babci, Sydney dotrzymała słowa.

Lindsay pomyślała o margaricie i chipsach i ślina napłynęła jej do ust. Musiała głodować przez dwa dni, ale było warto.

Taylor

Vinnie Demos patrzył na mężczyznę i zastanawiał się, dlaczego Glen wynajął właśnie jego. Rozpoznał go natychmiast. To był facet z policji, który trzy Jata temu śledził Custerą. Eksplinarz. Jasne, powiedział Glenowi, żeby mu wyszukał ochroniarza, kogoś naprawdę dobrego, a Glen

przyprorowadził mu tego faceta, S. C. Taylora. Czy zrobił to celowo, aby go ukarać? Demos nie miał co do tego wątpliwości.

Vinnie zrobił kilka głębokich wdechów i nakazał sobie spokój. Poradzi sobie. Udowodnił to niejednym raz. Facet z pewnością nie wie, nie może wiedzieć, kim jest Demos. Kto by to zresztą pamiętał po tylu latach. Na tej przeklętej kartce nie było nic prócz jego nazwiska. Kto by to pamiętał. A jednak. Cholera. Vinnie był wściekły, a Glen wrzeszczał na niego, że to wszystko była jego wina.

- Dlaczego potrzebuje pan ochroniarza, panie Demos?

Vinnie podrapał się po uchu.

- To właściwie nie ja, panie Taylor. Potrzebuję go na czas zdjęć, które będą robione w Central Parku w najbliższy piątek. Reklamówka telewizyjna luksusowego szamponu. Jeżeli będzie słoneczna pogoda, a ma być. Słyszał pan o Eden?

Taylor zmarszczył czoło i pokręcił głową.

- Kto to taki?

- Modelka. Raczej znana. Grożono jej. Jej i ekipie. Naprawdę.

- Co ona zrobiła?

Czy powinien powiedzieć temu facetowi jakąś część prawdy? Nie, jeszcze nie. Niech mu wystarczy sam zaczyn. Vinnie nie chciał wysłuchiwać pouczeń ani ryzykować, że facet sprowadzi mu na głowę gliniarzy.

- Sprawa jest raczej skomplikowana, a ja wynajmuję pana, dla ochrony. To wszystko.

Taylor wiedział, że to niejasne wytłumaczenie wcale nie jest wytłumaczeniem, ale jego umysł nie pracował na pełnych obrotach, więc na razie postanowił poczekać. Będzie chronił tę Eden i plan, a potem się zobaczy.

- Czy tylko te zdjęcia są zagrożone?

- Tak - przynajmniej dotychczas, pomyślał Vinnie, ale grożono mu już wcześniej. Żałował, że dwa lata temu odesłał Sydney do innej agencji, ale zrobił to, i teraz za to płacił. Powinien był ją zatrzymać i poradzić sobie z pogroźkami. Ale było za późno. Za późno.

- Bierze pan tę robotę, panie Taylor?

Taylor skinął głową. Powiedział Demosowi, jaka jest jego cena, uścisnęli sobie ręce i Taylor wyszedł.

- Glen, ty dziwko, przywlecz tu swój tyłek!

W drzwiach ukazał się Glen. Uśmiechał się od ucha do ucha.

- Tak, szefie?

- Dlaczego on?

- Dlaczego kto? - zapytał Glen, wzruszając ramionami. - Mówi się, że jest najlepszy w swojej branży. Sprawdziłem. I widziałeś to ciało? Twarde, smukłe i gładkie. I ten męski zarys szczęki? - Glen oblizwał wargi. - Silny drań i pewny siebie. I jaki ma miły uśmiech. Miałem go ochotę spytać, czy mógłbym pomacać mu mięśnie na brzuchu, ale nie jestem pewien, czy by mnie dobrze zrozumiał.

- Och, na pewno by zrozumiał. Ty głupku, to ten sam facet, prywatny detektyw, który znalazł Custera. Boże. Kiedy to było. Ze trzy lata temu?

Glen spoważniał. Już się nie uśmiechał.

- Tak, wiem, Vinnie, to eksgliniarz.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Teraz Glen stał się śmiertelnie poważny. Oparł na blacie biurka dłoń o długich szczupłych

palcach i nachylił się nad Demosem.

- Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, Vinnie. Musisz się wziąć w garść. Sprzedaj następny obraz. Nie wódź tych ludzi za nos. Robią okropne rzeczy, kiedy się nie wywiązujesz ze swoich powinności. Chcesz wiedzieć, dlaczego wynająłem akurat jego? Żeby cię przyskrzynić, stary, żebyś wreszcie coś zrobił. Wynająłem go, bo następnym razem mogą zagrozić mnie. Odżałuj forsę i zapłać im!

Glen wyszedł z pokoju, ale po chwili wrócił i powiedział:

- Nie mogę uwierzyć, że narażasz Eden.

- Nie zagrozili akurat jej. Grozili ekipie zdjęciowej i samym zdjęciom. Więc nie oskarżaj mnie o igranie z życiem Eden. Nie narażam jej ani trochę. Pomysł z ochroniarzem jest mocno przesadzony. Skoro ten przeklęty facet jest taki wspaniały i seksowny, to świetnie się nią zaopiekuje.

- Ależ z ciebie łajdak, Vinnie. Prawdziwy łajdak.

- Tak? Może ją nawet nauczy lubić seks. Bóg jeden wie, że przydałoby jej się to.

Taylor wziął taksówkę, żeby pojechać do mieszkania Valerie przy rogu Lexington i Pięćdziesiątej. Począwszy od 4 lipca, kiedy poznał ją na plaży w Hyannisport, spotykali się regularnie. Podziwiał jej doskonałą formę - świetnie pływała - a potem zorientował się, że jest zabawna, seksowna i sprytna. I, na Boga, była piękna. Grzywa rudych włosów i zielone oczy. Zielone jak mech, wielkie i głębokie. I najbielsza skóra, jaką w życiu widział, na całym ciele. Słońce jej nie chwyciło. Lubił ją i lubił z nią rozmawiać. Była od niego trochę starsza, ale kto by się tym przejmował. Ostatniej nocy, po tym jak się kilkakrotnie kochali, bo wcześniej przez trzy dni zajęty był problemem komputerowym w firmie Claymore Corporation z Minneapolis, powiedział jej nawet o Diane, swojej pierwszej żonie, i o tym, jak zmarnowali swoje małżeństwo.

- Byliśmy za młodzi - powiedział, podpierając się na łokciu. - Jasne, że to niczego nie usprawiedliwia. - Podała mu filiżankę herbaty. Popijając, mówił dalej:

- Diane była... jest bardzo bogata. Myślę, że potrzebowała zwykłego faceta do prowadzenia na pasku. Uznała, że praca policjanta jest zbyt niebezpieczna.

Chciała, żeby jej zwykłemu facetowi nic nie groziło. Z każdym tygodniem coraz bardziej nienawidziła mojej pracy. Wyszła za mnie wbrew woli rodziny. Nie wiedziałem o tym. Dowiedziałem się, kiedy było po wszystkim i zdecydowała się wygarnąć mi całą prawdę. Małżeństwo trwało dwa lata. Patrząc w przeszłość, dziwię się, że wytrzymaliśmy ze sobą aż tak długo.

- Nie mieliście dzieci?

- Nie. Kiedy się poznaliśmy, Diane miała zaledwie dwadzieścia dwa lata. A ja miałem dwadzieścia cztery - Jak wyglądała?

Taylor uśmiechnął się do Valerie. Rude włosy opadały jej na białe ramiona. Była naga, przykryta do pasa prześcieradłem. Taylor ujął w dłoń jej pierś.

- Czemu o to pytasz? Valerie wzruszyła ramionami.

Taylor pochylił się i pocałował ją, leciutko przygryzając brodawkę. Usłyszał, że Valerie wstrzymuje oddech. Opadł na poduszkę i uśmiechnął się bez cienia skruchy.

- Miała jasną cerę, jasnoniebieskie oczy, a włosy czarne jak grzech. Była... jest śliczna, mała i delikatna, ale miała niewyparzony język. Potrafiła kłąć jak dorożkarz. W czasie kłótni nigdy nie mogłem jej przegadać.

- Co się właściwie stało?

- Nie odszedłem z policji. Pewnej nocy zostałem ranny. Nic poważnego, powierzchowne

draśnięcie boku. Ale Diane się wystraszyła i nie dawała mi spokoju. Chciała, żebym zaczął pracować u jej ojca, w handlu antykami. Nie odróżniam Sheratonu od Chippendale i wcale się tym nie przejmuję. - Taylor zamyślił się. - Nie chciałem iść na kompromis. Ani ona.

- Ale w końcu odszedłeś z policji.

- Tak, wiem. Ale to stało się trochę później. Po rozwodzie. Miałem swoje powody.

- Jakie?

- Miałem swoje powody - powtórzył. Odstawił filiżankę na stolik przy łóżku. Zajął się Valerie i jej biustem.

- Piękne - powiedział. - Po prostu, piękne.

- Ty także nie jesteś najgorszy, Taylor. - Tak?

Kochali się jeszcze raz, a potem zasnęli.

Następnego dnia rozstał się z nią z żalem, żeby pójść do Vincenta Demosa.

Taksówka odwiozła go sprzed domu Valerie, wspaniałego starego budynku z lat dwudziestych. Mieściły się w nim ogromne mieszkania. Zaledwie dwa na piętrze. Skinął głową portierowi. Przeszło mu przez myśl, że Diane mieszkała w podobnym domu. Czy zawsze będą go pociągały piękne i bogate kobiety? Jeśli nawet, nie ma to znaczenia. Nie chciał żenić się po raz wtóry. Chociaż, od czasu do czasu, odczuwał potrzebę zostania ojcem. Żeby stać się takim, jak większość mężczyzn w jego wieku. Rodzina, dzieci, dom, cały ten kram. Pokręcił głową. Enoch miał Sheilę, swoją matkę, i był z nią szczęśliwy. Nawiązywał związki, które go całkowicie satysfakcjonowały. Ale Taylor wiedział, że jest inny niż Enoch. Skończył trzydzieści dwa lata, ciągle był więc jeszcze młody. Ale czas nie stoi w miejscu. Doskwierało mu to. Tak jak teraz. Zmusił się, by myśleć o Valerie. Była to najlepsza rzecz, jaka mu się mogła zdarzyć. Przynajmniej na razie. Lubiała seks, nie była wymagająca, i choć niewiele o niej wiedział, szanował jej prywatność. Była bystra i choć miała nieco zbyt ostry dowcip, i tak mu się podobała. Miał nadzieję, że z wzajemnością.

Diane także była bystra i lubiała seks. Ale okazało się, że to za mało. Ostatnio Taylor niewiele o niej myślał. Słyszał, że jest w Bostonie i prowadzi własny interes, który odziedziczyła po ojcu. Słyszał, że dobrze sobie radzi. Taylor życzył jej powodzenia i zastanawiał się, jak bardzo bogata jest Valerie i czym się zajmuje, jeżeli w ogóle coś robi.

Eden

Ranek był pogodny. Około piętnastu stopni. W Central Parku wiał lekki wiatr. George Hudson, reżyser reklamówki szamponu Jazerelli, nienawidził tej pracy. Był w złym humorze. Wrzeszczał na fotografa, który wcale się tym nie przejmował. A przecież to on, reżyser, kierował zdjęciami, nie ten głupek fotograf, który nie odróżniał kamienia od psiego gówna. Praca szła opornie, ale chociaż to były łatwe i duże pieniądze, nie mógł oczekiwać zachwytów od ludzi, którzy się liczyli.

George Hudson upierał się, by zatrudnić dobrą ekipę techniczną, dobrych stylistów, dobrego kamerzystę i zawsze to miał, ale był niezadowolony, że musi tracić czas z modelką, która była od niego o sześć cali wyższa, po to, żeby zmajstrować czterdziestosekundową reklamówkę. Na dodatek ludzie z agencji i od Jezerella wciąż go nagabywali, podsuwali sugestie i doradzali, jak ma wykonywać swoją pracę. Spojrzał na Eden, wysoką i wychudzoną, zbliżającą się do niego na długich nogach. Dobrze, że chociaż miała wspaniałe włosy, gęste i długie, całe w łagodnych falach, o cudownej mieszaninie odcieni. Wiedział, że zrobili jej pasemka, żeby je miejscami rozjaśnić, ale te włosy nie wymagały wielu dodatkowych starań. Popatrzył na Eden; rozmawiała z jego asystentem. Jej wspaniałe włosy były na razie ulizane i przyklapnięte.

Stylista jeszcze się nimi nie zajmował. Reżyser zastanawiał się, kto tu zawinił.

Eden cieszyła się dobrą reputacją. Hudson nigdy dotąd z nią nie pracował. Czy to oznacza, pomyślał cynicznie, że sypiała, z kim popadło?

- Pan Hudson?

- Tak.

- Jestem Eden. - Wyciągnęła do niego rękę. Zaskoczony Hudson uściśnął jej dłoń.

- Ma pani jakieś problemy? - zapytał podejrzliwie. - Jak wszyscy na planie?

- Nic wielkiego. Przynajmniej taką mam nadzieję. Chodzi tylko o to, że nie ma Demosa. Za to jest ten mężczyzna. O tam. Nie wiem, kto to. A pan wie?

George spojrział we wskazanym kierunku. Facet stał za kamerzystą. Był schludnie ubrany w brązowe welwetowe spodnie, białą koszulę i jasnobrązową skórzaną marynarkę. Dokładnie ogolony, wyglądał szacownie. Co w Nowym Jorku nic nie znaczyło.

George zwrócił się do swojej asystentki, dwudziestoletniej dziewczyny, która była otyła i go uwielbiała.

- Gina, dowiedz się, czego tu chce ten facet. I zaraz wracaj.

Dziewczyna oblizwała wargi, nerwowo skinęła głową i odeszła.

- Zaraz się dowiemy. Nigdy go pani nie widziała? Lindsay pokręciła głową.

- Nie. Właśnie mi powiedziano, że mam być ostrożna. I nikt nie wie, kto to jest.

Lindsay patrzyła, jak Gina podchodzi do mężczyzny. Wyglądała jak szczeniak z podwiniętym ogonkiem. Mężczyzna uśmiecha się do niej, coś mówi uspokajająco, a wreszcie klepie ją po ramieniu.

- Mówi, że nazywa się Taylor - powiedziała po powrocie. - I jest tutaj na życzenie pana Demosa.

- Co robi? - spytała Lindsay.

- Powiedział, że Demos wkrótce przyjdzie i porozmawia z panią, Eden.

- Rozumiem - powiedziała Lindsay, nic nie rozumiejąc. - W takim razie może zaczniemy zdjęcia.

- Zaczniemy za jakieś czterdzieści minut - powiedział George, odsyłając ją gestem dłoni. - Niech zrobią pani włosy i twarz. I proszę się przebrać.

Lindsay skinęła głową i podeszła do grupy stylistów, skupionych wokół stołu z kawą i pączkami.

Taylor przyglądał się jej. A więc to jest Eden, pierwsza modelka, jaką oglądał na żywo. Była bardzo wysoka. Prawie sześć stóp. I chuda. To miała być reklamówka szamponu, a jej włosy były kompletnie pozbawione życia. Miał nadzieję, że fachowcy coś z nimi zrobią. I z Eden. Musi prezentować coś więcej niż sam wzrost. Miała na sobie dzinsy i rozciągnięty podkoszulek oraz sportowe buty z grubą podeszwą. Patrzył, jak wchodzi do przyczepy i zamyka za sobą drzwi. Dziwne, że tylko ona, nikt inny, zainteresowała się jego obecnością na planie. Czy była z jakiegoś powodu niespokojna? Czyżby Taylor źle ocenił Demosa? Czy Eden była w niebezpieczeństwie i Demos ją chronił?

Przyglądał się ludziom, zapamiętując, gdzie stali i co robili. Miał listę wszystkich pracowników zatrudnionych przy produkcji reklamówki. Długą listę. Musiał docenić koszty tego niewielkiego przedsięwzięcia. Sprawdzał wszystkich raz po raz. Nie było nikogo spoza listy.

Spojrzał na małą pulchną Ginę, uśmiechającą się do niego. On także się uśmiechnął i mrugnął do niej.

Nie podobało mu się, że zdjęcia są robione w Central Parku. Wokół było mnóstwo drzew i krzewów. Bezustannie mijali ich spacerowicze; starali się wyglądać obojętnie i nonszalancko, ale

zwalniali kroku, żeby się pogapić. No, i te opadające liście. Taylor wzmógł czujność. Jak dotąd nic podejrzanego.

Przywykł do czekania. Był cierpliwy i umiał stać w całkowitym bezruchu, jeżeli wymagała tego sytuacja. Usłyszał hałas i szybko się obejrzał. Dwoje czarnych dzieciaków ze słuchawkami na uszach nadbiegało w podskokach. Przyglądał im się uważnie, dopóki nie zniknęli z pola widzenia. Oparł się o pień dębu, czując ucisk dziewięciomilimetrowego pistoletu automatycznego w kaburze umieszczonej pod ramieniem.

Po upływie pół godziny drzwi przyczepy otworzyły się i wyszło z niej troje ludzi. Jeden z mężczyzn skłonił się i wyciągnął rękę.

Zjawiskowa kobieta ujęła jego dłoń i zstąpiła po schodkach na ziemię. Miała na sobie długą, luźną, białą suknię obnażającą ramiona. Była bosa. Jej włosy wyglądały teraz zupełnie inaczej - gęste i pofalowane, wielobarwne i długie. Wspaniałe. To ona, Eden, modelka. Nie do wiary. Gapił się na nią, nie mogąc oderwać wzroku. Oczywiście, mógł patrzeć tylko z daleka.

Rozejrzała się wkoło i w końcu napotkała jego wzrok. Poczł się jak nastolatek z burzą hormonalną, jak głupiec. Skinął jej głową, a potem przypomniał sobie, że jest w pracy. Obejrzał dokładnie przechodzącą grupę ludzi. Przyglądał się rękom mężczyzn. Twarzom i oczom. Zawsze był dobry w dostrzeganiu intencji. Potem jego oczy znów wróciły do niej. Demos powiedział, że Eden może stać się celem napaści. Chciał, żeby Taylor nie spuszczał jej z oka. Dobrze, patrzeć na nią nie sprawiało mu przykrości.

Patrzył, jak reżyser chodzi między ludźmi z ekipy, wydaje polecenia w grubiański sposób, słyszał jak krytykuje Eden, i to nie raz, ale kilka razy. Jej uśmiech był nieodpowiedni. Nie miała wdzięku. Była sztywna, jak cholerna kukła. Taylor miał ochotę przyłożyć facetowi. A Eden tylko kręciła lub kiwała głową albo prosiła o wyjaśnienia. Robiła, co jej kazano, bez dąsów i wahania. Zmieniała pozę lub stała nieruchomo, w zależności od wymagań reżysera. Patrzył, jak specjaliści od makijażu uwijają się przy niej, a potem pojawia się spec od włosów, żeby wyprostować jakiś kosmyk, który wcale nie wymaga wyprostowania. Reżyser i kamerzysta tak się kłócili, że Taylor zaczął się zastanawiać, kto tu rządzi. Panowały chaos i szaleństwo.

Zdjęcia trwały dwie i pół godziny. W tym czasie Taylor namierzył dwudziestu podejrzanych, ale wszyscy odeszli. I wciąż przyglądał się Eden. Patrzył, jak jeden z mężczyzn powiewał wachlarzem, żeby zdmuchnąć włosy z jej twarzy. Patrzył, jak Eden wygina plecy w łuk i wypina pierś, patrzył, jak siada na konia, pokazując długie gołe nogi. Do zdjęć wypożyczono z Parku spokojną starą kobyłę, gniadą z białą gwiazdką na czole. Cierpliwą i wyrozumiałą.

Taylor podziwiał spokój Eden. Jak ona może tak ciągle się uśmiechać? Zastanawiał się, jak może wytrzymać z egoistycznym reżyserem. Spodziewał się, że wreszcie krzyknie lub zaprotestuje, ale się nie doczekał.

Kiedy było po wszystkim, westchnął z ulgą. Nie zdarzyło się nic, poza tym, że jakiś przechodzień coś upuścił na ziemię i tak długo tego szukał, że Taylor zaczął się do niego zbliżać. Wtedy facet odszedł. Taylor patrzył, jak Eden przeciąga się, mówi coś do reżysera, ściska dłoń fotografa i znika w przyczepie.

Kiedy pojawiła się po dwudziestu minutach, znów miała na sobie dzinsy i podkoszulek, a włosy spięła na czubku głowy. Dziwne, pomyślał Taylor, tak wygląda jeszcze ładniej niż z tą bujną rozwianą grzywą.

Zbliżył do Eden.

- Demos się nie pojawił - powiedział. Wyciągnął do niej rękę. - Więc muszę się przedstawić sam. Nazywam się Taylor.

- Taylor i co dalej?

- Taylor to moje nazwisko. Tak się do mnie zwracają. Eden pytająco uniosła brew. Taylor wzruszył ramionami.

- No, dobrze. S. C. Taylor. Ale wszyscy zwracają się do mnie per Taylor.

Nie widząc innego wyjścia, Lindsay uściśniła jego dłoń.

- Jestem Eden. Co pan tu robi?

- Demos wynajął mnie, żebym chronił panią i plan zdjęciowy.

Lindsay była szczerze zdumiona. - Co?

- Powiedział, że przyjdzie. Powiedział, że wszystko pani wyjaśni i powie, kim jestem i dlaczego tu jestem. Powiedział, żebym pani pilnował przez kilka następnych dni.

- Ależ to szaleństwo! Chronić mnie? Przed czym?

- Też się nad tym zastanawiałem. Myślę, że nasz przyjaciel Demos jest komuś winny pieniądze i ten ktoś nie jest z niego specjalnie zadowolony.

- On uwielbia konie.

- Jak długo pani u niego pracuje?

- Ze cztery lata.

- Chce pani zadzwonić do niego, żeby mnie sprawdzić?

Potrząsnęła głową z westchnieniem.

- Proszę mnie źle nie rozumieć. To nie oznacza, że tak szybko panu zaufałam. Nie, po prostu to jest w stylu Vinniego. Mimo wszystko, jestem zaskoczona, że Glen nic mi nie powiedział.

- Możemy pójść razem na lunch?

Lindsay nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Był przystojny, a to zawsze stawiało ją w stanie pogotowia. Był duży, a to było jeszcze bardziej niebezpieczne. Książę był znacznie mniejszy, szczuplejszy, ale wystarczająco silny, by zrobić z nią, na co miał ochotę. Ten facet ma ze sześć stóp i dwa cale, tyle co jej ojciec. Żałowała, że nie założyła butów na wysokich obcasach, tylko adidas, i nie może spojrzeć mu w oczy, nie zdzierając głowy.

- Jem jogurt na lunch. Wczoraj naźarłam się w meksykańskiej knajpce i teraz muszę zacisnąć pasa.

- Nie ma sprawy - odparł Taylor. - Jest pani gotowa?

Skinęła głową. Wokół było pełno ludzi.

- Nie jest tu niebezpiecznie?

- Proszę się uspokoić. Jestem przy pani i mam broń. Nie chcę, żeby siedziała pani uwięziona w mieszkaniu, bojąc się otworzyć drzwi i odebrać telefon. Będziemy ostrożni. To wszystko. A ja będę się rozglądał.

Skinęła głową. Nie mogła się doczekać, kiedy dorwie Demosa. Czy naprawdę coś jej groziło? To drań. Najchętniej by go zabiła. Jak mógł ją stawiać w takiej sytuacji? I do tego jeszcze ten zupełnie obcy facet.

- Może nie powinienem był mówić pani prawdy - zaczął, idąc obok niej. - Ale Demos nie miał chyba nic przeciwko temu, a pani nie kupiłaby niczego, prócz prawdy.

- Ma pan rację - powiedziała Lindsay, idąc tak szybko, że musiał przyspieszyć kroku. - Zapłaci mi za to, głupek.

- Może źle go zrozumiałem - odparł uspokajająco. Lindsay spojrzała na niego i po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że coś z nią jest nie w porządku.

- Aha, właśnie. Jestem taka cenna, że nagle uznał, że grozi mi niebezpieczeństwo uprowadzenia przez Szejka.

- Ja bym się nie oparł.

Wycofała się. Bardzo dziwne. Po prostu już jej tu nie było. Nie przyspieszyła kroku, właściwie nie zrobiła nic szczególnego, ale w jakiś sposób kompletnie się oddaliła.

Taylor zmarszczył czoło spoglądając na jej profil i powiedział:

- To było głupie. Przepraszam.

Nie wróciła. Tylko skinęła głową, nie patrząc na niego, i dalej sadyła długimi krokami.

- Znam dobry sklep z jogurtem, tuż przy Sześćdziesiątej i Pięćdziesiątej Siódmej. Może pani spróbuje?

Skinęła głową. Chodniki były zatłoczone. Wszyscy się śpieszyli. Ulice były zapchane samochodami, głównie taksówkami. Wszystkie trąbiły i kluczyły, usiłując wyminąć się nawzajem. Lindsay zdała - sobie sprawę, że przygląda się twarzom, ocenia je, przywiązuje wagę do ich wyrazu. Stała się podejrzliwa i wystraszona.

- Nie - powiedział cicho Taylor. - Niech pani tego nie robi. Wszystko będzie dobrze. Proszę mi zaufać. Jestem niezły w swoim fachu. Dla pani informacji, przez kilka lat byłem gliniarzem.

- W porządku - powiedziała Lindsay i starała się opanować.

Sklep z jogurtami był zatłoczony i musieli czekać dobre dziesięć minut. Lindsay zamówiła bananowo-orzechowy, bez tłuszczu, i usiadła przy małym okrągłym stoliku. Taylor zamówił to samo i usiadł obok niej.

Jadła powoli, delektując się każdym łykiem.

- Jest pani zawsze głodna?

Nie odpowiedziała, dopóki powoli nie przełknęła.

- Nie. Tylko, że muszę ważyć o piętnaście funtów mniej niż moja normalna waga. Na zdjęciach człowiek wygląda na grubszego niż jest w istocie. Takie są zasady - dodała szybko, widząc, że Taylor chce coś powiedzieć. - Jeśli chcę wykonywać ten zawód, muszę się temu podporządkować.

- Chyba rozumiem. Czy rodzina wydziwia, że pani się tak głodzi?

- Nie, oni... Gdzie Demos pana wynalazł?

- Zadzwoił do mnie Glen. Flaming Glen. Ten z rządkiem diamentowych kolczyków w uchu. Poprosił, żebym przyszedł, bo ma dla mnie pracę. Czy on się zawsze ubiera na czarno?

Lindsay się uśmiechnęła. Znowu się odprężyła. Taylor odchylił się na oparcie krzeselka, za co była mu bardzo wdzięczna. Dziwne, ufała, że ją obroni. Niedługo pozbędzie się go, jak tylko dopadnie Demosa.

- Flaming Glen to kawał wariata. Kiedy nie nosi się na czarno, przystraja się w fiolety. Twierdzi, że to podkreśla kolor jego oczu. Jest teraz wściekły na Demosa. Jak był ubrany, kiedy się z panem spotkał?

- Miał na sobie czarne obcisłe dzinsy, czarny golf i szeroki pas z wielką okrągłą klamrą ze srebra. I czarne włoskie mokasyny.

- To jego ulubiony strój. Jest pan spostrzegawczy. Omijam ich biuro z daleka. Każdy z nich chce, żebym trzymała jego stronę.

- Kiedy nie pełnię roli hakera komputerowego, jestem prywatnym detektywem i za to płaci mi

Demos. Mam nadzieję, że nie będzie mi pani miała za złe, że przez kilka dni będę w pobliżu.

- Niby co? Będzie mnie pan pouczał, co mam robić? Taylor wzruszył ramionami. Kiedy Demos zatelefonował do niego wczoraj wieczorem, wydawał się podniecony. Wtedy właśnie powiedział, żeby Taylor nie spuszczał z oka Eden także po zdjęciach.

Taylor zażądał większego wynagrodzenia, na co Demos chętnie się zgodził. Taylor zaczął podejrzewać, że chce go nabrać. Zadzwoił do Glena i poprosił o zapłatę z góry i Glen się zgodził.

- Na czym to ma polegać? - naciskała Lindsay.

Uśmiechnął się do niej i to ją przeraziło. Mało brakowało, a znów by się wycofała. Jego uśmiech natychmiast zgasł. Taylor pochylił się nad stolikiem i powiedział cicho:

- Nie wiem, co z panią jest, ale nie mam zamiaru tracić czasu na zastanawianie się, jak pani zareaguje na moje odzywki. Zostałem wynajęty do pracy, i pani jest moją pracą. Będę za panią chodził, dopóki Demos nie przestanie mi płacić. Jeśli pani to nie odpowiada, proszę zatelefonować do Demosa. To, jak? Zadzwoi pani teraz, czy wychodzimy? Tak się składa, że mam wielkie wyczucie smaku, więc jeśli chce pani pójść na zakupy, jestem do dyspozycji.

Lindsay milczała.

- Przepraszam - powiedziała wreszcie. Taylor skinął głową.

- Nowy Jork jest czasem przerażający.

- To prawda.

- Za godzinę mam lekcję karate.

- Jest pani w tym dobra?

- Trzeci stopień.

- Od jak dawna pani ćwiczy?

- Wkrótce będzie rok. W zeszłym roku widziałam bijatykę uliczną i zapisałam się, żeby się uczyć samoobrony.

Półprawdy, pomyślała, zawsze tylko te półprawdy.

- Policja radzi, żeby się nie bronić przed napaścią.

- Doradza pan, żeby leżeć i brać lanie?

- Doradzam ocenianie sytuacji i kierowanie się rozumem. Strach jest najgorszym doradcą, bo sprawia, że człowiek głupieje.

- Był pan w policji nowojorskiej? - Tak.

- Dlaczego pan odszedł? Uśmiechnął się i otworzył przed nią drzwi.

- Gdzie są zajęcia?

- Na rogu Czterdziestej Czwartej i Madison. Możemy tam pójść?

- Tak. Może mi pani zaufać - powiedział Taylor. - Chodźmy. To długi spacer. Rozumiem, że chodzi pani pieszo, żeby nie przytyć.

Lindsay skinęła głową.

Taylor przyglądał się, jak ćwiczyła na sali gimnastycznej Lin Ho. Była niezła. Była silna, wytrzymała i miała dobrą koordynację ruchów. Problem polegał na tym, że można było przewidzieć, jaki ruch wykona. Jej intencje były czytelne. Może powinien jej udzielić instrukcji? Specjalista zrobiłby z niej miazgę. Taylor mógłby jej pokazać, jak wygląda prawdziwe oblicze Nowego Jorku. Wzdrygnął się na tę myśl. On, S. C. Taylor, ten doskonały gliniarz, który walczył o prawo i porządek, który wierzył w sprawiedliwość. Ellie zabiła się, wyskakując przez okno w prywatnej szkole... Dobry Boże, ten pogrzeb - byli tam matka i wuj Ellie. Obejmowali się, a potem ten łajdak rzucił na

trumnę czerwoną różę. Taylor omal go wtedy nie pobił. Ale się opanował. Nie na długo. Wyciągnął wuja z jego luksusowego mieszkania i sprzął mu mordę. Dziwne, bo wcale nie poczuł się lepiej. Facet miał czelność jeszcze mu grozić. Miał czelność wrzeszczeć, że to była wina Taylora. Rozwścieczony Taylor przyłożył mu jeszcze raz. Ale Ellie i tak nie żyła. Została pogrzebana na cmentarzu Mountain View. Taylor czasami tam bywał. Nie sprawdził, co zrobiła jej matka. Po prostu nic go to nie obchodziło. Ale wuj Bandy wyzdrowiał i Taylor wiedział, że prowadzi się tak jak dotąd. Miał władzę i pieniądze, to, co najważniejsze.

Wyszedłszy z Eden po lekcji karate, wciąż rozmyślał o Ellie. Lindsay zastanawiała się, czym jest taki zaabsorbowany. Był roztargniony. Zatelefonowała z szatni i zastała Glena.

- Szef wyszedł, Eden. Powiedział, że wyjeżdża na długi weekend.

- Dlaczego wynajął Taylora, Glen? Czy Demosowi ktoś groził?

- Tak, kochanie. Nie lekceważ Demosa i nie odsyłaj faceta. Niech cię ochrania. Jest dobry w swojej branży. I czyż nie jest miłutki? Przyjrzałaś się jego barom? A ten słodki maleńki dołeczek w brodzie?

- Tak. Masz rację, Glen. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

- Trzymaj się, Eden. Jeśli go zaciągniesz do łóżka, wydrapię ci oczy.

Lindsay posłusznie się roześmiała.

ROZDZIAŁ 11

Taylor/Eden

Taylor zatelefonował do Valerie z mieszkania Eden. Spytał ją, jak się czuje, na co uzyskał odpowiedź taką jak zwykle, że czuje się świetnie, jest zadowolona, była na zakupach i kupiła to i owo, tęskni za Taylorem, a następnie spytała, co u niego. Wszystko jednym tchem, niezmiennym tonem.

- Nie przyjdę dziś wieczorem - powiedział, z żalem, który wyraźnie brzmiał w jego głosie. - Tak, wiem, że chciałaś obejrzeć ten film, ale mam pracę i będę uwiązany do końca tygodnia, a może nawet w przyszłym tygodniu. Przykro mi, kochanie. Odsprzedam bilety i kupię nowe na przyszły weekend, dobrze? A może wolisz, żebym ci je przysłał i pójdziesz z kimś innym?

- Nie chcę iść z nikim innym! Jesteś z kobietą, prawda?

- Tak, na tym właśnie polega ta praca. To tylko praca, Valerie, nic więcej - dodał, usłyszawszy podejrzliwy ton. - Mówiłem ci, że czasem tak się zdarza. O co ci chodzi?

- Kłamiesz! - wybuchła gwałtownie. - Niech cię szlag! Jak jej na imię? Jesteś taki sam jak wszyscy cholerni mężczyźni! Powiedz mi, jak się nazywa!

Taylor odsunął słuchawkę od ucha. Valerie krzyczała na niego, wrzeszczała. Nie mógł w to uwierzyć. Nie milkła, bryzgała jadem, wyzywała go od kłamców, oskarżała o to, że ją zdradza z młodszą, o to, że kłamie, kłamie, kłamie. Taylor milczał. Co jeszcze mógł dodać? Chryste, a wydawało mu się, że ją zna. Pomyślał o jej dowcipie, wspaniałym ciele, o niezaprzeczalnym intelekcie pod tą piękną powłoką. Ale nigdy nie podejrzewał, że drzemie w niej taka furia. Jak może być zazdrosna? Czy jakiś facet zranił ją w przeszłości? Uważał, że to niemożliwe, przecież tak doskonale panowała nad sytuacją. Na Boga, była najpiękniejszą kobietą, jaką widział w całym swoim życiu. Czyste szaleństwo.

Kiedy się wreszcie wyładowała, Taylor był zły i zniecierpliwiony.

- Przykro mi, że mi nie ufasz, Valerie. Mylisz się. Zatelefonuję do ciebie w poniedziałek. Będę się wtedy spodziewał przeprosin.

Po chwili wahania zaczęła od nowa. Taylor spokojnie odłożył słuchawkę.

Odwrócił się i zobaczył Eden, stojącą w drzwiach kuchni. Przyglądała mu się, z głową przechyloną w niemym pytaniu.

- Nigdy nie wiadomo, co siedzi w drugim człowieku - powiedział.

- Nie wiadomo - zgodziła się Eden. - Może lepiej nie wiedzieć. Czego się pan napije? Wody sodowej? Herbaty?

Najlepsze byłoby piwo, ale co tam.

- Wolę herbatę.

Eden zniknęła w kuchni. Pomyślała - Taylor ma kogoś. I tak jest lepiej. Nie musi się go obawiać.

Zastanawiała się, dlaczego kobieta, do której zatelefonował, może być wściekła na kogoś, kogo nigdy nie widziała. Dziwne.

Taylor usiadł na ogromnej sofie, krytej materiałem w jaskrawy wzór i zarzuconej barwnymi poduszkami. Odchylił się na oparcie i rozejrzał po pokoju. Był duży, ale przytulny. Taylor czuł się w nim dobrze, chociaż był pedantem, a w pokoju panował spory nieład. Stał tu bambusowy stolik, zawalony książkami. Inna sterta książek piętrzyła się na podłodze obok sofy. Naprzeciw niej znajdowały się dwa bujane fotele, a pomiędzy nimi lampa. Taylor spojrzał na książki. Przeważnie tanie wydania. Eden miała gust eklektyczny. Były tam kryminały, powieści szpiegowskie, romanse historyczne oraz książki z gatunku *science fiction*. Miała wszystkie powieści Dicka Francisa. A także, co Taylora zaskoczyło, książki z dziedziny architektury; wielkie opasłe tomiska, jakie zwykle pieczołowicie układa się na półkach, aby zrobić wrażenie na gościach. Taylor naliczył ich kilkanaście - albumy i biografie znanych architektów, takich jak Barry, Pugin i mniej znany Dominico oraz Telford, który wybudował pierwszy most wiszący.

Żadnych gazet ani czasopism. Dziwne, że nie miała czasopism. Była przecież modelką i z pewnością jej zdjęcia znajdowały się w wielu magazynach.

Taylor wstał i podszedł do kominka. Stały na nim oprawione fotografie. Kilka z nich przedstawiało starą damę o diabelnie patrycjuszowskim wyglądem i w stylowym stroju. Na jednym ze zdjęć uwieczniono mężczyznę, chyba ojca Eden, bo miał identyczne jak ona oczy. Była tam także mała fotografia bardzo chudej kobiety, o posępnej minie i głębokich bruzdach na czole. Matka Eden? Taylor nie dostrzegł najmniejszego podobieństwa. I żadnych sióstr ani braci.

- Co dodać do herbaty? - zapytała podejrzliwym tonem Eden. Obejrzał się, zdając sobie sprawę, że dziewczyna ma mu za złe to „szpiegowanie”.

- Dziękuję, lubię samą herbatę. Mam nadzieję, że nie jest to owa dzika herbata, wie pani, z mielonymi pazurkami myszy i dodatkiem wonnych ziół.

Eden się roześmiała i wróciła do kuchni. A Taylor powrócił do oględzin. Palenisko było okopcone i wymagało porządnego czyszczenia. Kiedy Eden pojawiła się w pokoju z tacą, powiedział:

- Powinna pani wezwać kominiarza. Taki kominek jest niebezpieczny.

Lindsay uśmiechnęła się, bo uwaga Taylora rozviała jej podejrzenia. Był to uśmiech niewymuszony i Taylor zrozumiał, że jest przeznaczony specjalnie dla niego - uśmiech kobiety do mężczyzny.

- Zaprosiła mnie pani do siebie - powiedział, upiwszy łyk jaśminowej herbaty, której nie znoślił. - Jestem zaskoczony.

Lindsay wzruszyła ramionami.

- A co miałam zrobić? Zostawić pana na schodach? Czy upierać się, żeby pan został na rogu ulicy?

- Mogliśmy chodzić po sklepach. Mówiłem pani, że mam doskonały gust. Mogliśmy pójść do Bloomingdale.

- Prawdę powiedziawszy, jestem zmęczona. Musi pan tak przy mnie trwać? Cały czas? A co będzie w nocy?

- Jest pani zdana na moje towarzystwo. Demos pokrywa wszelkie koszty. Może pójdziemy do kina? Słyszałem, że „Czarny Książę” jest świetny, w każdym razie zebrał doskonałe recenzje.

Przemilczał fakt, że ma dwa bilety. Rozważył możliwe niebezpieczeństwo i doszedł do wniosku,

że może zminimalizować ryzyko. Nie był przecież głupi i miał doświadczenie. I naprawdę nie chciał, żeby czuła się jak więzień.

Oczy Eden zabłysły; cała jakby pojaśniała. Zdziwił się. Była piękna, odnosiła sukcesy, z pewnością kręciło się wokół niej wielu mężczyzn, oczywiście takich, których sama wybrała. A jednak wyglądała na kogoś, komu zaproponowano niebывały poczęstunek, coś wspaniałego i całkowicie nieoczekiwanego.

- Możemy zamówić chińskie jedzenie, prawie nie ma kalorii i jest lekkostrawne.

A potem odwróciła głowę, nalewając sobie herbaty.

- Dla pana to tylko praca, prawda? Nie żadna randka, czy coś w tym rodzaju?

- Nawet nie marzę o randce z panią.

To miał być żart, ale ona przyjęła go na poważnie.

- W takim razie, chętnie. Może być przyjemnie.

- Podoba mi się pani mieszkanie.

Spojrzała na niego, nie wiedząc, czy mówi to serio. Uznała, że weźmie pochwałę za dobrą monetę. Nie miała twarzy pokerzysty. Można ją było tak łatwo przejrzeć, że uprawiając hazard, przegrałaby cały swój majątek, łącznie z tym, co miała na sobie.

- Dziękuję - powiedziała w końcu, rozglądając się. - Jest nieduże, ale moje własne i urządziłam je po swojemu.

- Widzę, że interesuje panią architektura.

- O, tak. A zwłaszcza dawni architekci. Ich życie jest fascynujące. I to, co robili, Boże... - przerwała zakłopotana. Zapewne pomyślała, że za dużo gada i go nudzi.

- Proszę mi opowiedzieć o Telfordzie - zaproponował. - Czy to nie on zaprojektował London Bridge, ale projekt został odrzucony?

Uśmiechnięta skinęła głową, ciesząc się, że Taylor ma o tym jakieś pojęcie. A on był zadowolony, że nie spostrzegła, iż przed chwilą wyczytał tę mądrość z jednej z tych jej książek.

Lindsay poszła z Taylorem do jego mieszkania oddalonego o osiem przecznic, żeby się przebrała. Czuła się dziwnie szczęśliwa. Od lat nie wychodziła z żadnym mężczyzną, nie spacerowała i nie rozmawiała. To należało do jego pracy, ale i tak czuła coś zupełnie nowego. Błagam, modliła się w duchu, niech będzie dla mnie miły.

Jego mieszkanie było o wiele ładniejsze niż mieszkanie Eden. Mieściło się w starszym budynku, miało większy metraż, wysoki sufit, piękne wykończenie i nowoczesne umeblowanie. Stały tam duża sofa, kryta ciemnozieloną skórą, i dwa skórzane fotele z podnózkami, stoliki i lampy ze szkła łączonego z drewnem. Panował porządek. Znać było dobry gust właściciela. Taylor najwyraźniej lubił barwy ziemi - beże, brązy i czerwienie. Eden czuła się onieśmielona. Taylor nie należał do biednych, o nie. Dlaczego tego oczekiwała? Bo był ochraniającym? Nagle zdała sobie sprawę, że Taylor jej się przygląda.

- Podoba mi się - powiedziała.

- Dzięki. Proszę się rozgościć. - Wskazał jej sofę i wyszedł z pokoju.

Ten porządek i czystość sprawiały, że Eden miała ochotę podrzucić do góry wszystkie książki i czasopisma i pozostawić je tam, gdzie upadną. Te starannie ułożone stosiki źle na nią działały. Najwięcej było czasopism o komputerach; piętrzyły się na wszystkich półkach i innych powierzchniach. Wzięła do ręki bardzo gruby „PC Magazine” i przerzuciła kartki zapisane niezrozumiałymi liczbami, słowami i zdaniem. Znalazła artykuł zatytułowany „The Dizzo Chip” i

studiowała go ze zmarszczonym czołem. Przewróciła jeszcze kilka kartek i zobaczyła ilustracje, przedstawiające coś, czego nie rozpoznawała. Przeczytała kilka słów na temat modemów, ponieważ wiedziała, co to takiego, ale i tak nie rozumiała niczego oprócz niektórych rzeczowników. Odłożyła czasopismo, bardzo ostrożnie, na porządnym stos innych czasopism. Rozejrzała się za czymś innym. Doznała wstrząsu, znalazłszy czasopismo z kulturystą na okładce. Wyglądał jak Rambo, w dłoniach trzymał uzi lub coś podobnego, spojrzenie miał podłe i nieustępliwe. A potem zobaczyła czasopisma dotyczące broni, myślistwa, sportów walki. Otworzyła magazyn na temat zagranicznych pistoletów i przeczytała o Glock 17, produkcji australijskiej, zrobionym z plastiku. Pod dużą fotografią na lśniącej papierze widniał napis: „Obecnie dostępne dla każdego właściciela domu w Ameryce”. Chryste, pomyślała. To wyglądało jak zabawka, przezroczysta i sprawiająca wrażenie bardzo kruchej. Ale to nie była zabawka.

Dla każdego. Wspaniale.

Przewróciła jeszcze parę kartek i zobaczyła więcej mężczyzn z bronią - na zawodach sportowych, w lesie, w grupie innych uzbrojonych mężczyzn, coraz więcej mężczyzn - wszyscy gotowi zabijać. I kilka zdjęć facetów z bronią, stojących obok kobiet albo patrzących na kobiety, mężczyzn aroganckich i dominujących, panów i władców. Czy Taylor ma przy sobie broń? Oczywiście, musi być uzbrojony. Jest prywatnym detektywem, jest jej ochroniarzem. Czy ma broń?

Uniosła głowę, usłyszawszy szum prysznic. Odgłos dochodził z odległej części mieszkania. Dziwne wrażenie. Tak długo mieszkała sama.

Przeszła do kuchni. Same gadzety. Części z nich w ogóle nie знаła. Spojrzała na lśniąca belgijską maszynkę do robienia wafli, nieskazitelnie czystą, otwartą, gotową do użycia. Był tam także otwieracz do puszek, taki skuteczny, że poczuła litość dla konserw. Sięgnęła do lodówki po butelkę wody sodowej. Zobaczyła mnóstwo świeżych jarzyn, puszek z tuńczykiem, sosów w butelkach, bochenek pszennego chleba, masło bez cholesterolu, bezcukrowe dżemy, ale ani śladu wody sodowej. Popatrzyła pożądliwie na butelkę wina Balidonne Chardonnay i z żalem zamknęła lodówkę.

Wróciła do salonu. Prysznic przestał szumieć i nagle zdała sobie sprawę, że Taylor jest nagi oraz - co to oznacza. Już nie czuła się dziwnie, przebywając w jednym mieszkaniu z mężczyzną. Czuła przerażenie. Znajdowała się niedaleko mężczyzny, który był goły. Dzieliły ich dwa pomieszczenia, a może tylko jedno. Spojrzała na stolik i zobaczyła zdjęcie mężczyzny z nagą pierś, trzymającego strzelbę. Obok niego stała kobieta najwyżej dwudziestodwuletnia, spoglądała na niego z nabożną czcią; usta miała rozchylone.

Mężczyzna może skrzywdzić kobietę. Ten mężczyzna, Taylor, może skrzywdzić Eden. Jest duży. Sprawiał wrażenie miłego, ale może tylko udawał, żeby pozyskać jej zaufanie. I oto znalazła się w jego mieszkaniu, przyszła tu bez wahania, uszczęśliwiona jak szczeniak, bezbronna jak jagnię, paplając o siedemnastowiecznych architektach. Była nudna, głupia, a teraz jest zdana na jego łaskę.

Jest w łazience. Nagi. Ale co się stanie, kiedy z niej wyjdzie? Czy będzie miał na sobie szlafrok, taki jak ten, który nosił księżę, kiedy?... Nie, była przekonana, że Taylor pojawi się zupełnie goły, bez włoskiego szlafroka; nie dla niego takie wyrafinowane gry. A ona ma na sobie tylko spodnie i sweter.

O, Boże. Taylor wygląda jak mężczyźni na tamtych fotografiach. Samoobrona, której się nauczyła, jest śmiechu warta wobec facetów tego typu. Słyszała, jak rozmawiał z Lin Ho, instruktorem, słyszała jak dyskutowali na temat strategii, kiedy ma się więcej niż jednego przeciwnika i kiedy są oni uzbrojeni w noże. Nie mówił jej nic o swojej znajomości sztuki zabijania, ale z pewnością ją

posiadał. Przypomniała sobie, jak wyglądał, rozmawiając z Lin Ho. Był silny i umiał się bić. Był mężczyzną i był duży, i ona nie ma szans się przed nim obronić.

Chwyciła torebkę i podbiegła do drzwi, otworzyła je i już jej nie było. Usłyszała, że Taylor za nią woła.

Zbiegła schodami pięć pięter. Złapałby ją, gdyby się zatrzymała. Jeśli winda nadjedzie, Taylor znajdzie się na dole pierwszy i będzie na nią czekał, chwyci ją i wciągnie do windy, żeby zawieźć z powrotem do mieszkania. Zadyszana zbiegła na dół. Przyciskając mocno torebkę, dotarła do rogu i zatrzymała taksówkę.

Musi uciekać.

Taylor usłyszał trzask drzwi i bez zastanowienia wypadł nagi z łazienki. Pobiegnął do salonu. Eden zniknęła.

Jezu, czy to możliwe, że ktoś się włamał i ją porwał? Nie, niemożliwe. Wołał ją, ale zdał sobie sprawę, że jest goły jak święty turecki, więc nie może za nią pobiec.

Dlaczego uciekła?

Stał, ociekając wodą, i zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodziło? Sprawa była dziwaczna. Eden była dziwna. Westchnął, wrócił do sypialni i szybko się ubrał. Była sama, nikt jej nie chronił.

Lindsay powiedziała taksówkarzowi, że chce wysiąść przy domu Gayle, naprzeciw Centrum Lincolna. Gayle mieszkała w strzeżonym budynku, na trzydziestym szóstym piętrze. Lindsay przeszła przez hol i stanęła przy windach. Przycisnęła wszystkie możliwe guziki i oparła się o ścianę. Była bezpieczna.

Niestety, okazało się, że Gayle nie ma w domu.

Lindsay zamknęła oczy. Co teraz zrobić?

Nie może tu zostać. Budynek był dobrze strzeżony. Wkrótce któryś z sąsiadów doniesie na nią portierowi. Wróciła do holu. Poczeka tutaj. Jeżeli stanie na widoku, nie wyrzucą jej na ulicę. A jeśli przyjdzie po nią Taylor? Och, nie, nie.

Po dwóch godzinach podszedł do niej portier. Jego cierpliwość się wyczerpała.

Wyszła na ulicę i złapała taksówkę, żeby wrócić do domu. Po raz pierwszy od czasu ucieczki z mieszkania Taylora zdała sobie sprawę, że jej grożono. Biegała jak idiotka, bezmyślnie narażając się na niebezpieczeństwo.

Zdała sobie sprawę, że nie ma dokąd pójść. Może do jakiegoś hotelu? Nie miała żadnych bliskich przyjaciół. Na gruncie towarzyskim trzymała się z dala nawet od Demosa i Glena. Unikała wszystkich ludzi, którzy starali się być dla niej mili. Miała znajomych, ale nie przyjaźniła się z nikim prócz Gayle, bo nikomu nie ufała, nawet kobietom. Oprócz Gayle, którą poznała jeszcze przed nieszczęsnymi zdarzeniami w Paryżu.

Ze zwieszoną głową wyszła z windy. Czowała się zmęczona i odrętwiała.

Omal na niego nie wpadła.

Złapał ją za ramiona i potrząsnął, aż głowa opadła jej do tyłu. Chciała wrzasnąć, ale zatkał jej usta dłonią.

- Zamknij się, do cholery!

Starła się wyrwać. Ale był silniejszy, wiedziała, że będzie. Nie wypuści jej. Zaciągnie ją do mieszkania i...

Taylor spostrzegł w jej oczach przerażenie. Nie przed enigmatycznym prześladowcą, lecz przed nim.

- Muszę się odlać - powiedział bardzo spokojnie. - Od dwóch godzin stoję tu jak idiota. Czy możesz otworzyć drzwi?

Spojrzała na niego. Nie wyglądał, jak ktoś, kto chce z niej zerwać ubranie. Wyglądał na bardzo niezadowolonego. Niezadowolonego z niej.

- Musisz się odlać?

- Tak. Nie mogę poprosić twoich sąsiadów, żeby mi pozwolili skorzystać z toalety. Otwórz drzwi.

- Och - westchnęła. To jej przerażenie. Boże, była sparaliżowana ze strachu. A on chciał tylko skorzystać z ubikacji.

Otworzyła drzwi i wpuściła go, wskazując na wprost.

- Zaraz za sypialnią.

Taylor posłał jej gniewne spojrzenie i zniknął w łazience.

Kiedy wyszedł, Eden stała w tym samym miejscu, w którym ją zostawił.

Zatrzymał się w odległości trzech stóp od niej.

- Porozmawiaj ze mną. Patrzyła na niego.

- Jestem zmęczony stanem. Usiądźmy. Porozmawiaj ze mną.

- Jestem głodna.

- Nie będę jadł cholernego jogurtu.

- Chińskie jedzenie?

- A ty znowu dasz dyla?

- Nie.

- Dobrze - westchnął. Cała ta sytuacja była bardzo dziwna. - Chodźmy do Chow Fang's w Chinatown.

- Lubię ostre przyprawy.

- Tam są bardzo ostre.

Ku zaskoczeniu i uldze Eden, Taylor nie wypytywał jej, czemu uciekła. Spodziewała się ataku gniewu, może chłodnego sarkazmu w stylu jej ojca, ale nic nie powiedział, nawet nie wspomniał jednym słowem na ten temat.

Zaprowadził ją do restauracji Seczuan, starej i wymagającej remontu, ze zwisającymi z sufitu zakurzonymi czerwonymi lampionami. Była położona w centrum Chinatown i słynąca, jak twierdził Taylor, z autentycznych smacznych potraw.

Lindsay zamówiła naleśniki z zieloną cebulą w orzechowym sosie.

- Moje ulubione - powiedział Taylor i zamówił to samo.

Opowiedział jej o właścicielu restauracji, panu Ching, który tu przybył z Tajwanu na początku lat sześćdziesiątych. Opowiedział o jego rodzinie, opowiedział dokładnie o każdym z sześciorga dzieci, aż Lindsay wykrzyknęła:

- Przestań! Zmyślasz to wszystko!

- I tak długo wytrzymałaś. Brakło mi już konceptu. Jeszcze jedno dziecko, a zrobiłbym z niego nieletniego przestępcę. Członka chińskiej mafii.

Przyjrzała mu się. Nic podejrzanego. Miła twarz, otwarte spojrzenie. Ale, jak sam powiedział, kto wie, co siedzi w drugim człowieku? Bardzo zakłopotana sięgnęła po ciasteczko szczęścia. Odwinęła wążutki pasek papieru i przeczytała:

„Potrzebujesz zmiany otoczenia. Wytapetuj sypialnię”.

Roześmiała się i podała papieraek Taylorowi.

- Zatrzymaj to - poradził, po czym rozłamał swoje ciasteczko.

„Kobiecie, która chce dorównać mężczyznom, brakuje ambicji” - przeczytał jedną z dwu rad, jakie znalazł w środku.

Uśmiechnął się i pokazał karteczkę Eden. Jej oczy zabłysły.

- Widzisz, stara chińska mądrość wciąż jest na czasie. Najwyraźniej uznali, że potrzebna ci podwójna dawka. Jak brzmi druga sentencja?

Rozwinął papieraek i zamarł.

„W końcu znalazłeś miłość swego życia. Działaj ostrożnie. Nie chcesz jej stracić”.

Taylor zmarszczył czoło. Co za głupoty. Kompletna bzdura. I to po tym, jak Valerie wyzwalała go od drani i kłamców? Nie ma mowy. Skamieniał. To nie może być owo dziwaczne stworzenie, siedzące naprzeciw, z oczami wlepionymi w karteczkę z wróżbą. Jej ufne oczekiwanie było rozbijające, ale Taylor nie uległ. Ta kobieta wybiegła z jego mieszkania, nie myśląc o grożącym jej niebezpieczeństwie. Uciekła bez żadnego powodu. Była szalona. A potem się roześmiał. Cholerne, głupie ciasteczko z wróżbą. Wyprodukowane w fabryce przez Włochów, gdzieś w New Jersey.

- Co tam piszą? Pojedziesz w podróż dookoła świata? Przesłanie od Konfucjusza?

Taylor się uśmiechnął, pokręcił głową, złożył papieraek i schował do portfela.

Wyszli na ulicę, noc była pogodna i zimna. Chinatown miało swoiste dźwięki i zapachy, tej nocy przyjemne.

- Kocham Nowy Jork, kiedy jest taki jak teraz - powiedziała Lindsay, głęboko oddychając. - Dobrze robi na płuca.

Taylor uważnie rozglądał się dookoła. Nic podejrzanego. Nikt się nimi nie interesował. Kiedy spojrział na Eden, wciąż była pod urokiem nocy. Uśmiechnął się i przywołał taksówkę.

- Odwiozę cię do domu. Chcę mieć pewność, że nic ci nie grozi. Dopilnuję, żebyś dobrze zamknęła drzwi. Przyjdę jutro, gdziekolwiek się wybierzesz.

- Dobrze.

- Poczekasz na mnie w domu? Nie zrobisz jakiegoś głupstwa? Nie wyjdiesz beze mnie?

- Nie.

- Ulżyło mi.

Zwróciła ku niemu głowę.

- Posłuchaj, to nie jest tak, jak myślisz. Nie rozumiesz, ale...

- Zostawmy to. Nie kończ. Zamilkła.

- Nie otwieraj drzwi nieznajomym, dobrze? Skinęła głową.

Taylor obszedł jej mieszkanie. W salonie wszystko pozostało bez zmian. Sypialnia była niewielka, kwadratowa, jasna, z pomalowanymi na biało rattanowymi meblami - łóżkiem, toaletką, fotelem. Na lśniącym parkiecie leżało kilka białych dywaników. Taylor uśmiechnął się na widok rajstop i bielizny przerzuconych przez poręcz fotela. Na bladoniebieskim ręczniku przy łóżku leżał jeden adidas z grubą podeszwą. Wystawała z niego skarpetka. Pamiętał jak wyglądała łazienka. Wrócił do Eden i, jakby mówił do dziecka, pouczył ją, jak ma się obchodzić z zamkami u drzwi.

- Masz automatyczną sekretarce? Dobrze. Nie odbieraj telefonu, najpierw wysłuchaj, kto dzwoni, i dopiero wtedy podnoś słuchawkę.

Kiedy wreszcie wyszedł, obdarzając ją przeciągłym spojrzeniem, którego nie potrafiła odczytać, oparła się o drzwi i zamknęła oczy.

Jaką wróżbę zawierało drugie ciasteczko?

*

Lindsay miała ochotę pobiegać. Była siódma rano. Sobota. Na dworze świeciło słońce. Czowała się znudzona i zniecierpliwiona. Dwukrotnie usiłowała złapać Demosa, ale nikt nie podnosił słuchawki. Nie było także Glena. Tchórze. Obydwaj.

A Taylor wciąż się nie zjawiał.

Chodziła po mieszkaniu, w zamyśleniu popijając herbatę i żując pszenną grzanekę bez masła.

Że też nie przyszło jej do głowy, aby wziąć od Taylora numer telefonu. Cóż, on także o tym nie pomyślał. Jak dotąd nikt do niej nie dzwonił.

Spojrzała na drzwi uzbrojone w cztery zamki.

Kiedy dokładnie o ósmej zadzwieczyła dzwonek, omal nie upuściła filiżanki. Zdjęła łańcuch i otworzy - drzwi na oścież.

- Czekam i czekam! Gdzie się podziewałeś?

- Ja także witam cię serdecznie. Dlaczego, u diabła, nie spytałaś, kto to? To przecież mógł być gwałcień z sąsiedztwa. Albo osobisty wróg Demosa.

Stwierdziła, że po prostu o tym nie pomyślała. Nagle zaczęła dygotać. Filiżanka dzwoniła o spodeczek. Kiedy to spostrzegł, było mu przykro, że ją zbeształ w ten sposób. Ale, do diabła, nie powinna zapominać.

- Daj spokój, nie miałem zamiaru cię przerazić, ale musisz być bardziej ostrożna. - Chciał jej położyć dłonie na ramionach, ale zrezygnował. Nie, odskoczyłaby od niego jak oparzona.

- Nie jestem przerażona. Tylko rzeczywiście zapomniałam. Czekałam i czekałam, a kiedy w końcu zadzwoniłeś, byłam zaskoczona. To wszystko. Chciałam pobiegać, ale nie znam twojego numeru telefonu, a obiecałam ci, że nie wyjdę sama z mieszkania. Czy mogę pobiegać?

Wolałby, żeby nie biegała. Żeby nie pokazywała się na otwartej przestrzeni, gdzie łatwo ją namierzyć, ale dostrzegł w jej oczach podekscytowanie, więc uśmiechnął się.

- Myślę, że nic ci nie grozi. Zadbamy o dodatkowe zabezpieczenia. Jestem przygotowany. - Uniósł czarną płócienną torbę. - Mam tu mnóstwo przydatnych rzeczy, bo nie wiedziałem, co zwykle robisz w sobotę rano. - Zamilkł na chwilę, unosząc czarną brew. - Czy mogę się przebrać w twojej sypialni? Tylko, żebyś mi nie uciekła.

- Tak.

- Dobrze. Napiłbym się mocnej czarnej kawy.

- Bekon? Jajka? Grzanki?

- Nie, kiedy mam z tobą biegać, ale dziękuję za propozycję.

- Idź się przebrać - powiedziała. - Dobrze. Przepraszam, że byłam nieuprzejma.

Pojechali taksówką do Central Parku i następną godzinę spędzili na spokojnym bieganiu. Powiedziała mu, że zazwyczaj biega w przeciwległej części Parku, dookoła sadzawki, ale wyjaśnił jej, że teraz lepiej unikać tamtego miejsca. Biegali po części południowej. Taylor miał umieszczony pod ramieniem pistolet w kaburze, dobrze zamaskowany luźną bluzą. Zastanawiał się, czy Eden dostrzegła wybrzuszenie. Ciężar pistoletu działał na Taylora uspokajająco. Trzymał się blisko Eden, zwłaszcza w miejscach, gdzie łatwo było się zaciąć. Podobała mu się wytrzymałość dziewczyny. Właściwie nie musiał zwalniać kroku. Bieg nie wymagał od niego wielkiego wysiłku, ale też nie był całkowitą łatwizną. Dookoła nie działo się nic podejrzanego. Dostrzegł kilku jegomościów o wątpliwej reputacji, znanych mu z czasów, kiedy był policjantem, ale nie przejmował się nimi. Jeden

z nich, stary bezzębny chytrus, nawet się do nich uśmiechnął i pomachał im ręką.

Eden miała na sobie pomarańczowe szorty i luźną zieloną koszulkę, zniszczone buty do biegania i jaskrawo różową opaskę na głowie. Spociła się i miała wilgotne włosy. Nie była umalowana. Dyszała, a na koszulce miała ciemny ślad od potu.

Taylor zdał sobie nagle sprawę, że ma ją ochotę wycalować, całą, calutką, caluteńką, nie omijając ani jednego miejsca, co by mu zajęło sporo czasu, bo jej nogi były nieziemsko długie.

Podał jej ręcznik.

Otarła twarz i powiedziała:

- Prawie się nie pocisz, ty świntuchu.

- Jestem mężczyzną - odparł. Ku jego zdumieniu Eden zeszywniała i jakby się oddaliła, tak samo jak poprzedniego dnia. Udał, że tego nie widzi. - Jestem mężczyzną, a nie jakimś wypierdkiem mamuta, który z trudem przebiega dziesięć jardów. Uważam, że to nieprawda, że kobiety mniej się pocą.

Powróciła powoli i z ociąganiem, ale wreszcie znów była z nim. Niepokój i sztywność minęły na chwilę, ale znajdowały się w ciągłym pogotowiu. Do diabła, co z nią było nie w porządku? Może to tylko te groźby wrogów Demosa, nic więcej. Tak, może nic więcej. Ale raczej nie.

Nie, przerażał ją on, jako mężczyzna.

ROZDZIAŁ 12

Taylor/Eden

Lindsay zawsze robiła zakupy w Challed market, na rogu. Taylor kazał jej sporządzić spis potrzebnych produktów. Jak na jeden dzień już dosyć ryzykowali.

- Pójdziemy tam razem, co nie jest rozsądne - powiedział. - Albo pójde sam.

Dała mu listę, a on pogwizdując, dopisał ciasteczka, wino, piwo, czipsy i wędliny. Czuł, jak twardnieją mu arterie. Może ją nawet namówi na frytki?

Eden zjadła kanapkę bez majonezu, bez masła z jednym plasterkiem chudej szynki oraz wypila colę bez cukru. Taylor czuł się przy niej jak objadająca się świnia. Naładował sobie na talerz górę czipsów, dwie kanapki z szynką i salami oraz mnóstwem musztardy, popijał to wszystko zimnym Amstelem.

- Chcesz dziś zobaczyć ten film, „Czarny książę”?

Znów była uszczęśliwiona i Taylor znów się zastanawiał nad przyczynami jej radości. Chciał jej powiedzieć, że to tylko film, nic poza tym, ale widząc, jak się ucieszyła, postanowił nie psuć jej przyjemności.

Jako były policjant, uznał fabułę filmu za nieprawdopodobną, miejscami bezdennie głupią, ale i tak był zadowolony. Eden nareszcie się przy nim odprężyła. Kiedy wyszli z kina, rozejrzał się. Patrzył zwłaszcza na ręce przechodniów. Eden zachwycała się głównym bohaterem i twierdziła, że nie można go obwiniać za to, że uwierzył, iż jego brat zdradził handlarzowi narkotyków, że pracuje dla policji.

Aha, właśnie, pomyślał Taylor. Przytakiwał jej, a jednocześnie uważnie rozglądał się dookoła. Cały czas odrobinę ją wyprzedzał. Jeśli nawet zdawała sobie sprawę z jego wysiłków, nie dała tego po sobie poznać.

Przez chwilę nie mogli złapać taksówki i Taylor poczuł zaniepokojenie. Lepiej było nie wychodzić tego wieczoru. Ale nikt ich nie śledził. Tego był pewien. Odetchnął z ulgą. Kiedy wrócili do jej mieszkania, dokładnie sprawdził wszystkie pomieszczenia, dał jej swój numer telefonu i kierując się do wyjścia, powiedział:

- Dziękuję za miły wieczór, Eden. Dobrze się bawiłem, chociaż to tylko praca. Pamiętaj, przed czym cię przestrzegalem.

Została sama, dwukrotnie sprawdziła zamki, zrobiła sobie herbatę i poszła do salonu. Usiadła wśród poduszek na sofie. Nie była wcale zmęczona. Czuła się podniecona i podminowana, jak by powiedziała jej babcia. Wzięła do ręki jakieś czytadło, ale nie potrafiła się skupić na akcji.

Biorąc prysznic, nagle zrozumiała, co jest nie w porządku. Nie chodziło o pogróżki. Chodziło o Taylora. Miała go wyraźnie przed oczami, widziała jego uśmiech. Żałowała, kiedy wychodził. Chciała, żeby został. Był mężczyzną, a ona go lubiła. Nie koniec na tym, ufała mu. Wierzyła, że ją

obroni.

*

W niedzielę wieczorem, po całym dniu oglądania futbolu w telewizji, Taylor wyszedł, powtarzając te same instrukcje. Lindsay wzięła prysznic, włożyła szlafrok, po czym zaczęła sprzątać mieszkanie, jednym uchem słuchając wiadomości.

Z wrażenia upuściła miskę, z której jedli popcorn podczas drugiej połowy meczu drużyny 49 i Giantów.

Reżyser reklamówki, kręconej w piątek rano w Central Parku, George Hudson, lat trzydzieści sześć, został brutalnie pobity i zamknięty w bagażniku własnego samochodu, niedaleko Tunelu Lincolna. Wyżył, ale znajduje się w ciężkim stanie w szpitalu świętego Wincentego. Ma połamane żebra, obrażenia wątroby i śledziony oraz mocno uszkodzoną twarz i liczne złamania. W portfelu pobitego pozostawiono ponad dwieście dolarów. Bierze się pod uwagę handel narkotykami. Na razie nie ma żadnych poszlak ani podejrzanych. Hudson przed chwilą poinformował policję, że został zaatakowany na parkingu, przed kilku godzinami, przez dwóch zamaskowanych napastników. Nie powiedzieli ani słowa, tylko bili do nieprzytomności.

W chwili, gdy wiadomość dobiegła końca, zadzwonił telefon. Już miała odebrać, ale przypomniała sobie napomnienia Taylora. Z podniesioną ręką czekała, aż włączy się automatyczna sekretarka. Usłyszała głos Taylora.

- Wiem - powiedział. - Słuchałem wiadomości. Zostań w domu. Będę tam za kilka minut. Nie ruszaj się, Eden.

Przyjechał po ośmiu minutach. Spojrzał na jej bladą twarz i powoli wyciągnął ku niej ramiona. Przytulił ją do siebie.

- Dobrze. Już dobrze. Jesteś bezpieczna. Zadzwonił telefon.

Taylor doprowadził ją do fotela. Dopiero teraz zauważył, że Eden ma na sobie długą i obszerną koszulę nocną. Odebrał telefon. Odezwał się Demos, cały roztrzęsiony.

- Mój Boże, to ty, Taylor? Słyszałeś? O, mój Boże! Nie mów nic. Trzymaj gębę na kłódkę! O, mój Boże!

Taylor czekał, aż facet wyjdzie z szoku. W końcu powiedział:

- Muszę porozmawiać z glinami, Demos. Nie mam wyboru. Chyba to rozumiesz. Sugerowałbym, żebyś zapłacił i zakończył całą sprawę.

- Tak, tak. Przysięgam, że to zrobię, ale nie mów glinom. Nie możesz!

- Niby czemu? - zdziwił się Taylor.

- Ty głupcze, oni mnie zabiją, oto dlaczego! Powiesz glinom, a oni w sekundę będą pod moimi drzwiami. I co ja im, do diabła, powiem? Dam im nazwiska i adresy? Zupełnie straciłeś ten swój pieprzony rozum? Boże, wystarczy, że powiem choć jedno nazwisko, a już po mnie! Jestem martwy! Ci faceci nie wiedzą, że cię wynająłem, Taylor. I nie będą wiedzieli, bo nie chodziło im o Eden! Myślą, że tylko ja wiem. Nie możesz powiedzieć glinom!

Taylor westchnął. Demos miał rację. Taylor nie życzył sobie, żeby facet został zabity, bez względu na to, jakim był durniem.

- Obiecujesz, że im zapłacisz?

- Słodki Jezu! Jasne, że tak!

- Jutro? - Tak!

- I jeżeli jeszcze raz wpakujesz się w takie gówno, osobiście złamię ci kark.

Nastąpiła pełna wahanie cisza.

- Mówię poważnie, Demos. Nie chcę, żeby Eden jeszcze raz znalazła się w takiej sytuacji. Jeśli mają coś do ciebie, niech grożą tobie, a nie Eden albo innym niewinnym ludziom, zrozumiałeś?

- Tak. Zrozumiałem. Przysięgam, Taylor, przysięgam. Możesz na mnie polegać.

Bardzo wątpliwe, pomyślał Taylor.

- Dobrze. I nie zapomnij, że ja wiem, Demos. Jeśli się zdarzy coś podobnego, powiem glinom. I jeszcze jedno. Jeżeli Hudson umrze, nie będę cię krył.

- Nie umrze. Nie mów glinom. Zrobię wszystko, co zechcesz, przysięgam.

- Dobra - Taylor odłożył słuchawkę i zwrócił się do Lindsay. - Już po wszystkim, Demos obiecał spłacić długi.

- To dobrze - odparła słabym głosem.

- Mam nadzieję, że Hudson nie kipnie.

- Ja też. Jutro go odwiedzę, żeby sprawdzić, czy wszystko jest OK.

Uśmiechnął się do niej. Odzyskiwała równowagę.

- Dobry pomysł. Wiesz co? Uważam, że wciąż potrzebujesz ochrony. Ktoś, kto ogryza paznokcie, słuchając wiadomości, ponad wszelką wątpliwość potrzebuje ochroniarza. Co można powiedzieć innymi słowami: chcę się z tobą spotkać. Tym razem na randce, nie w pracy. Co ty na to, Eden?

Poznała go zaledwie dwa dni temu. Wydawało jej się, że dużo dawniej. Uśmiechał się, ale dostrzegła, że jest napięty. Naprawdę chciał się z nią znowu spotkać. To ją zaskoczyło i ucieszyło i tylko trochę zaniepokoiło.

- Tak - powiedziała, nie patrząc mu prosto w oczy. - Tak, z przyjemnością.

*

W następny wtorek temperatura spadła do minus pięciu stopni Celsjusza. W nocy padało. Deszcz ustał wczesnym rankiem, pozostawiając oblodzone jezdnie i chodniki. Taksówkarze wrzeszczeli i przeklinali, a piesi zachowywali przesadną ostrożność, nawet na światłach. Lindsay była opatulona po czubek nosa. Szła do biblioteki na terenie kampusu Columbia, aby odszukać dla Gayle artykuły o niebezpieczeństwach związanych z uprawianiem gimnastyki przez dzieci.

- Tylko najnowsze artykuły - powiedziała Gale. - Jesteś cudowna, Lindsay. Kocham cię i jestem ci dogonnie wdzięczna. Nie kupuj mi prezentu gwiazdkowego.

Było tak cholernie zimno, że Lindsay zapomniała, jak bardzo jest cudowna. Z utęsknieniem wypatrywała biblioteki. Pomyślała o George'u Hudsonie i przerażeniu, jakie odczuła, kiedy go odwiedziła poprzedniego dnia. Twarz miał obitą, nos złamany, szwy na szczęce i pod lewym okiem. Siniaki sprawiały, że wyglądał koszmarnie. Jej wizyta go zdumiała, ale wyglądał na zadowolonego. Jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ktoś tak go obił. Lindsay czuła się winna i szybko wyszła. Zatrzymała się w kwiaciarni i zleciła wysłanie mu kwiatów.

Wreszcie ukazała się biblioteka. Jej fasada z jasnej cegły wyglądała równie chłodno i niezachęcająco, jak za czasów studenckich.

Wbiegała na górę przeskakując po dwa stopnie, kiedy usłyszała męski głos:

- Lindsay! Lindsay Foxe! Zaczekaj!

Nie miała zamiaru czekać. Zdjęła szalik i nie oglądając się, biegła dalej. Wiedziała jednak, że facet ją dogoni i będzie musiała spojrzeć mu w oczy.

Podążał za nią zadyszany profesor Gruska z rozwianymi polami płaszcza.

Przystanąła. Wokół było pełno studentów. Nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

Profesor nic się nie zmienił. Minęły wprawdzie zaledwie cztery lata, ale Lindsay i tak spodziewała się, że będzie bardziej siwy i pomarszczony. Wyglądał tak samo jak dawniej, tylko że teraz musiał mieć z pięćdziesiąt pięć lat. Wystarczająco dużo, by być jej ojcem.

- Lindsay - powiedział z uśmiechem, zatrzymując się naprzeciw niej. Wyciągnął do niej rękę, ale dziewczyna ani drgnęła. Opuścił więc ramiona.

- Usiłowałem cię odszukać - mówił bardzo prędko - ale twój numer jest zastrzeżony. Robiłem, co mogłem. Spotkałem kiedyś twoją przyjaciółkę Gayle Werth, dała mi twój numer, ale musiała się pomylić.

- „Głupia suka”, niedopowiedziane słowa zawisły w powietrzu i Lindsay doskonale je wyczuwała.

Profesor stał naprzeciw niej. Wyglądał jak uszczęśliwiony, podstarzały szczeniak. Zdjął z głowy kosztowny kapelusz z lisiego futra i zsunął z dłoni kosztowne skórzane rękawiczki.

- Jak się pan ma, profesorze Gruska?

- Jakoś leci, ale zachodzą zmiany, okropne zmiany. Teraz, kiedy odbrazowano Freuda, ci ciemni filistyni doszli do wniosku, że muszę się przekwalifikować i stosować metody, których nie popieram. Wyobrażasz sobie? Obecnie nie oczekuje się od psychologa, by oddziaływał na pierwotne przyczyny choroby. Ma leczyć wyłącznie objawy chorobowe! Ci idioci nazywają to terapią eklektyczną lub przeżyciową albo też terapią rzeczywistości, po to by nadać jej pozory legalności. Czysta bzdura. A na dodatek te nonsensy z lekarstwami, żeby panować nad chorymi, wcale ich nie rozumiejąc. Ponieważ moi koledzy z uczelni są również tacy płytki, rozważam zajęcie się prywatną praktyką. Ale zawsze najbardziej cenilem sobie pracę ze zdolnymi studentami. Uważam, że oni zawsze docierają do źródeł prawdy, a Freud jest niezaprzeczalną prawdą.

Głupek.

- Współczuję panu, profesorze Gruska. Mam nadzieję, że u ojca wszystko w porządku. - Z tego, co wiedziała, stary pan Gruska był kimś w rodzaju lwa salonowego z zeszłego stulecia. Jeszcze teraz piastował funkcję przewodniczącego rady nadzorczej Północnowschodniego Banku Nowojorskiego i trzymał wszystko *żelazną* ręką, nie wykluczając jedyne go syna, profesora Gruski.

- O, tak. Mój drogi ojciec znajduje się w szczytowej formie. Jak wiesz, ma już blisko osiemdziesiąt lat, ale jest mężczyzną o wielkiej sile ducha i niespożytej energii. Wciąż korzystam z jego doświadczenia. Gdyby ojciec cię znał, przysłałby ci ukłony. Często z nim rozmawiamy o tobie. Proszę, pozwól, że ci postawię filiżankę kawy. Tak dzisiaj zimno, że nie chciało mi się iść na uniwersytet, ale cieszę się, że przyszedłem! Chodźmy na kawę, Lindsay, chcę z tobą porozmawiać. Mamy tyle spraw do przedyskutowania.

Zmusiła się, by spojrzeć na niego otwartym, nieustraszonym wzrokiem. Przypomniała sobie, jak było z ojcem i pantoflami na wysokich obcasach. Wtedy wygrała. Żadnego onieśmienia. Nigdy więcej.

- Nie, dziękuję, profesorze Gruska - powiedziała, lekko się uśmiechając. - Śpieszę się. Miło mi było pana zobaczyć.

- Nie! Zaczekaj, musisz mi dać swój adres i numer telefonu!

Tuż obok stało co najmniej sześciu studentów. Lindsay pokręciła głową.

- Nie wydaje mi się, profesorze Gruska. A zresztą, po co panu mój numer telefonu? - Natychmiast pożałowała tego pytania. Cały jego brak pewności natychmiast zniknął i ustąpił miejsca uderzającej arogancji.

- Nadal lękasz się mężczyzn, widzę to.

Poczuła straszliwy, wyniszczający strach. Ale się opanowała.

- To nie pański interes, profesorze Gruska - powiedziała z uśmiechem.

Pochylił się i dotknął jej ramienia.

- Ależ tak, panno Foxe. Wiem, że jesteś teraz modelką o imieniu Eden. Mój drogi ojciec uważa, że jesteś niesłychanie atrakcyjną kobietą. Jak już wspominałem, opowiedziałem mu o tobie. Ja także lubię oglądać cię na zdjęciach, ale wiem, co one kryją. Zdjęcia cię odmieniają, a ty pragniesz odmiany. Chcesz być postrzegana jako inna kobieta, kobieta, która nie jest prawdziwa. Nawet twoje imię - Eden. Oznacza początek, niewinność, czystość - to nie ty, lecz tylko sposób, by się ukryć przed światem, przed samą sobą. Musisz mi pozwolić. - Widząc, że jego słowa nie osiągną zamierzonego efektu, zamilkł. Twarz Lindsay była blada i ściągnięta. W jej oczach pojawiła się wściekłość. - Nie chcę ci sprawiać przykrości - ciągnął łagodniejszym tonem. - Od czasu, kiedy twój szwagier... Od tamtych traumatycznych przeżyć w Paryżu minęło już wiele czasu. Bardzo wiele. Gdybyś mi tylko pozwoliła sobie pomóc. Potrafię to, profesjonalnie. Jako psycholog, jako przyjaciel, jako przyjaciel, który jest także mężczyzną, który się tobą zaopiekuje, obroni cię i zrozumie.

*

Jakiś student wpadł na nią i przeprosił.

- Jest pan starym człowiekiem, panie Gruska - powiedziała lodowatym tonem. - Nie lubiłam pana już wtedy, gdy jako studentka musiałam chodzić na pana zajęcia. Uważam, że Freud jest gównowarty, a teraz z upodobaniem wywleka pan czasy, które były dla mnie bardzo bolesne.

Stał nieporuszony. Uśmiechał się i Lindsay poczuła mdłości.

- Wiem, że to bolesne, moja słodka dziewczyno. Czasami musimy cierpieć, aby zostać uleczonymi. Chodź ze mną, Lindsay. Chodź ze mną teraz.

Wyciągnął do niej rękę. Spojrzała na nią, a potem na jego twarz.

Miała ochotę solidnie mu przyłożyć. Miała ochotę zrobić z niego miazgę. Był stary i miękki. Mogłaby z łatwością go zmiażdżyć. Chciała uciec. Czuła smak strachu, ostry i paskudny. Patrzyła na Gruskę, mając nadzieję, że on się nie domyśla, jak bardzo jest przerażona.

- Może zostanie pan specjalistą od nauk behawioralnych i spróbuje onieśmielać szczury. Zegnam pana, sir. - Wybiegła z biblioteki i pomknęła po schodach.

Wykrzykiwał jej imię, dopóki nie zmieszała się z tłumem studentów.

*

- Co się stało, Eden? Do diabła, porozmawiaj ze mną.

Taylor chwycił ją za ramiona i lekko nią potrząsnął.

- Coś ci się przytrafiło. Nie rozumiesz, że odczytuję z twojej twarzy wszystkie emocje? Porozmawiaj ze mną.

Od czasu scysji z profesorem Gruską minęły dwie godziny, a ona wciąż czuła się zagrożona, pragnęła przycupnąć w rogu pokoju i dojść do ładu z tym, co się zdarzyło. Gdzieś w głębi niej narastało uczucie dumy, że tak dobrze odpowiedziała Grusce. Odprawiła go. Ale poza tym odczuwała czarną, bezkresną pustkę. Nikt nie powinien jej oglądać w takim stanie. Ale zjawił się Taylor.

- Nie, nie kręć głową. Znam cię dopiero cztery dni, ale widzę, że coś jest bardzo nie w porządku.

- Puścił jej ramiona i zmieniając ton oraz wyraz twarzy, dodał: - Zaparzyć ci herbatę?

- Tak, proszę.

Stawiając na gazie czerwony czajnik, pomyślał z satysfakcją, że Eden dobrze reagowała na rzeczowy spokój i pogodny ton. Groźby i podniesiony głos sprawiały, że wycofywała się jeszcze bardziej.

- Jaka herbata? Poczciwy stary Lipton?

- Tak, proszę.

- Z mlekiem czy z cytryną?

- Z cytryną.

Pomału, instruował samego siebie, nalewając wrzątek do filiżanek. Ostrożnie, łagodnie i powoli. Co się, do diabła, wydarzyło?

Wniósł herbatę do salonu. Postawił filiżanki na stoliku, odsuwając na bok kilka książek. Jedna z nich spadła na podłogę, ale Eden tego nie zauważyła.

Usiadł w fotelu i milczał.

Lindsay popijała herbatę. Spoglądała na Taylora sponad filiżanki. Nie ponaglał jej. Milczał.

Od razu poczuła się lepiej.

- Poszłam dziś na uniwersytet Columbia, do biblioteki, żeby poszukać artykułów dla przyjaciółki. Wpadłam na profesora, do którego chodziłam na wykłady podczas ostatniego roku studiów. Nigdy go nie lubiłam, chciałam nawet zrezygnować z zajęć u niego, ale potrzebne mi było zaliczenie. Do dyplomu z psychologii. Chciał się ze mną spotkać, pójść na randkę, czy coś w tym rodzaju. Odmówiłam i wyszłam. Prawdę mówiąc bardzo szybko.

- Dlaczego?

- Co „dlaczego”?

- Dlaczego wyszłaś bardzo szybko? Odmówiłaś mu i w porządku. Dlaczego musiałaś uciekać?

- Nie chciałam, żeby się zorientował, że się go boję. Nie! Nie o to mi chodziło. To wariat i nadęty, arogancki głupek. Może powinnam mu była przyłożyć.

- To dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Chciałam się okazać rozsądna, poradzić sobie, zachować się jak osoba dorosła.

- Byłaś sama?

- Och, nie. To się działo w bibliotece. Dookoła były tłumy studentów.

- Nie byłaś sama i znasz karate. Jestem pewien, że załatwiłabyś go jedną ręką. Nie potrzebowałabyś żadnej pomocy. Dlaczego się go boisz?

- To nie o to chodzi. Chodzi o to, co on myśli, co mu się wydaje, co wie, czym mi grozi.

Bardzo zawile, pomyślał Taylor.

Lindsay wzięła się w garść. Była przestraszona własnymi słowami. Wygadała się, bo Taylor przyszedł, zanim się pozbierała. Uśmiechnęła się, osoba światowa, uprzejma i pusta.

- Jest środek dnia. Dlaczego przyszedłeś? Nie musisz kogoś ochraniać albo reperować jakichś komputerów?

- Owszem - odparł pogodnie, odchylając się na oparcie. - Szedłem właśnie do centrum, na Wall Street do domu maklerskiego. Mają tam kłopoty z komputerem i zatelefonowali, żebym go zreperował. Pomyślałem o tobie i oto jestem.

Prawdę powiedziawszy miał przecucie, że coś jest nie w porządku. Dziwne, nie był medium, ale czasami, rzadko, miewał przecucia, dziwne przecucia, które nie dawały mu spokoju. Kiedy był młodszy, zmuszał się, by je lekceważyć. Ale nie po tym, jak pewna stara kobieta została pobita na rogu ulicy, przy której mieszkał. Teraz słuchał swoich przecuć, nawet gdy go zawodziły. Tym razem

przecucie go nie zawiodło. Tylko że Eden nie chciała nic więcej powiedzieć. Nie ufała mu. Cóż, znali się od niedawna. Na to potrzeba czasu. Rozumiał, że w stosunku do niej musi być bardzo cierpliwy. Potrafił być również diabelnie przebiegły.

- Nic mi już nie jest, naprawdę. Dziękuję ci, Taylor.

- Nie ma sprawy.

- Dziękuję, że zrobiłeś mi herbatę. Jest świetna.

- Cieszę się, że ci smakuje. Ja także piję bez cukru. Naprawdę gorącą i mocną. Nie jakieś trociny.

Jak się nazywa?

- Gruska. Nie, nie, nie tak. Zapomnij o wszystkim, dobrze?

- Jasne. Nie ma problemu. Muszę już lecieć. Jesteśmy umówieni na wieczór?

Skinęła głową. Czuła się jak idiotka, ale Taylor nawet nie zauważył, że wygadała nazwisko. Ale i tak, kiedy wyszedł, sprawdziła wszystkie zamki u drzwi.

*

O czwartej po południu Taylor wyszedł z Wayfarer Insurance Company przy Water Street. Ich kłopot z komputerem został zdiagnozowany i usunięty. Taylor miał szczęście, bo zaledwie trzy dni temu jego kumpel, haker, rozwiązał podobny problem i pochwalił się Taylorowi, jak to zrobił. Taylor wyszedł na geniusza, co było miłym doznaniem. W ciągu ostatnich czterech lat nawiązał kontakty ze znawcami komputerów w całym kraju. Kiedy któryś z nich odkrywał coś nowego, natychmiast dzielił się tym z przyjaciółmi.

Pan Phiffe, zastępca szefa od spraw operacji, mężczyzna co najmniej siedemdziesięcioletni, siwowłosego arystokrata, zbladł na widok rachunku przedstawionego przez Taylora.

- Pięć tysięcy dolarów! Ależ pan rozwiązał problem w ciągu dziesięciu minut! Tak mi powiedział Jackson!

- Tak. Powiedziałem Jacksonowi z góry, jakiego zażądam wynagrodzenia, niezależnie od czasu, jaki tu spędzę.

- Ale on nie przypuszczał, że to panu zajmie zaledwie dziesięć minut!

Taylor się uśmiechnął.

- Panie Phiffe, wynajął mnie pan, bym rozwiązał problem. Powiedział mi pan, że w razie utraty bazy danych ubezpieczeniowych będzie pan musiał opłacić tysiące roboczogodzin, aby ją sporządzić na nowo. Dzięki mnie odzyskał pan dane w rekordowym tempie.

- Ma pan, oczywiście, rację - uśmiechnął się Phiffe. - Po prostu doznałam szoku. Nic nie ma za darmo. Płacę za ekspertyzę. Czas nie ma tu nic do rzeczy.

- Przycisnął guzik na biurku. Taylor uściskał mu dłoń. Wychodząc, otrzymał czek od sekretarki.

Następnie udał się na Uniwersytet Columbia. Profesor Gruska wykładał tu psychologię. Miał gabinet w gmachu Adamsa, na drugim piętrze, pokój numer 223. Taylor zapytał w administracji, jaka jest specjalność profesora Gruski.

- Pokaże mu pan świecznik, a będzie się rozwodził na temat kompleksu Edypa - odparła urzędniczka.

- Sprawa jest tym dziwniejsza, że on nie ma matki. Mieszka ze swoim gburowatym ojcem. Śmieszne, zawsze obwinia się matki.

Taylor przyznał jej rację.

Dzień był przenikliwie zimny. Ściemniało się już i z każdą minutą robiło się chłodniej. Taylor nie spodziewał się, że zastanie Gruskę w jego gabinecie. Zastukał jednak do drzwi.

- Proszę!

Wszedł i cicho zamknął za sobą drzwi. Przypatrzył Się mężczyźnie, który tak bardzo wystraszył Eden. Nieszkodliwie wyglądający dżentelmen, w tweedowym ubraniu, z fajką, szczupły, o długiej wąskiej twarzy i wielkim nosie, po pięćdziesiątce, o raczej bladej karnacji, w kiepskiej formie fizycznej. Tak, Eden rzuciłaby go na podłogę jedną ręką.

- Czym mogę służyć? Już późno. Właśnie miałem wychodzić.

- Zajmę panu tylko minutkę, profesorze Gruska - Taylor podał mu dłoń w rękawiczce. - Nazywam się Oliver Winston, doktor Winston. Jestem psychoanalitykiem. Wiele o panu słyszałem i chciałem pana poznać. Jestem w Nowym Jorku z wizytą u przyjaciół. Doktor Graham z naszego uniwersytetu Columbus powiedział, żebym do pana wstąpił. Mówił mi, że pan jest najlepszy w swojej dziedzinie.

Profesor Gruska promieniał. Taylor szybko usiadł naprzeciw niego.

- Powiada pan, doktor Graham. Hmmm, który doktor Graham?

- Joseph Graham z uniwersytetu Columbus.

- Ach, tak. Joe. Miły, solidny facet. Ma dobre przygotowanie. Co u niego?

- Doskonale. Jak już wspomniałem, wyraża się o panu w superlatywach.

- Miło mi to słyszeć. Rozumiem, że zależy panu, abyśmy przetrwali, panie Winston?

Taylor nie miał zielonego pojęcia, o co chodzi, ale z mowy ciała profesora Gruszki oraz jego tonu wywnioskował, że należy przytaknąć.

- O, tak, oczywiście. Nie wiem jednak, co powinienem przedsięwziąć.

Taylor przyglądał się zafascynowany, jak na twarzy profesora malują się rozmaite uczucia. Wściekłość, zaskoczenie, przyjemność, znowu wściekłość, znowu przyjemność, konspiracja. Pochylił się do przodu i ułożył ręce na blacie biurka. Z fajki wlatywała smużka dymu. Pachniał przyjemnie - sosnowym lasem.

Jego głos miał ciepłe brzmienie, był niski i głęboki.

- Ach, mój drogi kolego, a więc cierpi pan tak jak i ja, jak my wszyscy. Ten pomysł, żeby wszystko załatwiać chemikaliami! To katastrofalne! Ci dziwacy lekarze medycyny, którzy uważają, że rozumieją ludzki umysł i są w stanie pomóc pacjentowi, podając mu leki.

Taylor wydobył z siebie odpowiednie chrząknięcie i uniósł dłonie, wyrażając rozpacz.

- Z pewnością pański przyjaciel przysłał pana do mnie, bo wie, że pana zrozumie i będę współczuł. Pozostanę psychoanalitykiem, pomimo wszelkich trudności. To, czym dysponujemy, jest prawdą i to owa prawda sprawia, że cała ludzkość zachowuje się tak jak my.

Taylor znów podziwiał gładkość wymowy, ton i maniery profesora.

- Sądzę, że Freud szczególnie dobrze rozumiał i tłumaczył kobiety - powiedział powoli i z namysłem.

- O, tak. Freud podał podstawowe prawdy, na których wciąż budujemy. I kobiety najłatwiej zrozumieć, ponieważ ich sposób myślenia... Wszystko to jest związane z intuicją, a potem z przeczuwaniem. Dzieci wiedzą, a dorośli tłumią, zwłaszcza kobiety. To prawda, o, tak.

Dla Taylora brzmiało to jak bełkot, ale skinął głową.

- Mam pacjentkę - powiedział - raczej młodą kobietę, która boi się mężczyzn. Mimo wielkich starań nie mogę zdobyć jej zaufania. Usiłowałem cofnąć ją do owego wieku, który nas formuje, ale ona się opiera, nie zezwala na hipnozę, która z pewnością by ją odblokowała. Pytam pana, profesorze, co mogę zrobić?

Gruska milczał, gładząc długimi palcami fajkę. Wyglądało na to, że pytanie Taylora sprawiło mu

przyjemność.

Taylor poderwał się z krzesła.

- O, Boże. Już ciemno, a ja pana tak długo zatrzymuję. Proszę mi wybaczyć, profesorze, ale słuchanie pana, poznawanie głębi pańskiej wiedzy...

- Niech pana siada, panie Winston, niechże pan siada! Nie może pan teraz odejść!

Taylor usiadł.

- Czy ta młoda kobieta jest piękna?

- Bardzo.

- Czy powierzchownie sprawia wrażenie dobrze przystosowanej?

- Tak. Dopóki mężczyzna nie stara się do niej zbliżyć.

- Czy to jedna z tych suk pracujących zawodowo, czy też łagodna tradycjonalistka?

- Pracująca, niezamężna, ale wcale nie suka.

- Ach, tak. Klasyczny przypadek, bliski paradygmatu. Wypytałbym ją o przeżycia wieku dorastania. Nie o dzieciństwo. Niech ją pan wypyta o potrzeby seksualne, które tłumi, i o poczucie winy, którego doznaje doświadczając tych potrzeb. Niech się przyzna do masturbacji, niech powie, co czuje podczas masturbacji. Niech panu powie, jak się masturbuje, to bardzo ważne - ręcznie, czy stosując jakieś przedmioty. Możliwe, że w wieku osiemnastu lat uwodziła kogoś z rodziny, nawet ojca, i teraz wyparła to z pamięci.

- O, mój Boże - powiedział Taylor, i naprawdę tak pomyślał. - Doradza mi pan znacznie więcej, niż się spodziewałem. Czy miał pan podobną pacjentkę?

- Och, widziałem wiele dziewcząt tego rodzaju. To ich stłumione poczucie winy i napięcie seksualne, czekające na uwolnienie, domagające się uwolnienia. Ale one na to nie pozwalają, bo przyzwolenie oznaczałoby przyznanie się do owych odczuć. Znam jedną dziewczynę, która szczególnie potrzebuje takiego uwolnienia, która potrzebuje mojej pomocy, aby je osiągnąć, ale nie ma do mnie zaufania, boi się samej siebie i swoich uczuć, jest ślepa na własne potrzeby. Ach, już późno... Mój drogi kolego, cieszę się, że pan do mnie wstąpił. Proszę pozdrowić Joego.

Gruska wstał i podał Taylorowi rękę, którą ten posłusznie ujął i mocno uściskał.

Dwie godziny później dotarł do apartamentu Eden.

ROZDZIAŁ 13

Taylor/Eden

Dzwoniąc do drzwi Eden, Taylor wiedział, że nic jej nie powie o spotkaniu z profesorem. Jeszcze nie teraz. Był całkowicie pewien, że młoda kobieta, o której Gruska wspomniał, to właśnie ona. Lękała się mężczyzn i z pewnością nie ufała Grusce.

Lindsay wyjrzała przez judasz, a następnie pootwieraała zamki, zasuwę i zdjęła łańcuch.

- Taylor! Rany boskie! Przyszedłeś przed czasem, jestem niegotowa!

Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że zjawił się za wcześnie.

- Przepraszam, ale byłem w okolicy, więc...

- Och, nie szkodzi. Wchodź. Muszę wziąć prysznic. Taylor zauważył, że Eden ma na sobie stary szlafrok i nic pod spodem. Włosy związała gumką.

- Wybacz. Wezmę sobie piwo i obejrzę wiadomości. Skinęła głową i wycofała się do sypialni. Taylor nie włączył telewizora. Nadal rozmyślał o rozmowie z profesorem. Przypomniat sobie słowa Eden.

„...jego sposób myślenia, to, co wie, to, czego się domyśla, czym grozi...”

Taylor zastanawiał się, co ją tak przerażało. Czego Gruska dowiedział się o niej. On także musi się tego dowiedzieć, jeżeli ma jej pomóc. Na tę myśl zamarł. Była to świadoma decyzja, że pragnie Eden w swoim życiu, że pragnie jej zdrowej i całej, że pragnie jej w łóżku i poza nim, że, po prostu, pragnie wszystkiego.

Owo stwierdzenie zdumiało go. Chryste, przysięgał sobie, że więcej się nie ożeni. A teraz pragnął kobiety, którą zna zaledwie od czterech dni i chce jej na całe życie. Pomyślał o wspaniałych oczach Eden, o ich córeczkach w stroju do karate...

Wstał i podszedł do telefonu. Najpierw to, co najważniejsze. Wybrał numer Valerie. Był wtorek, a on obiecał jej, że zadzwoni w poniedziałek.

Podniosła słuchawkę po drugim sygnale.

- Cześć, Valerie. Tu Taylor. Co słychać?

- W porządku. - Zamilkła, a potem dodała: - Posłuchaj, Taylor. Przepraszam za tamten wieczór. Byłam zestresowana i wyładowałam się na tobie. Wybaczysz mi?

- Jasne. Nie ma problemu.

- Jesteś zajęty dziś wieczorem? - Tak.

Nastąpiło jeszcze dłuższe milczenie.

- Wciąż ta sama praca?

- Nie, tamto zostało rozwiązane.

- Mam nadzieję, że pomyślnie. - Rozpoznał w jej głosie napięcie i wysiłek, by zachować się w sposób cywilizowany. Zastanawiało go, dlaczego to dla niej takie trudne.

- Tak - powiedział. - Bardzo pomyślnie. Widział ją, siedzącą na krytym jedwabiem fotelu przy stoliku w stylu Ludwika XV. Chciał jakoś załagodzić swoją odpowiedź, ale nagle warknęła ostrym tonem:

- Jest inna kobieta, Taylor, prawda?
- Nie jesteśmy małżeństwem, Valerie - powiedział łagodnie.
- Ale ja chcę, żebyś przyszedł!
- Masz wolny jutrzejszy wieczór?
- Nie, do cholery! Nie mam!
- Cóż, jak powiedziałem, nie jesteśmy małżeństwem. Co powiesz na czwartek?
- Chcesz się ze mną spotkać, żeby się ze mną pieprzyć!
- Myślę, że to ci nie sprawia przykrości.
- O ósmej. Nie spóźnij się.

Rzuciła słuchawkę. Wet za wet, pomyślał, bo ostatnim razem to on przerwał rozmowę pierwszy. Spotka się z nią w czwartek i zerwie. Musi, bo jedyna kobieta, jakiej pragnie teraz i w przyszłości, to Eden.

Eden, która obawia się mężczyzn.

Kiedy wyszła z łazienki, odświeżona, w jasnożółtej jedwabnej sukience i w pantoflach na wysokich obcasach, roześmiał się.

- Jesteś teraz mojego wzrostu. Masz zamiar dać mi popalić?

- Poniżenie - powiedziała z uśmiechem - to coś, czego potrzebujesz. I to w sporej dawce. Powinnam być nawet troszkę wyższa od ciebie.

- Proszę bardzo. Wyglądasz pięknie. Lubię, kiedy upinasz włosy w taki staromodny kok.

Skinęła głową. Stała obok niego.

- Może nie tylko troszkę - dodała.

A on myślał, jak wiele musi się o niej dowiedzieć, nauczyć, docenić, smakować. Pomyślał, że kupi jej pantofle na jeszcze wyższych obcasach.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Niespodzianka.

Zabrał ją, aby poznała Enocha i jego matkę, Sheilę, na Mapie Street 230, w Fort Lee, w stanie New Jersey; zabrał ją na kolację i na cały wieczór.

Sheila podała pieczoną w liściach palmowych wieprzowinę z rusztu. Do tego były pataty i sos, szary, tłusty i obrzydliwy, oraz pyszne bułeczki. Sheila uważnie przypatrywała się Eden. Na deser zaserwowała papaję z lodami waniliowymi.

Enoch także przyglądał się Eden, usiłując coś zrozumieć.

- Enoch ma sześć stóp i cztery cale wzrostu. Będziesz musiała troszkę unieść głowę.

Lindsay się roześmiała.

- Przyjemnie jest nie zginać karku - powiedział Enoch.

- Jak masz na nazwisko, kochanie? - spytała Sheila, krojąc papaję. - Nie dosłyszałam. Ta przekłeta wieprzowina pochłonięła całą moją uwagę.

Taylor zastygł z uniesioną łyżeczką.

- Nie mam nazwiska, pani Sackett. Jestem po prostu Eden.

- Ach, wy artystki, jesteście takie pokrętne i nieuchwytnie!

- Jestem modelką, proszę pani, nie artystką.

- To prawie to samo. Jestem o tym przekonana - stwierdziła Sheila, zwracając się do wszystkich.

- Więcej lodów, kochanie?

- Nie, dziękuję. Są pyszne.

Oj, niedobrze, pomyślał Taylor. On także chciał poznać nazwisko Eden. Ale nie będzie jej szpiegował, przeglądając listy. Musi sama mu to zdradzić.

- A Eden to prawdziwe imię?

- Sheila - powiedział Enoch - to naprawdę nie twój interes. Zostaw Eden w spokoju.

Lindsay tylko się uśmiechała. Ta kobieta nie była bardziej nachalna od innych, ale trzeba było spędzić u niej cały wieczór. Rzuciła okiem na Taylora i stwierdziła ze zdumieniem, że ją rozumie, bo skinął głową. Pięć minut później spojrział na zegarek i powiedział:

- Mój Boże, Sheila, wiesz która godzina?

- Jaka tam godzina? Nie ma nawet dziewiątej, Taylor.

Enoch w mig się połapał.

- Tak, Sheila, jest późno. A ja mam jutro rano spotkanie.

- A ja i Eden musimy już iść. Ona wstaje o wpół do szóstej. Ma sesję zdjęciową.

Sheila Sackett spojrzała na trójkę dzieci z niesmakiem. Syn unikał jej wzroku. Pogada z nim później. Jeśli zaś chodzi o tę dziewczynę, Eden, jest wystarczająco ładna dla Taylora i wydaje się być miła, ale i tak...

- Myślałam, że napijemy się kawy. A potem zagrałabym trochę, dla ciebie Taylor, na saksofonie.

Taylor był zawiedziony. Sheila miała wielki talent.

- Następnym razem, Sheila - powiedział, wstając. Obszedł stół i ucałował ją w policzek. - Wspaniała kolacja. Dziękujemy za zaproszenie. Pyszna wieprzowina.

- Założę się, że pójdziecie teraz do łóżka, no nie?

- Sheila, proszę.

Lindsay zastanawiała się, dlaczego Enoch zwraca się do matki po imieniu.

- Podsunęłaś nam wspaniały pomysł - powiedział Taylor, całując ją jeszcze raz.

- O, rany - westchnęła Lindsay, w drodze do domu. - Ale mnie naciskała.

- Od lat namawia mnie, żebym się znowu ożenił. Nie wiadomo czemu widzi siebie jako babcię moich przyszłych dzieci.

- Znowu ożenił - powtórzyła Lindsay i zeszywniała.

- Kiedy byłem bardzo młody, ożeniłem się z pewną miłą kobietą. Ale nam nie wyszło. Z mojej winy i z jej. Od czasu rozwodu upłynęło wiele czasu.

Był żonaty. Spoufalał się z kobietą.

- Jak długo byłeś żonaty?

- Około dwóch lat.

Spoufalał się z kobietą przez długi czas.

Lindsay nie potrafiła sobie czegoś takiego wyobrazić. Spać z kimś, codziennie z nim jadać, dzielić się z nim myślami i kłopotami - stale z tą samą osobą - być w złym nastroju i okazywać to. Kłócić się, kto posprząta łazienkę albo rozmrozi lodówkę. Odczuwała tęsknotę za taką poufalością, za taką niewiarygodną wolnością bycia naturalną, bez tajemnic i sekretów, bez potrzeby kontrolowania, co się powiedziało, ze strachu, że druga osoba zostawi cię pełna niesmaku. Ale i tak nie potrafiła sobie tego wyobrazić, nie tylko dla siebie, nie tylko dla Lindsay Foxe.

Ku zdumienia Taylora, Eden zmieniła temat i zapytała:

- Sheila naprawdę gra na saksofonie? Jazz?

- Naprawdę gra i jest w tym bardzo dobra. Blues to jej specjalność. Uwielbia jeździć do Atlanty i grywać w tamtejszych klubach. Może następnym razem coś nam zagra. Enoch powiedział mi, że kiedy gra zawodowo, ubiera się w długą czarną suknię, w rodzaju sukni Kate Smith.

Lindsay się roześmiała.

- Ona i Enoch są do siebie zupełnie niepodobni. Sheila niska i pulchna, a on taki wysoki i chudy. Dlaczego nie napiera, żeby się ożenił?

- To skomplikowana sprawa - odparł Taylor, wjeżdżając do podziemnego garażu pod swoim domem.

- Dla Enocha ożenek nie wchodzi w rachubę. Sheila zgadza się na wolne związki, ale nie ma mowy o żonie.

- Dziwne.

- O, tak, bardzo dziwne. - Zamilkł, a potem dodał:

- Wyznawca Freuda uznałby to za klasyczny przypadek kompleksu Edypa. Prawda? Jesteś psychologiem?

- Tak, doskonale to ująłeś. Poznał po jej tonie, że się wycofuje.

- Wstąpisz do mnie na filiżankę kawy, zanim cię odprowadzę do domu?

Miała ochotę, widział, że miała, ale pokręciła przecząco głową. Nie ufała mu. Po prostu. Strach jeszcze nie minął.

Pożegnał ją pod drzwiami jej mieszkania, głaszcząc lekko po policzku.

Chciał ją pocałować. Trudno mu było oderwać wzrok od ust Eden. Została na korytarzu, patrząc na Taylora, dopóki nie zniknął za zakrętem.

Westchnęła i weszła do mieszkania. Dokładnie pozamykała wszystkie zamki i założyła łańcuch.

Usłyszała jakiś hałas i przerażona rozejrzała się dookoła. Żołądek podszedł jej do gardła. W salonie, z kieliszkiem wina w jednej ręce i czasopismem z ogromnym zdjęciem Lindsay w drugiej, siedziała jej przyrodnia siostra.

Lindsay przyłożyła dłoń do galopującego serca.

- O, mój Boże, ale mnie przestraszyłaś, Sydney. Jak się tu dostałaś?

- Witaj, droga siostrzyczko. Wpuścił mnie dozorca. Byłam tu już i mnie zapamiętał. Czekałam najwyżej piętnaście minut. Twój chłopak szybko się zmył. Zakładam, że to twój chłopak. Słyszałam, jak mu życzyłaś dobrej nocy. Muszę przyznać, że ze zdziwieniem usłyszałam męski głos. Kto to jest? Ktoś wartego poznania? Powinnam sprawdzić, czy jest dla ciebie odpowiedni?

Lindsay w milczeniu pokręciła głową.

- A może to był Demos?

- Nie. Czego chcesz, Sydney?

Sydney Foxe di Contini, *La Principessa*, wstała powoli i wygładziła czarne skórzane spodnie. Miała na sobie jaskrawo różową jedwabną bluzkę i czarną skórzaną marynarkę sznurowaną złotymi łańcuszkami. Wyglądała wytwornie, szczupło, elegancko i jak zwykle doskonale.

- Dzwoniłam, ale oczywiście nie zastałam cię w domu. Zastanawiałam się, co porabiasz. Nigdy nie wychodzisz z domu z mężczyznami, więc się zaniepokoiłam. Masz tak niewiele przyjaciółek, a z Gayle spotkałaś się w zeszły poniedziałek, więc raczej nie wchodziła w rachubę. Chciałam ci zakomunikować, że w ten weekend lecę do Mediolanu.

- Chcesz, żebym podlewała twoje kwiatki?

- O, nie - roześmiała się Sydney. - Po prostu chciałam sprawdzić, jak się masz, żeby móc opowiadać wszystkim, że cię widziałam i że jesteś w dobrej formie.

- Jestem w dobrej formie.

- Doskonale. Nie przytyłaś? Nie? To dobrze. Może jednak powinnaś trochę schudnąć o kilka funtów? Kim był ten mężczyzna, Lindsay?

- Nie znasz go.

- Cóż, znając twój gust, który jak mniemam nie uległ zmianie, odkąd skończyłaś szesnaście lat, jest szczupłym czarusem, przystojniakiem o łagodnym usposobieniu.

- Tak, trafiłaś w dziesiątkę - odparła Lindsay z wymuszonym uśmiechem.

- Jakiś nowojorski arystokrata? Zajmuje się interesami? A może to gej, a ty jesteś zbyt niedoświadczona, by się zorientować? Głos ma raczej niski.

- Nie, nie jest gejem. Posłuchaj, Sydney, jutro mam zdjęcia. Od wczesnego rana. Jestem wykończona.

- Dobrze. Już wychodzę. Może lepiej będzie, jak poznam tego twojego faceta i upewnię się, że nie będzie z tobą próbował żadnych numerów?

- Twoje zdjęcie w „Self” jest naprawdę piękne. Demos zachwycił się nim w zeszłym tygodniu.

- Tak, wyszło zupełnie nieźle. Jestem zadowolona, że robił je Drake Otis. Szkoda, że jest gejem. Co tam, nieważne. Zobaczymy się, kiedy wrócę z Włoch. O, w razie, gdyby cię to interesowało, u ojca wszystko w porządku. Prowadził sprawę dotyczącą handlu narkotykami i adwokaci byli przekonani, że odrzuci najważniejsze dowody obciążające, bo policja zdobyła je nielegalnie. Ojciec rzeczywiście je odrzucił, ale pozwolił prokuratorowi na wielką swobodę działania i w efekcie wszyscy trzech oskarżeni, Kolumbijczycy, zostali uznani za winnych. Ojciec skazał ich na dwadzieścia lat. Powiedział mi, że odrzucił dowody winy, bo wiedział, że gdyby tak nie postąpił, obrona złożyłaby apelację i sprawa wróciłaby na wokandę. Śmiał się do rozpuku. Wiesz, że nienawidzi liberalnych sędziów z Kalifornii. Adwokaci skarżyli się w mediach, a ponieważ w mediach są sami liberalni idioci, naskoczyli na ojca. Ojciec świetnie się bawi. Jeśli chodzi o Holly, to biedaczka jest teraz tak samo tłusta jak twoja matka, zanim ojciec dał jej kopniaka. Ojciec ma nową kochankę, kobietę w moim wieku. Ma na imię Cynthia - w skrócie Cyn. Czyż to nie piękne? Babcia nic się nie zmieniła. Ojciec uważa, że starsza dama przeżyje nas wszystkich.

Przesłała Lindsay pocałunek i odwróciła się w drzwiach, by dodać:

- Przekażę księciu serdeczności. Będzie się krzywił, bo to mu przypomni owe nieszczęsne kule rewolwerowe, a to z kolei rozbawi Melissę. Jak widzisz, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Lindsay zapragnęła, by jej przyrodnia siostra odleciała do Włoch i została tam do końca życia. A potem, ku własnemu zdumieniu, roześmiała się. Sydney nigdy się nie zmieni. Ale Lindsay zaczęła się zmieniać. Dziwne, ale tak właśnie było.

*

Taylor posłusznie powędrował do mieszkania Valerie. Kiedy otworzyła mu drzwi, po raz kolejny zdał sobie sprawę, że zapomniał, jak bardzo była piękna. Tego wieczoru miała na sobie bładoniebieską jedwabną piżamę. Długie gęste włosy, spięte z jednej strony złotą klamrą, sięgały ramion.

Sprawiała wrażenie równie bogatej, jak jego była żona, Diane.

- Witaj - powiedział.

- Witaj, Taylor. Boże, wyglądasz tak, że chętnie bym cię schrupała. Wejdz. Kolację dostarczą w ciągu godziny. Wypijesz drinka?

Taylor poszedł za nią, zastanawiając się, co ma jej powiedzieć i jak ona zareaguje. Był zadowolony, że nie zaczęła od natychmiastowego ataku. Wyglądało na to, że Valerie chce, aby zaraz wyskoczył ze spodni. Znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Sprawa polegała na tym, że rzeczywiście była inna kobieta, i Taylor czuł się winny, bo Valerie miała rację. Ale nie od razu, nie od razu.

Valerie nie atakowała, prowadziła błyskotliwą rozmowę. Konsumowali homara oraz sałatę z sosem winegret, cienko strugane ziemniaki i mus czekoladowy na deser. Chateau le Duc Dupress rocznik 79 było wyśmienite, wytrawne i orzeźwiające.

Dla Taylora miało smak cykuty. Chciał to mieć jak najszybciej za sobą. Nie miał apetytu, bo czuł się winny i nie na miejscu.

- Opowiedz mi o swojej pracy - powiedziała Valerie, odchylając się na oparcie fotela.

- O tej, której już nie wykonuję? - Tak.

- Ochroniałem pewną kobietę, bo zagrożono jej pracodawcy. W końcu okazało się, że zaatakowany został inny pracownik. Już po wszystkim.

- Rozumiem - powiedziała i przesłała mu uśmiech, który jeszcze tydzień temu przyprawiłby go o wzwód. Zaczęła rozwiązywać jedwabną szarfę w pasie.

- Zaczekaj, Valerie. Nie rób tego. Proszę, nie. Zastygła z uniesioną pytająco brwią.

- Chcę z tobą porozmawiać.

- Rozmawiamy, Taylor - spojrzała na swój zegarek od Cartiera. - Rozmawiamy od półtorej godziny. A więc, mój kochanku, odpręż się i pozwól, że... - zamilkła i z uśmiechem przykryła palcami wargi Taylora. - Nie, Taylor. Dość tego. To ja mam ci coś do powiedzenia. Poczekaj na swoją kolej. Chciałam ci to powiedzieć już podczas kolacji, ale byłeś taki zadowolony, że nie chciałam ci psuć przyjemności. Przykro mi, kochanie, ale spotkałam mężczyznę, który jest boski i ma to wszystko, czego tobie brakuje. Pomyślałam sobie, że pożegnalny sztos mógłby być miły i starłby moją winę. A na dodatek jesteś taki dobry w łóżku, prawie tak dobry jak on.

Taylor poczuł taką ulgę, że omal nie spadł z krzesła.

- Chodź, piękny chłopcze, ostatni raz i odejdziesz. Mój nowy kochanek przyjdzie później.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Ależ, Valerie, dlaczego chcesz się kochać ze mną, skoro zajmuje cię kto inny. To bez sensu.

Wzruszyła ramionami.

- Zawsze lubiłam robić porównania i jestem pewna, że tym razem będzie ono interesujące. Może ty także pójdziesz do swojej przyjaciółki i zrobisz to samo?

- Nie, Valerie. Tym razem, nie. Życzę ci szczęścia. Jesteś piękna i mądra i dobrze się razem bawiliśmy.

Chryste, gadał jak zdarta płyta.

Valerie uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały lodowato zimne. Taylor nie miał pojęcia, o czym myślała. Była wściekła, bo nie chciał z nią pójść do łóżka? A może to wszystko jest tylko grą? Możliwe.

- Tak, dobrze się bawiliśmy. Mam nadzieję, że równie dobrze zabawiasz się ze swoją nową dziewczyną. No, wiesz, z tą, którą niby to ochraniaasz, a w gruncie rzeczy pieprzysz. I nie okłamuj mnie. Czy twoja wybranka posiada choć krztynę intelektu, czy też składa się wyłącznie z cyków i tyłka? Może zadzwonisz do mnie już po wszystkim i powiesz mi, która z nas jest lepsza?

- Nie sądzę. Żegnaj, Valerie.

Przyglądała się, jak podchodzi do drzwi i wkłada kurtkę, a potem skórzane rękawiczki. Patrzyła, jak wychodzi, nawet się nie obejrząwszy. Patrzyła na każdy ruch. Zamknął za sobą drzwi. Omal się nie udusiła z wściekłości. Podeszła do telefonu i wybrała numer. Odezwał się męski głos.

- Barry? Tu Valerie. Przyjdź do mnie. Kogo obchodzi, co pomyśli żona. Powiedz jej, że cierpisz na obstrukcję i potrzebujesz przechadzki dla zdrowia. Tak. Pół godziny, nie więcej.

*

W czasie Świąta Dziękczynienia Lindsay dowiedziała się, że obydwój rodzice Taylora nie żyją. Miał starszą siostrę Elaine, która była zamężna, miała troje dzieci i mieszkała wraz z mężem w Phoenix. Zbyt daleko, żeby tam jechać, poinformował Lindsay, a potem zapytał o jej plany.

Nie miała żadnych, co go zmartwiło, ale dał jej spokój. W końcu znów wylądowali u Sheili i Enocha.

Sheila przez dwie godziny grała na saksofonie, żalobnie i jękliwie, aż Lindsay dostała gęsiej skórki. Sheila miała na sobie długą czarną suknię. Była niewiarygodnie dobra. W dniu Świąta Dziękczynienia o nic nikogo nie wypytywała.

Tego wieczoru Taylor pocałował Eden po raz pierwszy.

Stali przed jej mieszkaniem i Lindsay nie chciała, aby odszedł. Ale bała się go wpuścić do środka.

Taylor po prostu się pochylił i ujął Eden pod brodę, a potem ją pocałował. Lekko, tak aby jej nie przestraszyć, aby się nie wycofała.

Uśmiechał się do niej, spoglądał ciepło, pragnął jej zaufania.

- Czy to ci sprawiło choć odrobinę przyjemności?

- Nie wiem.

- Szczera odpowiedź. Zawsze bądź ze mną szczerą, Eden, dobrze?

- Czasami... - powiedziała Lindsay bardzo powoli, spoglądając na guziki jego płaszcza - ...czasami to jest, po prostu, niemożliwe.

- Kiedy mi zaufasz, zobaczysz, że to bardzo łatwe. Przynajmniej taką mam nadzieję. Dobranoc, kochanie. Szczęśliwego Świąta Dziękczynienia. Słodkich snów.

- Zjadłam więcej niż normalnie w ciągu całego tygodnia. W sezonie świątecznym zawsze mamy mniej zdjęć. Dlatego, że modelki to też ludzie i tak jak wszyscy więcej jedzą. Do grudnia muszę spalić tego indyka z nadzieją.

Taylor był uszczęśliwiony, że Eden rozprawa z takim ożywieniem.

- Jutro lecę do Chicago - powiedział. - Tamtejszy pakowacz mięsa zakupił sobie komputer, który przeraziłby wszystkie krowy w USA. Niestety, wystąpił błąd w oprogramowaniu i spółka wzywa mnie na pomoc. Zatelefonuję stamtąd do ciebie i podam ci swój numer.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Taylor znów się pochylił i znów ją pocałował. Równie lekko jak poprzednim razem.

- Będiesz za mną tęsknić?

- Chyba tak - powiedziała Lindsay, a on wiedział, że to prawda.

*

Praca dla pakowacza mięsa zajęła mu trzy długie dni. Człowiek, który go zatrudnił, pan Closs, przez cały czas stał mu za plecami, wykręcając sobie tłuste palce i przeklinając wszelką technologię.

W Chicago było zimno i padał deszcz. Nawet w hotelowym pokoju o oknach z podwójnymi

szybami słycać było zawrozenie wiatru. Taylor czuł się zmęczony, zniecierpliwiony i tęsknił za Eden. Tęsknił za nią bardziej, niż się spodziewał. Nie mógł się doczekać ich wieczornych rozmów.

Uporawszy się z pracą, zainkasował pięć tysięcy dolarów i wrócił do Nowego Jorku.

Tego samego wieczoru o szóstej był w mieszkaniu Eden.

Ku jego zdumieniu, drzwi otworzyła młoda kobieta, której nigdy przedtem nie widział. On patrzył na nią, a ona na niego.

- Jest pan domokrążcą? Dlaczego nie zapowiedział pana dozorca?

- Nazywam się Taylor i jestem tu stałym bywalcem. Dozorca i ja pijamy piwo u Clancy'ego w każde czwartkowe popołudnie. Kim pani jest? Gdzie jest Eden? Czy coś się stało?

- Jest pan przyjacielem Lin... Eden? - spytała kobieta - wstrząśnięta i z niedowierzaniem.

- Tak - odpowiedział. - Bliskim przyjacielem. Spędziliśmy razem Święto Dziękczynienia. A kim jest pani?

- Gayle Werth. Proszę, niech pan wejdzie. Przepraszam, że tak pana wypytałam, ale Eden nic nie mówiła o żadnym mężczyźnie ani o żadnym przyjacielu.

- Gdzie jest Eden?

- W sypialni. Złapała paskudną grypę. - Gayle przyglądała mu się przez chwilę, nie wierząc, by ten kawał chłopca był przyjacielem Lindsay, że Lindsay pozwoliła, aby mężczyzna w ogóle się do niej zbliżył. Ciekawe jak bliskim jest przyjacielem? - Sprawdzę, czy nie śpi. Miała ciężki dzień.

- Teraz ja się nią zajmę.

Młoda kobieta znów spojrzała z niedowierzaniem.

- Od jak dawna zna pani Eden?

- Byłyśmy razem w szkole z internatem w Connecticut. Akademia Stamford dla Dziewcząt. Czyż to nie brzmi wspaniale? Niech pan usiądzie, Taylor. Zobaczę, co z Eden.

- Nie, nie trzeba - powiedział Taylor, zdając sobie sprawę, że Gayle depta mu po piętach, niepewna, co robić.

Wszedł cicho do sypialni Eden i zatrzymał się jak wryty. Leżała na wznak, przykryta po szyję, z twarzą bladą jak papier. Włosy miała splecione w warkocz. Otworzyła oczy.

- Och - powiedziała. - Miałam nadzieję, że zatelefonujesz. Powiedziałabym ci, żebyś się trzymał z daleka. Nie podchodź, Taylor. Jestem strasznie chora.

- Nigdy się nie zarażam - powiedział i usiadł na łóżku obok niej. Przyłożył dłoń do jej czoła. - Gorączka. Od jak dawna źle się czujesz? Co zażywałaś i kiedy?

- Doktor Taylor?

- Eden, co mam robić?

- Och, Gayle.

Taylor spojrzał na kobietę, która stała zaniepokojona, zdziwiona i niepewna, jak ma się zachować.

- Miło mi było poznać przyjaciółkę Eden - powiedział z uśmiechem. - Może ją pani zostawić pod moją opieką, Gayle.

Gdyby Eden nie czuła się tak źle, uśmiechnęłaby się na widok wyrazu niewymownego zdumienia na twarzy Gayle.

- To mój przyjaciel, Gayle. Wszystko w porządku. Zadzwoń, jeżeli dożyję do jutra. Dzięki, że się mną zajęłaś i byłaś taką pokorną niewolnicą.

- Jesteś pewna, Eden?

- Tak. Taylor też wkrótce stąd wyjdzie.

Taylor milczał. Skinął głową Gayle i nie odezwał się, dopóki nie usłyszał, że zamknęła za sobą drzwi.

- Dlaczego, do diabła, nie powiedziałaś mi, że jesteś chora, kiedy dzwoniłem zeszłego wieczoru?

- Wtedy nie byłam aż taka chora. Rozłożyło mnie w nocy. O drugiej nad ranem przysięgałam, że zostanę misjonarką, ale nic nie pomogło. Bóg musiał wiedzieć, że kłamałam, bo jeszcze mi się pogorszyło.

Zbladła i wyskoczyła z łóżka. Zobaczył jej długie nogi i koszulę nocną z napisem na plecach: „Nie chodź do psychologa, bo zrobi z ciebie świra”.

Poszedł za nią do łazienki, poczekał, aż skończą ją wstrząsać torsje, po czym wziął ją pod ramiona i pomógł wrócić do łóżka.

- Jesteś chora i trzeba wezwać lekarza.

Uniosła rękę, ale nie protestowała. Była zbyt słaba. Kiedy Taylor sięgał po telefon, powiedziała:

- Wolałabym, żebyś nie dzwonił. To tylko grypa.

- Mam przyjaciela, który mi powie, co robić. Wymiotujesz przez cały dzień?

Skinęła głową.

- Próbowалаś coś jeść?

- Gayle zrobiła mi galaretkę, ale nie utrzymałam jej w żołądku.

- Dobrze, połóż się i leż bez ruchu.

Taylor zatelefonował do doktora Metcalfa, jednego z nowojorskich lekarzy sądowych. Nie miał zamiaru informować Eden, że pacjentami doktora prawie zawsze są nieboszczycy.

Po pięciu minutach oczekiwania połączył się z doktorem.

- Cholera, Taylor. Jestem w trakcie sekcji. Taylor wyjaśnił mu w czym problem i spytał, co robić. Uzyskał poradę, podziękował i odłożył słuchawkę.

- Dobrze. Wiemy, co robić. Po pierwsze, leć do apteki. Nie ruszaj się.

Po pół godzinie Lindsay patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Masz jeść krakersa i pić herbatę co godzinę. Potem zobaczymy.

- Dziękuję - powiedziała, zamykając oczy. - To takie krępujące. Proszę cię, idź już. Poradzę sobie.

Powiedział na ten temat coś bardzo obelżywego i Eden natychmiast uniosła powieki.

- Nie ma powodu, żebyś się mną opiekował. To szaleństwo. Nawet mnie nie znasz i...

- Zamknij się. Zostaję. Będę tu spał, obok ciebie, i w razie potrzeby ci pomogę. A teraz połknij te dwie pigułki i śpij.

ROZDZIAŁ 14

Taylor/Eden

Kiedy wrócił z łazienki, Eden spała. Rozebrał się cicho. Zdjął koszulę, buty i skarpetki, po czym ułożył je starannie na oparciu jednego z rattanowych foteli, obok pary rajstop i biustonosza. Zazwyczaj sypiał nago; ale nie tutaj, nie z Eden. Nie miał zamiaru obnażyć się do samej skóry i śmiertelnie wystraszyć dziewczynę.

Sprawdził, czy krakersy znajdują się w zasięgu ręki, a także Nugarin, lek, który przeciwdziała wymiotom.

Pochylił się nad Eden i przykrył ją jeszcze jednym kocem. Sam wsunął się pod prześcieradło. W mieszkaniu było cicho i ciepło. Eden oddychała równo i głęboko. Delikatnie ujął dłoń dziewczyny, położył się na wznak i utkwiał wzrok w suficie. Słyszał cichutkie tykanie budzika na stoliku nocnym oraz przytłumione odgłosy ruchu ulicznego za oknem.

Obudził się raptownie o trzeciej rano. Eden zniknęła. Usiadł na łóżku i wtedy ją usłyszał. Wymiotowała w łazience.

Chryste, a on spał jak zabity. To dlatego, że zarywał noce w Chicago, pomyślał, biegnąc do łazienki. Pomógł Eden wstać i odzyskać równowagę i otarł jej twarz ręcznikiem zwilżonym ciepłą wodą.

- Chcesz sobie wypłukać usta?

Wypłukała, ale od tego dostała skurczów żołądka. Upadła na kolana przed muszlą klozetową i wtedy skurcze nagle przeszły.

- O, Boże - jęknęła i pozwoliła się odprowadzić do łóżka. Położyła się na boku i podkurczyła nogi; zwijała się w następnym skurczu.

Torsje minęły i Eden leżała ciężko dysząc. Patrzyła na Taylora. Ku jej zdziwieniu serdecznie się uśmiechał.

- To okropne. Nie powinieneś mnie oglądać w takim stanie. Nabierzesz do mnie obrzydzenia.

- Żebym nabrał do ciebie obrzydzenia, musiałabyś mordować ludzi za pomocą siekiery. Już po skurczu?

- Na razie tak.

Podał jej krakersa i zmierzył temperaturę. Na szczęście miała nie więcej niż 39 stopni Celsjusza.

- Łyczek herbaty? Nie, w porządku, rozumiem. Spróbujesz się jeszcze zdrzemnąć?

- Możemy porozmawiać?

- Jasne.

Leżeli w ciemności, ramię przy ramieniu, trzymając się za ręce.

- Ty zaczynasz - powiedziała i Taylor się nie sprzeciwił.

- Mówiłem ci już, że jestem frankofilem? - Kim?

- Kocham Francję. Zawsze ją kochałem. Myślę, że musiałem tam mieszkać w poprzednim życiu, może jako robotnik uprawiający winorośl albo ktoś w tym rodzaju. Nieważne. W każdym razie pożyczałem sobie Harleya i jechałem, gdzie mnie oczy poniosły. Byłem tam dwa tygodnie we wrześniu i objechałem całutką Bretanię, kiedy większość turystów wróciła do domu. Było pięknie i ciepło, i...

Zdał sobie sprawę, że coś się zmieniło. Eden leżała cicho, ale jej dłoń zeszywniała i stała się zimna. Znów się od niego oddaliła.

- Co się stało, Eden? Znów masz skurcze? Będziesz wymiotować?

- Nie. O, Boże, nie o to chodzi.

- Więc o co?

- Nienawidzę Francji.

- Na miłość boską, dlaczego?

- Pojechałam tam kiedyś, dawno temu, i było okropnie. - Wypowiedzenie tych słów okazało łatwiejsze, niż się spodziewała. To dlatego, że jest ciemno, pomyślała, że nie może widzieć jego twarzy ani jego reakcji na to, co powiedziała.

- Co się stało?

Cisza. Bolesne milczenie. Całkowita ucieczka.

- Kiedy to było? - zapytał po chwili. - Kiedy tam byłaś?

- W 1983.

- Ja także. Trudno to nazwać zbiegiem okoliczności, bo bywam tam co roku. Byłem tam też w 1983. W jakiej porze roku?

- Wiosną. W kwietniu.

- Pamiętam. Była piękna pogoda. Ale pamiętam ten pobyt głównie dlatego, że na końcu przyjechałem do Paryża i zdarzył mi się wypadek. Szpital, złamana ręka, gips i różne takie. Ty także miałaś wypadek?

Taylor zdawał sobie sprawę, że wkracza na niebezpieczne terytorium, ale nie dawał za wygraną. Przemawiał do Eden spokojnie i łagodnie, a potem czekał w nadziei, że mu odpowie, że da mu więcej informacji.

- Tak, coś w rodzaju wypadku. Jestem zmęczona. Dobranoc.

- Dobranoc, kochanie.

Jej ręka odprężyła się w dłoni Taylora, stała się ciepła i miękka. Zawsze to jakiś początek, choć nie wiadomo, dokąd go zaprowadzi.

Rano Taylor obudził się pierwszy. Nie ruszał się, po prostu leżał i myślał o tym, że Eden jest obok niego, że pozwala mu się trzymać za rękę i że on pragnie, by tak było już zawsze. Przewrócił się na bok. Delikatnie zwrócił Eden ku sobie. Mruknęła coś, ale się nie obudziła. Wziął ją w ramiona i położył się na wznak. Eden znalazła się teraz na jego piersi.

Uśmiechnął się. Tak jest lepiej. Żałował, że nie są zupełnie nadzy. Przyjemnie byłoby poczuć jej ciało. Dobrze, że przynajmniej policzek Eden spoczywał na jego piersi.

Jeszcze jeden początek.

Zasnął.

Lindsay budziła się powoli. Nie poruszała się, bo była skupiona na swoim wnętrzu, na tym, co dzieje się w jej organizmie i w umyśle. Żadnych skurczów ani mdłości, minął także ból głowy. I wtedy zdała sobie sprawę, że leży na Taylorze, głowę ma na jego ramieniu, udo na jego udzie.

Jego głowa jest zwrócona ku niej, policzek spoczywa na jej włosach. Czują ciepły oddech mężczyzny. Czują także ciepło jego ciała. Obezwładniło ją raptowne przerażenie.

Po chwili ześlizgnęła się z Taylora i pobiegła do łazienki. Lepiej niech sobie pomyśli, że znów ma mdłości, a nie, że ma źle w głowie. Zamknęła drzwi od wewnątrz.

Słyszała, jak Taylor idzie przez sypialnię, wpadając na fotel. Stuka do drzwi, woła ją po imieniu. Nie, nie po imieniu. Wykrzykuje to nieprawdziwe, wymyślone imię, które zaczęła nienawidzić, bo profesor Gruska miał rację. To była tarcza, zapora, kłamstwo.

Starła się opanować.

- Nic mi nie jest, Taylor. Wezmę prysznic. Wyjdę za dziesięć minut. Nie martw się o mnie.

Taylor odszedł od drzwi, a Lindsay wydała z siebie westchnienie ulgi i rozczarowania. Biorąc prysznic i myjąc głowę, znów pomyślała o intymności. Ktoś patrzący z zewnątrz uznałby ich za parę, za kochanków, a nawet męża i żonę. Ale to wszystko tylko pozory. Ona jest nieautentyczna, a on...

Kiedy wyszła z łazienki, była tak osłabiona, że ledwie trzymała się na nogach. Podeszła do komody i wyjęła z szuflady świeżą flanelową koszulę, która dokładnie zasłaniała niemal całe jej ciało. Wróciła do łazienki. Słyszała, że Taylor gospodaruje w kuchni.

Włożyła koszulę. Gęste wilgotne włosy otaczały jej bladą twarz. Usiłowała się uśmiechnąć.

Dzięki Bogu, Taylor był całkiem ubrany. Pogwizdywał pod nosem i czuł się jak u siebie w domu.

- Dzień dobry - powiedział, spoglądając znad czajnika. Przyjrzał się Eden, a potem podprowadził ją do krzesła i posadził.

- Siadaj, zanim upadniesz. Nie wiem, czy zdołałbym cię podnieść. Zanim nie wypiję porannej kawy, jestem słaby jak dziecko.

Usiadła i natychmiast osunęła się na bok.

- Zmęczyłaś się, biorąc prysznic - powiedział bardzo wolno i spokojnie. - Pomogę ci wrócić do łóżka, dobrze?

- Łóżko jest skotłowane, a ja...

- Już nie. Zmieniłem pościel, kiedy brałaś prysznic. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że myszkuje w twoich szafach. Teraz łóżko jest świeżuteńkie.

Spojrzała na Taylora. Na jej twarzy malowały się osłabienie, strach i ból. Chryste, nie mógł tego znieść. Musiał się opanować, by nie chwycić jej w ramiona i nie przytulić. Ale to by ją wystraszyło jeszcze bardziej. Nie teraz, jeszcze nie teraz.

Odprowadził ją do łóżka i powiedział:

- Nie podoba mi się, że masz wilgotne włosy. Gdzie trzymasz suszarkę?

Pod wpływem ciepłego podmuchu, usnęła głęboko. Zadzwoił telefon. Eden ani drgnęła. Taylor podniósł słuchawkę po drugim sygnale.

Telefonował Demos. Chciał wiedzieć, co się, do cholery, dzieje z Eden, i z kim, do cholery, rozmawia.

- Mówi Taylor. A Eden jest w łóżku. Ma ciężką gripę. Odwołaj wszystko, co miała robić i zadzwoń jutro, żeby spytać o jej zdrowie.

Nastąpiło dłuższe milczenie.

- Taylor? Naprawdę tam jesteś? Pozwoliła ci zostać? W swoim mieszkaniu?

Co ma mu odpowiedzieć? Demos z pewnością coś wie. Do diabła, musi znać jej prawdziwe imię. Może to wszystko, co wie?

- Tak, jestem u niej. Zostanę, dopóki nie stanie na nogach.

- A to ci niespodzianka - powiedział Demos i Taylor wyobraził sobie wyraz niedowierzania na jego twarzy. - Naprawdę. A więc ty i Eden jakoś się zgadzacie? Powiem Glenowi. Będzie na nią wściekły. Miał na ciebie chętkę.

- Przepróż go ode mnie.

Demos powiedział, że z zajęciami Eden nie ma teraz problemu.

- Tłumaczyła mi, że to dlatego, że modelki to także ludzie i w czasie świąt także zbyt dużo jedzą - powiedział Taylor.

- To prawda. Życzę powodzenia, Taylor. Opiekuj się Eden. I nie dobieraj się do niej.

- Nie będę się dobierał.

Odkładając słuchawkę, przyglądał się Eden. Kim jesteś? - myślał.

W niedzielę wciąż była osłabiona, ale czuła się znacznie lepiej. Taylor spędził u niej dwie noce.

Kiedy zbudziła się w niedzielę w ramionach Taylora, nie uciekła przed nim. Została, czując ciepło i zadowolenie, bo wiedziała już, że Taylor jej nie skrzywdzi.

Właśnie mieli wyjść na spacer, bo popołudnie było ciepłe i słoneczne, kiedy zadzwonił telefon. Taylor kazał jej usiąść i podniósł słuchawkę.

- Kto mówi?

- Nazywam się Taylor i jestem przyjacielem Eden.

- Ach, Eden. Rozumiem. Mówi jej babcia. Czy Eden może podejść?

Taylor przekazał słuchawkę. Eden prawie się nie odzywała, nie chcąc, żeby Taylor dowiedział się czegoś o jej babce. I to go rozgniewało.

- Sprawia sympatyczne wrażenie - powiedział, kiedy odłożyła słuchawkę.

- I taka jest.

- Gdzie mieszka? Eden się zawahała.

- W San Francisco - powiedziała wreszcie.

- Jest bardzo stara?

- Bardzo.

- Chodźmy na zakupy.

Poszli do Schwartza przy Piątej Ulicy. Eden powiedziała, że ma siostrzenicę. Której chce dać jakiś prezent.

- Jak ma na imię?

- Melissa. Ma trzy lata. Mieszka we Włoszech.

- Z twoją siostrą?

- Z przyrodnią siostrą. Znów się wycofała.

W stoisku z zabawkami kupili prezenty dla dwóch siostrzeńców i siostrzenicy Taylora - między innymi latawiec.

Eden wybuchnęła śmiechem.

- Wspaniały, w dzieciństwie miałam taki sam.

- Och - powiedział. - Myślałem, że kupię go dla siebie. Znowu się roześmiała, a Taylor bardzo się tym cieszył. Oglądali misie.

- Chcesz mieć dzieci? - zapytał.

- O, tak - odparła. Po czym upadła na stoisko. Ze dwadzieścia niedźwiadków posypało się na podłogę. Obsługa u Schwartza słynie z wyrozumiałości. Wypadek przeszedł bez echa. Misie wróciły na miejsce. Lindsay czuła się jak idiotka. Stwierdziła, że Taylor przygląda jej się pytająco.

- Dzieci są cudowne - powiedziała. - Naprawdę, ale nie wszyscy mogą je mieć. Pogodziłam się z tym, a czasami, tylko czasami, robi mi się smutno.

- Ja także chcę mieć dzieci - powiedział Taylor. - Niedawno zdałem sobie z tego sprawę. Mężczyźni, tak jak kobiety, muszą mieć jakiś biologiczny zegar, bo nagle zacząłem sobie wyobrażać, że myję wielki samochód, mój pies biega dookoła i otrząsa się z brudnej wody, a trójka rozwrzeszczanych dzieci włazi mi na plecy.

- Bardzo miło.

- Myślę, że dla dopełnienia obrazu konieczna jest jakaś żona.

- Chyba, że okażesz się wybrykiem natury. Może żona polewa cię wodą z hydrantu.

Przeszli do stoiska z żołnierzami i czołgami.

- Jesteś jeszcze młoda, Eden. Ile masz lat? Dwadzieścia pięć?

- Dwadzieścia sześć.

Pomyślała, że Taylor już to wiedział i zaczęła się zastanawiać, o czym teraz myśli. Jest szybki i podstępny jak wąż. Przerazające, z jaką łatwością wyciąga z niej informacje.

- Masz mnóstwo czasu na macierzyństwo. Pomyśl o tym. Ja także nie jestem stary. Mam trzydzieści dwa lata. Poczekajmy jakieś dwa lub trzy lata.

- Dobrze - odparła, patrząc na makietę pociągu z 1885 roku.

Pogłaskał ją po policzku. Pochylił się i pocałował ją w samym środku sklepu.

- Dobrze - powiedział.

Lindsay była wykończona. Taylor był zachwycony. Wydali dwieście dolarów na dzieciaki. W drodze do domu Taylor wyciągnął z niej informację, że jej rodzice także mieszkają w San Francisco. Postęp, pomyślał z zadowoleniem, nie czując się ani trochę winnym, że wykorzystał jej zmęczenie.

Zasnęła, oglądając mecz. Spała w objęciach Taylora, opierając głowę na jego piersi.

Tej nocy wrócił do domu, nie chcąc się narzucać. Ku zachwytowi Taylora, pocałowała go przy drzwiach. Nie był to namiętny pocałunek do utraty tchu, ale zawsze.

- Dziękuję - powiedziała. - Jesteś bardzo miły. Szedł do domu, pogwizdując. Na razie tyle mu wystarczy.

Od czasu grypy Eden stali się parą. Lindsay myślała o tym z przerażeniem, ale jednocześnie była szczęśliwa i nie dopuszczała do siebie myśli, że Taylor jest przecież mężczyzną i będzie jej pragnął, a jest wystarczająco silny, by zrobić z nią wszystko, co zechce. Dużo czasu spędzali z Enochem i Sheila. Czasami wychodzili z Demosem i Glenem oraz innymi kobietami. Wszystkie były wspaniałe i w ten sposób Demos pracował na reputację playboya. Demos uwielbiał te skandale. Dziennikarze rozpisywali się o nim, a on zbierał wycinki z gazet i przechowywał je pod szkłem na biurku.

Czwartego grudnia Lindsay wysłała gwiazdkowy prezent dla Melissy. Zaraz potem wróciła do domu. Po dziesięciu minutach zadzwonił profesor Gruska. Nie miała pojęcia, jak zdobył jej zastrzeżony numer telefonu. Spocona odłożyła słuchawkę. Natychmiast zadzwoniła do biura numerów i zażądała nowego zastrzeżonego numeru.

Nie powiedziała Taylorowi o telefonie Gruski. Wychodząc z domu, stawiała się ostrożna i czujna. Najwyraźniej profesor nie odkrył, jaki jest jej adres. Bogu niech będą dzięki. Gdyby się zjawił, poradziłaby sobie, była tego pewna, ale po prostu nie miała na to ochoty.

Boże Narodzenie nadchodziło poprzedzone śnieżycą, która uziemiła samolot do San Francisco. Lindsay została w domu i była tym zachwycona. Zatelefonowała do rezydencji i przeprosiła. Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu spędziła spokojne święta z mężczyzną. Czuła się niewiarygodnie

dobrze. Podarowała Taylorowi najnowszy model telefonu komórkowego. Mieścił się w kieszeni koszuli, Taylor od razu zapisał w jego pamięci numer Eden.

Kiedy podał jej pudełko od Tiffany'ego, Lindsay się zawahała. Zaczęły drżeć jej ręce.

- Odpakuj.

Ostrożnie odwinęła papier. Była taka podniecona. I przestraszona. Uniosła wieko i znalazła następne, mniejsze pudełeczko. A w nim, na czarnym lśniącem aksamicie, leżał pierścionek z brylantem. Wciągnęła powietrze. Najpiękniejszy pierścionek, jaki widziała w życiu. Najpiękniejszy. O, Boże. Spojrzała na Taylora, przerażona, skamieniała, podniecona.

- Wyjdź za mnie, Eden.

Patrzyła na niego. Miała ochotę krzyczeć, że nie nazywa się Eden. Że Taylor prosi o rękę kobietę, która nie istnieje, nie jest prawdziwa; kobietę kłamstwo, oszustwo. Bała się dotknąć pierścionka, bała się tego, co powie, bała się, że się załamie i rozplacze. Opanowała się i powiedziała powoli:

- Nie wyjdę za ciebie, Taylor, ponieważ nie jestem tą, za którą mnie bierzesz.

Uśmiechnął się.

- To nieważne, że nie nazywasz się Eden, tylko Lynn. Lynn to także ładne imię.

- Cooo?

- Kiedy chorowałeś, Gayle powiedziała o tobie „Lynn”, a potem szybko się poprawiła. Jeżeli wolisz być Eden, mnie to nie przeszkadza. Nie rozumiesz? Nic mnie to nie obchodzi.

- Nienawidzę Eden. A jeśli chodzi o Lynn... - Tak?

- To nie takie proste i nie wiem, jak ci... Nie zrozumiesz tego.

Milczał. Milczał, zmuszając się, by cierpliwie czekać. Eden także zamilkła i wpatrywała się w pierścionek. Taylor wstał, żeby przesunąć drewno w kominku. W pokoju było ciepło i pachniało ostrokrzewem i czekoladą. Spojrzał na małą choinkę, błyskającą wielobarwnymi światełkami. Razem nawlekali popcorn i rozwieszali bombki. Taylor uparł się, że połowa dekoracji ma pochodzić od niego. Przyniósł światełka, które dziesięć lat temu podarowała mu siostra, oraz stare świecidelka. Obok kosztownej bombki z wiktoriańskim Mikołajem wisiał wysłużony Mikołaj bez brody. Taylor uśmiechał się, ilekroć patrzył na tych dwóch Mikołajów. Było to najpiękniejsze drzewko, jakie widział. Pokój rozjaśniały świece i płomienie na kominku.

Taylor nigdy w życiu nie był równie wystraszony. Ani równie pewny, czego pragnie. Odstawił pogrzebacz i zamknął kratę kominka. Usiadł naprzeciw Eden. Miał cały wieczór, aby osiągnąć swój cel.

- Pierścionek jest naprawdę piękny, Taylor.

- Tak. Chciałem, żeby był piękny, bo pragnę, żebyś go nosiła do końca życia.

- Jestem zaskoczona. Nie spodziewałam się.

- Że jakiś mężczyzna ci się oświadczy? I to mężczyzna, który nawet ci nie powiedział, że cię kocha. Masz rację. Nie zrobiłem tego tak jak należy. Kocham cię, Lynn-Eden. Wyjdź za mnie.

Milczała, nie patrzyła w jego stronę.

- Mógłbym paść na kolana i oświadczyć się jeszcze raz, ale siedzisz na podłodze, więc nie wypadłoby to nazbyt romantycznie.

- O, nie, nie.

- Na dodatek nie musiałem sprzedać samochodu, żeby zapłacić za pierścionek. Mam wystarczające dochody, aby nas obydwójce utrzymać na przyzwoitym poziomie. Mam stałą pracę w dobrych godzinach, tylko od czasu do czasu muszę gdzieś wyjechać na kilka dni, ale o tym już wiesz.

Eden milczała, przyglądając się wzorowi na dywanie.

- Jeśli nadal chcesz pracować jako modelka, nie mam nic przeciwko temu. Jeśli wolisz zostać w domu i siedzieć na tyłku, zjadając przez cały dzień czekoladki, cóż, co wieczór przyniosę ci pudełko trufla od Anny Farmer. Jeśli zechcesz od razu rodzić dzieci, też dobrze. Jestem łatwy w pożyciu, kochanie. Cokolwiek zechcesz, pragnę twego szczęścia. Przy mnie.

Serce waliło mu młotem. Zaszło mu w ustach. Zapatrzył się we wzór na dywanie, który musiał być naprawdę fascynujący, bo Eden zaczęła wodzić po nim palcami. Dlaczego ona, do cholery, milczy? Brnął dalej.

- Jeżeli chcesz zostać w twoim mieszkaniu, wprowadzę się do ciebie. A jeśli wolisz moje mieszkanie, możemy zamieszkać u mnie. We dwojkę będziemy potrzebowali więcej miejsca. Myślę, że powinniśmy poszukać nowego mieszkania. Lubię East Side, ale nie mam nic przeciwko West Side. Znam wiele wspaniałych mieszkań po obu stronach. Jak już wspomniałem, jestem łatwy w pożyciu. I uступliwy. Zrobimy, jak zechcesz.

Milczała. Nie mogła wymówić ani słowa.

- Czy ty mnie kochasz, Eden?

Patrzyła na niego, nieruchoma jak rzeźba. Wreszcie wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Nie znam się na miłości. Wiem jednak, że jesteś cudowny, Taylor.

Zamrugął.

- Ciągłe mnie zaskakujesz - powiedział, i była to prawda.

- Chodzi mi o to, że nie wyobrażałam sobie, że taki mężczyzna może istnieć na świecie.

- Dlaczego?

Za szybko i za dużo, zdał sobie z tego sprawę i chętnie by sobie przykopał. Zbyt nachalnie.

Wzruszyła ramionami. Nadal trzymała etui. Pierścionka nawet nie dotknęła.

- Można powiedzieć, że nie miałam zbyt wielu dobrych doświadczeń z mężczyznami.

- Ale to byli inni mężczyźni, a nie ja.

- Nie - przyznała. - Nie byli tacy jak ty.

- Bo ja jestem cudowny i chcę, żebyś zawsze o tym pamiętała. I kocham cię.

Spostrzegł w jej oczach strach i zapragnął dopaść tego mężczyznę lub tych mężczyzn, którzy ją skrzywdzili. I co on albo oni jej zrobili? Zacisnął pięści.

- Nie mogę - powiedziała ze łzami w oczach. - Jeszcze nie teraz. Przepraszam, Taylor.

- Mam pomysł - odparł. - Powiedz mi prawdę. Czy dobrze ci było ze mną przez ostatnie półtora miesiąca?

- Tak.

- Czy przestraszyłem cię kiedy?

- Tak.

- Ujmijmy to inaczej. Czy teraz ufasz mi bardziej niż dwa tygodnie temu?

- Tak.

- Czy wierzysz, że cię nie zgwałcę?

- Tak - odparła po chwili wahania.

Dobrze, pomyślał, prawdopodobnie została zgwałcona. I była w Paryżu w kwietniu 1983 roku. Można to sprawdzić we francuskich gazetach i czasopiśmie. Sprawdzić czy to, co się stało, wydarzyło się w Paryżu. Miał do wygrania wojnę i wszystkie chwytaki były dozwolone. Nie miał najmniejszych skrępowań.

- Pamiętasz, jak spałem u ciebie przez dwie noce? Pamiętasz, jak budziłaś się w moich ramionach?

- Tak.

- Nie próbowałem żadnych sztuczek, prawda?

- Może się bałeś, że zwymiotuję na ciebie. Uśmiechnął się.

- Możliwe, ale nie sądzę. Przez całą noc miałem wzwód. Mówię o moim penisie, gdybyś nie wiedziała. Ale to nie ma znaczenia, Eden, i nie będzie miało znaczenia. Nigdy nie zrobię ci nic złego, nigdy nie zmuszę cię do uprawiania seksu, jeżeli nie będziesz na to miała ochoty.

- Przestań, Taylor. Zamilknij. To nie o to chodzi. Ja po prostu nie mogę. Wiem, że ty... że wszyscy mężczyźni pragną seksu i chcą go często, a ja nie mogę, po prostu nie mogę.

- Nie teraz - powiedział beztroskim tonem. - Nie ma sprawy, Eden. Nie jestem głupi ani ślepy. Od dłuższego czasu widzę, że nie chcesz żadnych zbliżeń. Nie rób takiej zdziwionej miny. Nie będę cię okłamywał. Trudno byłoby mi kłamać, bo wiem, że kiedy cię całuję, czujesz, jaki jestem twardy. Zwłaszcza kiedy masz na sobie buty na wysokich obcasach. A my nie stykamy się wyłącznie nosami. Lgniemy do siebie całymi ciałami. To mnie doprowadza do szaleństwa. Pragnę cię do bólu. Ale nie jestem obłąkanym nastolatkiem zmagającym się z burzą hormonów, ani żadnym *macho*. Pragnę cię całej, a nie tylko twego ciała. Czy jesteś to w stanie zrozumieć? Nie, szybko zauważył, że nie jest.

- Nie szkodzi. Popracujemy nad tym.

Wykonała taki gest, jak by mu chciała oddać pudełeczko z pierścionkiem; a potem równie szybko cofnęła rękę. Taylor był bardzo zadowolony, patrząc na ten pokaz niezdecydowania.

- Pierścionek należy do ciebie, Eden. Ja także jestem twój. Jeśli odrzucisz pierścionek, odrzucisz także mnie. Jeśli go zachowasz, zachowasz i mnie.

- Sama nie wiem.

- Posłuchaj. Mam pewien pomysł. - Usiadł na sofie i skrzyżował ręce na piersi. Wyglądał na bardzo dużego i bardzo silnego, i Eden zdała sobie sprawę, że to ją przeraża i odpycha.

- Przesiądź się, jeżeli to sprawi, że poczujesz się bezpieczniejsza - powiedział łagodnie. - Nie? W takim razie świetnie. Znów się dziwisz. Znam cię, a w każdym razie, poznaję cię coraz lepiej. Tańczę wokół ciebie na paluszkach. To nie jest łatwe i coraz bardziej mnie męczy, więc proponuję, żebyśmy doszli do porozumienia.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wciąż tam siedzisz? Postanowiłaś zademonstrować odwagę? Jesteś pewna, że się na ciebie nie rzucę?

- Przestań, do diabła! - chwyciła „komórkę” i cisnęła nią w Taylora. Trafiła go w brodę.

- Dobry strzał. Na szczęście nie popsulaś telefonu. Oto moja propozycja: zamieszkamy razem, ale nie jak kochankowie. Będziemy sobie bliscy, ale obejdziemy się bez seksu. Żadnego seksu, Eden, dopóki nie będziesz na to gotowa. Obiecuję.

- Gdzie będziesz spał?

- Z tobą. Tak jak przez tamte dwie noce. Zmarszczyła czoło i przygryzła dolną wargę. Dobrze, pomyślał, może wreszcie do niej dotarłem.

- To oznacza, że poznasz moje wszystkie złe przyzwyczajenia - powiedziała.

- Ja także mam ich niemało. Jedziemy na jednym wózku. Czyścisz zęby nicią dentystyczną rano czy wieczorem?

- Wieczorem.

- Ja rano.

- Chrapiesz jak zarzynana świnia?

- Nie wiem - odparła ze śmiertelną powagą. - Nigdy nie słyszałam. A ty?

- Tylko gdy jestem zestresowany albo okropnie zmęczony. Trzy razy w tygodniu biegam i dwa razy w tygodniu chodzę na siłownię do Mueller's Gym przy Sześćdziesiątej Szóstej. Nie przytyjesz przy mnie. I zupełnie nieźle gotuję.

- Też nie chcę przytyć.

- Z osobistych pobudek, czy dlatego, że musisz się głodzić, żeby zarobić na życie? Utyjesz, kiedy przestaniesz być modelką?

- Nie sądzę. Nigdy nie miałam problemów z linią.

- Świetnie - powiedział z uśmiechem. - Omówiliśmy najważniejsze zagadnienia.

- Nie gotuję zbyt dobrze.

- Nie szkodzi. Skoro nie jesz, po co sobie zawracać głowę gotowaniem? Przyrządzam doskonałe dania z sałaty, tofu i wieprzowych kotletów.

- Świetnie.

- Daj mi pierścionek - powiedział, wyciągając rękę. Podała mu etui.

Taylor wyjął piękny klejnot z pudełeczka.

- Podaj mi lewą rękę.

Zawahala się, ale on czekał z wyciągniętą dłonią.

Podała mu lewą dłoń. Pierścionek był bardzo dopasowany i aż się skrzywiła, gdy wspólnie wpychali go jej na palec. Powinien był kupić o numer większy.

- Dobrze - powiedział. - Nie zdejmiesz go łatwo. Kiedy będziesz mnie miała dosyć i zechcesz cisnąć mi pierścionek w twarz, nie będziesz mogła tego zrobić natychmiast, pod wpływem impulsu. Zdejmowanie go z palca pozwoli ci ochłonąć i sformułować wszystkie pretensje.

- Jesteś cudowny, Taylor. Ale także diabelnie przebiegły.

- Powiedz coś jeszcze.

Usiadła pomiędzy jego nogami, przeciągnęła się i oparła plecami o tors Taylora. Objął ją w pasie. Ucałował w czubek głowy.

- Jesteś teraz moją narzeczoną. Oficjalną. Jak to brzmi?

- Cudownie.

Roześmiał się, odgarnął jej włosy do tyłu i przygryzł koniuszek ucha.

- Może zostaniesz na noc? - spytała. Zastanawiał się, czy Eden czuje, jak bardzo jest twardy.

- Dobrze - powiedział. - Przygotujmy skarpety na prezenty. Miło, że nie będę musiał jutro rano przedzierać się do ciebie w śniegu i mrozie. Dzięki temu będziemy mogli siedzieć w łóżku, popijając kakao i rozpakowywać prezenty, kiedy tylko zechcemy.

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić - powiedziała cicho i z pełnym zachwytem niedowierzaniem.

- A ja mogę - powiedział Taylor, całując ją w ucho. - Teraz wyobrażam sobie doskonale.

- Ostatni raz zawieszałam skarpetę na prezenty, kiedy miałam jedenaście lat.

- Doprawdy? Chcesz wysłuchać naprawdę smutnej historii? Ostatni raz dostałem prezenty w skarpecie, kiedy służyłem w policji. Od mojej instruktorki. Była z niej złośliwa jędra. Podarowała mi mnóstwo pięknie opakowanych prezentów. Granaty ręczne, pojemniki z gazem łzawiącym, naboje, kajdanki. Nie uwierzysz jakie to były kajdanki. Wyściełane futerkiem. Boże, ta moja instruktorka.

Lindsay zwróciła się w jego stronę i z całych sił wyrznęła go w brzuch.

- Kajdanki!

- Tak, madame, byłem jej niewolnikiem przez całe wieczór.

- Myślałam, że prezenty rozpakowuje się rankiem.

- Człowiek się dostosowuje - odparł. - O, tak, człowiek się naprawdę dostosowuje.

ROZDZIAŁ 15

Taylor/Eden

Doczekali północy. Dziesięć minut po dwunastej Taylor spojrzął na Eden i ziewnął szeroko. Jutro rano będą rozpakowywać skarpety z prezentami. Muszą się wyspać. Podał rękę Eden i wstał.

Ostrożnie umieściła dłoń w jego dłoni i wstała.

- Pójdę pierwsza, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziała, starając się ukryć nagłe zakłopotanie. Potrzebuję jakichś dziesięciu minut.

Skinął głową i zwrócił się w kierunku kominka, starając się zachować całkowitą obojętność. W tym momencie Lindsay poczuła nagły przyływ gniewu, bo Taylor zaznał poufałości z inną kobietą. Wiedział, jak się zachowywać, co mówić. Wiedział, co robić.

- To niesprawiedliwe - powiedziała od drzwi. - Czuję się bardzo dziwnie. Nie wiem, jak się mam zachowywać. Czuję się głupia.

Uśmiechnął się.

- Ale za to masz na palcu piękny pierścionek. Masz mnie u swoich stóp. Czego więcej pragniesz?

Znow żarciki. Pokręciła głową.

Kiedy była gotowa, w sypialni, zawołała go. Taylor pogasił świece, kominek, sprawdził drzwi wejściowe i wszedł do sypialni. Świeciła się tylko mała lampka u wezglowia łóżka. Eden leżała po lewej stronie, płasko na wznak, przykryta pod brodę. Przyglądała mu się.

- Cześć - powiedział pogodnie, myśląc, że Eden wygląda jak dwudziestowieczna dziewczyna westalka. Zaczął rozpinąć koszulę. - Nie przekraczamy granic, prawda Eden?

- Czego? - Patrzyła na niego. Zdjął koszulę. A potem ściągnął przez głowę podkoszulek.

- Cen prezentów. Drobne, bezsensowne prezenciki. Granica pięćdziesiąt dolarów.

Patrzyła, jak biały podkoszulek ląduje na podłodze. Taylor zaczął wysuwać pasek ze szlufek ciemnoszarych spodni. Poprzednio zdecydował, że zostanie w spodenkach i podkoszulku. Tak planował. A potem pomyślał: dlaczego, u diabła, ma przed nią ukrywać swoje ciało? Dlaczego ma udawać, że sytuacja nie jest normalna? Dlaczego, u diabła, ma udawać, że nie pragnie Eden, i nie pokazać jej, jak jej pragnie? Dlaczego nie zacząć jej przyzwyczajając do swego widoku, nie zacząć natychmiast? Ryzykowne; cholernie ryzykowne, ale tak postanowił i modlił się, by się udało.

Na chwilę zastygł w bezruchu, ale wiedział, że musi brnąć dalej. Eden musi do niego przywyknąć. Musi wiedzieć, że nawet kiedy jest nagi, na pewno jej nie Skrzywdzi. Musi mu zaufać.

Pasek wylądował na fotelu. Taylor usiadł i zdjął buty i skarpetki, po czym wstał i zaczął rozpinąć spodnie.

- Co robisz?

- Zdejmuję ubranie. Nie mam zamiaru spać w ubraniu. Dzięki temu oszczędzam na pralni.

- Taylor!

Musiała mu się przyglądać. Po prostu musiała. W jej pamięci pojawił się wyraźny obraz księcia, ujrzała go nagiego, ujrzała jego twardy i długi członek, przypomniała sobie jego gorący oddech na swej twarzy, zimne dłonie na swoim ciele i poczuła strach, dawne przerażenie, poniżenie i bezsilność.

- Mnie się udało wydać dokładnie 47 dolarów i 69 centów. Kupiłem ci same zabawne rzeczy. Zobaczysz.

Odwróciła głowę.

Usłyszała, że Taylor pogwizduje „Cichą noc”. Ale przecież nie ma już osiemnastu lat. Nie jest bezsilna.

- Niech cię diabli, obiecałeś mi. Powiedziałeś, że mogę ci zaufać, że nie będziesz...

Nie miał zamiaru udawać.

- Nie kłamałem, Eden - przerwał jej. - Odwróć się i popatrz na mnie. Zaczynaj się do mnie przyzwyczajając, już od dziś. Nie mogę udawać, że cię nie pragnę i nie ma sensu udawać, że seks nie istnieje i że jestem jakimś eunuchem. Popatrz na mnie i zaufaj mi. Nigdy nie zrobię nic, czego nie będziesz chciała. - Mówił cicho i łagodnie. Ale Eden była zbyt przerażona.

Powoli odwróciła głowę. Taylor stał na środku sypialni, nagi, z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami, i patrzył na nią.

- Jestem mężczyzną, Eden. Patrzyła na niego.

- Nadal uważasz, że jestem cudowny?

- Tak - powiedziała wreszcie, przyjrzawszy mu się dokładnie. - Przypuszczam, że jesteś.

Uśmiechnął się do niej.

- Lubię opanowane kobiety. A teraz śpijmy.

Podszedł do łóżka, stwierdził, że Eden zeszywniała, ale się nie zatrzymał. Normalność, oto klucz do powodzenia. Wsunął się pod kołdrę.

- Zgaś światło. Wykończyłaś mnie dziś wieczorem.

- Wcale nie. Nie wiem, o co ci chodzi.

- Dobrze wiesz. Nie skakałaś z radości na widok pierścionka. Nie rzuciłaś mi się w ramiona, nie wyczołowałaś twarzy i nie wykrzyczałaś, że nie możesz się doczekać, by zostać moją żoną i że jesteś najszczęśliwszą kobietą w całym Nowym Jorku. Zgaś światło, muszę obmyślić dalszy plan działania.

Zgasła światło. Sypialnia pograżyła się w całkowitej ciemności.

Lindsay poruszyła się odrobinę, a potem znieruchomiała.

- Nie sypiasz w piżamie? - zapytała wreszcie. - Nie.

- A sypiałbyś, gdybym ci kupiła? - Nie.

Westchnęła.

- Skoro mówimy o piżamach, ja nienawidzę koszuli nocnych. Gdybym ci spalił koszule, sypiałabyś nago?

- Nie.

- A, widzisz. Dobranoc, kochanie. Dobrze być na swoim miejscu.

- Dobranoc, Taylor. Cieszę się, że tu jesteś. Tak mi się zdaje.

- Dostanę całusa na dobranoc? Cisza.

- No, dobrze. Specjalny pocałunek. Pocałunek zaręczynowy, pocałunek bożonarodzeniowy.

Pochyliła się nad Taylorem i pocałowała go w brodę. Pochwycił ją za ramiona i ucałował w biust. Słodki Jezus, pomyślał.

- Nie, nie uciekaj. Jest ciemno. Sprawdźmy, czy odzyskam twoje usta.

Udało mu się i był to słodki pocałunek, który obudził w Taylorze dziką żądzę. Lindsay poczuła leciutkie łaskotanie w dole brzucha, sensację, którą przypisała strachowi.

*

Kiedy Taylor obudził się następnego ranka, dokładnie dziesięć minut po siódmej, Lindsay leżała na wznak, w odległości dobrej stopy od niego. Tak jak wcześniej, przyciągnął ją i ułożył na sobie. Już nie usnął. Leżał tak zadowolony z siebie, że chciało mu się krzyczeć. Eden wymamrotała coś i poruszyła się, przykryła udem jego uda i ułożyła dłoń na jego piersi. Twarz wcisnęła mu w zagłębienie szyi. Poczul na policzku jej gęste, miękkie włosy.

Czekał, żeby zobaczyć, jak zareaguje, kiedy się obudzi. Niestety, nie obudziła się w porę, a o ósmej Taylor musiał pójść do łazienki.

- Cholera - mruknął i wysunął się spod Eden. Przyniósł na tacy gorące kakao, rogaliki, masło i truskawkowy dżem.

- Wesółych Świąt, Eden. Obudź się wreszcie. Lindsay nie wierzyła własnym uszom. Męski głos u niej w sypialni. A ona leży w łóżku. Zanim oprzytomniała, minęła dobra chwila. Patrzyła na swego mężczyznę w swojej sypialni. Miał na sobie jej biały szlafrok. Korzystał z jej łazienki i przyniósł jej śniadanie do łóżka. Mieszkał tutaj. Musiała stracić rozum. Musiała zwariować. Zwariowała na Boże Narodzenie. On tu mieszka, a ona się na to zgadza. A potem spojrzała na olśniewający brylant na swym palcu. Do diabła.

Usiadła na łóżku i rozmasowała sobie nogi. Nie musi się przecież zachowywać jak wystraszona idiotka.

- Postaw tacę obok mnie. Umieram z głodu.

- Nigdy nie chodzisz do łazienki? Zwiesiła głowę.

- Nie bądź głupia, Eden. Nawet jeśli jesteś piękna i masz bajeczne ciało, niedościgniony umysł...

- Zamknij się, wariacie!

- Pomimo całej tej doskonałości, musisz czasami skorzystać z łazienki.

- Masz rację - powiedziała i wstała.

Wróciła z wyszczotkowanymi włosami. Na łóżku, obok tacy ze śniadaniem, leżały dwie skarpety z podarkami.

- To wspaniałe - zawołała i z radością zdała sobie sprawę, że tak jest naprawdę. To było coś nowego, zupełnie innego. Trudno jej było uwierzyć. Cieszyła się i pragnęła już nigdy się nie bać. Może Taylor naprawdę jest inny.

- Staram ci się udowodnić, że nie możesz beze mnie żyć. Przez żołądek wychudzonej kobiety do jej serca, do dobry początek.

Wgryzła się w rogalik.

- Przepyszny. O, prawdziwe masło. Zapomniałam, że mam coś takiego.

- Pocałuj mnie na dzień dobry. To u nas tradycja rodzinna, sięgająca czasów hiszpańskiej Inkwizycji. I stanie się tradycją w naszej rodzinie.

Pocałowała go, smakując truskawkowy dżem i kakao na ustach Taylora. On nieco pogłębił pocałunek i na tym poprzestał.

Jeszcze dwa tygodnie temu nie uwierzyłby, że spędzi poranek bożonarodzeniowy z Eden w jej łóżku. I że otrzyma od niej słodki pocałunek. Lecz tak się właśnie stało.

Naprawdę cud. W zamyśleniu rozpakowywał pierwszy prezent. Może Eden go kocha, tylko sama

o tym nie wie? Zanim ją znowu o to zapyta, musi się jeszcze ciężko napracować.

*

Taylor szybko stwierdził, że Eden lubi rozmawiać w łóżku, kiedy jest ciemno i kiedy nie widzi reakcji mężczyzny leżącego obok.

On natomiast mógł reagować, jak chciał, bo ona i tak go nie widziała. Obydwoje byli zadowoleni.

Ich najbardziej poruszająca nocna rozmowa była krótka i wstrząsnęła nim bardziej, niż mógł się spodziewać.

- Zawsze chciałam mieć swoje miejsce na Ziemi - powiedziała rzeczowym tonem. - Mieć kogoś, kto by się o mnie troszczył i przejmował się tym, co mi się zdarza. Kogoś, kto by mi wierzył, kto by mnie akceptował i o nic nie wypytywał.

Chryste, pomyślał Taylor i przełknął ślinę.

- No, to teraz masz mnie. I nie zapominaj, że będziesz mnie miała nawet po naszej pierwszej poważnej sprzeczce.

- To miło - powiedziała i wzięła Taylora za rękę. To było wszystko, ale on wiedział, że nigdy jej słów nie zapomni. Trzymali się za ręce przez całą noc.

Dopiero drugiego stycznia Lindsay przypomniała sobie o skrzynce na listy. Większość korespondencji była adresowana na Lindsay Foxe. Możliwe, że Taylor już wcześniej spojrział na rachunki i listy, ale raczej w to wątpiła. Będzie mu musiała powiedzieć, kim jest. Okropnie się tego bała.

Nie chciała mu wyznać, że nazywa się Foxe. Z drugiej strony jednak istniało nikłe prawdopodobieństwo, że on nie skojarzy jej nazwiska. Był w Paryżu akurat w kwietniu 1983 roku. Wystarczy, że zajrzy do ówczesnych gazet. O, Boże, nie zniosłaby tego. Ale możliwe, tylko możliwe, że Taylor nie skojarzy nazwiska i nigdy się nie dowie. Znajac zdolności Taylora, Lindsay nie miała najmniejszych wątpliwości, że gdyby był ciekaw jej tożsamości, poznałby ją w ciągu godziny. Nie była gotowa, by mu powiedzieć. Nie, nie teraz. Zdumiało ją, że stara rana wciąż jeszcze się nie zablźniła.

Lindsay uczestniczyła w spotkaniach grup samopomocy na uczelni. Wydawało jej się, że już się jako tako uzbroiła, nawet przeciw profesorowi Grusce. Ale Taylor był w jej życiu kimś zupełnie innym. Taylor się liczył. Nie chciała go stracić. Nie chciała, aby sobie wyobrażał, że była nastoletnią Lolitą. I tak wiedział już zbyt wiele, ale to...

Na to nie mogła się zdobyć.

Nie wiedziała, co robić. Wreszcie postanowiła korzystać ze skrytki pocztowej. Nie widziała innego wyjścia. Mogłaby wyznać prawdę. Nie, jeszcze nie teraz. Jeżeli Taylor nawet zauważył, że Eden nie otrzymuje żadnej korespondencji, nie dał po sobie tego poznać.

Zauważył, jasne, że zauważył, w związku z tym, że zastanawiał się, czy powinien wystąpić o zmianę swego adresu. Postanowił omówić sprawę z Eden, ale wolał z tym jeszcze poczekać.

Do diabła! Kim ona jest? Dlaczego nie chce zdradzić mu swego nazwiska? Kiedy wreszcie zacznie mu ufać?

Ósmego stycznia wspólnie doszli do wniosku, że mieszkanie jest zbyt małe dla nich obydwójga.

Lindsay bała się poruszyć ten temat. Taylor się nie obawiał i to on rozpoczął rozmowę.

- Przeprowadźmy się do mojego mieszkania - jest większe, ale prawdopodobnie nie dość duże - albo rozejrzyjmy się za czymś innym. Co robisz w sobotę?

Ten pomysł jej się spodobał. Mieszkanie to coś bardziej rzeczywistego niż pierścionek, który błyszczał brylantem. Przypomniała jej się mina Demosa, kiedy spostrzegł pierścionek. Wstrząs, niedowierzanie, a wreszcie radość. Glen zachowywał się jak ciężko zraniony, ale w końcu uściskał Lindsay. A teraz Taylor chce z nią zamieszkać na stałe. Nie jest to sprawa życia i śmierci, ale dla niej decyzja była wielkiej wagi.

- Więc?

Spojrzała na niego wzrokiem, który doprowadzał go do szaleństwa. Pełnym niepokoju i niezdecydowania.

- Mieszkamy razem od dwóch tygodni. Czy zdajesz sobie sprawę, że ostatniego wieczoru, podczas gdy ja zdejmowałem ubranie, ty siedziałaś na łóżku, obejmując kolana, i swobodnie ze mną rozmawiałaś?

- Byłam skoncentrowana na tym, co mówię.

- Miałem wzwód twardy jak skała, a ty nawet nie mrugnęłaś okiem.

- No, dobrze. Przyzwyczajam się do ciebie, do wszystkich części twego ciała! I co z tego?

- Dwa dni temu zbudziłem się wcześniej. Leżałaś na mnie. Kiedy się obudziłaś, udawałem, że śpię. Wstałaś, poszłaś do łazienki, wróciłaś i znów się na mnie rozciągnęłaś. Co o tym sądzisz?

- Byłam zbyt zaspana, żeby wiedzieć, co robię.

- Jasne.

- Byłam zmarznięta, a ty grzejesz jak piecyk.

- Jasne. Pamiętasz, jak wczoraj rozmawiałaś ze mną przez drzwi łazienki? To zupełnie normalne.

- Smarowałam twarz kremem! Z pewnością nie chciałbyś tego oglądać.

- Tylko się smarowałaś? - pogłaskał ją po zarumienionym policzku. - Nadszedł czas na następny krok. Zajrzyjmy do gazety, co jest do wynajęcia.

- Dobrze, zrób to i nie gadaj!

- Ile możesz wydać miesięcznie? Roześmiała się.

- Mogę ci zaimponować. Zarabiam masę pieniędzy. Chcę, żeby to było wielkie mieszkanie z wysokim sufitem i starym marmurowym kominkiem oraz pięknym widokiem z okien. Kuchnia i łazienki muszą być nowoczesne.

Znaleźli dokładnie to, czego chciała. Przy Piątej Alei pomiędzy ulicami Osiemdziesiątą i Osiemdziesiątą Pierwszą, w eleganckiej Kamienicy Biskupiej z 1926 roku. Nie z ogłoszenia. Taylor i Lindsay puścili parę z ust i Demos zadzwonił do nich z informacją. Mieszkanie miało tysiąc osiemset stóp kwadratowych powierzchni oraz mnóstwo lśniącego drewna w postaci boazerii i podłóg. Będzie kosztowało bająnskie sumy, pomyślał Taylor, ale co tam. Spojrzał na oczarowaną Eden, stojącą po środku ogromnego salonu i wyglądającą przez ogromne okna wychodzące na Central Park i muzeum.

- Ile zarabiasz?

Lindsay wiedziała, ile wynosi czynsz. Wiedziała również, że Taylor, jako mężczyzna, po prostu nie może zaakceptować faktu, że kobieta zarabia mnóstwo pieniędzy.

- Mogę opłacać więcej niż połowę - powiedziała, zadzierając głowę - nie napinając budżetu, jeśli to cię niepokoi. Mogę nawet wpłacić depozyt, zupełnie sama. Mogę nawet wynająć całe mieszkanie!

- W porządku. Połowa wystarczy. Nie chciałbym rezygnować z wiosennej podróży do Francji, ani być zmuszonym do jadań zupy cebulowej pod koniec miesiąca. Możemy podpisać akt wynajmu?

Kiedy przyszła jej kolej, Lindsay bez wahania wpisała swoje nazwisko, prawdziwe nazwisko. Taylor nie stał nad nią. Nie patrzył, a nawet odszedł od stołu. Lindsay złożyła swoją kopię i włożyła do torebki. Taylor milczał. Powie mu, kiedy będzie gotowa. Najwidoczniej jeszcze nie teraz. Był zaskoczony, kiedy spytała:

- Podpisałeś się jako S. C. Taylor. Co oznaczają libery S. C?

- Powiem ci w naszą noc poślubną - odparł.

Czy nie zdawała sobie sprawy, że może z nią zagrać wet za wet? Najwyraźniej, nie. Zauważył wyraz napięcia na jej twarzy, ale postanowił to zlekceważyć.

*

Przeprowadzili się dwudziestego stycznia. Ich wszystkie meble razem wzięte nie zapełniły mieszkania, ale Lindsay uznała, że tak jest zabawniej. Teraz mogą planować, kłócić się, dekorować i iść na ustępstwa. Wspólne omawianie wszystkiego okazało się doskonałą rozrywką, treścią jej życia, które stało się bogate i pełne. A także bardziej normalne, bo teraz musiała się liczyć z uczuciami, nastrojami i opiniami drugiej osoby.

Wspólne mieszkanie zobowiązywało ją do szczerości. Już niedługo, powtarzała sobie, już niedługo. Taylor był dla niej zbyt ważny, by wobec niego stosować gierki.

Drugiego lutego wybrali się po południu, by obejrzeć perskie dywany do salonu. Kłócili się, krytykowali wzajemnie swoje gusty, jednym słowem, świetnie się bawili. Kupili dywan cały utrzymany w błękitach, bielach, czerwieniach oraz bladych żółciach i różach. Wyglądał pięknie. Taylor twierdził, że to jego zasługa, Lindsay upierała się, że jej. Spierali się i krzyczeli na siebie. Śmiejąc się, pili w salonie herbatę. Lindsay oddałaby wszystko za odrobinę lodów.

Tego wieczoru, dziesięć po ósmej, zadzwonił telefon.

Lindsay podniosła słuchawkę, przerywając rozmowę z Taylorem w pół słowa. Śmiejąc się, powiedziała:

- Halo?

Nastąpiło krótkie milczenie, po czym odezwał się męski głos:

- Lindsay, mówi twój ojciec.

Zacisnęła dłoń na słuchawce. Śmiech zamarł jej na ustach.

- Co się stało?

- Babcia nie żyje. Twoja matka także. Po pijanemu wiozła babcię na zebranie rady nadzorczej szpitala. Straciła panowanie nad kierownicą i runęła w dół Webster Street. Wpadła na parkujące samochody, na szczęście puste. Twoja matka...

Boże, nienawidziła go. Patrzyła na słuchawkę.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś wczoraj?

Milczał, a Lindsay oczyma wyobraźni zobaczyła, jak ojciec niecierpliwie wzdusza ramionami.

- Dzwonię teraz. Pogrzeb w piątek. Może zechcesz przylecieć.

- Tak, przylecę. Dziękuję, że zadzwoniłeś. To ładnie z twojej strony.

- Mogłaś sobie darować ten sarkazm, Lindsay. Nie pasuje do ciebie, tak samo jak twój absurdalny wzrost. Rozmawiałem wczoraj z Sydney. Przyleci z Włoch.

Oczywiście, do Sydney zatelefonował natychmiast. Ale nie do niej, nie do Lindsay. Jej matka nie żyje. Jej babcia, ponadczasowa stara dama, nie żyje. Gates Foxe, stała mieszkanka San Francisco,

osoba uważana za nieśmiertelną, zawsze w ruchu, zawsze aktywna. I jej matka. Pijana? Lindsay nie mogła się z tym pogodzić. Nie poleciała do San Francisco na święta Bożego Narodzenia. Była wniebowzięta, kiedy lotnisko Kennedy'ego zostało zamknięte z powodu burzy śnieżnej. Nie zdobyła się na wysiłek, by polecieć później. Nie zobaczyła się z nimi. A teraz obie nie żyją.

- Weź z lotniska taksówkę do rezydencji. Myślę, że powinnaś się tam zatrzymać.

- Tak - powiedziała i ostrożnie odłożyła słuchawkę. Taylor wpatrywał się w nią z napięciem.

- Dzwonił ojciec - powiedziała. - Moja babcia i matka nie żyją. Zabiły się wczoraj w wypadku samochodowym. Zatelefonuję na lotnisko, żeby zarezerwować lot na jutro rano. Pogrzeb będzie w piątek.

Taylor patrzył, jak Eden dzwoni do informacji i pyta o godziny lotów. Była spokojna, zbyt spokojna. Czekał, słuchając jej głosu.

Odłożyła słuchawkę.

- O, rany - powiedziała. - Muszę zadzwonić do Demosa. Nie będę mogła wziąć udziału w jutrzejszej sesji zdjęciowej. Sportowe ubiory. Czy to nie dziwne? Nie pamiętam... Czy miałam coś robić w piątek? Taylor, pamiętasz?

Podszedł do niej i bardzo łagodnie ją objął. Była sztywna i daleka. Nie wiedział, co ma robić, więc po prostu ją obejmował i głaskał po plecach.

- Zadzwonię do Demosa.

- Dziękuję, Taylor.

Wyswobodziła się z jego ramion i wyszła z ogromnego, prawie pustego salonu. Taylor wybrał numer Demosa.

- Lecisz z nią do San Francisco? - zapytał Taylora.

- Nie wiem. Nic nie mówiła.

- Może lepiej, żebyś nie leciał. Z tego, co wiem, jej ojciec to niezły numer. Macocha wariatka. I jest jeszcze przyrodnia siostra, Sydney, która... nieważne. O, Boże, to okropne, no nie? Zajmij się nią, Taylor.

- Pewnie, że się zajmę.

Wszedł do łazienki. Eden leżała w wannie, zanurzona po szyję. Plecy oparła o piękny bladuróżowy marmur. - Jak się czujesz, kochanie?

Była naga, ale nie dbała o to. Zwróciła twarz ku niemu. Minę miał szczerze zasmuconą i zaniepokojoną. Poruszyło ją to.

- Dobrze. To tylko szok. Moja matka... Nigdy nie byłam z nią blisko. Kiedy skończyłam szesnaście lat, ojciec wysłał mnie do szkoły z internatem w Connecticut. Ojciec powiedział, że była pijana i jest odpowiedzialna za wypadek. Ale babcia... Naprawdę trudno uwierzyć, że umarła. Była zawsze, zawsze.

Ani śladu łez. Tylko niepokój.

- Chcesz, żebym z tobą poleciał? Pokręciła głową.

- Nie, nie. Nie chcę, żebyś się spotkał z moim... Nieważne. Wrócę w piątek wieczorem. Nie zostanę tam, w rezydencji, dłużej niż to konieczne.

Rezydencja? Chciał się tak wiele dowiedzieć. Z dnia na dzień stawała mu się coraz bliższa. Poprzedniego wieczoru odbyli wspólną kłótnię, zakończoną śmiechem i pocałunkami. A teraz to.

- Zadzwoni, kiedy doleczysz na miejsce.

- Dobrze.

Tej nocy, tak jak każdej poprzedniej, tulił ją mocno do siebie. Milczała i Taylor miał wrażenie, że to nie ból sprawia, że jest taka cicha. Raczej wstrząs i niedowierzanie, oszołomienie, które zaciemniają umysł tak, że człowiek nie zdaje sobie sprawy z ogromu straty. Zupełnie normalne, myślał. Dwie nagłe śmierci naraz. Żałował, że Eden nie chce, by z nią leciał. Ale nie będzie się narzucał. Nie teraz.

Na lotnisko pojechała taksówką.

Przynajmniej wiedział, kiedy się spodziewać jej powrotu. Wyjdzie po nią na lotnisko. Może wtedy będzie go potrzebowała.

*

W San Francisco panowała słoneczna pogoda, piętnaście stopni; prawdziwy raj na ziemi. Lindsay oddychała głęboko, idąc na postój taksówek.

Pół godziny później taksówka zatrzymała się przed rezydencją. Kierowca gwizdnął z wrażenia.

- Niezła chata. Pani tu mieszka?

- O, nie. Jestem tylko gościem.

- To musi być coś, mieszkać w takim pałacu. Wyobraża sobie pani, ile to szmalu?

- Nie, nie mam pojęcia.

Nie przycisnęła dzwonka. Nie chciała widzieć Holly, macochy, ani ojca. Nie czuła nic poza nieokreślonym spokojem.

Była dopiero druga po południu. Dziwne, w Nowym Jorku jest już ciemno. Co robi Taylor? Czy jest w domu?

Dom. Cudowne słowo.

Zadzwoiła.

Drzwi otworzyła Holly. Tłusta Holly z podwójnym podbródkiem, ziemistą cerą i przekrwionymi oczami.

Od płaczu? Lindsay poważnie w to wątpiła. Widywała te objawy u matki. Zaczerwienione oczy były skutkiem picia. Zbyt wiele, zbyt długo, zbyt często.

- A więc jesteś - powiedziała Holly, przepuszczając ją środka. - Wejdz, Lindsay.

Miała na sobie luźną bluzkę, wyrzuconą na bardzo obcisłe trykotowe spodnie, oraz adidas. Wyglądała jak czterdziestolatka usiłująca sprawiać wrażenie dwudziestodwulatki, do tego o trzydzieści funtów szczuplejszej.

- Witaj, Holly. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz.

- To twoja rodzina - odparła Holly z uśmiechem. - Nie moja. Ale będzie mi brakowało starszej pani. Dziwne, ale prawdziwe.

- Wcale nie dziwne.

- Ty nie musiałaś tu mieszkać jako *jej* synowa. Nie musiałaś słuchać rozkazów, wypełniać poleceń. Nie musiałaś o wszystko błagać, żebrać. Twój ojciec był jej pieszczoskiem. Boże, masz szczęście, że mieszkasz trzy tysiące mil stąd.

- Nie musisz tu mieszkać, Holly. To była twoja decyzja. Holly spojrzała na nią ze złośliwym błyskiem w oku, a potem wzruszyła ramionami. Weszły do salonu. Ciężkie story były szczelnie zasunięte. W pokoju panowały chłód i zaduch.

- Chryste - jęknęła Holly i wspięła się na fotel. - Ta nieszczęsna gospodyni... W poniedziałek wyleję ją stąd - powiedziała rozsuwając zasłony. - Tak, w poniedziałek będę tu panią i każdy, komu się to nie spodoba, pójdzie do diabła. Łącznie z bezcenną panią Dreyfus. Jedyne, co to stare pudło

potrafi, to pochlipywać i opowiadać, jak Gates Foxe zrobiłaby to czy tamto! Jezu!

Lindsay postawiła torbę w holu, a potem podeszła do wielkiego kominka z kararyjskiego marmuru.

- Rozpalę ogień, dobrze?

- Jasne, czemu nie? Czuć tu śmierć. Lindsay się wzdrygnęła.

- Muszę się napić - mruknęła Holly.

Lindsay patrzyła, jak podchodzi do tacy z alkoholami i nalewa sobie podwójny Glenlivet.

- Wciąż pijesz? Naprawdę powinnaś się opanować. Zaczną przychodzić ludzie z kondolencjami.

Chyba nie chcesz, żeby sobie pomyśleli, że nowa pani tego domu to pijaczka.

Sydney miała na sobie obcisłą suknię z czarnej wełny, czarne buty na wysokich obcasach i czarne pończochy ze szwem. Włosy szesała do tyłu i spięła złotymi grzebykami. Makijaż był bez zarzutu. Wyglądała blado i delikatnie, i bardzo pięknie.

- Witaj, Sydney - powiedziała, nie ruszając się z miejsca przy kominku. - Kiedy przyleciałaś?

- Wczoraj w nocy. Bardzo długi lot z Mediolanu. Nic się nie zmieniłaś, Lindsay. Jak było w Nowym Jorku, kiedy stamtąd wylatywałaś?

- Zimno i słonecznie.

- Co u Demosa?

- Po staremu.

- Naprawdę, Holly, daj spokój. Nie pij następnego drinka. Masz przecież dosyć. Pijesz jeszcze więcej niż matka Lindsay. I jesteś od niej bardziej tłusta. I ten twój bzik na punkcie luster - nie jest ci przykro patrzeć na własne odbicie?

- Pieprz się, Sydney!

- Nie sędzę, bym, w przeciwieństwie do ciebie, musiała to kiedykolwiek robić sama - roześmiała się Sydney. - Nieszczęsna Holly. Tłuszcz, który cię obrasta, wywołuje obrzydzenie u mężczyzn. Nie wiesz o tym? A zwłaszcza u mego ojca.

- Chryste! Przestańcie!

Sydney i Holly spojrzały na Lindsay. Była blada i wściekła.

- Dość tych złościwości! Zatrzymaj swoje kąśliwe uwagi dla siebie, Sydney. Na miłość boską, babcia i moja matka nie żyją! Przestacie, do cholery!

- Cóż za wzburzenie! - zauważyła Sydney, zwracając się do Holly. - A ja sobie wyobrażałam, że księżę wszystko z niej wyssał.

Lindsay rzuciła na podłogę dwa polana drewna, które niosła do kominka. Patrzyła jak się turlają po pięknej dębowej posadzce. Lindsay nie odezwała się ani słowem, tylko, prostując plecy, wymaszerowała z pokoju. Czuła się okropnie. Nic się nie zmieniło. Chyba że na niekorzyść, a teraz, kiedy babcia odeszła, nie było nikogo, kto by trzymał rodzinę w ryzach.

Nie zobaczyła się z panią Dreyfus.

Poszła do swego pokoju, zamknęła drzwi na klucz i wypakowała z torby kilka sztuk ubrania, które z sobą przywiozła. Nie zwracała uwagi na to, co robi. Czuła się otepiała i była za to wdzięczna.

Zastanawiała się, co jej matka robiła w towarzystwie babci. Z tego, co wiedziała, obie kobiety nie darzyły się zbyt dużą sympatią. Ale wyjechała stąd tak dawno. A czasami ludzie się zmieniają. Być może babcia wolała poprzednią synową od aktualnej. Nigdy się tego nie dowie.

Lindsay zamknęła oczy. Zobaczyła Taylora, śmiał się, tulił ją do siebie, ścisnął, łaskotał w koniuszek ucha, szeptał, że ma beznadziejny gust, jeśli chodzi o perskie dywany, że dywany z Buchary

są szmatławe i zbyt czerwone jak na jego gust, który, oczywiście, jest wyrafinowany. Następnie „pryczepił się” do odświeżaczy powietrza, których używała. Twierdził, że zapychają mu zatoki. I pachną jak w burdelu. Jak kuweta dla kotów. Boże, tak bardzo za nim tęskniła. Za jego normalnością, poczuciem humoru i zrównoważeniem. Zobaczyła go takim, jakim był ostatniej nocy. Zaniepokojony i bezsilny, bo nie wiedział, co ma jej powiedzieć, jak się zachować.

Dobry Boże, był jej tak bardzo drogi.

O siódmej zastukano do jej drzwi. Lindsay była ubrana i siedziała przy oknie, patrząc na wyspę Alcatraz. Czekwała. Wiedziała, że musi znowu zobaczyć Holly i Sydney. I ojca.

Zeszła po schodach za panią Dreyfus. Pierwszą osobą, jaką zobaczyła w salonie, był jej ojciec, sędzia Royce Foxe. Stał obok Sydney, ubrany w czarny garnitur i śnieżnobiałą koszulę. Sydney coś do niego mówiła, a on się śmiał. Spojrzał na Lindsay i śmiech zamarł na jego ustach.

ROZDZIAŁ 16

Lindsay

- Wiedziałem, że przylecisz - powiedział Royce Foxe i lekko skinął głową. Kiedy na scenę wkroczyła Lindsay, jego wesołość zniknęła bez śladu. Nikt jej nie powitał uśmiechem, a ona nie spodziewała się powitań. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek nadejdzie taki dzień, że nie będzie jej to do głębi raniło. Owa nieunikniona i niewytłumaczalna niechęć ojca w stosunku do niej.

- Witaj, ojczu. Sydney - powiedziała i zwróciła się do Holly, która trzymała w ręku szklaneczkę z whisky. - Dobry wieczór, Holly.

- Chcesz się czegoś napić?

- Tak, proszę. Perriera.

- Tak, Lindsay, to w sam raz dla ciebie. O, zapomniałam ci podziękować za gwiazdkowy prezent dla Melissy. Melissa jest tak zepsuta, że prawie nie zwróciła uwagi na tego uroczonego misia, ale miło, że o niej pomyślałaś. Książę jest tego samego zdania. Powiedział mi, żeby ci od niego podziękować.

- Cieszę, że choć przez chwilę jej się podobał.

W drzwiach ukazała się pani Dreyfus z zaczerwienionymi oczami i opuszczoną głową.

- Podano do stołu - powiedziała.

Royce podziękował jej i zwrócił się do Lindsay:

- Jesteś tak chuda, że widać ci kości biodrowe i znów masz na sobie te dziwaczne buty na wysokich obcasach. Już raz ci powiedziałem, żebyś ich nie wkładała, ale ty mnie nie posłuchałaś. Wyglądasz w nich absurdalnie, tak samo jak wtedy.

Ale tym razem nie zażądał, by je zdjęła. Zwyciężyła jeszcze raz. Teraz przez zaniechanie.

Lindsay przyjęła to z uśmiechem. Dziwne, docinki ojca nie dotknęły jej tak boleśnie jak dawniej.

- Przykro mi, że tak uważasz, ojczu - powiedziała po prostu.

Royce podał ramię Sydney, Holly i Lindsay ruszyły za nimi do jadalni. Ojciec nie powiedział ani słowa więcej. Lindsay czuła jego złość, ale znowu nie było to tak bolesne jak kiedyś. Poczowała przyływ nieznanej dotychczas mocy. Wspaniałe uczucie.

- W poniedziałek przyjdzie dekoratorka wewnątrz. Moja przyjaciółka - powiedziała Holly, wkraczając do jadalni. - Przemebuję ten przeklęty pokój, każdy jego kąt.

- Nie wątpię, że zrobisz to ze smakiem, Holly. Wszędzie perkale - powiedziała Sydney z przekąsem, spoglądając na macochę.

Holly spojrzała na nią dotknięta i rozgniewana. Rzuciła okiem na męża, szukając u niego wsparcia, ale on patrzył nie na nią, lecz na kucharkę, Dorrey, która ustawiła przed nim srebrną tacę z wielką pieczenia jagnięcą. Uśmiechnął się do Dorrey i podziękował, zapewniając, że wszystko będzie dobrze.

- O co ci chodzi z tym dobrym smakiem i perkalami? - zwrócił się do Sydney.

- Zastanawiałam się, jak Holly ma zamiar urządzić ten pokój.

- Urządzić ten pokój? - powtórzył Royce powoli. Po czym zwrócił się do żony, unosząc pytająco brew: - Ależ ona nic tu nie będzie zmieniała. W każdym razie nie bez mojego pozwolenia. Choć faktycznie, pokój jest raczej ciężki i przeładowany, czyż nie tak, Sydney?

- Właśnie to powiedziała twoja żona.

- Cóż, ona najwyraźniej nie pojmuje idei światła i cienia.

Holly westchnęła, ale ojciec i córka nie zwracali na nią uwagi.

- Powiedz, co powinno się tu zmienić, Sydney - nalegał Royce.

- W jadalni potrzebne jest dobre oświetlenie i przestrzeń, co wyklucza ciężkie, ciemne meble - zaczęła Sydney. - Ale trzeba wziąć pod uwagę także efekt, jaki chce się uzyskać. - I zaczęła dokładnie omawiać tkaniny oraz sposoby zmieniania oświetlenia i barw w pomieszczeniu. - To wymaga czasu, przemyśleń i, oczywiście, dobrego smaku. Myślę, że powinienesz zabrać się do tego osobiście, ojcze.

Royce skinął głową, nie przerywając dzielenia mięsa.

- Może, z czasem - mruknął.

- Podaj mi jarzyny, Holly, kochanie - powiedziała Sydney. - O tak, nabierz sobie górę groszku, a nie ziemniaków.

- Chcesz powiedzieć, Royce, że zajmiesz się urządzaniem domu?

- Chyba się jasno wyraziłem? - odpowiedział Royce żonie.

- Chciałabym wznieść toast - odezwała się Lindsay. - Za pamięć babci i mojej matki. Będzie nam ich brakowało.

Royce z uśmiechem uniósł kieliszek wina.

- Brzmi to nad wyraz pobożnie. Ale prawdę powiedziawszy, Lindsay, nie znałaś żadnej z nich. Nie chciało ci się nawet przyjechać do domu na święta Bożego Narodzenia. Babcia była bardzo zawiedziona. Kilkakrotnie komentowała twoją nieobecność. Co do twojej matki, wątpię, by zauważyła twoją absencję, ale z pijakami nigdy nic nie wiadomo - powiedział, zwracając się do Holly.

Lindsay poczuła się tak, jakby na przeszłość zapadła kurtyna. Przeszłość odeszła i już jej więcej nie dosięgnie. Lindsay powoli wstała i odsunęła krzesło od stołu. Była osobą dorosłą i mogła postępować tak, jak chciała. A teraz zapragnęła opuścić jadalnię.

- O której godzinie jest pogrzeb? - spytała, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

- W południe. Siadaj, Lindsay.

- Nie, ojcze. U Świętej Marii?

- Tak. Siadaj, dziewczyno. Możesz się dąsać w Nowym Jorku, ale w moim domu nie pozwolę na złe maniery. Boże, zachowujesz się zupełnie jak twoja matka.

- Dziękuję, ojcze - powiedziała Lindsay. - Dobranoc - dodała w kierunku Sydney i Holly. Idź spokojnie, powtarzała sobie, wychodząc z jadalni. Nie spiesz się. Jesteś dorosłą kobietą, nie dzieckiem, które można bezkarnie upokarzać i onieśmielać. Nie pozwolę im na to. Dotarłszy do swego pokoju, zdała sobie sprawę, że jest głodna. Dzięki Bogu za schody dla służby. Zeszła do kuchni. Zatrzymała się w progu, słysząc, jak pani Dreyfus mówi do Dorrey:

- Taki brak szacunku drażni mnie, Dorrey. Okropnie mnie drażni. Teraz, kiedy pani Gates odeszła, nie zostanę w tym domu. Wypowiem pracę obecnej pani Foxe zaraz po pogrzebie.

- Nie będzie z tego zadowolona - powiedziała Dorrey z satysfakcją. - Zostanie sama na weekend.

Nie, nie będzie zadowolona.

Świetnie, pomyślała Lindsay. Holly nie będzie mogła dać jej wymówienia.

- Nasza Lindsay ma o wiele lepiej w Nowym Jorku - ciągnęła Dorrey.

Ciekawe, kiedy stałam się „naszą”, pomyślała Lindsay. Kiedy była mała, Dorrey nigdy nie częstowała jej domowymi ciasteczkami, jak to pokazują na filmach i opisują w książkach. Kiedy tylko zajrzała do kuchni, zaraz ją stamtąd wypędzano.

- Chyba tak. Ale jak miło zobaczyć Sydney - powiedziała pani Dreyfus. - Taką piękną, taką doskonałą. Jest we wszystkich czasopismach. Taka jest śliczna.

- Tak samo nasza Lindsay - powiedziała Dorrey.

- Tak, wiem. To słodka dziewczyna. Ale Sydney, to co innego, sama o tym wiesz.

Lindsay weszła do kuchni. Nie dlatego, że odczuwała wstręt do podsłuchiwania. Po prostu bała się, że usłyszy coś niemiłego.

- Cześć - powiedziała z uśmiechem. - Wstałam od stołu, bo wszyscy sobie docinali. Macie coś, co mogłabym zjeść na kolację?

Stała się młodą damą z rezydencji. Usadzono ją przy z grubą ciosanym rzeźnickim stole i obsłużono, nie pozwalając na nic więcej, prócz unoszenia widelca. Nie, pomyślała, zając się sałatką Waldorf, przestałam być „naszą Lindsay” stałam się jedną z „nich”.

- Spodobałoby się pani w Nowym Jorku, pani Dreyfus - powiedziała Lindsay pogryzając pyszną domową bułeczkę upieczoną przez Dorrey.

- To miejsce grzechu i zbrodni!

- Zbrodni można uniknąć, kiedy się jest ostrożnym - powiedziała Lindsay z uśmiechem. - A grzech to przyjemność.

- Proszę tak nie mówić, panienko Lindsay. Nie jest pani taka zepsuta jak panienska Sydney.

- To prawda.

Wróciwszy do swego pokoju, Lindsay zatelefonowała do Taylora. Odebrał po drugim sygnale.

- Czy to moja wspaniała narzeczona, która świetnie sobie radzi?

- Tak. Dobrze sobie radzę.

- A rodzina?

- Kłóćą się, dokuczają sobie. Ale wiesz, co? To już nie jest dla mnie takie ważne jak dawniej.

Wracam do domu jutro w nocy.

- Lotem o dwunastej?

- Tak. Nie musisz po mnie wychodzić, Taylor - powiedziała, wcale tak nie myśląc i wiedząc, że on się tego domyśla.

- Dobrze, nie wyjdę.

- Ty łajdaku! - krzyknęła do słuchawki.

- Jasne, że będę czekał - roześmiał się Taylor. - Uszczęśliwiony jak głupiec. Powiedz mi, co się tam dzieje.

Nie powiedziała mu. Nie potrafiła. Taylor namawiał ją i zachęcał, ale wreszcie dał za wygraną.

- Dziś wieczorem zaprosiłem Enocha na chińskie jedzenie. Był zachwycony mieszkaniem. Twierdzi, że jest dla mnie zbyt luksusowe, ale doskonale pasuje do ciebie. Powiedział, że perski dywan w salonie świadczy o moim dobrym guście. W ciasteczku znalazłem wróżbę: „Jesteś aniołem. Strzeż się tych, co kolekcjonują pióra”. Roześmiała się.

- Enoch i Sheila prosili, żeby cię pozdrowić. Porozmawiali jeszcze o pogodzie i innych

nieważnych sprawach.

- Mam nowe zlecenie.

- Jakie? Komputerowe czy detektywistyczne?

- To drugie. Pewien facet chce, żebym przyłapał jego żonę. Jest przekonany, że wynosi z domu co cenniejsze przedmioty, łącznie z własną biżuterią. Dziwaczna sprawa, ale takie lubię najbardziej. Rozumiem, że ona jest kimś w rodzaju *femme fatale*. Jej mąż powiedział mi wprost, że ma dwóch kochanków, a nie tylko jednego, jak to jest wymagane.

- Żebyś nie został trzecim. Powodzenia. Nastąpiło długie milczenie. Wreszcie Lindsay powiedziała cicho:

- Naprawdę za tobą tęsknię, Taylor.

- Ja także - powiedział Taylor.

*

Następnego dnia Lindsay zeszła na dół dopiero wtedy, gdy trzeba było udać się na cmentarz.

Nie miała czarnej sukni i uznała, że babcia nie lubiłaby czerni. Niestety, nie miała pojęcia, co podobałoby się jej matce. Ubrała się na biało. I włożyła buty na wysokich obcasach.

Sydney nic nie powiedziała.

Msza była elegancka, dyskretna, a kościół Świętej Marii zatłoczony. Ojciec Lindsay wytknął palcem młodego mężczyznę, który był kochankiem jej matki:

- Przynajmniej się pokazał. Okazał szacunek. Mam nadzieję, że mały łajdak nie będzie usiłował zgarnąć jej pieniędzy.

Po mszy do Lindsay podeszła Paula Kettering, dziennikarka z „Chronicie”.

- Babcia pani była wspaniałą kobietą, panno Foxe - zaczęła bez wstępów. - Wierzyła także, że jest pani zdolna osiągnąć wszystko, co zechce. I osiągnęła pani sukces. Była z pani bardzo dumna. I z pani przyrodniej siostry także. O ile pamiętam, mawiała, że Sydney upadnie tam, gdzie upadek złagodzi futro z norek. A Lindsay wytrwa, bo jest w tym dobra. Powiedziała mi to w czasie wywiadu w zeszłym roku. Chciałam, żeby pani o tym wiedziała.

Lindsay była zdumiona i zachwycona. Wytrwa. Tak, naprawdę jest w tym dobra. Nagle wyobraziła sobie babcię, wypowiadającą te słowa. Zaczęła płakać. Paula Kattering pogłaskała ją po ramieniu.

- Nie chciałam pani zdenerwować, panno Foxe. Chciałam tylko.

Lindsay wzięła się w garść i podziękowała dziennikarce.

Po pogrzebie, rodzina wróciła do rezydencji. Dodatkową osobą był pan Grayson Delmartin, adwokat Gates Foxe od roku 1959, kiedy jakiś pijak wpadł w piękne krzewy rododendronów przed domem i złożył na nią skargę. Gates opowiadała, że Grayson Delmartin udowodnił, że jest artystą w swojej dziedzinie, zmuszając pijaka, by zapłacił odszkodowanie za zniszczone rośliny.

Lindsay właśnie zamierzała udać się na górę, by spakować rzeczy, kiedy pan Delmartin zawołał za nią:

- Poczekaj, Lindsay. Wiem, że chciałabyś teraz zostać sama, moja droga, ale musimy odczytać testament. Wszyscy członkowie rodziny mają być przy tym obecni. Proszę przejść do biblioteki.

Nie zależało jej na tym, ale usiadła za ojcem, Holly i Sydney.

W testamencie znalazły się zapisy dla pani Dreyfus i dla Dorrey, a także dla Landsforda, emerytowanego lokaja. Były zapisy dla organizacji, do których Gates od wielu lat należała i którymi pomagała zarządzać. Należały tam organizacje charytatywne i zajmujące się ochroną środowiska.

Kiedy ich lista wreszcie dobiegła końca, pan Delmartin uniósł głowę i zdjął okulary. Mówił powoli, odmierzając słowa.

- Nie wiem, czy ktokolwiek z was, nawet sędzia Foxe, orientuje się, jak wielkie są zasoby pani Gates. Mówiąc krótko, są one ogromne. Miała zawsze dobrego nosa do doradców finansowych i z upływem lat doskonale obracała fortuną po swoim zmarłym mężu.

- Była mądrą kobietą - powiedział Royce obłudnym tonem. - Słynne było jej szczęście. Do rzeczy, panie Grayson.

Pan Delmartin nie patrzył na zebranych. Włożył okulary i wzięwszy gruby plik papierów, zaczął czytać:

„Zostawiam milion dolarów memu synowi, Royce’owi Chandliss Foxe. Zostawiam milion dolarów mojej byłej synowej, Jennifer Foxe. Zostawiam milion dolarów mojej obecnej synowej, Holly Foxe. Zostawiam milion dolarów mojej starszej wnuczce, Sydney Foxe di Contini. Zostawiam pięć milionów dolarów mojej prawnuczce, Melissie di Contini. Wreszcie, zostawiam mój dom usytuowany przy ulicy Bayberry numer 358, mojej wnuczce, Lindsay Foxe. Zostawiam jej także, bez żadnych obciążeń, wszystkie moje ruchomości i nieruchomości. Posiada ona dar dobroci, a z biegiem lat, osiągnie mądrość i perspektywę widzenia i rozumienia spraw wokół niej. Mam nadzieję, że dziedzictwo, które otrzyma, pomoże jej osiągnąć szczęście i poczucie bezpieczeństwa, na jakie zasługuje”.

Zapadła martwa cisza. Nieprzenikniona i pełna niedowierzania, cisza jak w oku cyklonu. W owej ciszy kłębiły się ponure emocje, pełne goryczy i brzydoty. A potem, nagle, wszyscy zaczęli mówić naraz.

Holly zerwała się z krzesła, omal je przewracając. Na jej tłustą twarz wystąpiły rumieńce.

- Ależ to bzdura! Zostawić rezydencję Lindsay! To niemożliwe! Przecież ja chcę ją przemeblować!

Royce chwycił ją za ramię i usadził z powrotem na krześle.

- Moja żona niezbyt szczęśliwie dobiera słowa, ale fakt pozostaje faktem, że powiedziała prawdę. Pozostawienie czegokolwiek Lindsay to bezsens. Zostawić mnie, swemu jedyjnemu synowi, marny milion dolarów? Niech pan to natychmiast wyjaśni.

Grayson Delmartin zdjął okulary, zyskując w ten sposób na czasie.

- Byłem adwokatem pani Foxe, panie sędzio, - przemówił uroczyście - a nie finansowym doradcą i spowiednikiem.

- Bzdury! Doradzał jej pan przez cały czas! Jest pan odpowiedzialny za tę farsę? - Royce spojrział na Lindsay. Jego oczy - takie same jak jej - były teraz ciemnogrnatowe, pełne gniewu. - W czym pański problem, Delmartin? Ma pan słabość do dziewczyn, które mierzą ponad sześć stóp wzrostu, są naiwne i wiecznie zdumione?

Lindsay zachwiała się na krześle. Z ust ojca mogła się spodziewać najgorszego, ale takie okrucieństwo, taka bezwzględność.

- Panie Foxe - powiedział Grayson Delmartin. - Błagam, by powściągnął pan swój język i swoje opinie. Panna Lindsay Foxe jest pańską córką, nie jakimś intruzem, który wdarł się bezprawnie do tej rodziny. Jest także wnuczką Gates Foxe. Jest teraz bardzo bogata, bo stała się także jedyną spadkobierczynią swojej matki, Jennifer Foxe. Ponieważ jest jedyną spadkobierczynią, porozmawiam z nią na ten temat na osobności, kiedy skończę z testamentem pani Gates.

- Szaleństwo! - wrzasnęła Holly. - Czyste szaleństwo! Nie zniosę tego! Przeklęta stara baba!

Zabiłabym ją!

- Nigdy z nim nie skończymy - powiedział Royce. Zwrócił się do Sydney: - I co ty na to? Jeden milion, jeden pieprzony milion dolarów. Jezu, i pięć milionów dla twojej córki! Założę się, że stara jędza tak zabezpieczyła pieniądze, że nie zobaczysz z nich ani złamanego grosza! Prawdopodobnie Melissa także ich nie otrzyma, dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat. Co masz zamiar zrobić?

Sydney tylko się łagodnie uśmiechnęła. Wyglądała jak prawdziwa księżna - chłodna, pełna godności, doskonale wychowana po same noski pantofli od Gucciego. Zwróciła się do przyrodniej siostry:

- Moje gratulacje, Lindsay. Wygląda na to, że odegrałaś się na nas wszystkich, prawda? Babcia mawiała, że cicha woda brzegi rwie. Nigdy nie rozumiałam, co ma na myśli. Aż do dziś. W każdym razie podziwiam cię za twoje niezwykle manipulacje i gratuluję ci efektów.

- Nic nie robiłam. Nie jestem żadną cichą wodą, to bzdura i dobrze o tym wiesz, Sydney. Nikim nie manipulowałam. Mój Boże, jestem bardziej zaskoczona, niż ktokolwiek z was.

- To przynajmniej jakaś prawda o tobie, Lindsay - powiedział Royce. - Doskonale. - Wstał z wdziękiem i podszedł do córki. - Udowodnij swoją uczciwość i niewinność. Podpisz zrzeczenie się spadku na moją korzyść - korzyść twego ojca - bo w pierwszej kolejności mnie się należy. To niesprawiedliwe, żebyś znalazła się w kolejce przede mną. Popraw to teraz. Grayson Delmartin zerwał się na równe nogi.

- Chwileczkę, sędzio Foxe! Nie pochwalam tego! Nie wolno panu przymuszać pańskiej córki. Zwłaszcza w takiej chwili. Takie onieśmielające taktyki są wysoce nieodpowiednie i...

- Zamknij się! - wrzasnęła Holly. - Zamknij się, do cholery, ty stary, nic niewarty idioto! Czy Lindsay wpłaca ci procenty od dziedzictwa? Sfałszowałaś ten testament na jej korzyść?

Pan Delmartin zasznurował usta. Zgarnął dokumenty, wygładzając każdą kartkę papieru. Starał się zyskać na czasie i opanować wzburzone nerwy. Dygotał, co było dziwne, bo wcześniej nieraz zdarzało mu się znaleźć w jeszcze gorszych tarapatach. Ale rodzina Foxe rzekomo była inna. Pieniądze, pomyślał, pieniądze sieją zło. Skończył układanie dokumentów. Zwrócił się do Lindsay, która siedziała jak nieruchomy posąg.

- Proszę ze mną, Lindsay. - Tak.

Royce nie odstąpił od niej. Stał z zaciśniętymi pięściami. Oczy miał nieustępliwe i pełne złości.

- Ty przekłeta mała zdiro, ty nieobliczalna suko! Nigdzie się stąd nie ruszysz! Wiem, że jesteś hipokrytką, oszustką, podstępna złodziejka. Jezu, to nie do wiary. Okraść własnego ojca. Skraść mi moje prawo do dziedziczenia! Nie do wiary - uderzył się w czoło. - Jak mogłem zapomnieć. Przecież uwiodłaś męża własnej siostry! Zmusiłaś ją, by go postrzeliła. Udowodniłaś, jaka jesteś, już w wieku osiemnastu lat. Jesteś obrzydliwa, Lindsay. Wyrzekam się ciebie!

- Jeśli się jej pan wyrzeknie, panie sędzio, przestanie pan być członkiem jej rodziny. Lindsay nie będzie zobowiązana, moralnie ani prawnie, do pozostawienia panu choćby złamanego grosza. Jeżeli umrze przed panem i nic panu nie zapisze, nie będzie miał pan podstaw prawnych do kwestionowania testamentu. Krótko mówiąc, wystawia się pan na pośmiewisko.

Pan Delmartin był bardzo zadowolony ze swego strzału. Sędzia Foxe miał bardzo niezadowoloną minę; żałował, że stracił panowanie nad sobą. Dobrze, pomyślał Grayson Delmartin, podając ramię Lindsay. Niech sędzia skruszeje.

Grayson i Lindsay wyszli z biblioteki. Lindsay była blada, spoglądała prosto przed siebie. Pan Delmartin wprowadził ją do salonu jak osobę, która straciła wzrok.

Posadził ją na fotelu i zajął miejsce naprzeciw niej. Ujął jej dłonie w swoje i zaczął mówić. Lindsay cofnęła ręce, nie mogąc znieść dotyku, który sprowadzał ją na ziemię, do owej niewiarygodnej terażniejszości, w której wszystko zostało zburzone. Ale na nic się to nie zdało. Jennifer Foxe pozostawiła córce nieruchomości warte prawie pięć milionów dolarów i dom na Russian Hill.

Lindsay nie mogła zebrać myśli. Siedziała z rękami złożonymi na kolanach i wpatrywała się w wiszący ponad kominkiem portret dziadka. Babcia bardzo lubiła ten portret. Lindsay pamiętała ją, stojącą nieruchomo przed kominkiem i bez końca wpatrującą się w obraz.

- Zrozumiałaś? - zapytał Delmartin łagodnym tonem.

- Tak, ale to nie ma sensu. - Spojrzała na niego z poważnym uśmiechem. - Mój ojciec nigdy mnie nie lubił. Ale do dziś nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak bardzo mną pogardza. Nawet gdyby babcia zapisała mi milion dolarów, jak wszystkim innym, a jemu całą resztę, i tak by na mnie wrzeszczał i mnie nienawidził.

- Prawdopodobnie masz rację - powiedział Grayson rzeczowym i chłodnym tonem. - Skądinąd wiem, że twój ojciec potrzebuje wielkiego zastrzyku finansowego. Wygląda na to, że nie posiada sprytu twojej babki.

- Ale ma milion dolarów.

- Milion dolarów to dla niego nie więcej niż palec zatykający dziurę w tamie. A teraz, co do tego pomysłu, byś mu wszystko oddała - odradzam to z całą mocą. Jak sama zauważyłaś, nie na wiele by się to zdało. Chyba nie myślisz, że kupisz sobie jego miłość. Nie kupisz, dobrze o tym wiesz. Ani jego szacunku. Nie kupisz nic. Myślę, że powinnaś wrócić do Nowego Jorku, Lindsay, i wszystko sobie przemyśleć. Babka złożyła ci na ramiona nie lada ciężar. Oto moja wizytówka z domowym numerem telefonu. Jestem do twojej dyspozycji.

Nie powinienem ci tego mówić, ale muszę. Nie pozwól, by ojciec cię onieśmielał. Nie pozwól, by cię wpędził w poczucie winy. Nie pozwól, aby cię zniszczył odgrzebywaniem tego starego skandalu, który miał miejsce w Paryżu. Wiem, że prawda została całkowicie zafałszowana. Twoja babka powiedziała mi o tym. Obiecujesz?

Spojrzała na niego z wyrazem wielkiego bólu.

- Obiecuję - nalegał.

- Dobrze, obiecuję.

- Świetnie. Kiedy wracasz do Nowego Jorku?

- Od razu.

- Co z domem? Z tym domem, rezydencją Foxe'ów. Należy do ciebie. Jest twoja. Twój ojciec i jego żona tutaj mieszkają. Co chcesz z tym zrobić?

- Sama nie wiem. Jak pan powiedział, mieszkają tu. Niech tu zostaną. Nie potrafię sobie wyobrazić, że wracam teraz do biblioteki i mówię im, że do godziny trzeciej mają się stąd wynieść.

Grayson Delmartin pomyślał sobie, że eksmitowanie sędziego Foxe'a sprawiłoby mu satysfakcję, jakiej nie odczuwał od dobrych dziesięciu lat.

- Czy mam poinformować panią Foxe, że bez twojej zgody na piśmie nie wolno wprowadzać tu żadnych zmian?

Lindsay znów spojrzała na portret dziadka. Czy Holly wyrzuci go na śmietnik?

- Niech pan robi, co uważa za właściwe, panie Delmartin. Nie chcę tu żadnych zmian. Przynajmniej na razie. Tak, bez mojej zgody - na piśmie. To brzmi bardziej oficjalnie.

- Bardzo dobrze. - Delmartin wstał i podał Lindsay ramię. - Poczekam tu, aż się spakujesz. A potem odwiozę cię na lotnisko.

- Mój obrońca przed rozwścieczonymi wilkami - uśmiechnęła się Lindsay.

- Tak właśnie.

Poinformowanie pani Foxe, że nie ma prawa tknąć domu swoim tłustym paluchem, także sprawi mu przyjemność. Przynajmniej na razie.

Wioząc bardzo bogatą pannę Foxe na lotnisko, Grayson Delmartin miał nadzieję, że ma ona w Nowym Jorku jakiegoś opiekuna. Potrzebowała kogoś, przynajmniej dopóki nie wydobędzie się na szersze wody. Zapomniał o skandalu dotyczącym księcia i osiemnastoletniej Lindsay. Pokręcił głową, Chryste, ojciec nazywający córkę zdzirą. Niechęć sędziego Royce'a do własnej córki przeczyła logice Graysona, przeczyła wszelkiej logice.

Ten człowiek to kupa gówna.

Dopiero w drodze na lotnisko Lindsay zdała sobie sprawę z tego, co dla niej zrobiła babcia. Dała jej moc, jedyny rodzaj mocy, jaką Gates Foxe rozumiała; i dała ją bez żadnych warunków i ograniczeń. Lindsay się uśmiechnęła. Wielką moc. Ale teraz jej nie potrzebowała. Żałowała, że nie może tego powiedzieć babci, ale było za późno. Moc oznaczała dla Lindsay coś innego niż dla Gates Foxe. Dla Lindsay było to zrozumienie i akceptacja spraw, które nie mogły się zmienić. Przewyciężenie strachu, nieodczuwanie bólu, który budziły słowa jej ojca. Moc polegała na tym, by nie pozwolić przeszłości na zatruwanie przyszłości. Moc była znajomością samej siebie, tego, kim się było, jest i będzie. Moc polegała na postrzeganiu własnej rodziny taką, jaką była w istocie - jako zbiorowiska świrów - i na pogodzeniu się z faktem, że to się nigdy nie zmieni. I to nie z winy Lindsay. Ona nie musi brać udziału w ich nigdy niekończących się gierkach. Uwolniła się od tego. Westchnęła głęboko.

Ku własnemu zdumieniu, przespiała większość lotu do Nowego Jorku. Nie miała żadnych snów. Nie płakała. Czowała się odrętwiała, a potem zasnęła. Ostatnie pół godziny lotu przebyła w jakimś dziwnym stanie pół snu pół jawy, a wszystkie jej myśli dotyczyły Taylora.

Chciała go zobaczyć, chciała być blisko niego. Chciała go dotykać, wdychać jego zapach. Chciała czuć, że nie jest sama. Zawsze sama, pomyślała. Boże, tak bardzo pragnęła Taylora.

Z samolotu wysiadła zaraz po północy. Śpieszyła się. Chciała natychmiast zobaczyć Taylora i nawet sekunda zwłoki oznaczałaby za długie oczekiwanie.

Zachwiała się i jakieś męskie ramię podtrzymało ją i pomogło odzyskać równowagę. Uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale jej oczy utkwione były w innym punkcie.

Stał tam, oparty o betonowy słup.

Przystanąła, spoglądając na niego. Po raz pierwszy, odkąd go poznała, naprawdę go dostrzegła, dostrzegła w nim istotę z krwi i kości, jego życzliwość i siłę. Dostrzegła to wszystko i poczuła, że budzi się w niej coś dzikiego.

Ruszyła naprzód, nie odrywając wzroku od Taylora, nie rozumiejąc, co się z nią dzieje, ale pragnąc go ponad wszystko na świecie.

Uniósł ją w ramionach i przytulił, ściskając tak mocno, że z trudem chwyciła oddech. Odstawiając ją na podłogę, czuł ciepło i miękkość jej ciała, ale także coś więcej. Poczul jej żądzę, moc i szaleństwo, dzikość, której nie umiała opanować. Nie przestawała obejmować go za szyję. A potem zaczęła całować jego twarz, a on czuł żar jej ust, żar jej ciała.

Słodki Jezu, myślał, rozchylając wargi w odpowiedzi na jej gwałtowne pocałunki. Po raz

pierwszy, odkąd ją znał, pozwolił sobie zareagować tak, jak miał ochotę, pokazać jej, jak bardzo jej pragnie, zapomnieć o opanowaniu, o tym, żeby jej nie wystraszyć. Pożądał jej z całym szaleństwem.

Jęknął prosto w usta Eden, błędząc rękami po jej plecach. Minęła chwila, zanim zrozumiał, gdzie się znajdują. Stali pośrodku lotniska Kennedy'ego, a on gotów był ściągnąć z niej spodnie, zsunąć swoje i dziko w nią wtargnąć.

Westchnął głęboko, ujął twarz Eden w dłonie i ucałował nos, brodę, policzki, gładząc kciukami jej brwi.

- Witaj w domu. Tęskniłem za tobą.

- Zabierz mnie do domu, Taylor. Teraz, proszę, do domu.

Nigdy nie słyszał, by mówiła tak niskim, ochryplym głosem. Poczł, że budzi się w nim szaleństwo, o jakie się nie podejrzewał. Chwycił torbę Eden w jedną rękę, jej dłoń w drugą i pociągnął w stronę wyjścia.

Prawie biegli. Nie mówili ani słowa. Lindsay skupiła się na bardzo dziwnym uczuciu, które w niej narastało. Chciała tego. Nie było w niej ani odrobiny strachu, ani odrobiny obrzydzenia. Na świecie istniał tylko Taylor, on się nią zajmie i da jej to, czego pragnęła i potrzebowała. Dyszała ciężko.

Spojrzała na jego twarz i spostrzegła rumieniec na policzku oraz na wpół otwarte usta. Dobry Boże, tak bardzo pragnęła go dotknąć, poczuć go całego, głaskać palcami jego brzuch, głaskać jego penis i czuć, jak twardnieje, coraz bardziej i bardziej. Chciała go poczuć w swoim wnętrzu. Tak, tak, o, Boże, tak.

Taylor prowadził samochód zbyt szybko. Kurczowo ścisnął kierownicę, aż zbieleły mu knykie. Istniała tylko ona, na całym świecie tylko ona jedna.

Lindsay patrzyła przed siebie. Czuła w ciele dziwny, nieznany rytm, pulsujący głęboko, coraz głębiej. Nie zastanawiała się nad nim, oddychała szybko. Czuła Taylora obok siebie, wdychała jego męski zapach. Zaciskała pięści, pragnąc go dotknąć, pragnąc poczuć jego dotyk.

Nagle, jakąś przecznicę od domu, zwróciła ku niemu twarz i wypowiedziała jego imię:

- Taylor.

Przełknęła ślinę, nie mogła powiedzieć nic więcej.

- Tak, Eden. Już niedaleko. Niedaleko.

Bez tchu wpadli na klatkę schodową. Długo walczyli z zamkami u drzwi. Taylor rzucił torbę na podłogę i chwycił Eden w ramiona. Przywarła do niego całym ciałem i Taylor po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że doskonale do siebie pasują. Tylko te ubrania...

Boże, przekłete ubrania. Pragnął jej nagiej, pragnął jej ciała przy swoim. Natychmiast poczuć żar jej ciała przy swoim. Jej gładkość, jej ciało.

- Taylor - powiedziała jeszcze raz i chwyciła go za rękę, żeby pociągnąć do sypialni.

Upadła na łóżko. On natychmiast przywarł do jej ciała. Czuła jego ciężar i twardość i wiedziała, że nie ma na świecie nic cudowniejszego. Pocałował ją. Nie lekko, jak to miał w zwyczaju, lecz głęboko, wsuwając język w jej usta. Wiedział, że nie robiła tego nigdy przedtem, nigdy na to nie pozwalała, ale jemu pozwoliła.

Dygotał z pożądania. Serce mu waliło. W kroczu pulsowało. Jego dłonie znalazły się na piersiach Eden, pieściły je przez ubranie, uciskały, leciutko pociągając za brodawki.

- Za dużo - wyszeptał, mając na myśli ubranie.

- Tak, tak.

Lindsay zepchnęła go z siebie i pośpiesznie zaczęła rozpinąć guziki koszuli Taylora. Następnie, pomrukując ze zniecierpliwienia, walczyła bezskutecznie z suwakiem jego spodni.

Cała napiętność, którą pogrzebała tak dawno i tak głęboko, wypłynęła teraz na powierzchnię, dzika i boleśnie gwałtowna. Lindsay drżała z szaleńczej żądzy, doprowadzającej ją do stanu, którego istnienia nawet nie podejrzewała.

Taylor nie mógł czekać ani chwili dłużej. Odsunął się, włożył ręce pod sweter Eden i omal nie rozdarł jej spodni, ściągnął je z nóg razem z majtkami i podkolanówkami. Zapomniał o butach, zaklął i zdjął je. W jednej chwili obnażył ją od pasa w dół. Siedziała i patrzyła, jak zdejmuje z siebie marynarkę i sweter.

- Taylor, proszę.

Rozpiął suwak i uwolnił penisa. Patrzyła na jego wzwód, a na jej twarzy malował się taki głód, że Taylor jęknął. Opadł na nią, rozsuwając jej nogi.

- Eden, słodki Jezu, teraz.

Drżącymi rozpalonymi palcami rozgarnął ją i wszedł w nią jednym mocarnym pchnięciem.

Krzyknęła. Objęła Taylora przez plecy i bezsilnie, nie wiedząc, co ma robić, wypychała biodra ku górze. Czuła Taylora głęboko w sobie. Pulsowała i dyszała tak ciężko, że myślała, iż od tego umrze. Czuła jego siłę i żar. Czuła jego członek pompujący w jej wnętrzu i jęczała, jęczała, pragnąc, by to się nigdy nie skończyło. Pragnąc czegoś, czegoś, co w niej narastało i wzdymało się, popychając ją, popychając.

Taylor leżał na niej z twarzą zaczerwienioną od napiętności, a potem całym ciężarem zapadł w dół, głęboko w nią i zaczął ją całować. Następnie zadygotał i uniósł się w górę i całował z czułością, która sprawiła, że Lindsay uniosła biodra, tak iż zagłębiał się coraz bardziej i bardziej. Tego było za wiele.

- Chodź, Eden. Chodź do mnie.

Odnalazł palcami jej wilgotne i napuchnięte wnętrza, i pomyślał, że umrze z rozkoszy. Pieścił ją gwałtownie, dyszała i jęczała w ciszy nocy. A on powtarzał i powtarzał bez końca:

- Chodź do mnie, kochanie. Tak, chodź. Daj mi to. Tak, chodź, chodź, chodź. Zaufaj mi, zaufaj.

Szczytowała dygocąc. Jej oczy zaszyły mgłą, stały się niewidzące.

- Taylor!

Wygięła plecy w łuk, rzucając biodrami do rytmu jego palców. Zapadał w nią głębiej i głębiej. Mięśnie Eden kurczyły się i Taylor wiedział, że jest gotowy. Usłyszawszy jej krzyki, odprężył się, uniósł i odrzucił głowę do tyłu, krzycząc, bo stało się coś, co sprawiło, że Eden wróciła do niego spragniona i oszalała z dzikiej żądzy. Ale nie miał zamiaru zastanawiać się nad tym. Nie teraz. Nie.

Kiedy ucichł, wyszeptała w jego usta.

- Mam na imię Lindsay, nie Lynn. Nienawidzę imienia Eden. Proszę, mam na imię Lindsay.

- Kocham cię, Lindsay - powiedział i mówiąc to, ofiarował jej całego siebie, bez reszty i na zawsze.

- A ja ciebie - powiedziała ochrypłym głosem.

Czuł w ustach jej gorący język. Polizowała górną wargę Taylora, jego język i brodę. Poczł, że znów pod nim tężeje.

- Chcę cię poczuć całą - powiedział i zsunął się z Lindsay.

ROZDZIAŁ 17

Taylor/Lindsay

Czuła to w sobie znowu; ową potrzebę, ową żądzę, owo pożerające wszystko chcenie, owo pragnienie tego mężczyzny. Orgazm ją zaskoczył, wprawił w zdumienie, pozostawił rozdygotaną i oszołomioną, a jednocześnie dziwnie rozluźnioną. Właściwie nie rozumiała, co się stało, ale czuła, że to się zaraz powtórzy. Szaleństwo znów w niej narastało. Nie zastanawiała się nad nim, poddawała mu się bez wahania. Usiadła i zaczęła zdzierać z siebie ubranie.

- Tak - powiedziała, skupiona na rozpinaniu stanika - chcę cię poczuć, Taylor, chcę o tobie wszystko wiedzieć, wszystko. Dotykać cię, twój brzuch jest taki piękny i twardy.

Taylor oddychał szybko. Słuchał jej. Pragnął jej znowu, równie dziko jak kilka minut wcześniej. Czuł pulsowanie krwi, skórę miał rozgrzaną i wrażliwą. Był teraz niewiarygodnie silny. Patrzył, jak Lindsay niezręcznie rozpina biustonosz. Roześmiał się i odsunął jej dłonie. Zamek znajdował się z przodu i Taylor błyskawicznie go otworzył. Odrzucił stanik i przyglądał się jej piersiom. Po prostu na nie patrzył. Poruszał ustami, bo pragnął je ssać i pieścić. Ujął obie w dłonie, wazył je, podtrzymywał, cieszył się nimi. Jęknął.

- Szybciej - sapnęła. - Pośpiesz się, Taylor. Wsunął się na nią. Rozsunęła nogi. Wpasował się pomiędzy nie. Jej biust przy jego piersi, brzuch przy brzuchu, długie nogi Lindsay wzdłuż jego. Zamknął oczy pod wpływem intensywności odczuć.

- Lindsay, tym razem chciałem to zrobić powoli i łagodnie.

- Nie - zaprotestowała.

Taylor uniósł się na łokciach i poczuł jej dłonie głaszczące go po brzuchu, a potem zamykające się na członku. Z zamkniętymi oczami począł się ocierać o jej delikatne dłonie. Oddychał coraz szybciej. Dyszał ochryple. Musiał się wycofać, bo jeszcze chwila, a miałby wytrysk.

- - Nie mogę przestać, kochanie. Dojdź ze mną. Teraz.

Wciągnął ją na siebie.

Stwierdził, że Lindsay go nie rozumie.

- Okracz mnie i włóż go w siebie. A potem możesz się ruszać, jak zechcesz.

Słuchała go z żarem w oczach. Taylor patrzył, jak przygląda się jego penisowi, a potem chwyta go i, nie przestając mu się przyglądać, przyklęka i umieszcza go sobie pomiędzy szeroko rozsuniętymi nogami. Poczuł gorąco jej wnętrza, kiedy wsunęła go do środka. Spodziewał się tego żaru, niewiarygodnie ciemnego, gładkiego i gościnnego. Poczuł wilgoć własnej spermy i wilgoć Lindsay. Poczuł, jak narasta w nim ciepło. Nie był się w stanie opanować. Chwytał biodra Lindsay i z całej siły nasadził ją na siebie.

Krzyknęła. Patrzył na jej podskakujące piersi, na odrzuconą do tyłu głowę, na rozchylone usta. Z gęstymi, pofalowanymi włosami wyglądała jak poganka. Jak kobieta nie myśląca o niczym innym,

tylko o jego poruszającym się penisie i rozkoszy, jaką jej dawał. Taylor unosił ją i opuszczał, pokazując, jak ma się na nim poruszać. A potem znieruchomiał. Uniósł dłoń. Uśmiechnął się do Lindsay, delikatnie odszukał lechtaczkę i lekko ją ścisnął.

- Taylor! - wrzasnęła i zaczęła go ujeżdżać.

Podskakiwała na nim, opierając płaskie dłonie o jego brzuch. Patrzyła, jak Taylor dochodzi, a potem poczuła własne narastające napięcie, coraz większe i większe, aż stało się nie do wytrzymania. Palce Taylora były szybkie i mocne, to znów powolne i delikatne. Lindsay krzyczała i wrzeszczała, huśtając się nad nim, szalona żądzą.

Szczytował przed nią, a potem zastygł nieruchomy, patrząc jak nadchodzi jej orgazm. Jak głębokie skurcze słabną, a nogi Lindsay zwalniają uścisk wokół jego bioder. Patrzyła w dół na swoje dłonie, płasko leżące na brzuchu Taylora. Chryste, pomyślał, przyglądając się jej. To było niewiarygodne, ta dzika, szaleńcza, nieopanowana namiętność. Ale on ją zaakceptuje tak samo, jak całą Lindsay.

Puścił jej biodra, na których pozostały ślady po palcach Taylora. Przeniósł dłonie na jej piersi. Zadrżała, a on się uśmiechnął.

- Bardzo mocno reagujesz - stwierdził i roześmiał się. - Jesteś cudowna, Lindsay. Daj mi swoje piersi. O, tak, odchyl się. Dobrze.

Ujął brodawkę ustami i Lindsay drgnęła, zachwycona i zdumiona nowym doznaniem. Nagle poczuła, że nie zniesie tego więcej. Ciało odmówiło jej posłuszeństwa.

Opadła na Taylora, okrywając go sobą, a on pieścił jej włosy, głaskał plecy, będąc wciąż głęboko w niej.

Za pierwszym razem była taka ciasna. Zupełnie jak dziewica. Nie, nie jak dziewica, jak kobieta, która nie uprawiała seksu od bardzo, bardzo dawna.

Miała dwa orgazmy. Chciało mu się krzyczeć i tańczyć z radości. Chciał jej dać więcej i więcej. Jeszcze tej nocy. Ułożył ją na wznak i wyszedł z niej. Jęknęła, zakrywając oczy ramieniem.

- Nie ruszaj się - powiedział.

Jęknęła jeszcze raz i zgięła nogi w kolanach.

Taylor przyniósł z łazienki zwilżony ciepłą wodą ręcznik i wytarł Lindsay, usuwając swoje nasienie. Wyobraził sobie, jak będą się kochać latem, pocąc się, dysząc i stapiając w jedno. Zadrżał na tę myśl. Spojrzał na rozciągniętą, leżącą na wznak Lindsay, na jej długie nogi, gładką skórę, pięknie ukształtowane szczupłe uda i jasne włosy porastające wzgórek łonowy. Była chuda, ale jemu się podobała. Widok jej wystających żeber sprawiał, że Taylor chciał w nią wejść jeszcze raz. I jej piersi. Pełniejsze niż się spodziewał. I okrągłe, z blad różowymi brodawkami. Pochylił się i chwycił brodawkę ustami.

- Proszę, Taylor. O, Boże!

Widząc jej wrażliwość, miał ochotę krzyczeć. Ujęła w dłonie jego głowę i wyszeptała:

- Na miłość boską, czemu to nie mija. Dlaczego, Taylor? Nie rozumiem, o, Boże, to jest wspaniałe. Niech się nigdy nie kończy.

Była uradowana swoim odkryciem, ale Taylor wiedział, że także jest zmęczona. Nie miał pojęcia, co zaszło w San Francisco. Cokolwiek to było, pchnęło ją w ramiona Taylora gwałtownie i bez reszty.

- Nie, kochanie. Przepraszam, ale jesteś taka piękna. Nie teraz.

Delikatnie odepchnął Lindsay, rzucił ręcznik na podłogę i przykrył obydwójce kołdrą. W kilka minut zasnęli, wtuleni w siebie, bliscy sobie i rozgrzani.

Taylor obudził się i zwalczył swoją żądzę. Musiał się zastanowić, bo był przekonany, że Lindsay rankiem nie będzie miała ochoty na rozmyślanie. Zareaguje strachem. Strachem mającym swe źródło w przeszłości. Zaczął sobie wyobrażać, jak Lindsay może się zachować. Po nocy, w której ciemnościach stała się namiętną nienasyconą kochanką. Na to wspomnienie Taylor aż się uśmiechnął. Ale uśmiech zbladł pod nagłym niepokojem. Musi sprawić, by Lindsay mu zaufała. Przynajmniej wyznała, jak brzmi jej prawdziwe imię. Ale to za mało. Wszystkie tajemnice i zagadki muszą zostać rozwiązane. Pokręcił głową. Ostatniej nocy Lindsay zupełnie wypadła z roli, jaką dla siebie stworzyła. Ale kiedy ją stworzyła? I dlaczego? Nie wiedział także, co sprawiło, że raptem go zapragnęła. A potem, nagle, przestało go to interesować. Ważne było tylko to, by mieć ją przy sobie, blisko, tu i teraz, teraz, teraz.

Czuł na piersi biust Lindsay, czuł jej nogę pomiędzy swoimi. Powoli i łagodnie ułożył ją na wznak i powoli wślizgnął się do jej wnętrza. Tym razem poczuł, jak tkanki Lindsay się rozciągają, by uczynić dla niego miejsce. Boże, jaka ona miękka. A niewiarygodne ciepło sprawiało, że miał ochotę zapadać się coraz głębiej. Poprzednio był tak podniecony, że nie czuł napięcia i śliskości pochwy obejmującej członek. Teraz zdawał sobie sprawę z wszystkich doznań. Zamknął Oczy i sycił się nią.

Wtedy się obudziła. Poczł, jak jej mięśnie spazmatycznie zacisnęły się wokół penisa. Nie miała pojęcia, nie mogła mieć, jaki to odniosło skutek. Wniknął w nią łagodnie, tym razem nie bardzo głęboko, ale wciąż czuł jej napinające się i kurczące mięśnie. Serce Taylora bilo coraz szybciej. Wiedział, że jeśli natychmiast się z niej nie wydobędzie, nic go nie powstrzyma. Wycofał się szybko, przyklęknął pomiędzy udami Lindsay i nachylił się nad jej łonem. Zbliżył do niego usta, wiedząc, że to jej sprawi przyjemność. W sypialni panował mrok, Lindsay była senna, pragnęła Taylora, była przy nim bezpieczna i wiedziała o tym.

Doszła wśród łagodnych dreszczy. A potem, ku zdumieniu Taylora, kiedy przygotowywał się do zwolnienia rytmu, do uspokojenia jej, szczytowała jeszcze raz. Taylor wyczuwał jej napinające się mięśnie, falowanie tkanek. Chwyciła go za włosy. Dyszał w nią gorącym oddechem, i wtedy doznała następnego orgazmu. Kiedy się uspokoiła, znów w nią wszedł, Ujeżdżał ją głęboko i w milczeniu, a potem miał wytrysk.

Nie myślał. Lindsay leżała przy nim, była jego częścią, czuł na szyi jej gorący oddech. Uśmiechnął się i spojrział na jej twarz. Zasnęła. On zaraz potem.

*

Obudził się gwałtownie. Usiadł zaniepokojony. Eden. Nie, nie Eden i nie Lynn. Lindsay. Nie było jej obok. Pomacał jej poduszkę. Wciąż ciepła. Boże, modlił się, by od niego nie uciekła. Przeklinał siebie za to, że nie obudził się, kiedy wstała, że nie poczuł jej nieobecności. Modlił się, żeby nie było zbyt późno.

Odrzucił kołdrę i nagi wybiegł z sypialni. Popędził długim korytarzem do drzwi wyjściowych i wpadł prosto na nią, omal jej nie przewracając. Była gotowa do wyjścia, ubrana w zimowy płaszcz, buty i rękawiczki. Przez ramię miała przewieszoną swoją wielką torbę.

Chwycił ją za rękę i zwrócił ku sobie.

Miała bladą twarz. A oczy pełne strachu, strachu i czegoś jeszcze. Było w nich coś gwałtownego i przerażającego.

- Cholera, dokąd się wybierasz? - krzyknął. Usiłowała się wyrwać, ale trzymał ją mocno.

- Nie znasz bon tonu kochanków? Reguła numer jeden, nie uciekać. Nie wolno zabawiać się w znikanie, kiedy się nie potrafi stawić czoła temu, co... czego pragniesz, Lindsay, i co robisz z

największym entuzjazmem, energią i namiętnością. Do diabła, nie wrywaj się. Nigdzie cię nie puszcę cię, więc nawet nie próbuj. Wracaj ze mną. Jestem goły, jest mi zimno, a ty jesteś moja. Wracajmy do łóżka. Nie walcz ze mną, do cholery.

Zaciągnął ją z powrotem do sypialni. Zapierała się, ale na nic się to nie zdało. Taylor był silny i zdeterminowany. Nie powiedziała ani słowa, nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Tylko ciężko dyszała. Kiedy się znaleźli w sypialni, Taylor posadził ją na łóżku, zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz. Klucz wrzucił pod łóżko. Potem zdjął torbę z ramienia Lindsay. Po raz pierwszy wykorzystał wobec niej całą swoją siłę. Rozebrał ją z płaszcza, zdjął rękawiczki i szalik. Pod spodem miała obszerny wełniany sweter i obcisłe dzinsy.

Usiadła na łóżku, ale on ją położył. Kopala i trafiła go w udo. Skrzywił się i zaklął, przypominając sobie, że Lindsay zna karate. Nie zastosowała jednak żadnego chwytu. Okładała Taylora pięściami, ale robiła to ostrożnie. Dobry znak, pomyślał, chwytając jej prawą nogę, którą uniósł do góry, tak że Lindsay upadła na wznak, gwałtownie wydychając powietrze, i ściągnął z niej botek. Tym samym sposobem zdjął drugi botek.

- No - powiedział i zabrał się do swetra. - Przynajmniej jakiś postęp.

Teraz broniła się metodycznie. Milcząc, wykręcała się, wiła i wrywała. Dzinsy okazały się oporniejsze, bo były cholernie obcisłe, ale w końcu zdjął i je, przenicowując na lewą stronę, pomimo zacieklego oporu dziewczyny. Zarobił przy tym kilka sińców, ale co tam. Zobaczył na jej udach ślady, które w nocy pozostawiły jego palce, przypomniał sobie jej pełne namiętnej gwałtowności ruchy, przypomniał sobie, jak go ujeżdżała, jak pozwalała, by unosił jej biodra wbijając palce w jej ciało, jak krzyczała, jęczała i wyginała się w łuk.

Majteczki i podkolanówki zostawił na miejscu. Nie włożyła biustonosza, miała na sobie tylko cienką wełnianą podkoszulkę. Taylor nie miał nastroju na subtelności. Po prostu ją rozdarł.

- No - powtórzył i okrył kołdrą siebie i Lindsay. Przytulił ją do siebie, sztywną i daleką. Doprowadzała go do wściekłości.

- Rozluźnij się! - ryknął. - Bądź ze mną, do cholery! - Przyciskał do siebie jej biodra, tulił do swego brzucha, do twardego penisa. - Jestem twój, do diabła. Moje ciało należy do ciebie. Nie pozwolę ci, byś posługiwała się mną tylko po to, żeby leczyć Bóg wie jakie urazy z przeszłości. Nie pozwolę, żebyś po czterech orgazmach, które ci dałem, uciekła ode mnie, jakby nic się nie stało. Słyszysz mnie, przekłeta dziewucho?

- Wrzeszczysz. Jasne, że cię słyszę. I nie musisz mnie lżyć.

- Boże, nareszcie przemówiłaś. Nie, ja cię nie lżę, po prostu używam epitetów odpowiednio wyrażających moje emocje. Przestań się wrywać, bo i tak cię nie wypuszczę. Lubię czuć twój brzuch przy moim; po prostu przywyknij do tego. Cały jestem posiniaczony. Walczysz nieuczciwie, Lindsay. A te twoje długie nożyska sięgają tam, gdzie nie trzeba. Ale ja przeżyłem podłejsze traktowanie, więc nie wyobrażaj sobie, że ze mną wygrasz. Połóż mi głowę na ramieniu i odpręż się wreszcie. Zrób, co ci mówię, do cholery! O, tak. Już lepiej.

Czuł, jak Lindsay wstrzymuje oddech, czuł jej strach i niepewność. Strach przed nim? Nie, prawdopodobnie bardziej się bała samej siebie. I przeszłości, która zaważyła na całym jej postępowaniu. Jej oddech uspokajał się. Taylor głaskał ją, dopóki się nie rozluźniła.

- Teraz, kiedy znów jesteś na swoim miejscu, chcę ci coś powiedzieć.

Milczała. Wreszcie spytała:

- Co?

Teraz milczał Taylor.

- Co mi chcesz powiedzieć?

Ucałował ją w czubek głowy i mocniej objął.

- Jesteś najlepsza w łóżku z wszystkich kobiet, jakie kiedykolwiek miałem.

Zesztywniała, a on nadal ją obejmował. Do diabła, to była prawda, a trochę nieupiększonej prawdy dobrze jej robi.

- A poza tym - ciągnął po chwili milczenia - to prawdziwa ulga, że ty i ja jesteśmy tak dobrze dopasowani, bo spędzimy razem najbliższe pięćdziesiąt lat. Zgadzasz się ze mną?

- Sama nie wiem.

- Wiesz, wiesz. Dobrze ci było w nocy. Na Boga, kobieto, miałaś cztery orgazmy!

- Nie, nie, Taylor. Nie mów tak, proszę. Nic z tego nie rozumiem. Nie wiem co i dlaczego. Ostatniej nocy... przez całą noc... Było pięć.

Dobry początek, pomyślał.

- Dobrze, pięć. Wolałbym pół tuzina. I wiesz, co? Podoba mi się twoje prawdziwe imię. Kiedy myślałem, że nazywasz się Lynn, byłem to gotów zaakceptować, bo chodziło o ciebie. Ale muszę przyznać, że Lindsay odpowiada mi o wiele bardziej. Tak, lubię cię, jako Lindsay. - Milczała, więc ciągnął dalej. - Czekam w napięciu, żebyś mi powiedziała, jak masz na nazwisko. Myślę, że ze względu na nazwisko nie otrzymujesz korespondencji. I że z jego powodu podpisałaś dokument wynajmu mieszkania, zasłaniając podpis lewą dłonią. Nieważne. Powiesz mi, kiedy zechcesz, a ja nie będę próbował dowiedzieć się na własną rękę. Co nie byłoby dla mnie trudne, bo jak wiesz jestem byłym policjantem. Mogłbym się dowiedzieć w trzy minuty, a może jeszcze szybciej. Mogłem się dowiedzieć dwa miesiące temu. Ale nie zrobiłem tego. To prawdziwa próba mojego poszanowania prywatności.

Poruszyła się, ale nie usiłowała się wyrwać. Tylko jej ciało poddało się niespokojnym myślom. W końcu odezwała się:

- Miałam ci zamiar powiedzieć, jak mam na nazwisko. Tylko że jakoś nigdy nie było na to odpowiedniej chwili. A ja się bałam, że kiedy je poznasz, znieawidzisz mnie i...

Potrzebował czasu, żeby uporządkować to, co usłyszał.

- Tak, wykorzystałem chwilę słabości. - Co ona miała na myśli, że ją znieawidzi, kiedy pozna jej nazwisko? Nieślubna latorośl Jackie Kennedy Onassis? Taylor nie znosił nierozwiązanych zagadek. Prosiły się o rozwiązanie, a on przepadał za podążaniem po nitce do kłębka. Żałował, że przyrzekł Lindsay nie dowiadywać się na własną rękę. Przeklęta lojalność.

- Nie chciałam, żebyś się kochał z Eden. Ona nie jest rzeczywista, nie jest prawdziwa, to tylko chimera, ktoś fałszywy. Nie mogłam tego znieść.

Przytulił ją mocniej.

- Powiedziałaś mi w porę. Wiedziałem, kim jesteś, prawdziwą Lindsay. Bardzo rzeczywistą i bardzo moją. - Głaskał ją po plecach. - Posiniaczyłem ci biodra. Wyraźnie znać na nich odciski moich palców. Zauważyłaś?

Poczuł, że skinęła głową.

- Nie zabezpieczyłem się. Przepraszam. Kiedy cię zobaczyłem, zrozumiałem, że mnie pragniesz, dostrzegłem całe to pożądanie. Zapomniałem. Mogłaś zajść w ciążę.

Zamilkł, wsłuchiwał się w jej reakcję, i miał nadzieję. Ku najwyższemu zdumieniu Taylora nie odsunęła się od niego. Milczała jak głaz, ale on do tego przywykł.

Lindsay przypomniała sobie pielęgniarkę na pogotowiu i pigułki, które od niej dostała, żeby zapobiec ciąży. Żeby zapobiec urodzeniu dziecka księcia. Zamknęła oczy, pragnąc, by wspomnienie odeszło. A teraz znów to samo, tylko że teraz była chętna. Dziecko Taylora. Zmroziło ją to i oszołomiło.

Taylor czekał.

- Znowu mam wzwód. Chyba to czujesz. Chcesz, żebym wszedł w ciebie, rano, przy świetle, tak, żebym na ciebie patrzył?

Zadrżała, słysząc jego słowa, a Taylor zatriumfował.

Spojrzał na jej ukochaną twarz. Ani śladu makijażu, a jednak wyglądała pięknie. Rozpuszczone luźno włosy układały się w dzikie fale okalające twarz i przykrywające ramiona. Oczy o barwie ciemnego błękitu lśniły pożądaniem. Pocałował ją i poczuł, że się od niego odsunęła, ale po chwili przywarła do niego piersiami. Pogłębił pocałunek, dotykając językiem dolnej wargi Lindsay i zachęcając ją do rozchylenia ust. Uczyniła to, ale tylko na chwilę.

Nagle cofnęła się i opadła na łóżko z dala od Taylora.

Przeturlała się i sięgnęła po kołdrę, ale spadła bez niej na podłogę. Taylor roześmiał się.

- Nie powinnaś się ode mnie odsuwać. Wystarczy mi powiedzieć, czego nie lubisz, a ja nie będę się narzucał. Jestem dobrym człowiekiem.

Lindsay usiadła na dywanie. Dyszała, jej źrenice były rozszerzone. Zaciśnięte pięści oparła na udach. Wyglądała na upokorzoną.

Tylko nie to, wszystko, tylko nie to, pomyślał Taylor.

- Chodź do mnie, kochanie. Nie masz ochoty na seks? Nie ma sprawy. Otrzymałaś niezłą dawkę w ciągu nocy.

Wyciągnął do niej rękę. Lindsay przyglądała się jej. Dłoń Taylora była duża, porośnięta z wierzchu ciemnymi włoskami. Palce miał długie, a paznokcie krótko obcięte i wypukłe. Piękna męska dłoń. Mężczyzna potrafi bić taką dłonią, tak jak książkę. Załkała głośno i odczołgała się dalej od Taylora. A potem wstała i pobiegła do łazienki.

- Cholera - zaklął.

Miał doskonały widok na drzwi łazienki, więc nie obawiał się, że mu umknie. A zresztą klucz od sypialni spoczywał pod łóżkiem. Taylor przykrył się, ułożył głowę na poduszce i czekał. A potem zaczął mówić, co mu ślina na język przyniosła.

- Mam nadzieję, że mnie słyszysz, Lindsay. Wspominałem, że moja mama była śpiewaczką operową? Miała zupełnie niezły sopran. Śpiewała z Beverly Sills, Carlo Panchi i innymi sławami. Używała scenicznego pseudonimu Isabella Gilliam. Słyszałaś o niej? Umarła na początku lat osiemdziesiątych. Mój tata też. W wypadku samolotowym w Arizonie. Tata był z niej bardzo dumny. Wiesz, co? Nienawidził opery. Ale nigdy nie powiedział tego mamie. Zawsze, kiedy ich widziałem, zastanawiałem się, czy mama wie, jak trudno mu było usiedzieć na widowni. Zastanawiałem się, czy mama przypadkiem nie udaje, że o tym nie wie. Rozumiesz, o co mi chodzi? Co o tym myślisz?

Cisza. A potem szmer prysznic.

Cóż, na razie dosyć rozmowy. Taylor wstał, włożył gruby szlafrok *frotte* i poszedł do kuchni. Nie mógł więzić Lindsay w sypialni, więc zostawił drzwi otwarte na oścież i wsunął klucz do kieszeni szlafroka. Zaparzył kawę. Wyjął z lodówki kilka rogalików i włożył je do piekarnika. Pogwizdywał, spoglądając na drzwi.

Kiedy pojawiła się w kuchni, siedział przy stole i pił trzecią filiżankę kawy.

Miała wysuszone włosy i była całkowicie ubrana, w strój nie odsłaniający ani kawałeczka ciała. Prawdę powiedziawszy, była tak dobrze okutana, że sprawiała wrażenie grubszej niż w rzeczywistości. Zbroja, pomyślał Taylor.

- Kawy?

Skinęła głową i usiadła.

- Rogalik z bezcukrowym dżemem truskawkowym?

- Nie, dziękuję, Taylor.

Przechodząc obok niej, poczuł zapach mydła i czystości i zdał sobie sprawę, że w przeciwieństwie do niej, czuć go seksem. Otaczała go gęsta woń piżma.

Podał kawę i wznosił toast swoją filiżanką, ale Lindsay zlekceważyła jego gest. Ze zwieszoną głową skubała rogalik.

- Powiesz mi coś, Lindsay? Cisza.

- Powiesz mi, dokąd miałaś zamiar pójść dzisiaj rano? Mieszkasz tutaj, twoje poprzednie mieszkanie zostało wynajęte. Dokąd byś poszła, Lindsay?

Spojrzała na niego, a on poznał po jej oczach, że nie ma najmniejszego pojęcia. Myślała tylko o tym, żeby przed nim uciec.

Nie był zadowolony.

- Dokąd, Lindsay?

- Poszłabym do mieszkania Gayle.

- Nie. Nie poszłabyś. W każdym razie nie od razu. Wpadłaś na to później. Nie okłamuj mnie, do cholery.

Rzuciła w niego rogalikiem. Ponieważ rogalik był bez masła, zostawił na brodzie Taylora tylko kilka okruchów.

- Lepszy rogalik niż lewy sierpowy - powiedział i otarł brodę.

- Chciałabym odejść teraz, Taylor.

- Nie. Nie, dopóki nie wyjaśnimy sobie kilku spraw. To nieuczciwe w stosunku do mnie, Lindsay.

Spojrzała na niego. Zobaczyła jego rozczochrane ciemne włosy, ciemny zarost, uważne spojrzenie i coś jeszcze. Dostrzegła w jego oczach troskę o nią. Szczerą troskę.

- Myślę, że masz rację. - Tak.

- Jestem milionerką, Taylor. Multimilionerką. Przechylił głowę na bok.

- Babcia pominęła w testamencie mego ojca i moją starszą przyrodną siostrę. Odziedziczyłam rezydencję i większość jej majątku. Jestem także jedyną spadkobierczynią matki. Babcia zapisała każdemu z członków rodziny po milionie dolarów, ale oni uznali to za marny ochłap i najchętniej by mnie zabili. - Wzruszyła ramionami. - To było okropne.

- Chodź do mnie, Lindsay.

Podeszła. Posadził ją sobie na kolanach i mocno przytulił. Nie płakała. Łzy były zbyt głęboko ukryte. Nawet przed Taylorem.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Ojciec mnie nie lubi. Nigdy mnie nie lubił. Wiem o tym od bardzo dawna. Kiedy adwokat odczytał testament babci i ojciec zorientował się, co ona zrobiła, całą złość przelał na mnie. Jego żona, Holly, wrzeszczała i płakała, a ojciec był jak zawsze zimny, bezlitosny i okrutny. Dziwne, ale moja przyrodnia siostra nie przyłączyła się do nich. A jest bardzo dobra w te klocki. Sama nie wiem. A potem ten adwokat, nazywa się Grayson Delmartin, powiedział mi o testamencie mojej matki. Mam

fundusz powierniczy, głównie w postaci akcji, który uzupełni moje wpływy. Nie wiem, co robić.

- Myślisz, że ojciec zakwestionuje testament?

- Był wściekły, powiedział, że się mnie wyrzeka. Ale nie będzie się przy tym upierał, bo pan Delmartin ostrzegł go, że jeśli to uczyni, nie będzie miał moralnego ani legalnego prawa do mego majątku, w razie gdybym umarła przed nim.

- Czarujący tatuś, Lindsay.

- Dlaczego on mnie tak nienawidzi, Taylor?

- Może dojdę do jakichś wniosków, jeśli opowiesz mi więcej.

- Zawsze dawał wszystko mojej przyrodniej siostrze, Sydney. Jest ode mnie o dziewięć lat starsza i zawsze była doskonała - piękna, zadziwiająco inteligentna. Ukończyła prawo na Harvardzie i wyszła za mąż za włoskiego księcia. Teraz jest, oczywiście, w Stanach i...

Taylor czekał. Do licha, wreszcie przemówiła, ale znów się przed nim zamknęła.

- Jak myślisz, dlaczego babcia pozostawiła ci majątek?

- Nie wiem. Zawsze była niesłychanie dumna z Sydney. Może uznała, że jej syn, mój ojciec, okazał się inny, niż się spodziewała? Nie wiem. Ojciec i jego żona, Holly, mieszkają w rezydencji od dwóch czy trzech lat. - Przerwała na chwilę, przyglądając się luksusowemu ekspresowi do kawy, który Taylor wniósł do ich gospodarstwa. - Przypuszczam, że babcia chciała uzbroić mnie przeciwko ojcu i Sydney. Chciała, żebym się stała silna, a pieniądze stanowiły jedyny sposób, jaki знаła. Ale ja doszłam do wniosku, że istnieje inny rodzaj siły, który nie ma nic wspólnego z pieniędzmi.

Taylor przytulił ją jeszcze mocniej, czekał, ale ona nie powiedziała nic więcej.

- Jak brzmi twoje nazwisko, Lindsay? Masz zostać moją żoną. Chcę poznać panieńskie nazwisko mojej przyszłej żony.

Otworzyła usta, słowa zawisły w powietrzu. Moc. O, tak, miała moc. Ale Paryż i to, co jej zrobił książę... Oczy zaszły jej łzami, pokręciła głową.

- Nie mogę, Taylor. To takie okropne, uwierz mi. Zbyt okropne. Proszę, daj mi więcej czasu.

- Jesteś bardzo, bardzo, bardzo bogata?

- Tak. Bardzo, bardzo.

- I co masz zamiar z tym zrobić?

- Nie wiem.

- Czy dlatego ucieszyłaś się na mój widok na lotnisku?

Wycofała się, ale niecałkowicie. Czekał.

- Co się stało, Lindsay? Dlaczego tak się na mnie rzuciłaś?

Zastanawiał się, czy Lindsay sama to rozumie.

- Niechęć okazana przez ojca? Zrozumienie, że nie chcesz, aby nad tobą dominował? Uwolnienie się? - Jezu, pomyślał, ależ głupio gadam. Nie jest przecież psychologiem i nie powinien zabawiać się słowami. Wiedział, że to ona jest tą dziewczyną, o której mówił profesor Gruska. Całe to trucie o ojcu. Ale uwiedzenie? Sam nie wiedział. I bał się spekulować.

- Możliwe. Myślałam o tobie i tylko o tobie. Skupiłam na tobie wszystkie moje myśli, bo nie chciałam, żeby okropne sceny rodzinne zupełnie mnie zniszczyły. Pragnęłam cię, jeszcze zanim cię zobaczyłam. Mogłam myśleć tylko o tobie. A kiedy cię zobaczyłam, stojącego pod filarem, wyglądającego normalnie i rozsądnie... Takiego ciepłego. I chciałeś mnie. I mnie nie nienawidziłeś. Myślę. Sama nie wiem.

- Lindsay? - Tak?

- Nie odchodź ode mnie? Nie uciekaj przede mną. Niezależnie od kłopotów i niepokojów, nie zostawiaj mnie. Porozmawiaj ze mną. Po prostu usiądź i popatrz na mnie. Odwróć się do mnie plecami. Ale nie uciekaj. Kocham cię i razem poradzimy sobie ze wszystkimi problemami. Spróbuj w to uwierzyć.

Cisza.

- Możesz mi kupić hot doga, żeby uczcić twoje nagłe bogactwo.

Poruszyła się w jego objęciach. Spojrzała na niego w milczeniu, a potem się uśmiechnęła.

- Dobrze, nie będę przed tobą uciekać. Pora z tym skończyć, prawda? Nie jestem już głupim dzieckiem. Ostatnio ciągle to sobie powtarzam. Nie jestem dzieckiem, które pozwoli sobą pomiatać i ranić się okrutnymi słowami. Jestem dorosła, a dorośli powinni spokojnie myśleć i umieć nad sobą panować.

- Amen - powiedział, nie bardzo wiedząc, co miała na myśli.

Ale jeszcze tego sobotniego popołudnia, kiedy wrócili po joggingu, Taylor miał się dowiedzieć, że życie stale niesie nowe, dziwne i przewrotne wydarzenia.

ROZDZIAŁ 18

Taylor brał prysznic jako pierwszy. Wygrał to z Lindsay w orła i reszkę. Druga łazienka w owym wspaniałym starym mieszkaniu szczyła się staroświecką wanną na lwich łapach.

Taylor pogwizdywał zadowolony. Czuł się bardzo szczęśliwy. Niestety, nie odziedziczył głosu po matce, ale kto by się tym przejmował? Namydlił się i po raz pierwszy z nadzieją pomyślał o przyszłości. Lindsay była jego narzeczoną, otworzyła się przed nim i oddała mu swoje ciało. W łóżku okazała się doskonała i to była największa niespodzianka.

Prawdę powiedziawszy, Taylor wątpił, by ich życie seksualne było w przyszłości równie udane. Wyobrażał sobie przerażoną Lindsay, drżącą ze strachu pod jego dotykiem, leżącą sztywno, znoszącą go cierpiętniczo. Na taką myśl stygła mu krew. Ale minionej nocy...

Wciąż pogwizdując, wyszedł z sypialni ubrany w obcisłe dżinsy i ciemnoniebieski golf. Szedł w stronę salonu, bo usłyszał dochodzący stamtąd kobiecy głos. Pomyślał, że to prawdopodobnie Gayle Werth.

Już miał wejść do pokoju, kiedy stwierdził, że to nie Gayle, lecz zapierająca dech w piersiach kobieta ubrana w kostium z czarnej skóry, doskonale podkreślający jej kształty. Stała naprzeciw Lindsay, która siedziała, wyglądając jak nieposłuszna uczennica karcona przez nauczycielkę. Taylor nie potrafił się opanować. Przystanął i zaczął podsłuchiwać.

- O, tak, Lindsay - mówiła kobieta słodkim głosem, który zważył mu krew w żyłach. - Ojciec wciąż jest na ciebie wściekły. Uważa, że jesteś małą złośliwą zdiurą.

Słyszałaś na własne uszy. Uważam, że powinnaś przemyśleć jego opinię, co do twoich powinności wobec niego. Zastanowić się, czy nie oddać mu twego dziedzictwa. Pieniądze należą się jemu, i ty o tym dobrze wiesz. On nie wierzy, że jesteś to w stanie zrozumieć, dlatego mówię ci to w jego imieniu. Powiedziałałam mu, że pójdziesz po rozum do głowy, jeśli ci się da czas do namysłu. Powiedziałałam mu też, że śmierć babci wytrąciła cię z równowagi. I śmierć matki, oczywiście. Powiedziałałam mu, żeby cię pochopnie nie osądzał, Lindsay. Nie jesteś głupia. To także mu powiedziałam. Nie jesteś samolubna ani chciwa. Postąpisz jak należy.

Przez chwilę panowało milczenie. Taylor wiedział, że powinien wejść do pokoju, wiedział, że powinien położyć kres tej scenie. A potem usłyszał Lindsay. Mówiła z nutką zdziwienia w głosie:

- Ale ty niewiele wtedy powiedziałaś, Sydney. Coś o cichej wodzie, która rwie brzegi. A teraz przychodzisz tu jako wysłannik ojca. Jako jego adwokat.

- Tak. Powiem więcej. Jestem tu jako jego córka i twoja siostra. Jestem tu, aby skruszyć lody i wprowadzić zgodę. Przemówić ci do rozumu. Wiesz, jaki dumny jest ojciec. Trudno mu się ugiąć, zmienić przekonania. - Zamilkła na chwilę i roześmiała się. - Szkoda, że nie zostałam trochę dłużej. Po odwiezieniu cię na lotnisko Delmartin zadzwonił do nas i powiedział, że Holly nie prawa niczego tknąć w domu. Głupia suka wyła z wściekłości. Bardzo zabawne. Z radością patrzyłam, jak schłała

się do całkowitego ogłupienia. Ojciec zastanawia się, jak się jej pozbyć. Jest mu kulą u nogi. Nie można na nią liczyć w sytuacjach towarzyskich, bo się upija. I to sadło, którym obrosła - wygląda jak tucznik. Ale nasz ojciec, Lindsay, to coś zupełnie innego. To są jego pieniądze i musi je odzyskać. Jak już powiedziałam, nie wierzy, że okażesz rozsądek. A ja mu na to, że znam cię lepiej. W przeciwieństwie do babci, kochasz go i nie chcesz go zranić.

- Chcesz, żebym przepisała mój spadek na niego?

- Och, możesz dla siebie coś zachować, ale większość należy się ojcu. Nie uważasz? Był pierwszy w kolejce. Co więcej, masz jeszcze pieniądze matki. Ile to? Chyba z pięć milionów?

- I zachowam milion po babci?

- Czemu nie? Ciebie to nie znieważa, tylko ojca.

- Jeśli to zrobię, ojciec przestanie mnie uważać za samolubną zdzirę?

- Pomówię z nim. Postaram się, żeby zrozumiał.

- Naprawdę myślisz, że mogę sobie kupić jego miłość za pieniądze babci?

- Nie bądź głupia, Lindsay. On ciebie kocha. Tylko, że znenawidził twoją matkę i to się przeniosło na ciebie. Ale teraz na pewno ujrzy cię w innym świetle.

- Trudno mi sobie wyobrazić, że mógłby mnie inaczej traktować.

- Tak będzie. Obiecuję ci to. Podpiszesz dokumenty? Przyniosłam je z sobą.

- Nie należy uszanować woli babci? Nie wydaje ci się, że babcia miała prawo postąpić tak, jak miała ochotę? To były jej pieniądze, nie ojca.

- Ojciec jest... był jej jedynym synem. Pieniądze babci są jego. Przez prawo krwi. Tylko tak jest etycznie i sprawiedliwie. Tu są papiery. Wszystko jest bardzo jasno sformułowane. Osobiście pracowałam z adwokatem, więc bez trudu je zrozumiesz. Podpiszesz je teraz, Lindsay?

Taylor miał ochotę wpaść do pokoju, ale się zmytygował. To była sprawa Lindsay, jej decyzja, jej problem. Sprawiała wrażenie całkowicie spokojnej i to go trochę niepokoiło. Czekał z zapartym tchem.

- Chyba nie, Sydney - powiedziała tym samym, bardzo spokojnym głosem.

- Posłuchaj mnie, Lindsay. Nie będę... - Nie dokończyła. Odwróciła głowę i zobaczyła wspaniałego mężczyznę stojącego w drzwiach salonu. Nie widziała go nigdy przedtem. Poznała, że wyszedł spod prysznic. Był silny, szczupły i pięknie zbudowany, dokładnie taki, jak lubiła. Ciemnowłosa i dziki. Wstrząśnięta, zdała sobie sprawę, że on tu mieszka, mieszka z jej siostrą. Zdumiała się, poczuła się tak, jakby trafiła pod zły adres. Nie mogła się z tym pogodzić. To musi być jakaś pomyłka. Ten człowiek musi być elektrykiem albo kimś w tym rodzaju. Lindsay nie dopuściłaby do siebie mężczyzny, nie takiego jak ten. Ten był niebezpieczny. Potrafi wziąć, co zechce. Jezu, ten facet rozetrze Lindsay na pył.

I wtedy Sydney zauważyła lśniący brylant na palcu Lindsay. Pierścionek zaręczynowy. Niewiarygodnie piękny pierścionek zaręczynowy. Nie do wiary! To musi być pomyłka.

- Mój Boże! Lindsay! Kto to jest?

Lindsay spojrzała na Taylora, który uśmiechał się do niej, spoglądając pytająco na Sydney. Lindsay usiłowała odpowiedzieć mu uśmiechem. Starła się poruszyć mięśnie twarzy. Udało jej się tylko odrobinę. Chciała utrzymać Taylora z dala od Sydney. Ale skoro siostra zjawiła się w ich mieszkaniu, wiedziała, że to niemożliwe. No i dobrze.

- To mój narzeczony - powiedziała cicho. - S. C. Taylor. Taylor, to moja przyrodnia siostra, księżna Sydney di Contini.

- Taylor - powtórzyła Sydney, patrząc na mężczyznę. Pokręciła głową i powiedziała: - Naprawdę jest pan zaręczony z Lindsay? Nie, to jakiś żart, prawda? Co pan tu robi? Naprawia pan ogrzewanie? Jest pan gejem? Dlatego Lindsay wpuściła pana do domu?

Lindsay słyszała w głosie Sydney absolutne niedowierzenie. Nazwała go oszustem. Tego było zbyt wiele. Co on teraz robi? Spoglądała to na siostrę, to na Taylora. Sydney patrzyła na Taylora i wyglądała tak pięknie, że nie oparłby się jej żaden mężczyzna na świecie. Lindsay poczuła zazdrość. Poczuła się brzydka i skrzywdzona. Czy to naprawdę niemożliwe, by miała narzeczonego? Nie, niemożliwe.

Sydney wyciągnęła rękę do Taylora, pochyliła się do przodu. A Taylor, ku zdumieniu Lindsay, spojrzał na tę zjawiskową piękność i skinął lekko głową.

- Przyrodnia siostra Lindsay? Miło mi poznać, madame.

- Madame? Cóż za okropny sposób zwracania się do mnie. Jakbym była jakąś starą torbą albo czymś równie niepociągającym.

Taylor spokojnie kontynuował oględziny.

- Gdzie się poznaliście? I dlaczego nic mi o nim nie powiedziałaś, Lindsay? Na miłość boską, widzieliśmy się wczoraj wieczorem!

- Może zechce pani usiąść? - zapytał Taylor niedbale. - A skoro jest pani przyrodnią siostrą Lindsay, chyba należy się pani informacja, że poznaliśmy się kilka miesięcy temu, kiedy zostałem wynajęty, żeby ją ochraniać. Teraz ochraniam ją za darmo.

- Jest pan kimś w rodzaju goryla? Cóż, powinnam się była domyślić. Wystarczy na pana spojrzeć. Zaręczyliście się, kiedy dowiedział się pan, że stała się taka bogata? Zeszłej nocy?

- Nie, Sydney. To nie stało się zeszłej nocy. Taylor wciąż się uśmiechał i Sydney zorientowała się, że się pomyliła.

- Sporo o pani słyszałem, Sydney - powiedział łagodnym tonem, jakby nie zasługiwała na to, by na nią krzyżeć. - Widzę, że jest pani doskonałością w swoim stylu. Zadaje pani ciosy na oślep. Interesujący sposób na życie. Ale ja bym go nie stosował. Takie razy na prawo i lewo muszą nieźle obezwładniać nieprzyjaciela.

- Jest pan głupi - powiedziała Sydney, ale Lindsay zauważyła, że siostra jest podenerwowana. Skąd Taylor wiedział o Sydney? Nigdy nie wspomniała o niej ani słowem. A jednak bezbłędnie rozpoznał, z kim ma do czynienia.

- Lindsay nie miała pierścionka podczas pobytu w San Francisco - ciągnęła Sydney. - Skoro byliście już wtedy zaręczeni, dlaczego Lindsay nie miała pierścionka?

- Zdjęłam go - wyjaśniła Lindsay - bo wolałam uniknąć pytań. Spotkaliśmy się, żeby celebrować pogrzeby, a nie zaręczyny.

Taylor żałował, że nie miała wtedy na palcu pierścionka. Widocznie była zbyt przerażona, by stawić czoło atakom rodziny. Zastanawiał się, ile potrzeba czasu, by sytuacja uległa zmianie.

- Powiedziałaś Taylorowi, jak bardzo jesteś teraz bogata?

- Posłuchaj, Sydney. Jestem zmęczona i spocona. Odłóżmy tę rozmowę na później. Wyobrażam sobie, że masz mnóstwo spraw do załatwienia. Kiedy wracasz do Mediolanu? Kiedy ojciec skontaktuje się z tobą?

Sydney nie odpowiedziała. Marszcząc czoło, przyglądała się Taylorowi.

- Powiedział pan, że ochrania Lindsay?

- To prawda.

- Jest pan prywatnym detektywem?
- Między innymi.
- Mój Boże, pan jest Taylorem Valerie!

Taylor poczuł się tak, jakby mu przywaliła w żołądek. Czemu ta przeklęta baba nie stuli pyska? Czemu nie wstanie i nie wyjdzie?

- Zna pani Valerie Balack? - zapytał obojętnym tonem. - Nie dziwi mnie to. Jesteście do siebie podobne. Spotykałem się z Valerie przez jakiś czas. Nie łączyło nas nic więcej.

Ale Sydney nie spuszczała z niego oka i Taylor wiedział, że przyjaciółki zwierzały się sobie i on był jednym z tematów tych zwierzeń. Rozmawiały o tym, jaki jest w łóżku?

Sydney spojrzała na Lindsay, która stała teraz u boku Taylora. Sztywna jakby połknęła kij.

- Może powinnam przedstawić Lindsay Valerie?

- powiedziała Sydney z uśmiechem, który rozsierdził Taylora. - Mogłyby się podzielić wrażeniami. Kobiety przepadają za czymś takim. Valerie zawsze podziwiała pańską wytrzymałość oraz zdolność do... Nieważne. Co o tym sądzisz, Lindsay?

Lindsay postąpiła krok naprzód i Taylor zastanawiał się, co odpowie siostrze.

- Jestem bardzo zmęczona, Sydney - powtórzyła.

- Chciałabym wziąć prysznic. Jesteś tu tylko po to, żeby mnie namówić do podpisania dokumentów? Jeżeli chcesz, zostaw papiery, przeczytam je i pomyślę nad tym. Możesz już wyjść?

- Czuć cię potem, Lindsay, i z tymi pozlepianymi włosami rzeczywiście wyglądasz na wykończoną. Ale, moja droga, z twoim narzeczonym i jego znajomością z Valerie...

- To, co Taylor robił i z kim to robił, zanim mnie poznał, to wyłącznie jego sprawa. Dla mnie bez znaczenia. Przyjmij to do wiadomości, Sydney. Masz jeszcze coś do powiedzenia? Zostawisz mi te papiery?

Sydney spojrzała na Taylora, a potem pokręciła głową.

- Nie, dziś nie zostawię papierów. Zatelefonuję i spotkamy się w cztery oczy.

- Dobrze. Do widzenia.

- Rany, ale ci przybyło pewności siebie, odkąd masz tego faceta. Muszę przyznać, że W San Francisco też wykazałaś się pewną odwagą. Zaskoczyłaś mnie. Ojciec był dotknięty. Wszystko z powodu tego osiłka? Dlatego chcesz się za niego wydać, Lindsay? Żeby cię chronił, kiedy sama sobie nie radzisz?

Taylor wstał powoli. Nawet się uśmiechnął.

- Znów strzela pani na oślep. Tym razem same pudła. Może zechce pani już wyjść, księżno? Jesteśmy zmęczeni. Odprowadzę panią do drzwi.

Sydney miała tirumfującą minę, a Lindsay żalowała, że Taylor wstał i w ogóle się odezwał. Tym razem poradziłaby sobie sama. A w każdym razie przynajmniej by spróbowała. Nie dała się zniszczyć siostrze, pomimo jej strzałów. Nie zachowywała się jak ofiara. Ciekawe, kiedy opuści ją owo wieczne poczucie niższości wobec Sydney? Kiedy będzie mogła przeciwstawić się siostrze i nie przejmować się jej słowami? Patrzyła, jak Taylor odprowadza Sydney do drzwi. Słyszała szpilki siostry stukające o marmurową posadzkę w holu. Wyobrażała sobie, jak Sydney uśmiecha się do Taylora, posyła mu spojrzenie, które zniewoliłoby większość mężczyzn. Ale nie Taylora.

Usłyszała śmiech Sydney.

- Piękne mieszkanie, Taylor - powiedziała. - Pozwoli pan, żeby Lindsay w całości je opłacała? I ten brylant! Musiał się pan nieźle wykosztować! Valerie wspominała mi, że nie trafiło na biednego -

nie na nasze standardy, oczywiście. A teraz związał się pan z moją młodszą siostrzyczką. Moją bardzo bogatą młodszą siostrzyczką. Dopuszcila już pana do swego łóżka?

Lindsay zamknęła oczy i czekała. Usłyszała, jak Taylor swobodnie jej odpowiada:

- Do widzenia, Sydney. Miło było panią poznać. Członkowie rodziny to nie lada gratka. Ale powinna pani uważać. Pani strategia szybko wietrzeje.

Stuknęły drzwi. Sydney wreszcie wyszła.

Lindsay opadła na fotel, z którego wstał Taylor. Oparła dłonie na kolanach i wpatrzyła się w niewiarygodnie piękny brylant na palcu. Spojrzała na lśniące klepki dębowego parkietu. Dojrzała pyłek kurzu. Zmarszczyła brwi.

- Ciekawe, że twoja przyrodnia siostra zna Valerie Balack. Są do siebie uderzająco podobne, obracają się w tych samych kręgach towarzyskich. Obydwie są piękne, pewne siebie, sprytnie i bogate. Obydwie są bezlitosne i przekonane, że cały świat istnieje wyłącznie dla ich przyjemności. Przykro mi to mówić, Lindsay, ale twoja przyrodnia siostra nie stanie się moją ulubienicą. Czy ojciec jest jeszcze gorszy? Chodź i przytul mnie. Twoja siostra mnie udręczyła. Jestem roztrzęsiony. Potrzebuję pocieszenia. Chcę czuć, że jesteś moja i zaopiekujesz się mną.

Spojrzała na niego, marszcząc czoło.

- Pocieszenia - powtórzyła, a potem wstała i podeszła do Taylora.

- Boże, kochanie, tak bardzo cię potrzebuję.

- Już wszystko dobrze, Taylor - powiedziała, kładąc mu dłonie na ramionach. Lekko pogładziła go po policzkach. - Już dobrze. Doskonale sobie z nią poradziłeś. Lepiej niż ja kiedykolwiek w życiu. Zawsze ustawia mnie w defensywie i czuję się niewiarygodnie głupia.

- Mówiłaś chyba, że zatrzymała się w San Francisco.

- Musiała przylecieć do Nowego Jorku zaraz po mnie. Wyobrażam sobie, jak naradzała się z ojcem i wreszcie uznała, w jaki sposób do mnie dotrzeć i wydrzeć mi pieniądze.

- Zastanawiam się, na ile liczy dla siebie. Prawdopodobnie na lwią część.

- Chyba nie myślisz... Cóż, może masz rację. Teraz, kiedy wie, że tu jesteś, musi zmienić taktykę. Zastanawiam się, jak teraz zagra. A z pewnością coś wymyśli. Nie mam wątpliwości.

- Mogę czekać, dopóki się nie dowiem, choćby dwadzieścia lat. Myślisz, że uda nam się tak długo jej unikać?

- Spróbuję, ale nie liczyłabym na to.

- Pamiętaj, Lindsay. Jesteśmy teraz we dwoje. Na zawsze.

- Będę pamiętała.

*

Tego wieczoru jedli kolację w małej włoskiej restauracji. Lindsay pozwoliła sobie na jeden kieliszek Chianti, na odrobinę spaghetti z porcji Taylora oraz na górę sałatki.

- Mam pracę we wtorek. Muszę być szczupła. Wystąpię w bardzo obcisłym kombinezonie narciarskim. Spaghetti jest pyszne.

Uśmiechnął się i jadł mniej łapczywie.

- Tak, przykro mi z powodu twojej babci.

- Brakuje mi jej.

- I z powodu twojej matki.

Lindsay zmarszczyła czoło, żując ogórek.

- Biedna mama. Nie miała szczęścia. Była alkoholiczką. Pamiętam, że kiedy miałam szesnaście

lat, zanim mnie wysłali do szkoły z internatem, bardzo przytyła i zaczęła pić jeszcze więcej. Winna była niewierność ojca i jej własna słabość. Nigdy nie był jej wierny. Nawet na początku. Wiedziałam o tym, już w tym wieku.

- Opowiedz mi o tym.

- Pamiętam, jak Sydney naśmiewała się z mojej matki, tłustej pijaczki. Tak samo kpi sobie teraz z Holly, która zachowuje się podobnie jak moja matka, zanim odeszła od ojca. Śmiała się i śmiała, aż wytknęłam jej, że prawdopodobnie ojciec nie był wierny również jej matce. Niby czemu miał być? Myślałam, że mnie pobije. Sydney wierzy, że jej matka była jedyną prawdziwą miłością ojca. Po jej śmierci wszystkie kochanki i żony ojca są tylko jej nędznymi kopiami. A ojciec szuka, wciąż szuka, chcąc znaleźć następczynię swojej pierwszej żony. Nawet nie wiem, jak się nazywała.

Taylor chciał jej powiedzieć, że to brzmi jak bzdury doktora Gruski.

- Co się stało z matką Sydney?

Lindsay zmarszczyła czoło i zastygła ze wzniesionym do ust pomidorem.

- Sydney wierzy, że jej matka umarła tragicznie. Ale to nieprawda. Podśledzałam, że wyszła za mąż i wyjechała na Nową Zelandię, czy gdzieś równie daleko. Zakładam, że ojciec musiał się z nią rozwieść, żeby poślubić moją matkę, a potem Holly. Ale utrzymuje, że matka Sydney umarła. Może ze względu na Sydney. Sama nie wiem.

- A ty nie masz serca, żeby jej o tym powiedzieć?

- I co by to dało?

- O, coś by dało. Następnym razem, kiedy Sydney znów nas odwiedzi, pozwól, że zapytam ją o matkę. To ją może wytrącić z równowagi. Nie sądzę, by często traciła opanowanie.

- Nie, to by było okrutne.

- Musisz się stać bardziej twarda - powiedział Taylor, unosząc brew. - Sydney musi parę razy oberwać. Nie może sobie wyobrażać, że życie płynie zgodnie z jej życzeniami.

- Nie zawsze tak płynie. Nawet z księciem.

- Księciem? To jej mąż, prawda?

Ale Lindsay zwiesiła głowę. Grube pasmo falistych włosów opadło jej na twarz, prawie dotykając porcji sałatki. Taylor pochylił się i założył jej kosmyk za ucho. Drgnęła.

- Nie, kochanie. Nie odsuwaj się ode mnie. Pamiętaj, że masz mi dodawać ducha.

- Kochałeś się z tą Valerie Balack? - Tak.

Taylor nawinął na widelec spaghetti i zaczął je przeżuwać. Czekał. Proszę, okaż odrobinę zazdrości, myślał. Choć tycio, tycio, tyciutko. Wrzeszcz na mnie. Bądź jędzą. Zaczerwień się i wymyślaj mi od najgorszych.

Ale jej tylko opadły ramiona. Porażka odpowiadała jej bardziej. Przywykła do porażek.

- Nigdy w życiu nie kochałem się z kobietą bardziej namiętną, kochającą, ofiarowującą więcej, niż ty.

Spojrzała na niego. Zbladła. Jej piękne ciemnoniebieskie oczy pociemniały jeszcze bardziej.

- Będziesz się ze mną kochała, kiedy wrócimy do domu?

Spojrzała na sałatę na talerzu.

- A jeśli tym razem nic nie poczuje? - spytała ku zaskoczeniu Taylora. - Jeśli ten jedyny raz był jakąś aberracją, przypadkiem?

Taylor nachylił się nad stołem i ujął jej dłonie. Mówił do niej cicho i stanowczo, tonem pełnym przekonania.

- Możesz mi wierzyć, że tak się nie stanie. Nie cofniesz się. Od tego nie ma odwrotu. Wystraszona Lindsay już nie istnieje. Nigdy już nie będziesz się wzdrygać pod moimi pieściami. Uwierz mi. Przysięgam, że kiedy mnie znów pocałujesz, będziesz mnie pragnęła równie silnie jak zeszłej nocy. Kiedy tama zostanie zerwana, nic nie powstrzyma powodzi. Czeka cię ze mną życie pełne rozkoszy. Naprawdę. Możesz mi wierzyć. Nie ma powodu, by się o to niepokoić.

- Nigdy tak o tym nie myślałam.

- Jesteś piękna i masz kawałek sałaty między przednimi zębami.

Odwróciła twarz i zakryła dłonią usta, a Taylor roześmiał się, odsunął jej rękę i zwrócił jej twarz ku sobie. Pocałował ją ponad stołem, a potem jeszcze raz, i jeszcze, aż się zarumieniała i roześmiała. Taylor nigdy dotąd nie był taki szczęśliwy.

Niestety, tego wieczoru nie doszło do powtórki z poprzedniej nocy. Czowała się zakłopotana, ale rzeczowe podejście do sprawy, jakie zaprezentował Taylor, ukazało jej problem w zupełnie nowym świetle. Wyszła z łazienki tak blada, że Taylor przestał się rozbierać i zamarł w pół gestu.

- Pozwól, że zgadnę, złapałaś infekcję.

- Nie, to nie infekcja. To coś gorszego. Po prostu nie mogę. Zastanawiałam się, dlaczego przybyło mi dwa funty, chociaż nic takiego nie jadłam. A to było zatrzymanie wody w organizmie, no wiesz.

- Ach - powiedział. - To rzeczywiście nie jest infekcja. To po prostu zwykły pech. Wszystko po to, żeby mnie ukarać za erotomanię. I ciebie także.

- Dobrze, że nie poprzedniej nocy.

- Dzięki Bogu - zgodził się żarliwie i przytulił Lindsay. - Masz bóle?

- Niewielkie.

- Połóż się, a ja ci przyniosę cudowne pigułki. Tak się to odbyło.

Tulił ją do siebie i czuł, że Lindsay dzięki pigułkom wreszcie się odpręży.

*

We wtorek Taylor rozwikłał „Przypadek Żony Defraudantki”. Nadawał prowadzonym przez siebie sprawom tytuły, żeby w wieku osiemdziesięciu lat móc je wspominać, identyfikując je dzięki nazwom w stylu Perry Masona. W południe spotkał się z klientem i podał mu zebrane dowody. Nie musiał współczuć klientowi, facet był zbyt wściekły. Już zawczasu ściągnął na kark żony gliniarzy i skontaktował się z prokuratorem.

Wracając do domu Piątą Aleją, Taylor pogwizdywał sobie, rozmyślając nad rozwiązaniem problemu komputerowego, z którym zwrócił się do niego jeden z internetowych przyjaciół z Zachodniego Wybrzeża. Dzień był zimny i słoneczny. Powietrze kryształowo czyste. Piękny nowojorski dzień, pomimo chłodu. Na myśl o Lindsay uśmiechnął się pod nosem. Rano, przy śniadaniu, kiedy jadł płatki z mlekiem, a ona pogryzała kawałek grzanki bez masła, powiedziała najnaturalniejszym w świecie tonem:

- Wyjdźmy gdzieś razem w czwartek wieczorem, dobrze?

- W czwartek wieczorem? Czy to jakaś specjalna okazja?

Zarumieniała się, a Taylor zmarszczył brwi.

- Tak, przynajmniej dla mnie.

- Dobrze. Zadzwonimy do Enocha i Sheili, może coś zorganizują. Dobry pomysł.

- Nie o to mi chodzi, Taylor!

- Aha? - Patrzył na nią, nie rozumiejąc. Zarumieniała się jeszcze bardziej, a widząc, że się z niej

naśmiewa, rzuciła w niego kawałkiem grzanki.

- Jesteś okropny.

Omam nie pękł ze śmiechu. Wstał od stołu, chwycił Lindsay w ramiona i uściskał tak mocno, że aż pisnęła.

- Zostańmy w domu i świętujmy przez całą czwartkową noc.

Uśmiechał się uszczęśliwiony i zastanawiał, jak przebiegają zdjęcia do reklamy kombinezonów narciarskich. Cieszył się, że pogoda jest odpowiednia, a Lindsay w zimowym stroju nie zmarznie. Według niego, najlepszym miejscem na prezentowanie kombinezonów jest ośnieżony stok. Ale oni wybrali Skwer Waszyngtona.

Sesja zdjęciowa wcale nie była udana. Lindsay spojrzała na reżysera i westchnęła. Zachowywał się arogancko, a nie znał się na rzeczy. Fotograf okazał się dobry, ale pierdołowaty. Nie panował nad sytuacją. Według reżysera, Lindsay była głupią lalką, ekipa techniczna stadem wieprzów, specjaliści od makijażu - świrami. Krótka mówiąc, reżyser był siostrzeńcem szefa sieci sklepów z ubiorami narciarskimi. Ludzie gryźli palce, starając się zachować spokój, usiłowali mu doradzać, ubierając swoje rady w najbardziej dyplomatyczne słowa, ale bez skutku. Był wymagający i wydawał sprzeczne polecenia. Demos był tak wściekły, że sobie poszedł, skinąwszy Lindsay głową.

- Tchórz - mruknęła pod nosem.

Lindsay znowu westchnęła. Wciąż tylko czekała, czekała, czekała. Model prezentujący męskie stroje, Barry, wykonał w kierunku reżysera nieprzyzwoity gest i usiadłszy przy kamiennym stole, spokojnie grał sobie w szachy.

Skwer Waszyngtona był dziwnym miejscem. Grali tu w szachy prawdziwi mistrzowie, głównie starzy, z handlarzami narkotyków, którzy w trakcie gry prowadzili interesy. prostytutki spoglądały na Lindsay, usiłując dociec, co ona ma w sobie takiego, czego im brakuje. W samym środku tego specyficznego życia znalazła się ich ekipa. Skomplikowana konstrukcja, na którą kompania produkująca stroje narciarskie wybuliła prawie sześćdziesiąt tysięcy dolarów, wznosiła się na czterdzieści stóp ponad ziemią i na razie stała nieużywana. Po niekończących się utarczkach z radą miasta, agencja Demosa otrzymała wreszcie niezbędne pozwolenia, ale reżyser nie miał pojęcia, jak ma na jednym zdjęciu umieścić Eden i wyciąg narciarski. Było nawet krzeselko, ale jeszcze na nim nie usiadła. Poruszana lekkim wiatrem gondola kołysała się nad jej głową.

Lindsay odeszła od wyciągu i poszła popatrzeć, jak radzi sobie Barry. Umiała grać w szachy, ale myśl o pojedynku z jednym z tych siwowłosych bywalców Skweru przerażała ją. Stała cicho, przyglądając się grze, kiedy jeden z członków ekipy podszedł i powiedział szeptem, że ma wrócić, stanąć koło wyciągu i nigdzie nie odchodzić. Mają jej zrobić serię zdjęć. Lindsay pomyślała o Barrym, ale facet nie wspominał o nim ani słowem. Lindsay wróciła na miejsce i posłusznie oparła się o mocne drewniane belki. Zastanawiała się, co teraz robi Taylor. Uśmiechnęła się. Taylor sprawiał, że była szczęśliwa jak nigdy w życiu. Teraz on był jej życiem.

Zaczęła sobie podśpiewywać. Przyglądała się butom narciarskim, które miała na nogach. Poruszyła palcami. Buty były ciasne. Uniosła głowę, usłyszawszy, że jeden z asystentów fotografa krzyczy na reżysera. O rany, pomyślała, prawdziwa wojna. Facet wrzeszczał, że za pół godziny się ściemni i że zdjęć będą nici.

Reżyser się wściekał. A asystent fotografa, stary wyga z wielkim doświadczeniem, tylko się ironicznie uśmiechał. Lindsay wiedziała, co sobie myślał: Kogo obchodzi, że ten świr naraża swego drogiego wujaszka na dodatkowe koszty? Kogo obchodzi, że fotograf, gwiazda pierwszej wody,

sterczy tu na darmo i z nudów obgryza paznokcie?

Lindsay zastanawiała się, gdzie zniknął facet z ekipy, który kazał jej wrócić na miejsce pod wyciągiem. Nikt nie robił jej żadnych zdjęć. Spojrzała na Edie, specjalistkę od makijażu, która biegła w jej stronę. Może coś wreszcie zacznie się dziać. Lindsay chciała do niej zawołać coś zabawnego, bo Edie wyglądała na równie zmarnowaną jak reszta ekipy. I wtedy Edie zatrzymała się nagle, upuściła torbę i spojrzała w górę. Krzyknęła rozziewając. A potem zawołała:

- Eden! Jezus Maria! Uciekaj!

Lindsay spojrzała przed siebie. Usłyszała krzyki innych osób i wreszcie popatrzyła w górę.

Konstrukcja wyciągu uniosła się nieco i nagle, na skutek wybuchu, stanęła w ogniu, rozsiewając pomarańczowe płomienie i czarny dym. Wybuch wzniecił deszcz stalowych odłamków, które wzbiły się w powietrze, a potem ciężko opadły na ziemię. Rozległ się ogłuszający hałas. Dziwne - krzyki ludzi wydały się Lindsay głośniejsze niż przed chwilą. Ale był jeszcze jeden odgłos. Inny - mocny, bliski i nierzeczywisty, tuż nad nią i dookoła niej.

- Nie - szepnęła, zastygając w przerażeniu. A potem odskoczyła w bok.

Ale nie dość szybko. Gruba belka podtrzymująca konstrukcję uderzyła ją w ramię i odbiwszy się, spadła na betonowe podłoże. Lindsay poczuła dziwne ciepłe i ogarnęła ją ciemność. Ale nie czuła bólu, tylko ucisk we wnętrzu ciała. Ucisk wzrastał, aż upadła na kolana. Wtedy uderzył ją inny fragment, rozpadającego się wyciągu. Tym razem prosto w twarz. Przewróciła się. Poczła nagły palący ból i wrzasnęła. Posypały się na nią deski. Nie mogła się ruszyć. Teraz czuła ból. Głęboki i straszliwy, obezwładniający. A potem nastąpiła ciemność, błogosławiona ciemność, dławiąca ból, tak jak koc dławi płomienie.

I te dziwne wrzaski. Trwały i trwały. Czy poraniło więcej ludzi? Dlaczego nie milkną? Teraz krzyki stały się bliższe, łagodniejsze, cichsze, czuła ich dotyk, niektóre wydobywały się z niej, ale ona w jakiś sposób oddalała się od nich w kierunku owej cudownej ciemności, która otulała wszystko.

ROZDZIAŁ 19

Słyszała natarczywe dźwięki syren. Łomotały w jej głowie. Nienawidziła ich. Chciała od nich uciec, ale nie mogła się poruszyć. Ktoś ścisnął jej dłoń, nagle poczuła jego palce, ciepłe i grube. Jakiś mężczyzna przemawiał do niej cicho i łagodnie, ale z naciskiem. I bez przerwy. Chciała mu powiedzieć, żeby zamilkł, ale nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. W pierwszej chwili nie rozumiała, co do niej mówi, ale zorientowała się, że powtarza wciąż to samo i, wbrew sobie, zaczęła mu się przysłuchiwać, pozwalając, by swym głosem wyprowadził ją na zewnątrz.

- Wiesz, kim jesteś?

Otworzyła oczy. Nie, tylko lewe oko. Prawe oko pozostało zamknięte. Dziwne, ale tak właśnie było. Mężczyzna znajdował się tuż obok niej. Był młody, na jego górnej wardze widniał rzadki wąsik. Miał bardzo niebieskie oczy i duże uszy. Pomyślała, że jest Irlandczykiem. Zdała sobie sprawę, że nie może oddychać. Spróbowała zrobić wdech i poczuła palący ból. Tylko ból, bez powietrza.

- Spokojnie. Wiem, że trudno ci oddychać. Oddychaj płytko. Nie, nie, bez paniki. Tak, teraz lepiej. Myślę, że masz zapadnięte płuco. Dlatego daliśmy ci tę maskę tlenową. Oddychaj pomału i płytko. O, tak. Powiedz mi, wiesz jak się nazywasz?

Trudno było oddychać, nawet tym płytkim oddechem. Skupiła się na masce tlenowej, przykrywającej nos i usta. Ale tak bardzo bolało. Ponowiła próbę i wciągnęła trochę powietrza, jednak ból był nie do zniesienia. Mężczyzna znowu ją spytał, kim jest. Głupie pytanie. Jest sobą i znajduje się tutaj, i nie wie, co się z nią dzieje, co się stało, wie tylko tyle, że czuje ból i nie może oddychać.

- Pamiętasz, jak się nazywasz? Proszę, powiedz, jak ci na imię. Kim jesteś? Czy wiesz, kim jesteś?

- Tak - odparła, pragnąc, by zamilkł. - Nazywam się Lindsay.

Boże, jak bolało, bolało tak strasznie, że miała ochotę wrzeszczeć, ale nie mogła. Jęknęła przerażona, a mężczyzna szybko powiedział:

- Oddychaj płytko. Nic więcej. Tylko oddychaj, nie rób nic więcej. Rozumiesz mnie? Na twarzy masz maskę tlenową, która ma ci ułatwić oddychanie. Nie walcz z nią; pozwól, by ci pomogła. Myślę, że masz zapadnięte płuco. Stąd ten ból. Ale musisz być przytomna i uważna, dobrze?

Boże, jaki okropny ból. Usiłowała wstrzymać oddech, aby uniknąć straszliwego przeszywającego klucia, ale to także nie pomogło. Mężczyzna znów się odezwał. Dlaczego wciąż powtarza to samo? Ma ją za głupią?

- Wiem, że cię boli, ale staraj się wytrzymać. Dojeżdżamy do szpitala, a tam już na ciebie czekają. Spokojnie. Rób te lekkie oddechy. Cieszę się, że cię poznałem, Lindsay. Nazywam się Gene. Leż nieruchomo. Już zaraz będziemy w szpitalu. Nie, nie próbuj się poruszać.

- Co się stało? - Tak bardzo bolało, kiedy mówiła. A przemawianie poprzez białą plastikową maskę sprawiało, że jej głos docierał jakby z bardzo daleka.

- Zdarzył się wybuch i zostałam zraniona przez spadające szczątki wyciągu.

- Czy ja umrę?

- O, nie. Wyzdrowiejesz, na pewno.

- Taylor. Proszę, zadzwońcie do Taylora.

- Dobrze, zadzwonię, obiecuję ci to. Nie, nie ruszaj się. Masz podłączoną kroplówkę. Nie chcę, żebyś wyrwała igłę. Oddychaj.

- Słyszałam krzyki.

- Nikt prócz ciebie nie został ranny, ale wszyscy byli przerażeni. Stałaś tuż obok tej imitacji wyciągu, kiedy nastąpił wybuch. Powiedz mi jeszcze raz. Kim jesteś?

- Byłam tam, bo jestem Eden.

Mężczyzna zmarszczył brwi, ale ona tego nie spostrzegła. Tak bardzo ją bolało, a nie chciała, żeby widział, jak traci panowanie. Odwróciła twarz w przeciwną stronę. Ból nie ustawał. Nigdy przedtem nie wyobrażała sobie, jak to jest, kiedy nie można oddychać. Przy każdym płytkim wdechu czuła tak wielki ból, że drżała na całym ciele. Zamknęła oczy i starała się wytrzymać.

- Co z nią, Gene?

- Dobrze sobie radzi, przynajmniej taką mam nadzieję. Boli ją, ale jest przytomna - odpowiedział kierowcy, a potem zwrócił się do niej: - Przykro mi, Eden, ale nie możemy ci dać żadnych środków przeciwbólowych. Najpierw musisz zostać przebadana. Trzymaj się, musisz się trzymać. Ściskaj moje palce, myśl o moich palcach i ściskaj je, ilekroć poczujesz ból. Jesteśmy prawie na miejscu, prawie na miejscu. - Gene zastanawiał się, czy Taylor to jej mąż. Dobry Boże, facet przeżyje szok, kiedy ją zobaczy. Modelka. Gene spojrzał na prawą stronę jej twarzy. Trudno powiedzieć, jak bardzo została zmasakrowana, bo wszędzie była masa krwi. Mocniej uścisnął jej dłoń. Gene O'Mallory chciał, aby wyzdrowiała. Pragnął tego z całego serca.

*

Dookoła niej stało sześć osób; trzy kobiety i trzech mężczyzn. Rozcinali jej ubranie i rozmawiali między sobą. Paplali, pochylali się, coś sobie pokazywali, a pośród tego wszystkiego czyjaś dłoń spoczywała na jej ramieniu, głaszcząc ją, i słychać było cichy kobiecy głos, powtarzający w kółko i w kółko:

- Wszystko będzie dobrze. Jesteśmy przy tobie i dopilnujemy, żeby wszystko było dobrze. Rozumiesz mnie, Lindsay? Wszystko będzie dobrze.

- To ta modelka, Eden - powiedział inny głos. - Najpierw to, co najważniejsze. Elsie zadzwoń do doktora Perry, powiedz mu, żeby tu przyszedł.

- Gene dzwonił do niego z karetki - odpowiedziała Elsie. - Perry już tu jedzie.

Lindsay poczuła chłód. Gdzieś w głębi umysłu zdawała sobie sprawę, że jest naga, tak samo jak dawno temu w Paryżu. Ale nie przejmowała się tym, bo bardzo ją bolało. Wykonanie choćby jednego oddechu sprawiało jej niewyobrażalny ból. Delikatne głaskanie jej ramienia nie ustawało i Lindsay starała się na nim skupić.

Tuż nad sobą zobaczyła twarz mężczyzny.

- Lindsay? W porządku. Posłuchaj mnie teraz. Masz zapadnięte płuco. Zostało przebite przez złamane żebro. Dlatego musimy zrobić małą dziurkę, o tutaj, pomiędzy żebrami, tu, z boku. I wsunąć przez nią rurkę. Przyczepimy ją do sztucznego płuca, które nadmucha twoje płuco. To nie będzie

bolało. Potrwa zaledwie kilka minut i będziesz mogła znowu swobodnie oddychać. Dobrze? Rozumiesz mnie?

Palce na jej przedramieniu zastygły nieruchomo.

- Tak, rozumiem.

- W porządku. Robimy to, chłopaki.

Po pięciu minutach, Lindsay zrobiła wdech, który nie zadawał jej śmiertelnego bólu. Zdołała się nawet uśmiechnąć do pochylonego nad nią mężczyzny.

- Lepiej?

- Tak, dużo lepiej.

- Masz dwa złamane żebra. Zostawimy je w spokoju, ale będą cię przez jakiś czas bolały.

Podajemy ci morfinę w kroplówce. Czujesz ból?

Dziwne, nie czuła bólu.

- Co z moją twarzą?

- Twoja twarz... tak. Jest tutaj doktor Perry. On się nią zajmie.

Delikatne palce na jej ramieniu znowu znieruchomiały i cofnęły się; Lindsay wpadła w panikę.

- Gdzie są palce?

- O czym ona mówi? - zapyta! jakiś głos.

- Co się dzieje?

- Och. Jej chodzi o Debrę. Deb, wróć tutaj! Palce znów były na jej ramieniu. Lindsay zamknęła oczy.

Znów było dobrze. Głos przemawiał cicho i łagodnie.

Doktor Perry przedstawił się jej. Chirurg plastyczny, specjalizujący się w rekonstrukcji twarzy - tak powiedział. Wezmą ją na tomografię komputerową czaszki i tam orzekną, na czym polega problem. Lindsay nie powinna się martwić. Jeżeli poczuje ból, ma im to zasygnalizować.

Lindsay była przygotowana na zasygnalizowanie, ale ból, który teraz odczuwała, nie umywał się do tego, który zniosła poprzednio, więc nie odzywała się.

Czas płynął. Debra nie przestawała jej głąaskać. Lindsay powiedziała do niej:

- Taylor. To mój narzeczony. Czy mogłabyś do niego zatelefonować?

- Kiedy cię zabiorą na chirurgię. Zadzwońię do niego. Obiecuję, Lindsay. Podaj mi jego numer.

Wrócił doktor Perry. Przemawiał do niej powoli i łagodnie:

- Ma pani szczęście, panno Foxe. Prawy policzek nie jest poważnie uszkodzony, co oznacza nieliczne blizny albo ich brak. Ale wybuch zmiążdżył fragmenty niektórych kości. Tutaj, tutaj i tutaj. - Doktor wskazał miejsca na swojej twarzy. - Musimy się do nich zabrać od razu i naprawić zniszczenia. Za trzy tygodnie będzie pani jak nowa.

- Mogę zobaczyć?

- Myślę, że nie.

Lindsay zastanowiła się nad tym. Prawa strona twarzy była odrętwiała. Uniosła dłoń, ale Debra pochwyciła ją i powstrzymała. Nachyliła się nad Lindsay.

- Nie. Leż nieruchomo. Dotarł do niej głos doktora Perry.

- Musi pani podpisać zgodę na operację. Podpisała. Kwadrans później powieziono ją na chirurgię. Nie czuła bólu. Była otepiała. Nie bała się.

Wybuch miał miejsce o dwunastej trzydzieści. Na chirurgii znalazła się o siedemnastej trzydzieści.

*

Demos stał na korytarzu, opierając się o ścianę koło drzwi separatki, do której mieli przywieźć Lindsay po operacji.

Operacja skończy się już niedługo. Operuje doktor Perry, jeden z najlepszych chirurgów w kraju. Tak zapewniła go pielęgniarka. Nie raz, lecz cztery razy. Jeden z najlepszych. Powiedziała jeszcze, że kości zostaną doprowadzone do poprzedniego stanu, więc nie ma powodu do niepokoju. Ale dlaczego teraz ta operacja twarzy? - zastanawiał się Demos.

Pielęgniarka miała do niego dużo cierpliwości. Wyjaśniła mu, że jeśli operacja nie zostanie wykonana natychmiast, wystąpi obrzęk, a wtedy będzie można operować dopiero po upływie tygodnia. Lindsay, oczywiście zgodziła się na operację.

- Jak mogła się zgodzić?

- Była przytomna, panie Demos. Doktor Perry zlecił natychmiastowe prześwietlenie głowy. Będzie pan mógł z nim porozmawiać. Lindsay powinna opuścić salę operacyjną około siódmej, a potem zostanie w sali pooperacyjnej przez godzinę. Może pójdzie pan na kolację?

Demos i Glen i poszli do szpitalnego baru i zasiedli nad kanapkami z wołowiną.

- Do końca życia nie zapomnę tego przekłętego telefonu - powiedział rozdygotany Glen.

Za dziesięć pierwsza otrzymali wiadomość od rozhisteryzowanego pracownika agencji reklamowej. Natychmiast przyjechali do szpitala, ale nie pozwolono im zobaczyć Lindsay. Zapewniono ich, że robi się dla niej wszystko, co możliwe. Demos wypełnił potrzebne dokumenty. Potem zorientował się, że powinien zatelefonować do Taylora. Niech Taylor załatwi sprawę z jej rodziną, z Sydney. Jest narzeczonym Lindsay, niech się tym zajmie. Demos znalazł numer Lindsay na pamięć. Zaczął go wybierać, ale ze zdenerwowania nie mógł sobie poradzić.

- Glen, na pomoc.

Glen szybko uzyskał połączenie. Taylor odebrał po drugim sygnale.

- Taylor, tu Glen.

- Cześć, Glen. Co słychać?

- Rany boskie, Taylor, musisz tu natychmiast przyjechać!

- O co ci, do diabła, chodzi? Gdzie jest Demos? Co się stało?

Glen omal nie rzucił słuchawką w Demosa.

- Taylor, tu Vinnie. Był wypadek i Eden jest ranna. Pośpiesz się, człowieku. Nie wiem nic, po prostu się pośpiesz!

Demos odłożył słuchawkę i oparł policzek o chłodną stal aparatu.

- Czy ktoś zna Lindsay lub Eden? - zapytał męski głos.

- Ja - odparł Glen.

- Byłem z nią w karetce pogotowia. Prosiła mnie, żebym zatelefonował do Taylora. Pytam wszystkich dookoła o jego numer telefonu, ale nikt go nie zna. Czy ktoś wie, kto to jest?

- Tak - odpowiedział Demos. - Znamy go. Właśnie go zawiadomiliśmy.

- Jej twarz - powiedział młody człowiek. - Ona jest taka piękna. Wyjdzie z tego? Co z zapadniętym płucem?

- Wyjdzie z tego - powiedział Demos, modląc się, by tak się stało naprawdę.

Rozmowa ta miała miejsce pięć minut po drugiej. Dwadzieścia minut później na pogotowie wpadł zadyszany Taylor. Był blady i wyglądał na przerażonego.

- Na razie nic nie wiadomo - powiedział Glen. - Zajęli się zapadniętym płucem, przynajmniej tak

nam powiedziano. Ale jej twarz...

- Twarz? Do diabła, co się stało z jej twarzą?

- Zmiażdżona.

- Jezu - powiedział Taylor. Na chwilę zamarł bez ruchu. - Gdzie ona jest? Z kim mogę porozmawiać?

- I, nie czekając, pobiegł do pokoju pielęgniarek. Przełożona pielęgniarek, Ann Hollis, tęga, zaprawiona w bojach sześćdziesięciolatka, spostrzegła zbliżającego się przerażonego mężczyznę i spodziewała się wybuchu. Wrzasków, bezsilnego gniewu, nieokiełznanej furii, wściekłości. Ku jej najwyższemu zdumieniu, mężczyzna przemówił cicho i spokojnie.

- Chciałbym panią prosić o pomoc. - Spojrzał na tabliczkę z jej nazwiskiem. - Tak, pani Hollis. Ma na imię Lindsay albo Eden. Rozumiem, że miał miejsce jakiś wypadek i ona została ranna i teraz leży tutaj. Jestem jej narzeczonym. Proszę mi powiedzieć, co się stało. Wszystko jest takie niejasne.

- Powiem panu tyle, ile wiem. Po pierwsze, niech się pan przestanie niepokoić. Proszę tu zostać, a ja pójdę i dowiem się, co się stało. Dobrze?

Taylor skinął głową i pielęgniarka odeszła. Stał nieporuszony. Czekał, czując, że to, co dla niego najważniejsze, zawisło w próżni.

Ann Hollis dotknęła jego ramienia.

- Dwa złamane żebra, podłączona jest do sztucznych płuc. Dzięki temu łatwiej jej oddychać.

- Dziękuję.

- Stłuczenia i rany szarpane, ale nie bardzo groźne - zamilkła, a potem westchnęła i dodała: - No i jeszcze twarz. - Znowu dotknęła jego ramienia. - Trudno teraz powiedzieć, bo doktor Perry właśnie ją ogląda.

Będzie ją badał. Zanim zdiagnozuje, musi wykonać tomografię komputerową.

- Co się właściwie stało z jej twarzą?

- Jest paskudnie pokiereszowana.

Taylor wzdrygnął się na obraz, który wywołały jej słowa, ale i tak był jej wdzięczny za szczerść.

- Doktor Perry jest jednym z najlepszych chirurgów plastycznych w Nowym Jorku. Prawdopodobnie będzie bezzwłocznie operował. Chodzi o opuchliznę, pan rozumie.

Taylor milczał. Starał się nie dygotać. Siostra Hollis jeszcze raz poklepała go po ramieniu. Wiedziała, że dotyk jest bardzo ważny, pociesza, sprawia ulgę, daje ciepło i przekazuje pozytywne uczucia. Dotykając, sprawia się, że druga osoba nie jest tak strasznie samotna.

- Kiedy tylko dowiem się czegoś nowego, powiem panu. Proszę usiąść. Wiem, że jest panu ciężko, ale powinien pan zachować spokój. Ona nie umrze. Twarz jej się wygoi. Mówiłam już, że doktor Perry jest jednym z najlepszych specjalistów rekonstrukcji twarzy.

- Dziękuję pani, pani Hollis.

Patrzyła, jak się powoli oddalał. Widziała twarz tej młodej kobiety. Jeszcze jej nie oczyszczono i wszędzie było pełno zakrzepniętej krwi. Tak, trudno pozostać piękną po takim wypadku.

Patrzyła, jak ten mężczyzna, Taylor, odchodzi korytarzem do poczekalni.

Lindsay żałowała, że nie może czymś rzucić w to światło. Było bardzo mocne i raziło ją w oczy. Dlaczego tak świeci? Nie zapalała go. Dlaczego ktoś go nie zgasi? Nie chciała otwierać oczu. Nie chciała niczego widzieć. Nie chciała nic robić, nie chciała być. Chciała pozostać głęboko w ciepłe swego wnętrza. Tutaj czuła się bezpieczna, tylko to przekłete światło. Wiedziała, że jeśli otworzy

oczy, będzie tego żałowała.

Światło wciąż jej doskwierało. Teraz było jeszcze mocniejsze.

Usłyszała głos, kobiecy głos. Ochrypli i powtarzający wciąż to samo:

- Lindsay, Lindsay, obudź się. Obudź się. No, przecież potrafisz. Obudź się.

- Nie - powiedziała i nawet to krótkie słowo sprawiło jej trudność. Miała obolałe i wyschnięte gardło.

- Masz. Wkładam ci do ust słomkę. Spróbuj się napić wody.

Skąd ta kobieta wie? Zassała i poczuła wilgoć napływającą do ust i gardła. Było cudownie, dopóki jej nie przełknęła. Przeszył ją straszliwy ból, ból tak wielki, że wstrzymała oddech i napięła mięśnie, skurczyła się i zadygotała.

- O, Boże.

- Wiem, że to boli. Wkrótce dam ci więcej leku przeciwbólowego. Ale najpierw musisz wyjść z narkozy. Chcę zobaczyć, jak funkcjonuje twój mózg. Proszę, otwórz oczy.

- Światło. To boli.

Światło zniknęło. Lindsay otworzyła oczy. Pokój był zaciemiony. Ponad nią pochylała się kobieta w bieli. Były tam jeszcze jakieś inne osoby, Lindsay nie widziała ich, ale słyszała. Ich oddechy.

- W porządku. Powiedz mi, co widzisz.

- Panią. Widzę panią i że jest pani ubrana na biało i jest ładna.

- Dziękuję. Nie bój się. Miałaś operację, a teraz jesteś w sali pooperacyjnej. Wszystko poszło doskonale. Doktor Perry przyjdzie ci obejrzyć jutro rano.

Powiedział, że pozostaniesz piękna. Teraz wyglądasz jak mumia. Cała w bandażach. Dlatego nie możesz otworzyć ust. Bandaże są po to, żeby unieruchomić ci twarz. Rozumiesz? Świetnie. A teraz powiedz, ile widzisz palców? Cztery? Doskonale. A teraz? Dobrze. Bardzo dobrze, Lindsay.

- Bolał mnie zębra.

- Wiem. I będą ci bolały przez dłuższy czas. Środek przeciwbólowy bardzo ci pomoże. Za chwilę przyjdzie do ciebie doktor Shantel. Poczekaj tu, a ja niedługo dam ci środek przeciwbólowy.

- Taylor. Gdzie jest Taylor? - powiedziała z trudem. Po raz pierwszy poczuła bandaże. Uciskały głowę. Bolało ją, kiedy otwierała usta, choćby odrobinę.

- Jest tutaj. Nie chciałam go wpuścić, ale zagroził, że połamię mi kości, jeśli go nie wpuszczę. - Pielęgniarka pochyliła się jeszcze bardziej i wyszeptała: - Nawiasem mówiąc, jest naprawdę milutki. Jeżeli ma brata, chętnie bym go poznała.

Pielęgniarka się odsunęła. Lindsay poczuła rękę Taylora. Jego palce na nagim przedramieniu, delikatne i czułe. Palce Taylora. Dziwne, robił dokładnie to samo, co wcześniej Debra. Lindsay zastanawiała się, czy ktoś ich pouczył, jak trzeba ją dotykać, żeby nawiązać kontakt.

Pochylił się nad nią. Jego twarz miała bardzo poważny wyraz i to Lindsay przestraszyło.

- Witaj, najdroższa - powiedział cicho i łagodnie. - Wyzdrowiejesz i wszystko będzie dobrze. Jezu, nie strasz mnie tak już nigdy więcej. O, jest nasza pani doktor. Wkrótce do ciebie wróczę. Wszystko będzie dobrze.

Doktor Shantel, która była prawie równie wysoka jak Lindsay i opalona po niedawnym urlopie na Hawajach, powiedziała:

- Proszę zostać, panie Taylor. I niech pan ją trzyma za rękę. Wpływa pan na Lindsay uspokajająco, a chcemy, żeby spokojnie wyszła z narkozy. - Następnie przedstawiła się Lindsay i powiedziała jej: - I tak miałaś szczęście. Zajmuję się wszystkim z wyjątkiem twojej twarzy. Twarz to

diedzina doktora Perry. Nie obandażowaliśmy ci żeber. W ten sposób szybciej się zrosną. Założyliśmy ci kilka szwów na ramionach, szyi i klatce piersiowej. To nic poważnego. Nie będzie nawet blizn. Teraz sytuacja jest już całkowicie opanowana. Zostaniesz tu przez jakiś czas. Odpoczywaj i trzymaj głowę nieruchomo.

Doktor Shantel popatrzyła na bandaże spowijające twarz i głowę Lindsay.

- Twarz będzie w porządku. Z narkozy wyszłaś w dobrym stanie. Czas na podanie leku przeciwbólowego, a potem sobie pośpisz.

- Taylor?

- Jestem tu, Lindsay. Pielęgniarka przyniosła ci lekarstwo. Nie, nie zostawię cię.

Taylor patrzył, jak pielęgniarka wstrzykuje lek poprzez kroplówkę. Poglaskał Lindsay po prawym przedramieniu, tak jak nauczyła go pielęgniarka o imieniu Debra. Chciało mu się płakać.

- Pan jest jej narzeczonym? - spytała cicho pielęgniarka.

- Tak.

- Coś panu powiem. Porozmawiam z personelem z czwartego piętra. Jeśli pan zechce, będzie pan mógł przy niej zostać na noc. Wstawimy do separatki drugie łóżko. Czy panna Foxe ma jakąś rodzinę, którą powinien pan zawiadomić?

Taylor spojrzał na nią. Panna Lindsay Foxe. Lindsay Foxe.

- Foxe - powtórzył na głos. - Ma na nazwisko Foxe. Lindsay Foxe. Ładne nazwisko.

Pielęgniarka wydawała się zaintrygowana.

- Nie musi się pan przejmować wypełnianiem formularzy. Pan Demos podał nam wszystkie konieczne dane.

Była dokładnie dziewiąta wieczorem, kiedy sobie przypomniał.

Lindsay przeniesiono do separatki. Jedynym mącącem ciszę dźwiękiem był syk sztucznego płuca i oddech Taylora. Przypomniał sobie. Nawiedziły go fragmenty wspomnień, ostre i brutalne. Aż się wzdrygnął.

Lindsay Foxe.

Młoda dziewczyna, która leżała za przepierzeniem na pogotowiu w Szpitalu Świętej Katarzyny w kwietniu 1983 roku. Dziewczyna, którą zgwałcił mąż jej siostry - przeklęty włoski książę - i która krzyczała, odpychając lekarzy. Przypomniał sobie, jak ci lekarze rozmawiali o niej, przemawiali do niej oraz, co z nią robili. Pokręcił głową. To przechodziło wszelkie pojęcie. A teraz ta młoda dziewczyna jest już dorosłą kobietą, a on ją kocha i ma się z nią ożenić.

Lindsay Foxe. Jezus, nie mógł w to uwierzyć. Ale uznał, że tak chciał los. Lindsay Foxe.

Nic dziwnego, że przybrała pseudonim, kiedy zaczęła pracować jako modelka. Nic dziwnego, że nie chciała mu powiedzieć, jak ma naprawdę na imię i jakie nosi nazwisko. Wspomniała, że nie chce, aby ją znienawidził. Tylko się broniła. Przed wszystkimi, a potem przed nim. Kiedy by mu powiedziała? Kiedy by mu zaufała?

Boże. Pomyślał o Sydney di Contini. *La Principessa*, przyrodnia siostra Lindsay. To jej mąż zgwałcił Lindsay, a Sydney, owa wyrafinowana dama, którą poznał cztery dni temu, postrzeliła księcia.

Taylor zobaczył, że Lindsay usnęła. Zatelefonował do Enocha i bardzo cicho opowiedział mu, co się stało.

- Zrobisz coś dla mnie? - zapytał.

- Masz to u mnie jak w banku.

- Chodzi o poważną przysługę. O coś, o czym nie będziesz mógł nikomu powiedzieć, nawet Sheili.

- O co chodzi? Taylor mu opowiedział.

- Tak. Tylko francuskie gazety. Żadnych amerykańskich.

Podał mu dokładną datę i odłożył słuchawkę. Spojrzał na Lindsay, oddychała płytko i była bardzo blada. Sztuczne płuco, wyglądające jak niebieska walizka, syczało i bulgotało. Taylor zamknął oczy, słuchając aparatury. Znowu zobaczył młodą dziewczynę na noszach. Była wtedy taka młoda, taka żalosna i tak bardzo samotna. Nie miała nikogo, zupełnie nikogo.

Zdał sobie sprawę, jak bardzo ją kocha. Po tym wszystkim, co wycierpiała, zaufała mu. Powierzyła mu swoje ciało. Nieważne, że nie zdradziła mu swego nazwiska. Oparł czoło o jej rękę. Modlił się w milczeniu.

Sydney zjawiała się tuż przed północą.

- Mój Boże - powiedziała od progu.

- Tak. Proszę mówić cicho. Ona śpi.

Sydney skinęła głową i weszła do separatki. Zsunęła z siebie długie sobolowe futro. Pod spodem miała długą czarną suknię bez rękawów. Niewiele materiału z przodu, wielki dekolci z tyłu. I brylanty - naszyjnik, kolczyki i bransoletka, włosy spiętrzone w kok na czubku głowy. Wyglądała elegancko i luksusowo.

- Co się stało?

- Lindsay pozowała do zdjęć na Skwerze Waszyngtona. Wybudowano wyciąg narciarski, który się zawalił po wybuchu. Stała tuż pod nim. Gliny z wydziału podpaleń pracują już nad tym. Jak się pani dowiedziała?

- Cóż, pan mnie nie zawiadomił. To pewne.

- Ciszej. Załóżmy, że nie zatelefonowałem, bo nie wiem, gdzie pani mieszka.

- Powiedzmy sobie prawdę, Taylor. Nie zadzwoniłby pan, nawet gdyby znał mój numer telefonu. Nie ma o czym mówić. Pokazali to w wiadomościach. Zobaczyłam, jak moja siostra jest wnoszona na noszach do karetki. - Podeszła do okna, bawiąc się szmaragdowym pierścieniem na palcu prawej dłoni.

Odwróciła się i spojrzała na Taylora. Był blady, ale wyglądał na rozgniewanego. Trzymał Lindsay za rękę i spoglądał na Sydney przymrużonymi oczami. Jego dłoń była duża i silna, dłoń Lindsay blada i bezwładna.

- Ach, więc zdążyła panu opowiedzieć, jaka ze mnie złośliwa przyrodnia siostra.

- Nie, nic mi nie powiedziała. Nie powiedziała mi nawet, jak ma na nazwisko. W szpitalu spytano o nie i Demos je podał.

Sydney tylko mu się przyglądała. Widać było, że dokładnie zastanawia się nad jego słowami.

- Przypomniał pan sobie skandal sprzed lat - stwierdziła wreszcie. - Dobry Boże, to było tak dawno. A może Demos wszystko panu opowiedział?

- Nie musiał. Tak się złożyło, że kiedy przywieziono Lindsay na pogotowie w Paryżu, leżałem za przepierzeniem. Uległem wypadkowi i miałem złamaną rękę. Do końca życia nie zapomnę jej wrzasków i krzyków, jej strachu, bólu i tego, że była zupełnie sama. Miałem ochotę pozabijać tych przeklętych lekarzy, którzy niby się nią zajmowali. Pozabijałbym ich. Była zupełnie bezsilna i bezbronna. Przytrzymywali ją i rozsuwali jej nogi, wymyślali jej. To było jak jeszcze jeden gwałt! Cholera! Nie znała francuskiego, a oni nawet nie starali się z nią porozumieć, bo była cudzoziemką.

Chciałem też zabić tego przeklętego łajdaka, który ją zgwałcił. To pani mąż, jak sędzę.

Sydney była wstrząśnięta i zaskoczona, ale się opanowała. Przypomniała sobie, że Valerie opowiadała jej, jak bardzo Taylor kocha Francję. Według słów Valerie jeździł tam dwa lub trzy razy w roku. Opowiadała też o tym, że miał wypadek. Wiele lat temu, że złamał sobie rękę i trafił do szpitala.

- Nie byłem z nią na pogotowiu - powiedziała Sydney, na próżno starając się, by jej głos brzmiał cicho i łagodnie. - Bo wpadłam w histerię. Nienawidzę tego słowa i nie lubię stosować go do siebie. A przekłety łajdak, który ją zgwałcił, świetnie sobie radzi. Nadal lubi młode dziewczyny. Wciąż ma wystarczająco dużo pieniędzy, by sobie zapewnić stałą dostawę młódek, tak że nie musi uciekać się do gwałtu. Kłopoty zaczynają się dopiero wtedy, gdy wyjeżdża z Włoch. Jak miało to miejsce w Paryżu, z obecną tutaj moją młodszą siostrą. Teraz już się tym nie przejmuję. Jeśli poczuje się pan dzięki temu lepiej, powiem, że go postrzeliłam, żeby ratować Lindsay. Niestety, wylizał się z tego.

Trudno było zachować spokój.

- Nie brzmi to jak wyrazy skruchy. Może wytłumaczy mi pani, dlaczego strzeliła pani do męża, a potem oskarżyła Lindsay o to, że go uwiodła? Na miłość boską, nie widziała pani, że ją zgwałcił?

Sydney wzruszyła ramionami.

- Dlaczego ją pani atakowała? Dlaczego pozwoliła pani, by atakował ją ojciec? Bo tak było, prawda?

- Niech pan nie będzie taki melodramatyczny! Na miłość boską, wszystko było i jest bardzo skomplikowane. - Taylor patrzył, jak Lindsay rzuca na krzesło futro i swoją czarną torebkę. A potem znowu podchodzi do okna. - Jest bardzo ciemno - powiedziała. - Nienawidzę zimy. Nienawidzę ciemności.

- Komplikacje biorą się z kłamstw. Prawda jest zwykle bardzo prosta.

- Truizmy, Taylor. Tak naprawdę nic pan nie wie, tylko pan zgaduje.

- Czego pani tu szuka? Sydney uśmiechnęła się.

- Zadzwoiłam do ojca i powiedziałam, że Lindsay miała wypadek, prawdopodobnie bardzo poważny. Chce pan wiedzieć, co odpowiedział? Zapytał, czy Lindsay przeżyje. Powiedziałam, że nie wiem i że nie znam żadnych szczegółów dotyczących jej stanu. Prosił, żebym do niego zadzwoniła natychmiast, kiedy się czegoś dowiem. Cóż, jeżeli ona umrze, ojciec odziedziczy cały jej majątek, więc musi załatwić wszelkie formalności.

Taylor poczuł zimną wściekłość.

- I co mu pani odpowiedziała?

- Jak to, co? Powiedziałam, że naturalnie, zadzwonię do niego.

- Operację twarzy robił doktor Perry. Lekarka nazywa się Shantel. Może zechce pani z nimi porozmawiać. Lindsay będzie żyła. Ma połamane żebra i zapadnięte płuco. A jej twarz... O ile wiem, ma trochę pogruchotane kości, ale wszystko będzie dobrze. Niech pani nie zapomni powiedzieć o tym ojcu, dobrze? I niech mu pani powie ode mnie, żeby się pieprzył ze swymi formalnościami. Niech mu pani też powie, że jeśli się zbliży do Lindsay, zgmiotę go jak pluskwę.

- Mną się pan nie przejmuję, prawda Taylor?

- Ani trochę.

- Nie powinien pan nienawidzić jej ojca. Nawet go pan nie zna.

- I nie chcę go znać. Jest gównem warty.

- Zależało panu na Valerie, prawda? Byliście ze sobą przez trzy miesiące.

- Lubilem się z nią pieprzyć - odpowiedział brutalnie. - Ale była zbyt zaborcza, zbyt samolubna. Nie panowała nad sobą. Zachowywała się jak zepsute dziecko, które chce, żeby wszystko było tak, jak ono zapragnie. Poznałem Lindsay i Valerie przestała dla mnie istnieć. Mówiłem Lindsay, że pani przypomina mi Valerie.

Sydney wzięła futro i narzuciła na ramiona. Podeszła do drzwi. Położyła dłoń na klamce.

- Co się stało z twarzą Lindsay? - zapytała.

- Uderzyła ją spadająca belka. Sydney spojrzała na niego z zaciekawiona.

- Valerie opowiadała mi, że lubił się pan jej przyglądać, bo jest taka piękna. Lindsay nie dorasta jej do pięt. A teraz będzie jeszcze mniej pociągająca. Czym utrzyma pana przy sobie?

- Pani sobie wyobraża, że sprawią to jej pieniądze?

- Być może, ale w wypadku Valerie nie okazały się skuteczne.

- Nie.

- Więc?

Taylor zeszywniał. Milczał.

- Ach, może to litość dla wróbelka ze złamanym skrzydełkiem? - spytała z uśmiechem. - Nie sądzi pan, Taylor? Ale ona przeminie. Litość szybko przeminia, a pozostaje przeklęty wróbelek i wciąż ma złamane skrzydełko. Oraz poczucie winy, że zainteresowanie minęło.

Ku jej zdumieniu, Taylor uśmiechnął się równie wyzywająco jak ona.

- Uważam, że jest pani zadziwiająca, Sydney. I wie pani, co? Największe nieszczęście polega na tym, że nie możemy sobie wybrać krewnych. Powiedziałbym, że Lindsay trafiła wyjątkowo źle. - To mówiąc, zwrócił się w stronę Lindsay i nie poruszył się, dopóki Sydney nie zamknęła za sobą drzwi.

*

Następnego dnia Lindsay obudziła się o dziesiątej rano. Taylor nie mógł spokojnie patrzeć, jak usiłowała opanować ból. W końcu pielęgniarka podała jej więcej środka przeciwbólowego. Lindsay zapadła w drzemkę. Pielęgniarka wyjaśniła mu, że najboleśniejszy jest obrzęk twarzy.

Taylor miał zamiar wrócić do domu, żeby ogolić się i wziąć prysznic, kiedy do separatki wszedł sierżant Barry Kinsley z Południowego Manhattanu.

- Rany boskie - powiedział Taylor, spoglądając na swego byłego przełożonego. - Co tu robisz?

- Taylor? A to dopiero niespodzianka. Ale w moim wieku, chłopcze, człowiek niczemu już się nie dziwi. Co ty tu robisz? Znasz tę damę?

- To moja narzeczona. Akurat zasnęła. Po co przyszedłeś, Barry?

- Jestem tu służbowo. Ktoś ją próbował sprzątnąć. Wybuch nie był przypadkowy. Podłożono bombę, jedną z tych małych plastikowych zabawek. Zdetonowano ją z odległości około dwudziestu jardów. Dziewczyna była gdzie trzeba, opierała się o wyciąg, kiedy ktoś odpalił materiał wybuchowy. W pobliżu wyciągu nie było nikogo więcej. Wszystko bezbłędnie ukartowane.

Taylorowi pociemniało w oczach.

- Przepraszam cię na chwilę, Barry. Wybiegł z separatki.

ROZDZIAŁ 20

Demos wyszedł z pokoju Lindsay dwie minuty wcześniej. Taylor pędził szpitalnym korytarzem. Dostrzegł Demosa przy windach.

- Ty przekłeta gnido! Ty łajdaku! Nie ruszaj się!

Demos się obejrzał. Z przerażenia zrobił się popielaty. Patrzył na szarżującego Taylora. Nacisnął guzik windy. Taylor chwycił go za krawat i uniósł nad podłogę, przyciskając do ściany.

- Ty nędzny śmierdzielu! - Walnął głową Demosa w ścianę. - Nie było żadnego wypadku. Podłożono bombę i chodziło im o Lindsay! Tym razem nie pofatygowałeś się nawet, żeby mnie ostrzec. Dlaczego? Chryste! Ona tam leży, przez ciebie, cuchnąca szumowino, bo nie spłacasz długów!

Taylor przyłożył mu w żołądek, a potem w szczękę. Wciąż trzymał go ponad podłogą, wymyślał mu i walił nim w ścianę.

Rozległy się krzyki pielęgniarek. Nadbiegło kilka przerażonych osób. Niektóre z nich zawróciły. Na korytarz wyszedł chory z basenem i upuścił go na podłogę. Mocz rozlał się po linoleum. Taylor poczuł na sobie czyjeś ręce, odciągające go od Demosa, ale nie ustąpił. Chciał zabić przekłętego drania.

- Taylor, chłopcze, daj spokój!

Barry Kinsley był silny jak byk. Miał pięćdziesiąt pięć lat, łysinę, pięć stóp i dziesięć cali wzrostu, głowę wielkości kubła i klatkę piersiową rozmiarów sporej beczki. Wciąż jeszcze należał do najsilniejszych policjantów w Nowym Jorku. Był jednym z instruktorów Taylora w akademii policyjnej i załatwiał go w każdym pojedynku zapaśniczym. W swoim czasie namawiał Taylora, żeby nie odchodził z policji. A potem pozostał jego przyjacielem, dalekim, ale zawsze obecnym.

Sapiąc z wysiłku, odciągnął Taylora od Demosa. Jezu, pomyślał, jestem zbyt stary do tej gównianej roboty. Demos osunął się na podłogę. Nie stracił przytomności; patrzył na Taylora i popłakiwał, podciągawszy kolana pod brodę.

- Nic nie zrobiłem, Taylor! Przysięgam!

- Ty nędzny kłamco! Barry puść mnie, do cholery! Już ja wycisnę prawdę z tego gnoja.

- Nie, Taylor. A teraz, chłopcze, uspokój się albo ci przestawię tę twoją śliczną buźkę. Kobitki nie będą tobą zachwycone. O, tak. Oddychaj głęboko, opanuj się i powiedz papie Barry'emu, o co tu chodzi.

Taylor usiłował uspokoić oddech. Barry poluzował chwyt. Taylor nie próbował się wyrwać.

- Dobrze. I zachowuj się, Taylor. Pomogę się pozbierać temu małemu facetowi. A potem wszyscy pójdziemy do separatki twojej narzeczonej. Coś mi się zdaje, że dla Demosa będzie tam najbezpieczniej.

- Demos zasługuje na to, żeby go wypatroszyć.

- Możliwe - powiedział Barry i zmierzył Demosa wzrokiem od stóp do głów. - Zupełnie możliwe. No, chodźmy do separatki. - Rozejrzał się i dostrzegł przerażone pobladłe twarze. - Wracajcie do swoich spraw, ludzie. Hej, co to za zapach?

Taylor szedł po prawej ręce Kinsleya, Demos, wciąż zgięty we dwoje, po lewej.

- Jestem niewinny, Taylor - powiedział Demos, czując się trochę bezpieczniej.

- Niech pan zamilknie - powiedział Barry. - Do czasu, gdy się znajdziemy w separatce damy Taylora. Jestem pewien, że tam nie poderżnie panu gardła.

- O, Boże - jęknął Demos.

- Może mi pan wierzyć, sir - zapewnił go Kinsley. - Jestem obrońcą prawa.

- O, Boże - powtórzył Demos płacziwie.

W separatce Taylor natychmiast podszedł do wezglowia Lindsay. Spała głębokim snem. W ciszy rozlegał się tylko syk sztucznego płuca.

- Na początku listopada Demos wynajął mnie, żebym ją miał na oku, dlatego że zalegał chłopakom z New Jersey na kupę szmalu. Nie zapłacił im, więc zagrozili, że się odegrają na kimś z jego pracowników, niestety, nie na nim. Powiedziałem mu, żeby im zapłacił, bo jeśli coś się stanie Eden, ja będę czuł się odpowiedzialny i zawiadomię gliny. Pamiętasz tego faceta, który został znaleziony niedaleko Tunelu Lincolna, pobity, w bagażniku swego samochodu? To był reżyser reklamy, do której pozowała Eden. Facet się wylizał, na szczęście dla tego tu ptasiego mózdzka. Demos mi przysiągł, że spłaci swoje długi i nigdy nie doprowadzi do podobnej sytuacji. Przyznaj się, szumowino, komu teraz zalegasz z forszą? Kto cię ma na celowniku? Ile jesteś winien?

Demos w końcu się wyprostował. Trochę się pozbierał. Patrzył Taylorowi prosto w oczy. Dzieliło ich łóżko Lindsay oraz obecność sierżanta.

- Dotrzymałem słowa, Taylor. Myślisz, że ryzykowałbym jeszcze raz? Nie chcę, żeby Eden stała się krzywdą. Mój Boże, ona jest taka...

- Ufna?

- Tak i...

- Łagodna? Wrażliwa?

- Ja bym powiedział, że jest miła i troskliwa. Kocham ją, człowieku. Och, nie tak jak ty, bo w końcu jest kobietą, ale czuję do niej miłość duchową. - Zabrzmiało to nieco podejrzenie i Demos szybko się zmytygował. - Chodzi mi o to, że zależy mi na niej.

Tak samo Glenowi. Spójrz na nią! Nie chciałbym być odpowiedzialny za coś takiego! Nigdy, przysięgam! I Demos się rozplakał.

- Chryste - powiedział Taylor. Spojrzał na Barry'ego. Ten westchnął.

- Mówi prawdę, niech go diabli.

- Powinieneś być zadowolony - powiedział zmieszany Demos, ocierając oczy. - Pobiłeś mnie, Taylor.

- Cóż, ja wcale nie jestem zadowolony - wtrącił się sierżant Kinsley. - Nie rozumiecie, głupki, co to oznacza? Dziewczyna ma wroga, prawdziwego wroga, kogoś kto się nie waha przed użyciem bomby, chociaż wokół jest kupa ludzi. Nikt z nich nie został zraniony, co znaczy, że napastnik był ostrożny. A teraz pogadajmy, muszę się dowiedzieć, kto ma coś przeciwko niej.

- Nikt - powiedział Demos z przekonaniem. - Nawet... och, nie. - Zmilkł i spojrział na Taylora.

Taylor pogładził zarost na brodzie.

- Eden właśnie odziedziczyła wielki majątek po babce i matce. Obie zginęły w wypadku

samochodowym półtora tygodnia temu. Odziedziczyła wszystko po matce i prawie wszystko po babce. Jest bardzo bogata. Jej przyrodnia siostra wściekła się. Tak samo jej ojciec. Ojciec uważa, że wszystkie pieniądze należą się jemu.

- Chcesz powiedzieć, że *La Principessa* może być w to wplątana? - spytał Demos i pobladł. - Ale ja myślałem... - zamilkł. Nabrał rozsądku i wolał trzymać usta na kłódkę.

- Kto to jest?

- To przyrodnia siostra Eden - powiedział powoli Demos. - Księżna Sydney di Contini. Także modelka. Ona i... Lindsay... Eden nie żyją ze sobą za dobrze. To się zaczęło bardzo dawno temu.

- Nazywajmy ją Lindsay - zaproponował Barry. - Z formularzy szpitalnych wynika, że nazywa się Lindsay Foxe. Gdzie mieszka jej rodzina?

- W San Francisco. Wszystko wskazuje na to, że to bardzo bogata rodzina. Mają władzę i pieniądze. Są chciwi i zachłanni.

- Jej tatuś to ten sędzia federalny, Royce Foxe?

- Nie wiem - odparł Taylor. - Wiesz coś o tym, Demcis?

- Tak. To on. Sprytny łajdak, z tego co mówi Sydney. Naprawdę sprytny, a ona właśnie po nim odziedziczyła cały swój rozum. Jest prawniczką. Skończyła prawo na Harvardzie, a potem wyszła za mąż za tego włoskiego księcia, który w 1983 roku zgwałcił Lindsay w Paryżu.

- Cooo? - Barry spoglądał to na jednego, to na drugiego. - Naprawdę? Została zgwałcona przez szwagra? W 83 roku? Ale przecież była wtedy dzieckiem.

Rozległo się stukanie do drzwi. Do separatki wszedł Enoch.

- Och - powiedział. - Cześć, sierżancie. Co tu robisz? Dostałeś wiadomość od Taylora?

- Toż to stary Enoch Sackett. Wciąż chudy jak tyczka. Czy Sheila w ogóle cię nie karmi?

- Karmi bez przerwy. To kwestia przemiany materii. Cześć, Taylor.

Enoch spojrzał na Lindsay, całą w bandażach, i zamilkł. Przełknął ślinę i przeniósł wzrok na Taylora.

- Wyjdzie z tego?

Taylor skinął głową. A potem zwrócił się do Barry'ego.

- Porozmawiam chwilę z Enochem, dobrze?

- Niech Enoch powie to nam wszystkim.

- To nie dotyczy sprawy. Informacje poufne. Nie Skłamię.

Sierżant Kinsley wyglądał na nieprzekonanego. Spojrzał na uśpioną kobietę i lekko się wzdygnął. Gestem ręki pozwolił Taylorowi opuścić pokój.

- Słyszałem o wypadku przez radio - powiedział Enoch. - Dlaczego Kinsley jest tutaj?

- To nie był wypadek. Podłożono bombę i chodziło o Lindsay.

- Chryste! Człowieku, co ty teraz zrobisz?

Taylor był bardzo zmęczony. Potrzebował snu, kąpieli, chciał się ogolić i zjeść porządny posiłek. Głowa mu ciążyła.

- Sam nie wiem - powiedział wreszcie. - Dziękuję, że to dla mnie zrobiłeś, Enoch.

- Mam dziesięć rozmaitych gazet i czasopism z artykułami na temat tamtego gwałtu. Taylor, ona miała wtedy osiemnaście lat i została zniszczona przez prasę! I jeszcze jedno. Artykuły są sprzeczne. W niektórych jest napisane, że to ona uwiodła szwagra, w innych, że jej przyrodnia siostra usiłowała zabić swego męża, a gwałt został sfingowany, żeby mogła go zamordować, a w jeszcze innych, że księżę sypiał z obydwoma siostrami jednocześnie, więc jego żona się wściekła i chciała go

zastrzelić. Jakkolwiekby pisali, zawsze robią z Lindsay małą dziwkę. Sam musisz sobie odpowiedzieć, jak było naprawdę.

W danej chwili Taylor nie był w stanie odpowiedzieć sobie na to pytanie.

- Ach, zamieścili tam nawet podsłuchany komentarz jej ojca. Powiedział, że córka jest zdziwą, a jedyną osobą, która naprawdę ucierpiała w tej całej sprawie, była Sydney, żona księcia.

Zapadło milczenie.

- W biurze wszystko w porządku? - zapytał wreszcie Taylor.

Enoch skinął głową.

- W porządku.

- Dziękuję za pomoc, Enoch. Jutro do ciebie zadzwonię.

Taylor wrócił do separatu. Lindsay nadal spała.

- Demos nie umiał mi wskazać żadnych podejrzanych poza rodziną. A ty, Taylor? - powiedział Barry ściszym głosem.

Taylor popatrzył na swoją ukochaną - kobietę, która mogła zginąć, zabita przez nieznanego sprawcę.

- Niech no się zastanowię. Lindsay ma bliską przyjaciółkę, porozmawiam z nią. I jeszcze jedno, Barry, co z ochroną Lindsay w czasie jej pobytu w szpitalu?

- Postawię na straży dwóch chłopaków. Są dobrzy, więc nie marszcz czoła, Taylor. Muszę porozmawiać z dziewczyną. Złapię jej lekarzkę i zapytam, kiedy Lindsay będzie mogła odpowiedzieć na moje pytania. Zobaczmy się później.

- Ludzie z planu powiedzieli, że zmasakrowało jej twarz - odezwał się Demos.

- Wszystko będzie dobrze - odparł Taylor.

- Myślisz, że coś widziała?

- Nie wiem. Możesz być pewien, że Barry wypyta wszystkich z planu. Módlmy się do Boga, żeby ktoś coś zapamiętał.

*

Lindsay nie spała. Oczy wciąż miała zamknięte. Leżała nieruchomo. Słyszała syczenie sztucznego płuca na stoliku obok łóżka. Żebra bolały ją i pulsowały. Czowała się tak, jakby na jej twarzy spoczywały dwie tony betonu. Ale przynajmniej mogła oddychać; i żyła. Wszystko inne mogła jakoś znieść.

Radziła sobie z bólem. Potrafiła i musiała, bo powinna przemyśleć to, co się stało. Słyszała tego mężczyznę, tego policjanta, rozmawiającego z Taylorem i Demosem. To, co się stało, nie było wypadkiem.

Ktoś usiłował ją zabić.

Nie poddawać się bólowi. Tak, musi sobie radzić z bólem, bo chce pomyśleć. Ale to było pozbawione sensu. Kto chciałby jej śmierci? Nie miała wrogów, przynajmniej o nich nie wiedziała. Więc kto? Poczowała na przedramieniu lekki dotyk palców.

- Wszystko w porządku, kochanie.

Głos Taylora. Cichy i spokojny. Nie wiedziała, że on jest przy niej. Ocierał jej oczy ligninową chusteczką. Nie wiedziała, że płacze. Pocałował ją. Lekko i delikatnie.

- Wszystko w porządku. Jestem przy tobie. Bardzo cię boli?

- Wytrzymam. - Mówienie sprawiało jej trudność. Twarz miała straszliwie obolałą. - Wody.

Taylor wsunął jej słomkę do ust. Ssała pomimo wielkiego bólu. Znowu otarł jej łzy.

- Jeżeli potrzebujesz środka przeciwbólowego, przyciśnij ten guzik. Jest podłączony do kroplówki. Pielęgniarka zrobiła to kilka godzin temu. Powiedziała, że możesz go brać, ile zechcesz. O, tak. Nie ma potrzeby znosić bólu, jeśli to nie jest konieczne.

Taylor zamilkł i czekał, aż środek zacznie działać. Nadal gładził ramię Lindsay. Wreszcie poczuł, że jej ciało się odpręży.

- Poleż chwileczkę sama, a ja pójde zawiadomić pielęgniarkę. Chciała wiedzieć, kiedy się obudzisz. Leczy cię dwóch lekarzy i obydwaj chcą cię zobaczyć.

Zamknęła oczy, czując, że ból przemija, pozostawiając dziwne wrażenie letargu i odrętwienia. Przypomniała sobie, jak cudowna wydawała jej się możliwość zlikwidowania bólu u babci przez samo przyciśnięcie takiego guzika. Teraz ona znajdowała się w podobnej sytuacji. Wciąż odczuwała pulsowanie i ciężar na twarzy, ale ból wreszcie minął.

Pierwszy przyszedł doktor Perry. Lindsay go pamiętała. Usiłowała się do niego uśmiechnąć.

- Wszystko idzie jak najlepiej - powiedział na wstępie.

- Czuję się tak, jakby moja twarz ważyła dwie tony.

- Wiem. To od uderzenia i opuchnięcia po operacji. Dlatego przez najbliższe kilka dni potrzebne będą mocne środki przeciwbólowe. Potem, z każdym dniem, ból będzie ustępował. Jutro zmienimy bandaż. Szwy zdejmemy po mniej więcej dziewięciu dniach. Wtedy będzie można ocenić skutki mojego rękodzieła.

- Czy będę wyglądała okropnie? - spytała, ledwie uchylając usta.

- Nie. Prawdopodobnie będzie pani wyglądała tak jak przed wypadkiem. Mówiłem już panu Taylorowi, że miała pani szczęście. Szkodę poniosły kości, skóra pozostała nienaruszona, co oznacza, że będzie niewiele blizn. Miała pani wielkie szczęście. Pozostanie pani piękna. Proszę się nie martwić.

- Dziękuję.

Taylor wyszedł za lekarzem na korytarz. Doktor się uśmiechał.

- Nie kłamałem. Wszystko będzie dobrze. Co do jej urody, wiem, że jest modelką i zarabia twarzą. Myślę, że musi ją pan przygotować na zmianę zawodu. Może się to okazać zbędne, ale nie mam pewności. Nigdy nie można przewidzieć końcowego rezultatu. Rozsądek nakazuje wziąć pod uwagę różne rozwiązania. Operacja przebiegła bardzo dobrze, nie okłamuję pana. Ale i tak nigdy nie wiadomo nic na pewno.

Taylor chciał jak najszybciej wrócić do narzeczonej. Podziękował lekarzowi i stał, patrząc, jak ten oddala się korytarzem.

- Widzisz kogoś podejrzanego? - zapytał funkcjonariusza Jaya Fogla, który siedział przy drzwiach Lindsay, trzymając na kolanach czasopismo „People”.

Fogel z głębokim żalem potrząsnął głową.

- Nie ma nawet ładnej pielęgniarki. A zresztą, pan jest tutaj, panie Taylor. Czy ktoś, kto ma po kolei w głowie, ryzykowałby, kiedy pan jest w pobliżu?

Fogel był niski, umięśniony i miał dziecinną twarz, która zapewne budziła w kobietach macierzyńskie uczucia. Z tego, co Taylor słyszał, Fogel natychmiast bezwstydnie to wykorzystywał.

- Bądź czujny - powiedział Taylor i wrócił do separatu.

Usiadł obok Lindsay i natychmiast dotknął jej ręki. Głaskał jej gładką skórę. Czuł, że to jej sprawia przyjemność.

- Wiem - powiedziała niewyraźnie, bo nie mogła szeroko otworzyć ust.

- Wiesz, że to nie był wypadek? - Tak.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał rzeczowym tonem. Uśmiechnął się zadowolony, że Lindsay już nie płacze. Był z niej niesłychanie dumny.

- Chcę, żebyś pomyślała o wybuchu. Bardzo szczegółowo. A oto i nasz sierżant Barry Kinsley z nowojorskiej policji, kochanie. W samą porę. Współpracowaliśmy ze sobą kawał czasu, prawdopodobnie zbyt długo. Wygląda jak zapaśnik, ale potrafi myśleć. Przyszedł tu, żeby się dowiedzieć, kto spowodował wybuch.

Barry spojrzał w jej oczy i zrozumiał, dlaczego facet taki jak Taylor oraz inni mężczyźni tracą głowy dla tej dziewczyny. Były to oczy ciemnoniebieskie, pełne cieni i tajemnic, bardzo głębokie i niewiarygodnie piękne. Reszta twarzy pozostawała dokładnie zabandażowana, nie mógł więc nic powiedzieć o jej urodzie.

- Witam, panno Foxe - skinął jej lekko głową. Lindsay skinęła głową, a potem drgnęła. Foxe!

Zwróciła oczy na Taylora, tknięta przecuciem, że on już wie, chociaż ona mu nie powiedziała.

- Lindsay Foxe - powiedział, uprzedzając jej słowa - to bardzo ładne imię i nazwisko, kochanie. Ale osobiście uważam, że Lindsay Taylor brzmi jeszcze ładniej. Co ty na to?

Milczała. Płakała z powodu ulgi, ze wstydu i żalu. Poczula, że Taylor osusza jej łzy. Co się z nią dzieje? Wciąż płacze? Nigdy w życiu tyle nie płakała. Nie panowała nad sobą.

- Ciii, kochanie. Wszystko w porządku. To nie ma znaczenia. Proszę, uwierz mi, Lindsay. A teraz, nasz Barry chce ci zadać kilka pytań. Przemyśl wszystko powoli i dokładnie. Opowiedz ze szczegółami, choćby ci się wydawały głupie, o swoich wrażeniach. Opowiedz, co działo się wczoraj rano.

Zrobiła to. Mówiła powoli. Zapominała, a potem sobie przypominała. Taylor zadawał jej pytania, a ona przypominała sobie jeszcze więcej. Potem Barry zadawał pytania pod innym kątem i Lindsay przypominała sobie co innego.

- Stałam obok tego głupiego sztucznego wyciągu i Edie zaczęła krzyczeć. Nie byłam wystarczająco szybka. Patrzyłam na nią, bo nie rozumiałam, a potem spojrzałam w górę, podążając za jej wzrokiem, i te wszystkie rzeczy zaczęły na mnie spadać.

- Nie widziała pani nikogo, kto nie powinien się tam znajdować? - spytał Barry. - Nikt nie wydawał się pani nie na miejscu?

- Nie.

- Jedno mnie dziwi, panno Foxe. Tylko pani stała obok wyciągu narciarskiego, kiedy nastąpił wybuch. W pobliżu nie było nikogo. Dlaczego znalazła się tam pani akurat w tym momencie i zupełnie sama?

Zamknęła oczy. Dlaczego?

- Och, nie - powiedziała. - Och, nie.

- Powiedz nam - poprosił Taylor. - Co widzisz? Co sobie przypominasz? - W jego głosie brzmiała niecierpliwość, ale palce na przedramieniu Lindsay głaskały ją czule i rytmicznie.

- Podszedł do mnie pewien facet z planu zdjęciowego. Przyglądałam się, jak grają w szachy. Powiedział, że jestem potrzebna, bo chcą zrobić kilka zdjęć, więc mam stanąć obok wyciągu.

- Ach, tak - powiedział Barry. - Proszę teraz pomyśleć, panno Foxe. Czy to był członek ekipy? Rozpoznała go pani?

- Nie.

- Dobrze. To prawdopodobnie ten, którego szukamy. Proszę sobie dokładnie przypomnieć, jak

wyglądał, i opisać go nam.

Lindsay wywołała go z pamięci. Widziała go równie wyraźnie jak sierżanta Kinsleya.

- Ma pięć stóp i dziewięć lub dziesięć cali wzrostu - powiedziała. - Nie więcej. Ma jasnobrązowe oczy, jasnobrązowe włosy i brwi, szerokie brwi i proste. Włosy szesane na bok i tłuste. Pamiętam je, bo były długie i wystawały spod wełnianej czerwonej czapki.

Barry był zachwycony i zdumiony.

Taylor nie wierzył własnym uszom. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale na pewno nie spodziewał się prawie fotografii.

- Przyślę do pani rysownika, panno Foxe. Będzie z nim pani współpracować?

- Tak.

- I kartotekę przestępców, ale to później. Wygląda mi na to, że facet został wynajęty. Wybuch nie wskazuje na profesjonalistów, ale i nie na amatora. Zna się na rzeczy, ale nie cechuje go to szaleńcze poczucie dumy ze swojej pracy. Nie kupił niczego, co można by było wytropić. Tak, istnieje możliwość, że został wynajęty. Panno Foxe, nie chcę pani straszyć, ale to ważne. Jak pani myśli, czy ktoś chciałby się pani pozbyć?

- Chodzi panu o to, że chce mnie zabić? - spytała Lindsay tonem pozbawionym emocji.

- Tak, właśnie - odparł Barry. Mówił tak samo rzeczowym tonem, jak Taylor. Działał uspokajająco. Lindsay omal się nie uśmiechnęła, obserwując ich taktykę, ale nawracający ból nie pozwolił jej na to.

- Nie znam nikogo takiego - powiedziała. Taylor patrzył, jak przycisnęła guzik uwalniający środek przeciwbólowy. Nie powiedział ani słowa, ale odciągnął od niej uwagę Barry'ego do czasu, aż się opanowała. Wiedział, że to dla niej ważne. Dla niego byłoby to równie ważne.

- Niedługo przyjdzie tu przyrodnia siostra Lindsay, Sydney di Contini. Czy chcesz zostać i poznać tę damę?

- A któż by nie chciał poznać prawdziwej księżnej?

*

Sydney nie przyszła sama. Towarzyszyli jej sędzia Royce Foxe i jego żona, Holly. Kiedy weszli do separatki, Taylor wstał. Spojrzał na starszego mężczyznę o patrycjuszowskim wyglądzie. Mój Boże, pomyślał, Lindsay ma jego oczy. Tylko oczy, nic więcej. No, może jeszcze jego wzrost. Ale te oczy... zupełnie jak by patrzył w oczy Lindsay.

- Co tu się dzieje? - zapytał Royce.

Głos miał zimny i twardy. Nie, jego oczy nie były podobne do oczu córki. Nie było w nich krzty ciepła, tylko lód.

Barry przedstawił siebie i Taylora.

- Oto narzeczony pańskiej córki, S. C. Taylor. Royce Foxe przyglądał się mężczyźnie, który - jak zapewniała go Sydney - był narzeczonym Lindsay. Właściwie nie wiedział, czego się spodziewać, ale na pewno nie tego, co ujrzał. Ten człowiek sprawiał wrażenie brutala. Kogoś, kto wiele przeżył. Kogoś, kto widział rzeczy, jakich wielu ludzi nie oglądało. Był przystojny, ale jednocześnie niebezpieczny, a może nawet okrutny. Z pewnością bezwzględny. I ten ktoś miałby być narzeczonym Lindsay? Sędzia pokręcił głową. Bzdura. Royce skłonny był przypuszczać, że to kłamstwo.

Skinął głową Taylorowi. Taylor najchętniej sprząłby go na kwaśne jabłko, ale wiedział, że to nie byłoby rozsądne. Nie tutaj, nie teraz.

- Zrobiło się tłoczno - powiedział. - Lindsay akurat zasnęła i nie chcę, by się obudziła. Może

przejdziemy wszyscy do poczekalni?

Royce spojrział na córkę. Wyglądała żałośnie, absurdalnie, z głową owiniętą bandażem, niczym ranny z kiepskiej komedii. Skrzywił się i odwrócił na pięcie. Barry popatrzył na Taylora, spostrzegł, że jest blady z wściekłości.

Mrugnął do Taylora. Taylor pokręcił głową. Otworzył usta, ale natychmiast je zamknął.

Barry nie tracił czasu. Kiedy znaleźli się w małej poczekalni na końcu korytarza, zwrócił się do sędziego Foxe:

- Rozumiem, że jest pan wściekły, bo pańska matka pozostawiła Lindsay cały swój majątek.

- Nieźle, sierzancie - pochwalił go Royce. - Ale i nie za dobrze. Z czasem nabierze pan umiejętności.

Taylor mrugnął do Barry'ego.

- Więc jak, nie jest pan wściekły? To czemu usiłuje pan zmusić Lindsay do zrzeczenia się spadku na pańską korzyść?

- Bo to jedyne słuszne wyjście. Jestem jedynym spadkobiercą, prawdziwym dziedzicem, nie ona. Matka była stara. Nie wiem, jak Lindsay tego dopięła, ale się dowiem. A wtedy straci wszystkie pieniądze. Jednakże nie zamordowałbym własnej córki.

Roześmiał się.

- W ciągu lat spędzonych w sądzie, widywałem wielu bardzo dziwnych ojców, sierzancie, ale morderstwo córki nie urządzałoby mnie. Pod żadnym względem.

Holly wskazała Taylora upierścienionym palcem.

- To jakieś bzdury! Cała ta historia! Założę się, że Lindsay związała się z nim, a teraz go nie chce, bo ma pieniądze, a on ich nie ma, więc usiłował ją zabić!

- Mówi w sposób mało wyszukany - Royce zwrócił się do Barry'ego. - Ale trudno jej odmówić trafności osądu, prawda?

- Oczywiście, sierzancie - odezwała się Sydney. - Nikt z nas nie skrzywdziłby Lindsay. Nie macie żadnych poszlak? A może to był naprawdę wypadek.

- Nie, to nie był wypadek - powiedział Taylor. - Policja wszystkich przesłucha. Dobrze pan odegrał swoją rolę, panie Foxe.

- Sędzio Foxe.

- Przekonamy się, prawda? Byłem gliniarzem i podobnie jak pan widziałem wielu dziwnych ojców. Uważam pana za jednego z najbardziej niezwykłych.

- A to co ma, do diabła, oznaczać?

- Nawiązuję do gwałtu na Lindsay, którego dokonał w 1983 roku jej szwagier. Pan się wtedy od niej odwrócił i oddał ją dziennikarzom na pożarcie.

- A więc tak to panu przedstawiła? - Royce Foxe natarł na niego blady z wściekłości. - Ta przekłeta mała niewdzięcznica, ta głupia zdzira. Ja... - Zamilkł gwałtownie, zdając sobie sprawę, że mówi w obecności policjanta.

Machnął lekceważąco ręką.

- Moja i żona i ja zatrzymaliśmy się w hotelu Plaza - ciągnął dalej, już opanowany. - Jeżeli życzy pan sobie z nami porozmawiać, sierzancie, oczywiście czujemy się zobligowani. Zostaniemy w Nowym Jorku tylko dwa dni. Nie ma sensu zostawać dłużej, skoro Lindsay będzie żyła.

- Tak, nie może pan planować pogrzebu, sędzio - powiedział Taylor. Nieporuszony patrzył za odchodzącym, dopóki Foxe nie zniknął mu z oczu. - Chętnie zrobiłbym mu jakąś bolesną krzywdę -

powiedział Enochowi.

- Ja także, chłopie.

Tego samego popołudnia, kiedy Lindsay się obudziła, Taylor powiedział:

- Podjąłem decyzję, Lindsay.

Niespokojnie spojrzała mu w oczy i Taylor skarcił samego siebie.

- Przestań, słyszysz? Nic mnie nie obchodzi, że mi nie powiedziałaś, kim jesteś. Rozumiem także, dlaczego mi nie powiedziałaś. Rozumiem i chętnie przetraciłbym twego tatusia. Ten facet to kupa gówna. Kocham cię i zawsze będę cię kochał. Jeżeli się zgodzisz, oto co chcę zrobić.

- Nie, zaczekaj - przerwała mu Lindsay. Zamknęła oczy, czując przyływ bólu i usiłując go przeczłupić. W końcu jej się udało. - Wierzę, że mnie kochasz, Taylor. Uważam, że to cudowne, i wierzę, że będziesz mnie zawsze kochał. Nigdy mnie nie okłamałeś i nigdy tego nie zrobisz. Po prostu już taki jesteś. Mówisz, że moje nazwisko nie ma dla ciebie znaczenia. Wierzę ci. Jestem ci za to bardzo wdzięczna. Poza moją rodziną nie przychodzi mi do głowy nikt, kto chciałby mnie zabić. - Zamilkła. Spojrzała w bok, a potem z powrotem w oczy Taylora i dodała bardzo cicho: - Jeżeli to jest moja rodzina, istnieje jedno rozwiązanie. Ożenisz się ze mną? Jak najprędzej. Wtedy, jeżeli moja rodzina kieruje się chęcią zdobycia moich pieniędzy, stracą motyw, bo ty staniesz się moim spadkobiercą.

Taylor się uśmiechnął. Chciał prosić, żeby za niego wyszła z tego samego powodu.

- Jesteś bardzo przebiegła. Co powiesz na jutrzejsze popołudnie? Jesteś protestantką. Znam prezbiteriańskiego pastora. Zgadzasz się?

Skinęła głową. Radość i ulga przeczłupily ból. Taylor starannie dobierał słowa.

- Zachowanie twojego ojca wydaje mi się irracjonalne. Tak samo twojej siostry. Co do twojej macochy, to chyba się nie liczy. Jeżeli któreś z nich lub wszyscy troje stoją za tym wybuchem, to nie przebaczą nam nigdy, ale kiedyś w końcu zapomną.

- A co z księciem?

- Sierżant Kinsley go sprawdził. Książę prawie na pewno jest teraz w Nowym Jorku. Zatrzymał się w hotelu wraz z żoną. Jeżeli motywem są pieniądze, policja wkrótce to odkryje.

Poczuł, że Lindsay sztywnieje. Poczuł jej strach i spostrzegł go w jej oczach.

- Boję się.

- Ja także. Ale coś ci powiem. Jeżeli ten człowiek spróbuje się do ciebie zbliżyć, będzie miał do czynienia ze mną. Proszę cię, uwierz mi, mówię prawdę.

- Tak jak Demos?

- Oćwiczę go.

- Będę głupio wyglądać w ślubnym welonie.

- Kiedy wreszcie uwolnisz się z tego kokonu i wrócisz do zdrowia, pobierzemy się jeszcze raz. Kocham cię. Jutro zostaniesz moją żoną.

- Tak. - Lindsay zamknęła oczy. Żona Taylora. Wyobrażała sobie ojca. Jego wściekłość. Kiedy Taylor stanie się jej mężem, ojciec nie będzie miał nad nią żadnej władzy. Czy to na jego zlecenie ktoś usiłował ją zabić? Widziała, że Holly była równie wściekła jak jej mąż. Obydwoje jej nienawidzili, oskarżali ją o nakłonienie babci, by pozostawiła jej cały majątek. Lindsay wciąż się zastanawiała, dlaczego babcia tak postąpiła.

Była już tym wszystkim zmęczona. Twarz pulsowała jej i ciążyła. Żebra bolały i swędziały. I ten okropny syk. Lekarka powiedziała, że być może już jutro odłączą jej sztuczne płuco. Ale Taylor

zgodził się z nią ożenić. Wszystko będzie dobrze.

Taylor pocałował ją i wyszedł, zapowiadając, że za kilka godzin wróci.

Wynajął prywatną pielęgniarkę, pannę Dubinsky. Minęli się w drzwiach. Jej wielkie piersi kołysały się, a pełne biodra szczelnie wypełniały białe spodnie. Na twarzy miała przymilny uśmiech. Lindsay wiedziała, że nie powinna zostawać sama, ale ta kobieta była po prostu zbyt radosna i przejęta tym, że będzie się opiekować piękną modelką. Promieniowała dobrą wolą. Lindsay zacisnęła zęby i milczała.

Dotknęła palcami bandażu okrywających głowę i prawą połowę twarzy.

Tak, teraz naprawdę była piękną. Nie uwierzyła doktorowi Perry. Nie była głupia. Taylor rozmawiał z nią o dalszej karierze, wypytywał, czego pragnęłaby w przyszłości. Nie, nie jest głupia. Taylor ją przygotowywał. Modliła się o to, by nie wyglądać jak straszidło, z jednym okiem niżej niż drugie. Modliła się, by Taylor nie poczuł do niej wstrętu, kiedy bandaż i szwy zostaną zdjęte. Modliła się, żeby Taylor naprawdę ją kochał.

Przynajmniej żyła.

Kto usiłował ją zabić?

ROZDZIAŁ 21

Ślub był piękny, chociaż panna młoda spoczywała na łóżku i miała na sobie szpitalną koszulę nocną pod satynowym szpitalnym szlafrokiem - jedno i drugie, oczywiście białe - oraz głowę obwinętą białym bandażem. W prawej ręce trzymała bukiet róż.

Sheili Sackett i Gayle Werth pozostały na przygotowania tylko dwadzieścia cztery godziny. Z pomocą pielęgniarek i salowych przeistoczyły szpitalną separatkę w ogród pełen czerwonych róż i białych goździków. Łóżko i okna przyozdobiły różową i białą krepiną.

Personel szpitala uczynił jeszcze więcej. Pielęgniarki ofiarowały Lindsay wielkie pudło prezerwatyw, a sztuczne płuco udekorowały czerwoną kokardą. Na bileciku dołączonym do prezentu widniał napis: „Do szybkiego użycia”. Na bileciku przy sztucznych płucach: „Do szybkiego usunięcia”.

Doktor Perry podarował Lindsay staroświecki zestaw, składający się z lusterka i szczotki do włosów. Podczas gdy Lindsay odpakowywała pakunek, lekarz wyjaśnił, że wkrótce znów będzie piękna, więc zechce mieć lustro pod ręką, by podziwiać siebie oraz jego dzieło. Demos i Glen okazali się niedoścignieni. Zapewnili dostawę dwudziestu czterech porcji smakołyków od La Viande.

- Wiem wprawdzie, że Lindsay może zjeść wyłącznie kanapkę z salami - powiedział Demos. - Mówiła mi, że jesteś doskonałym kucharzem, Taylor, ale ja jej nie wierzę. - Zwrócił się do Lindsay, biorąc ją za rękę. - Żądam, by moje modelki były chude. Czy powiedziałem, że wszystkie porcje składają się z siedmiu dań?

Taylor uśmieł się na widok pudła z prezerwatywami i był wdzięczny za poczęstunek.

Enoch zadbał o ciemny garnitur dla pana młodego. Przyniósł go z białą koszulą do mieszkania Taylora, na godzinę przed ceremonią.

- Spinki do mankietów - powiedział Taylor przerzucając szuflady komody.

- Masz - Enoch podał mu parę złotych spinek w kształcie jednorożców. - Spodziewałem się, że będziesz zbyt zdenerwowany, aby o tym pomyśleć. To spinki po moim ojcu. Sheila wciąż mi powtarza, że żył w świecie fantazji. I zawsze się przy tym uśmiecha.

- Dziękuję - odparł Taylor z uśmiechem. - Dziękuję także za lekcje gry na fortepianie. Skąd wiedzieliście, że chcę się nauczyć grać i że Lindsay już to potrafi?

Enoch postukał się palcem w czoło. W taksówce powiedział:

- Posłuchaj, Taylor. Może byś spróbował się uśmiechnąć. Jedziesz na własny ślub, nie na pogrzeb.

- Jestem cholernie wystraszony - odparł Taylor ledwie słyszalnym głosem.

Enoch poklepał go po ramieniu i pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Wiem, że po Diane nie miałeś zamiaru żenić się po raz drugi, a Lindsay jest pewnie jeszcze bogatsza niż Diane, ale...

- Jestem przerażony z powodu maniaka, który usiłuje ją zabić.

- Przepraszam.

- W porządku, stary - Taylor westchnął. - Śmieszna sprawa, powinienem się raczej niepokoić z powodu żeniaczki, a tak nie jest. Kocham Lindsay i wiem, że będziemy razem, dopóki nie dostanę rozmiękczenia mózgu. To dziwne, ale jestem tego całkowicie pewien. A co do pieniędzy, jakoś sobie z tym poradzimy.

- Zostaniesz w biznesie? Taylor spojrzał na przyjaciela.

- Dlaczego pytasz?

Enoch sprawiał wrażenie zakłopotanego. Wzruszył ramionami.

- Jesteś bogaty. Nie musisz się już zapracowywać.

- Nie. Bogata jest Lindsay. Ja jestem taki jak dawniej. Posłuchaj, nie zrozum mnie źle. Uważam, że facet, który drwi sobie z pieniędzy żony i uważa, że to ona powinna żyć z jego pensji, jest głupcem.

- Tak właśnie odnosiłeś się do Diane i jej pieniędzy.

- Tak. Wiem. Teraz staram się zachowywać w sposób dojrzały. Lindsay może robić ze swoimi pieniędzmi, co zechce. Jeżeli zechce włożyć część do wspólnego gospodarstwa, niech tak będzie. Możemy je zainwestować choćby w hodowlę świń albo uprawę fasoli. Albo kupimy sobie wyspę na Hawajach. A może zajmiemy się produkcją helikopterów? Może masz jakieś pomysły?

Enoch się roześmiał.

- To świetna dziewczyna, Taylor. Od listopada bardzo się zmieniła.

Taylor przypomniał sobie wieczór, kiedy wróciła z San Francisco. Wciąż czuł smak jej ust. Pamiętał jej zaskoczenie, kiedy jej dotykał, jej namiętność i żądzę. Przypomniał sobie delikatność jej ciała i zaciskające się wokół niego ciepło, kiedy w nią wszedł.

- O, tak - zgodził się z Enochem. - I ja także się zmieniłem - dodał, wspominając własne uczucia.

- Czy Barry coś zwąchał?

- Pamiętasz rysopis, który nam podała?

- Tak, nie do wiary. Nigdy nie miałem do czynienia z tak doskonałym świadkiem. Gdyby miał zamię na tyłku, prawdopodobnie wydedukowałyby to z jego akcentu.

- Lindsay nigdy dotąd nie wspominała mi o tym. Nie sądziła, że to ma jakiegokolwiek znaczenie. Ona ma fotograficzną pamięć do twarzy. Zaproponowałem, że ją przyjmujemy do interesu. W każdym razie, jeden z facetów w wydziale zabójstw zobaczył szkic i od razu rozpoznał drania. Nazywa się Bert Oswald i jest płatnym mordercą. Bywa częstym pensjonariuszem więzienia, bo zdarzają mu się liczne wpadki, ale od czasu do czasu dostaje zlecenie, co zazwyczaj kończy się odsiadką. Nie jest drogi, ale też nie za bardzo można na nim polegać.

- Jak tym razem, dzięki Bogu. Taksówka zajechała przed szpital.

- Dobrze wyglądam? - zapytał Taylor zaniepokojonym głosem.

- Kiepsko się ogoliłeś, oczy masz lekko przekrwione, jesteś wychudzony, ale tak, wyglądasz zupełnie dobrze. Prawdziwy Romeo.

Taksówkarz obejrzał się na nich z uśmiechem.

- Hej, który z was, przystojniaki, jest panem młodym? - spytał i, wciąż roześmiany, odjechał spod szpitala.

- No, i tak trzymaj - powiedział Enoch na widok szerokiego uśmiechu na twarzy Taylora.

Gayle i Sheila upiękślały pannę młodą. Upudrowały ją i uszmkowały. W jej sytuacji wyglądało

to nieco dziwnie, ale Taylor pochylił się i pocałował z twarzy Lindsay większość makijażu. Pastor, wielbny Battista, był znajomym mamy, taty i siostry Taylora. Okazał się czarujący, pełen ciepła i chętnie przystał na udzielenie ślubu w szpitalu. Nie dziwiły go żadne, choćby najosobliwsze, sytuacje życiowe. Z uśmiechem powitał Taylora i powiedział, że cieszy go spotkanie po trzech latach.

Wielbny Battista zauważył, że młodzi się kochają. Lubił udzielać ślubów, zwłaszcza gdy panna młoda nie była w zbyt rzucającej się w oczy ciąży. Ta para stwarzała wrażenie dobranej. Patrzył, jak Taylor wsuwa obrączkę na palec Lindsay. Pasowali do siebie.

Kiedy wielbny Battista ogłosił ich mężem i żoną, oczy Taylora zabłyśły. Ucałował pannę młodą. Rozległy się oklaski stojących w drzwiach lekarzy i pielęgniarek.

- Jak na fakt, że od operacji minęło dopiero pięć dni, jesteś czarującą panną młodą - szepnął Taylor do jej zabandażowanego ucha. - Wypijesz kropelkę szampana?

- O, tak. To przecież mój ślub. Doktor Shantel pozwoliła mi wypić pół kieliszka.

Oczy Taylora pociemniały. Lindsay wiedziała, że wspomniał ich jedyną wspólną noc. Wydawało się, że upłynęły od niej całe wieki. Jakby w ogóle nie istniała. Ale Taylor wciąż pamiętał echa przebrzmiałej rozkoszy, rozkoszy tak intensywnej, że aż przerażającej. Obiecał Lindsay, że pomiędzy nimi będzie tak już zawsze. A ona mu uwierzyła.

Było sześć butelek szampana. Wystarczająca ilość do obdzielenia personelu szpitala oraz dla funkcjonariusza Fogla i panny Dubinsky.

Wpadł Barry Kinsley, żeby pogratulować młodej parze i zakomunikować, iż ten gówniarz, Oswald, wciąż jest na wolności, ale wkrótce zostanie schwytany.

Taylor spojrział na swoją żonę, która rozmawiała z Glenem.

- Nie jestem pewien, czy wyjście ze szpitala będzie dla niej bezpieczne. Dziś rano odłączono sztuczne płuco. Doktor Perry mówi, że jeśli będzie się oszczędzała, równie dobrze może przejść rekonwalescencję w domu. Ale nie wiem, czy w domu będę mógł ją chronić.

- Niech zostanie w szpitalu. Tu będzie bezpieczniejsza.

- Tak.

- Jeden mały kieliszek, nie więcej - powiedziała doktor Shantel, widząc, że Glen podsuwał Lindsay następny kieliszek. - Przy lekach przeciwbólowych nie wolno pić alkoholu. Gratuluję, pani Taylor.

Lindsay zasnęła zaraz po wypiciu szampana. Doktor Shantel uśmiechnęła się i uciszyła zebranych.

- Nasza pacjentka zasnęła ze szczęścia.

- Cóż - powiedział Barry, spoglądając na panią Taylor - panna młoda zasnęła, nie doczekawszy nocy poślubnej.

- Nadrobimy to w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat.

- Brawo.

Sheila roześmiała się i spojrzała na Barry'ego wzrokiem pełnym zainteresowania.

- Lubi pan jazz, sierzancie?

- Tak, madame - odparł Barry, zwracając na Sheilę pełne zachwyty spojrzenie. - Lubię myśleć, że umiem grać na trąbce. Tak, jazz to coś specyficznego. Ostatnio słucham co wieczór Harry'ego Delliosa. On jest z...

- Z Atlanty! No, no, co za wspaniałe zbiedz okoliczności, prawda, Enoch?

- To mój kuzyn, sierzancie - wyjaśnił Enoch z uśmiechem. - Ale musisz uważać, jeśli spędzisz z moją mamą tyle czasu, co ja, staniesz się równie chudy jak ja.

- To zupełnie niezły pomysł - powiedział Barry, spoglądając na swój wydatny brzuch. A potem zwrócił się do Taylora, który pochylał się nad śpiącą żoną.
- Po przyjęciu muszę z tobą porozmawiać. Przyjęcie skończyło się kwadrans później. Barry Kinsley poprosił Gayle Werth i Taylora, żeby przeszli z nim do poczekalni.
- Taylor powiedział mi o facecie o nazwisku Gruska - zaczął bez wstępów. - O profesora, który usiłuje odnaleźć Lindsay.
- Gayle, czy myślisz, że facet może być tak zbikowany, by zechcieć ją zabić? - zapytał Taylor.
- Gayle rozejrzała się po poczekalni. Wreszcie skinęła głową.
- Tak. To świr. Według Lindsay jest bardzo przejęty stłumioną seksualnością dziecięcą, wiecie, cały ten freudyzm.
- Też tak sądzę - powiedział Taylor. - Warto spróbować. Szukałem go. Powiedziano mi, że jutro będzie na uczelni. Porozmawiam z nim.
- Pójdę z tobą - zaproponował Barry. - Nie, nie patrz tak na mnie. Nie popsuję ci zabawy, chłopie. Po prostu nie chcę, żebyś zaczął szarpać jego krawat, jeśli facet zacznie się do wszystkiego przyznawać.
- Czy przychodzi pani do głowy ktoś jeszcze, panno Werth?
- Nie, Lindsay zawsze była bardzo samotna. Zwłaszcza po roku 1983, Taylor. Pan wie, od czasu Paryża.
- Żadnych mężczyzn? - zapytał Barry. - Przed Taylorem nie miała nikogo?
- O, nie. Nie dopuściłaby mężczyzny na odległość dziesięciu stóp. Taylor był pierwszym mężczyzną, do którego się uśmiechnęła. - Zamilkła, a potem podała rękę Taylorowi. - Dziękuję panu. Lindsay jest świetna. Zawsze się o nią niepokoiłam.
- Ten chłopak ją uszczęśliwi, panno Werth - powiedział Enoch.
- Tak. Ja też tak myślę. Ten chłopak ma serce. Kiedy Gayle wyszła, Barry powiedział:
- Skończyliśmy sprawdzanie całej rodziny. Żadnych niespodzianek. Ojciec ma kłopoty finansowe - jest wystrzałowy w sądzie, ale biznesmen z niego jak z koziej dupy trąba. Żona wyszła za niego dla pieniędzy i nie jest zadowolona z tego, że Lindsay zgarnęła forszę. Fama niesie, że jest alkoholiczką. Starsza córka, Sydney, zarabia krocie jako modelka, ale wydaje jeszcze więcej, i, trzeba jej oddać sprawiedliwość, nie tylko na swoje przyjemności. Jej mąż, książę, świr, jest na najlepszej drodze do roztrwonienia rodzinnego majątku. Mają tam nieliczne kłopoty. Sydney wysyła do Włoch znaczną część swoich zarobków. Cokolwiek by na nią mówić, nie zawiódła rodziny.
- Ma tam córkę.
- Tak, z tej córeczki jest prawdziwa księżniczka. Zepsuta i rozpieszczona, powiedział mi porucznik policji w Mediolanie. Urządza sceny przy ludziach. Tak więc, jest zupełnie możliwe, że któryś z członków rodziny, albo wszyscy razem, chcieliby się pozbyć Lindsay. Jezu, jak często wszystko sprowadza się do pieniędzy. Zbyt często, przyjacielu, stanowczo zbyt często. Ale, żeby ją zabić? Sam nie wiem.
- Teraz, kiedy jesteśmy małżeństwem, sytuacja się zmieniła. Jeżeli ktoś z nich stał za pierwszą próbą, już tego nie powtórzy. Gdyby Lindsay teraz umarła, nie dostaliby ani centa. - Kto im powie, że ominął ich właśnie tłusty kasek?

*

Wszystko zdarzyło się tak szybko, że Lindsay nie miała czasu zareagować. Była zamroczone snem, umysł miała ocieślały i leniwy. Nie czuła bólu, co było błogosławieństwem. Od czasu operacji

minęło sześć dni.

Była zameźna.

Uśmiechnęła się.

I wtedy rozległ się głos, taki ciepły i taki znajomy, aż wydało jej się, że odtwarza go w pamięci, zapadając w jakiś koszmarny sen. Ale to nie był sen.

- Mała Lindsay. Biedna Lindsay. Nie wiem, czy jesteś teraz piękna. Z pewnością jesteś stara. I ta twoja nieszczęsna twarz... Zmasakrowana, tak powiedziała mi Sydney. Ale to teraz nie ma znaczenia, prawda?

Gdzież, u diabła, podziewa się Missy. Dlaczego ten młody funkcjonariusz, który miał siedzieć przy drzwiach, wpuścił go do separatu?

I wtedy zobaczyła Missy, stojącą w otwartych drzwiach i przyglądającą się księciu rozanielonym wzrokiem. Zobaczyła, że za Missy stoi młody funkcjonariusz i wpatruje się nie w księcia, lecz w pośludki Missy.

- Szwagier chciał panią zobaczyć - powiedziała Missy, pokazując w uśmiechu zęby. Chodząca dobra wola.

Nic się nie zmienił, pomyślała Lindsay. A nawet wygląda jeszcze przystojniej - jak najprawdziwszy księżę z bajki, wysoki i szczupły, elegancki, o długich i wąskich dłoniach. Ideał mężczyzny. Ma teraz co najmniej czterdziestkę.

Lubi nastolatki. Zgwałcił ją. Ciekawe, co by powiedziała Missy, gdyby poznała prawdę? Prawdopodobnie uśmiechnęłaby się jeszcze szerzej, wypięła do przodu ogromny biust i oświadczyła Lindsay, że biedny chłopiec po prostu potrzebuje prawdziwej kobiety, która by go nauczyła właściwego postępowania.

- Nie przywitasz się ze mną, Lindsay? - zapytał księżę. - Przebyłem długą drogę, żeby cię odwiedzić.

W tej chwili stało się coś dziwnego. Stary, paraliżujący strach minął. Coś się zmieniło. Poruszyła głowę, żeby spojrzeć księciu prosto w twarz. Coś w niej narastało, coś silnego, coś podłego.

Nagle poczuła się cudownie.

- Witaj, księżę. Minęło sporo czasu. Co tutaj robisz? Dziwię się, że cię wpuszczono do Stanów. Pewnie nie wiedzą, do czego jesteś zdolny.

Księżę zamarł.

- Masz zmieniony głos. Ach, rozumiem, trudno ci mówić przez ten bandaż pod brodą.

- Nie - odparła. - Bandaż mnie nie uciska. Chodzi o coś innego. Co tu robisz? Szukasz nowych terenów łowieckich?

- Jestem tu, żeby zobaczyć się z tobą - powiedział cicho i spokojnie, jakby przemawiał do krnąbrnego dziecka. - To wszystko. I żeby cię poprosić, byś przemyślała zaręczyny z tym proletariackim imbecylem. Sydney opowiedziała mi o nim, Lindsay. I muszę przyznać jej rację. Jego postępowanie jest oczywiste. Chce cię poślubić dla twoich pieniędzy. Każdy to widzi. To łobuz i do tego nieuczciwy. Był gliniarzem, prawda? On cię skrzywdzi. Nawykł do stosowania przemocy. Nie wychodź za niego za męża. Zastanów się. Daj sobie trochę czasu.

Omam się nie roześmiała. Czowała się coraz twardsza, silniejsza i coraz bardziej podła. Kiedy wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, nie wzdrygnęła się. Spojrzała mu prosto w twarz.

- Nie, księżę - powiedziała cicho i spokojnie. Uśmiechnęła się. - Jeśli spróbujesz mnie dotknąć, gorzko tego pożałujesz. Nie jestem już nastolatką, którą możesz onieśmielić i upokorzyć.

Cofnął rękę. Jego spojrzenie nie było już ciepłe i pieszczotliwe. Zaciśnął usta. Dziwne, stał się jeszcze przystojniejszy, sprawiał wrażenie niebezpiecznego. Lindsay spojrzała ponad nim na Missy i policjanta. Cofnęli się o kilka kroków, ale drzwi wciąż były otwarte. Prawdopodobnie na polecenie Taylora.

Książę pochylił się i powiedział ściszym głosem:

- Lubisz się pieprzyć z twoim plebejuszem, Lindsay? Jest dla ciebie brutalny? Ssiesz mu koguta? Lubisz to, prawda?

Lindsay spojrzała na niego. Przez wszystkie minione lata starała się o nim myśleć obiektywnie, starała się zrozumieć, jak funkcjonuje jego umysł. Zastanawiała się, dlaczego stał się taki pokrecony. Czy to się zaczęło, kiedy był jeszcze dzieckiem? A może był już dorosłym mężczyzną? Kto był za to odpowiedzialny? Ojciec? Matka? Geny? Teraz po prostu nic ją to nie obchodziło. Pragnęła wyłącznie, by sobie poszedł. Czowała się mocna, wolna, chociaż przykuta do szpitalnego łóżka.

- O, tak, Alessandro - szepnęła, patrząc na niego lśniącymi oczyma. - Mój plebejusz gwałci mnie co noc. Skuwa mi nadgarstki kajdankami i przymocowuje do wezglowia. Bije mnie do krwi, bo jest bardzo silny. Uwielbiam to. Nauczyłeś mnie to lubić, prawda? Wiele ci zawdzięczam, książę, bardzo wiele.

Książę się wyprostował.

- Zmieniłaś się, Lindsay. I to mi się nie podoba. Nikomu się to nie podoba. Kłamiesz na temat tego mężczyzny. Ale stanie się inny, kiedy się z tobą ożeni. Masz pieniądze, a on nie ma nic. Nie wychodź za niego. Jestem tu, aby cię prosić, żebyś wróciła ze mną do domu, do Mediolanu. Zajmę się tobą. Przyjmę cię do rodziny. Jesteś ukochaną ciocią Melissy. Poleć ze mną do Włoch, Lindsay.

- Nie jestem na to odrobinę za stara, książę?

- Jesteś moją drogą siostrą - odparł. - Nikim innym.

- Jakiś ty zmienny. Ale spóźniłeś o jeden dzień, książę.

- Co to znaczy? Nie rozumiem.

Od strony drzwi rozległ się niski głos:

- To znaczy, że sam wrócisz do Włoch. Ód ciebie zależy, w jaki sposób polecisz do domu. W pięknie wyścielonej trumience czy siedząc w pierwszej klasie.

Książę odwrócił się powoli. Lindsay przyglądała się temu z uśmiechem i wielkim zainteresowaniem. Przez chwilę żałowała, że Taylor przyszedł akurat w tej chwili. Chciała powiedzieć księciu, że się od niego uwolniła, że uwolniła się od przeszłości. Chciała, żeby książę przekonał się o tym i zareagował na to.

- Witaj, Taylor - powiedziała radośnie. - To mój szwagier, książę di Contini. Czyż nie jest absolutnie zniewalający? Po raz pierwszy, odkąd go znam, zdałam sobie sprawę, jak bardzo jest wyjątkowy. Posiada niewiarygodną głębię. Co na to powiesz? Chce się mną zaopiekować, ponieważ jestem jego drogą siostrą. Nikim innym. Jestem już bardzo stara, sam wiesz. Skończyłam już przecież osiemnaście lat. Po tym, jak mnie zgwałcił, stracił dla mnie cały szacunek. Teraz gotów jest pogodzić się z moim podeszłym wiekiem, ze względu na moje bogactwo. Jak myślisz, może chce, żebym mu kupowała młode dziewczynki?

Taylor zmierzył księcia od stóp do głów, od jego szytego na miarę włoskiego garnituru po buty od Gucciego.

- Myślę, że masz rację, kochanie. Jest naprawdę zniewalający. Ale termin „wyjątkowy” nie charakteryzuje go w sposób wystarczający.

- Co powiesz na „perwersyjny”? - spytała Lindsay na tyle głośno, by usłyszeli ją Missy i funkcjonariusz Fogel.

Missy westchnęła.

Funkcjonariusz Fogel zachichotał.

Taylor odwrócił się i machnął ręką, żeby odeszli.

- Widowisko skończone - powiedział i cicho zamknął drzwi. - A więc, księżę, rozmawiałeś z moją żoną?

- Tak. Chcę, żeby cię wysłała do wszystkich diabłów. Nie chcę, żebyś ją skrzywdził, a tak się stanie, bo jesteś niecywilizowanym łobuzem. Chcę, żeby poleciała ze mną do Włoch. Co powiedziałaś?

- Moja żona. Lindsay jest moją żoną. Nazywa się teraz Lindsay Foxe Taylor. Ma na palcu obrączkę. - Taylor ominął księcia i stanął przy łóżku. Uniósł jej dłoń. Pierścionek zaręczynowy błysnął, zaćmiwając blask obrączki.

- Nie, to niemożliwe! Nie mogłaś go poślubić! O, Jezu.

Księżę zamilkł, zdumiony, niedowierzający. Lindsay zastanawiała się, o czym teraz może myśleć. O pieniądzech, których już nigdy jej nie odbierze? Czy był jedną z osób pragnących jej śmierci?

Brakowało tu tylko Sydney. Pojawiła się dwie minuty później, kiedy zapadło ponure milczenie. Na widok męża powiedziała z niesmakiem i bez wstępów:

- Podejrzywałam, że tu przyjdiesz, ty durniu. Szukam cię i szukam.

Księżę spojrzał na żonę bez krzty zainteresowania. Na czole pojawiła mu się zmarszczka znamionująca niezadowolenie.

- Mówiłam ci, żebyś się trzymał od niej z daleka! Dlaczego nigdy mnie nie słuchasz? Chryste, po co w ogóle przyleciałeś do Nowego Jorku? Nie chciałam, żebyś się do niej zbliżał! Ona i tak nie uwierzy w to, co jej powiesz!

- Cieszę się, że przyszłaś, Sydney - powiedziała spokojnie Lindsay. - Naprawdę się cieszę. Nareszcie wszystko rozumiem.

Sydney spojrzała na przyrodnią siostrę.

- Zabiło ci serce na jego widok? Czyż nie jest przystojny?

- Przyszedł tu tylko po to, żeby mi powiedzieć, że chce mnie zabrać do swego domu. Chce się mną opiekować. Prawie mu uwierzyłam, bo jestem już bardzo stara, mam aż dwadzieścia sześć lat. Sama wiesz to najlepiej, byłeś w tym wieku, kiedy się z tobą ożenił. Myślę, że chodzi mu także o dostęp do moich pieniędzy.

- To już nieważne, Sydney - powiedział księżę bardzo cicho.

- Co znowu?

Przez chwilę Taylor współczuł temu mężczyźnie z powodu sarkazmu jego żony. Ale tylko przez krótką chwilę.

- Ona już za niego wyszła. Uwierzysz w to? Już jest jego żoną.

Sydney pokręciła głową.

- To prawda - powiedział Taylor. - Nie zaprosiliśmy was na ślub, bo wasze wrzaski, krzyki i przekleństwa przeszkadzałyby innym pacjentom oraz pastorowi.

- Ona za niego wyszła - powtórzył księżę.

- Jeżeli Lindsay umrze, nie dostaniecie ani centa, ani złamanego lira - powiedział Taylor. - Wszystko przechodzi na mnie. Rozumiecie mnie?

- Wyszła za niego, a on ją skrzywdzi. Wystarczy na niego spojrzeć, nieokrzesany jak wieśniak. Jak mogłaś poślubić kogoś takiego, Lindsay?

- Jesteś obrzydliwy! - powiedziała Sydney. Złapała męża za ramię i pociągnęła w stronę drzwi. - Jezu, nie mogę w to uwierzyć! - Odwróciła się w progu. - Ach, tak, siostrzyczko, wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Poproszę Valerie, żeby do ciebie zatelefonowała z kilkoma dobrymi radami. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz?

- Myślę, że wiem, Sydney. Zapytałam, czy chce być mój, a on powiedział „tak”.

- Założę się, że bardzo mu się śpieszyło.

- To prawda - powiedział Taylor. - Omal z niej nie zdarłem bandażu.

- Wyszła za niego - powiedział ksiązę, kręcąc głową. - Za niego!

- Zamknij się wreszcie! - wrzasnęła na niego Sydney. I wyszli. Ksiązę wciąż mamrotał pod nosem. Sydney była milcząca i blada.

Taylor nie odzywał się ani słowem. Patrzył na Lindsay. W końcu przemówił:

- Przykro mi, że zepsułem ci widowisko. Nie wiedziałem, że tak dobrze panujesz nad sytuacją. Chyba cię tym razem nie zranił, prawda? W końcu ujrzałaś go we właściwym świetle.

- Skąd ty tak dobrze wszystko wiesz? - spojrzała na niego z podziwem. - Masz rację. W ogóle mnie nie przestraszył. Trochę żałowałam, że przyszedłeś, ale nie szkodzi. Ksiązę jest żaloszny, nie sądzisz, Taylor?

- O, tak. Żaloszny.

Ucałował jej palce, usta i koniuszek nosa.

- Lubię dźwięk tych słów: „panować nad sytuacją”. Tak, panuję nad sytuacją. I wiesz co? Potraktowałam go sarkastycznie. Naurągałam mu. Czuję się podła i silna. To cudowne uczucie.

Taylor nie przestawał jej całować.

- Wciąż cię boli?

- Jestem wykończona, ale bólu nie czuję.

- Czy Missy jest bardzo nieznośna?

- Nie. Ale doprowadza do szaleństwa Fogla.

- Zasłużył sobie na to, chutliwy łajdak. Rozmawiali przez chwilę, a potem Taylor spojrzał na zegarek i powiedział:

- Idę się spotkać z profesorem Gruską. Barry idzie ze mną. Fogel i Missy zostaną przy tobie. Ochrzań ich za to, że wpuścili tu tego idiotę. Odpoczywaj, dobrze, kochanie?

- Uważaj na siebie, Taylor.

*

W budynku wydziału psychologii było zimno. Na korytarzu syczały stare grzejniki.

- To jego gabinet - powiedział Taylor.

Drzwi do pokoju 223 były zamknięte, ale wewnątrz paliło się światło. Usłyszeli głosy.

- Rozmawia ze studentką - powiedział Barry i chciał zastukać.

Taylor chwycił go za rękę.

- Poczekaj chwilę - powiedział. Znieruchomieli, słuchając dziewczęcego głosu. Nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Mówiła cicho, pochylając się do przodu - widzieli zarys jej sylwetki przez matową szybę w drzwiach.

- Ufam panu. Naprawdę sądzi pan, że może mi pan pomóc, profesorze Gruska?

- Ach, Bettino. Oczywiście, że mogę. Jestem tego pewien. Jesteś młoda, piękna i bystra. Stłumiłaś

tak wiele uczuć, moja droga. Twój ojciec wcale ci nie pomaga, udając, że nie zauważa, iż stajesz się kobietą. Ale ja mogę uwolnić te uczucia. Oczyszczę cię z nich. Uwolnimy je razem i pokażę ci, jak wyrażać siebie, całą siebie, dawać całą siebie i niczego nie ukrywać.

- Nie do wiary - mruknął Barry pod nosem. - Czy ten facet mówi poważnie?

- Śmiertelnie poważnie. Wygląda na to, że znalazł sobie inną ofiarę.

- Możemy ją uratować?

- Jasne. Wchodzimy.

Profesor Gruska nie od razu rozpoznał srogiego mężczyznę, który wtargnął do jego gabinetu. Za nim postępował *jeszcze bardziej* srogi mężczyzna. Profesor się zaniepokoił. A potem rozpoznał pierwszego intruza.

- Był pan u mnie. Doktor z Omaha, prawda? Doktor Winstson?

- Byłem. Ale okłamałem pana. Nazywam się Taylor, a to jest sierżant Barry Kinsley z policji nowojorskiej.

Jeśli Gruska uznał Taylora za policjanta, tym lepiej.

Taylor zamilkł i spojrział na dziewczynę. Zerwała się z krzesła i przyglądała im się z przerażeniem.

Była niska, szczupła, miała długie, proste, jasne włosy. Nie była specjalnie piękna, ale wyglądała niewinnie. Taylor usiłował sobie wyobrazić, jak Lindsay wyglądała w jej wieku. Taylor skinął dziewczynie głową i zwrócił się do Gruski.

- Chcielibyśmy z panem porozmawiać, profesorze, o Lindsay Foxe.

Gruska gwałtownie się poderwał na równe nogi, strącając z biurka kilka niebieskich książek. Dziewczyna poszła w zapomnienie.

- O, Boże! Co z nią? Widziałem ją w telewizji. Ale nie wiem, do którego szpitala została zabrana. Dzwoniłem i dzwoniłem, ale nikt nie chciał mi nic powiedzieć. Wydawało mi się, że była u Świętego Wincentego, ale wciąż mnie spławiali. W wiadomościach mówili, że to nie był wypadek. Jak ona się czuje?

Barry i Taylor wymienili spojrzenia.

- Jesteście tu z powodu tej modelki, Eden? - spytała dziewczyna, przezwyciężając strach.

- Tak - odparł Barry. - Obecny tu profesor Gruska najwyraźniej jej także chciał pomóc. Uważał, że nazbyt tłumiała uczucia, tak samo jak pani. Chciał ją od nich uwolnić, tak samo jak panią. Jest pełen najlepszych chęci. Lepiej, żeby pani stąd wyszła i przemyślała to wszystko na osobności. On naprawdę nie jest taki, na jakiego wygląda.

Dziewczyna spojrzała na Gruskę. Oczy miała ogromne ze strachu i powątpiewania, ale on nie zwracał na nią uwagi. Wybiegła bez słowa.

Być może jedna została uratowana, pomyślał Taylor.

- Lindsay wyzdrowieje. Ktoś usiłował ją zabić, to prawda. Proszę nam powiedzieć, gdzie pan był w chwili wybuchu. W poniedziałek, w południe.

- Ja? - Gruska wpatrywał się w Taylora, kręcąc głową. - Myśli pan, że mam z tym coś wspólnego? Nie skrzywdziłbym Lindsay. Ja ją kocham. Kocham ją od lat. Mój ojciec także ją kocha. Chcę się nią opiekować. Ona mnie potrzebuje, bardzo mnie potrzebuje. Tylko ja mogę jej pomóc, ale ona mi nie pozwala. Proszę, zaprowadźcie mnie do niej.

- Nierówno pod sufitem - mruknął Barry pod nosem.

- Może zechce nam pan powiedzieć, gdzie pan wtedy był, profesorze Gruska? - powtórzył Taylor.

- W poniedziałek, w samo południe.

- Byłem tutaj - odparł Gruska, wskazując swój gabinet. - Byłem tu przez cały dzień. Byłem tu z tymi idiotycznymi studentami. Widzieliście jedną z nich - idioci, sami idioci! Zabierzcie mnie do niej. Natychmiast.

- Czy przychodzi panu do głowy, kto chciałby ją zabić? - zapytał Barry bardzo cierpliwym tonem.

- Nikt. Ona jest nieśmiała. Zawsze była, bo została bardzo skrzywdzona przez szwagra. Kiedy się dowiedziałem, co jej się przytrafiło - brała udział w moich seminariach - usiłowałem jej pomóc, ale była zbyt przestraszona. Nie pozwoliła mi. Nikt nie życzył jej śmierci. Nikt, z wyjątkiem mężczyzny, który miał ochotę na zbliżenie fizyczne, a ona go odtrąciła. Zemsta mężczyzny, z którym nie chciała się przespać.

- Zna pan kogoś takiego, profesorze Gruska?

- Nie, nie. Taka nieśmiała... była zawsze taka nieśmiała. Taka daleka.

- Zna pan człowieka o nazwisku Oswald. Bert Oswald? - zapytał Barry.

Profesor Gruska spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Jak facet, który zastrzelił Kennedy'ego?

- Bez wątplenia nosi takie samo nazwisko - westchnął Barry i spojrzał na Taylora, który powiedział:

- Dziękujemy, profesorze Gruska, że poświęcił nam pan swój czas. Nie jesteśmy upoważnieni do udzielania informacji na temat miejsca pobytu Lindsay, aż do czasu ujęcia sprawcy. Lepiej będzie, jeżeli zapomni pan o niej, bo znalazła już kogoś, kto jej pomaga. Wyszła za męża i jest bardzo szczęśliwa. Nie ma żadnych problemów, proszę mi wierzyć.

- Wyszła za męża? O, nie. To niemożliwe. - Profesor wyglądał na przerażonego. Dłonie mu drżały.

- Nie, nie. Pan się myli. Znam ją. Nie dopuściłaby do siebie mężczyzny, ani na krok.

- Jest moją żoną - powiedział Taylor bardzo spokojnie. - I zapewniam pana, profesorze Gruska, że bardzo się zmieniła. Kocha mnie i darzy mnie zaufaniem. Nie jest już taką Lindsay Foxe, jaką pan znał. Lepiej, żeby pan o niej zapomniał.

Zostawili profesora przy jego biurku. Sprawiał wrażenie całkowicie zdezorientowanego.

- Widziałem wielu czubków - skwitował Barry. - Profesor to jeden z lepszych okazów. Czyż nie jest pokrzepiające, że przekazuje swoją wiedzę młodszemu pokoleniu?

- O, tak. Pokrzepiające. A my nie przybliżyliśmy się ani o krok do rozwiązania zagadki. Na pewno nie Gruska. I wiesz co, Barry? Jakoś nie potrafię uwierzyć, że odpowiedzialny jest ktoś z jej rodziny. Są odrażający, ale nie zabiliby jej. A w każdym razie nie sądzę, że wpadliby na pomysł sprzątnięcia jej zaraz po odczytaniu testamentu. Na to potrzeba czasu. Trzeba znaleźć kogoś, kto odwali robotę.

- Sędzia Foxe, z racji wykonywanego zawodu, zna niejednego utalentowanego rzezimieszka.

- Zgadza się z tobą. Ale mieli na to za mało czasu. Któreś z nich musiało to powiedzieć głośno: „Zabijmy Lindsay. Wtedy zgarniemy cały szmal i wszystko będzie dobrze”. Potem wszyscy musieli się na to zgodzić. Wtedy sędzia musiał znaleźć kogoś do wykonania mokrej roboty. Nie mieli na to wszystko dosyć czasu.

- Niestety, muszę ci przyznać rację, Taylor - westchnął Barry. - Ale w takim razie, kto?

- Do diabła, nie mam pojęcia.

- Dokąd teraz?

- Odwiedzić pannę młodą - oparł Taylor z uśmiechem.

ROZDZIAŁ 22

- Proszę się nie ruszać, pani Taylor. To tylko kilka szwów.

Pani Taylor. Jak to dziwnie brzmi.

Lindsay usiłowała skupić myśli na swoim mężu, na sobie jako żonie, ale nie umiała. Była straszliwie spięta. Była przerażona. Wiedziała, że Taylor to wyczuwa, bo trzymał ją za rękę, ściskając palce.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział, przyglądając się, jak doktor Perry odwija bandaż.

Wcześniej, na korytarzu, zapytał lekarza:

- Czy kiedy zdejmie pan opatrunek, będzie pan wiedział, czy się udało?

- Z dużym przybliżeniem. Twarz będzie opuchnięta i posiniaczona. Ale tylko przez pewien czas.

Tak, poznam, czy się udało. Niech się pan nie denerwuje, panie Taylor. Jestem naprawdę niezły.

Włosy miała przylepione do czaszki. Straciła dziesięć funtów, co było widać po twarzy. W miejscach nie pokrytych sińcami, skóra pozostała bardzo blada. Szwy wyglądały wstrętnie; czarne ścięgi zszywające skórę. Włosy ponad lewym uchem miała wygolone. Ta łysinka wyglądała tak żałośnie, że Taylor omal się nie rozplakał. Nie otwierała oczu i Taylor wiedział, że Lindsay zrobi to dopiero wtedy, gdy będzie musiała.

Twarz rzeczywiście wciąż była niesymetrycznie opuchnięta. Prawdę mówiąc, Lindsay wyglądała bardzo kiepsko. Przynajmniej dla laika. Taylor nie miał pojęcia, jaki będzie efekt końcowy.

- Jesteś piękna - powiedział bez wahania.

- To prawda - stwierdził doktor Perry rzeczowym tonem. - Jestem doskonałym specjalistą. Mam nadzieję, że ma pani ubezpieczenie, bo jestem bardzo kosztowny.

- Naprawdę? - Lindsay otworzyła oczy i spojrzała wprost na Taylora. Nie zauważyła na jego twarzy grymasu niesmaku ani obrzydzenia. Uśmiechnęła się ostrożnie.

- Panie doktorze, czy mogę się przejrzeć w lustrze?

- Jeszcze nie - oparł lekarz. - Najpierw chcę wyjąć szwy, a potem przetrzeć skórę odrobiną spirytusu, żeby usunąć zaschniętą krew. Proszę się teraz nie ruszać. Będzie trochę piekło.

„Trochę piekło” nie było odpowiednim określeniem, ale Lindsay pozostała nieruchoma jak kamień. Przymknęła oczy, kiedy lekarz przecierał ślady po szwach.

- Nie będzie żadnych blizn - powiedział. - Oczywiście nie spodziewałem się ich. Dobrze, że pani nie pali, w przeciwnym razie wszystko byłoby na nic. I przez trzy miesiące nie wolno przyjmować witaminy C. Podam pani spis zabronionych produktów. Ma pani wypoczywać i polegiwać przez dwa tygodnie. Żadnych wyczerpujących ćwiczeń. Mąż będzie na panią cierpliwie czekał. Musi pani przybrać na wadze. Doktor Shantel powiedziała mi, że żebra dobrze się goją, ale wszystkie moje zalecenia odnoszą się także do żeber. A więc, co najmniej dwa tygodnie. Dobrze, Lindsay?

Lindsay pomacała twarz. Poczowała chłodną skórę, dziwną w dotyku i szybko cofnęła dłoń.

- Zanim spojrzysz pani w lusterko, musi pani zrozumieć, że tu i tam pozostała opuchlizna, a sińce trochę zbladły, lecz wciąż wyglądają dość paskudnie. Mąż powiedział, że jest pani piękna i tak się stanie za jakiś tydzień. A teraz, proszę popatrzeć.

Po tych zastrzeżeniach, Lindsay wcale nie była pewna, czy chce patrzeć. Wzięła do ręki staroświeckie lustro i spojrzała na swoje odbicie. Przełknęła ślinę.

Przyglądała się trzem liniom szwów, dziwacznej opuchliznie, która upodabiała ją do żaby. Zielone i żółte sińce sprawiły, że się uśmiechnęła. Wyglądała śmiesznie. Jak to możliwe, że Taylor popatrzył na nią i nie parsknął śmiechem.

Milczała przez dłuższą chwilę.

Taylor zaczął się niepokoić.

Doktor Perry omal nie zaczął sobie wyłamywać palców.

- Wyglądam tak pięknie - powiedziała chichocząc - że chyba zatelefonuję do Demosa, żeby przygotował sesję zdjęciową na dzisiejsze popołudnie.

- Najpierw umyj głowę - powiedział Taylor, pochylając się, by ją pocałować.

- Rozmawiałem już z pielęgniarką o tym, jak może się pani umyć. Ona wszystko wie. Dziś wieczorem pani i Taylor zjecie pierwszy normalny posiłek. Demos zamówił dostawę z La Viande. - Uścisnął dłoń Lindsay.

- Pomyślałem sobie, że lepiej będzie, jeśli panią ostrzeżę.

- Mogę jutro wrócić do domu?

- Tak - powiedział szybko Taylor. - Missy zamieszka u nas. Damy jej trzecią sypialnię. Nie chcę, żebyś była sama w domu, kochanie. Barry oddelegował do nas funkcjonariusza Fogla, który prawdopodobnie całą swoją uwagę zwróci na Missy, ale przynajmniej będzie was troje. Dopóki się nie dowiemy, kto za tym stoi, nie chcę, żebyś została sama.

- To nie profesor Gruska? - Nie.

- I nikt z mojej rodziny?

- Prawdopodobnie nie. Nie mieliby dość czasu, by wszystko zaplanować.

Lindsay westchnęła. W takim razie, kto?

- Dziękuję panu, doktorze - powiedziała. - Kiedy znów pana zobaczę?

Ustalili wizytę na następny poniedziałek. Taylor miał przywieźć Lindsay do prywatnego gabinetu doktora na rogu Piątej Alei.

- Trzecie piętro, lokal 306.

Kiedy zostali sami, Lindsay powiedziała:

- Proszę cię, Taylor, nie udawaj, że wyglądam pięknie.

- Dobrze - odparł z uśmiechem. - Ale wiesz, że lubię oglądać w telewizji „Wojownicze żółwie Ninja”. Teraz mam jednego na własność.

- Schudłeś.

- Ty także.

- Będiesz ze mną sypiał, jeśli przykryję twarz gazetą?

Taylor zastanawiał się, czy Lindsay ma na myśli samo spanie czy seks.

- Może to ja zakryję twarz? Musimy napocząć to wielkie pudło z prezerwatywami.

Nie miała na myśli seksu, poznał to po wyrazie jej oczu. Ale pomyślała o tym teraz, co Taylor także zauważył.

- Dobrze - powiedziała i ziewnęła.

Taylor przyglądał się jej. Spostrzegł figlarny uśmiezek na ustach Lindsay. Wyobraził sobie, jak nakłada prezerwatywę, wyobraził sobie, jak Lindsay uśmiecha się na ten widok i rozkłada dla niego nogi.

- Pójdę się napić wody - powiedział.

*

Następnego dnia rano zabrał ją do domu. Twarz przesłoniła ciemnymi okularami. Włosy miała tak miękkie, puszyste i lśniące, tak pofalowane, że zapragnął zagłębić w nie twarz i dłonie.

Fogel przywiózł Missy samochodem policyjnym, co, jak wyznał Taylorowi, podniecało kobiety.

Ku swemu zdumieniu i rozczarowaniu, znalazłszy się we własnej sypialni, Lindsay poczuła się całkowicie wyczerpana.

- To głupie - powiedziała.

- To rekonwalescencja, dziecino - odparł Taylor.

- Ale co z naszą nocą poślubną?

- Z czym? Ach, tak. Zupełnie o niej zapomniałem. Szturchnęła go pięścią w brzuch.

Przespała cały ranek i część popołudnia. Kiedy się zbudziła, Missy przyniosła jej lunch. Powiedziała, że Taylora nie ma, ale Fogel siedzi w salonie. Prawdopodobnie rozmyślał, jak uwieść Missy.

O godzinie drugiej zadzwonił telefon. Missy odebrała i zawołała Fogla.

Lindsay słyszała jego głos, ale nie rozróżniała słów. Po chwili wszedł do sypialni i powiedział z wyrazem ulgi na chłopięcej twarzy:

- To był kapitan Brooks. Powiedział, że złapali tę gnidę, Oswalda, i, że mam zaraz jechać na posterunek.

Nagle zdał sobie sprawę ze znaczenia własnych słów i popadł w przygnębienie. Spojrzał na Missy i zaklął pod nosem:

- Cholera! Potrzebują mnie - dodał. - Odprowadzisz mnie do samochodu? - spytał Missy.

- Chwileczkę - powiedziała Lindsay. - Czy ten kapitan Brooks mówił coś więcej? Kto wynajął Oswalda?

- Tego nie powiedział, pani Taylor. Chce pani, żebym do niego zatelefonował?

Lindsay widziała, że Missy jest gotowa, by sprawić przyjemność funkcjonariuszowi Foglowi. Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nie, zostaw mi numer. Sama do niego zadzwonię. Dziękuję i życzę powodzenia.

Fogel podał telefon kapitana, a potem on i Missy włożyli płaszcze i objęci wyszli z mieszkania.

Lindsay wybrała numer. Rozległ się jeden sygnał, drugi. Po trzecim, odebrał jakiś mężczyzna:

- Okręg dwunasty, Johnson przy aparacie.

- Czy mogę mówić z kapitanem Brooksem?

- Chwileczkę.

Czekała. Złapali go! Złapali Oswalda! Dzięki Bogu. Ale kto go wynajął? Wkrótce będzie po wszystkim, wkrótce Oswald wszystko wyśpiewa. Dłonie jej zwilgotniały. Wkrótce, już niedługo, będzie wiedziała, kto pragnął jej śmierci. Już niedługo.

W słuchawce rozległ się inny męski głos.

- Halo? Słyszałem, że chce pani rozmawiać z kapitanem Brooksem.

- Tak, proszę.

- Od czterech dni jest na urlopie, madame. Wróci dopiero w poniedziałek.

O, Boże! Kłamstwo, podstęp, żeby wywabić Fogla z domu.

- Nazywam się Lindsay Foxe - Taylor. Kapitan Brooks właśnie tu dzwonił i powiedział, że Oswald został schwytany. Kazał Foglowi wrócić na posterunek.

Cisza.

A potem nagle:

- O, cholera! Niech pani posłucha, pani Taylor, niech się pani upewni, czy drzwi są zamknięte. Zaraz tam wyślę ludzi.

- Co? Pan myśli, że... Co się dzieje? Połączenie zostało przerwane. Całkowicie i nagle.

Żadnego sygnału, tylko cisza, głucha cisza.

Lindsay odsunęła słuchawkę od ucha. I wtedy zrozumiała. Ten człowiek nie odłożył słuchawki. Ktoś przeciął kabel. Przełknęła ślinę i spojrzała na drzwi sypialni. Powinna zamknąć zamki w drzwiach wejściowych. Wiedziała, że Missy tego nie zrobiła, odprowadzając Fogla. Teraz pewnie całuje się z nim w samochodzie.

O, Boże!

Wstała. Jej żebra zaprotestowały przenikliwym kluciem, ale Lindsay to zlekceważyła. Strach spowodował przyływ adrenaliny. Długa flanelowa koszula pętała jej nogi. Lindsay wypadła z sypialni i stawiając drobne kroki, pobiegła ku drzwiom wejściowym.

Otworzyły się.

Zatrzymała się z poślizgiem. Nie spuszczała z nich oczu. Stała jak wmurowana, modliła się i patrzyła.

Nie była zaskoczona widokiem mężczyzny, który wślizgnął się do mieszkania. Nie była także zaskoczona, że ma rewolwer i celuje z niego prosto w nią. Był to ten sam człowiek, który pojawił się na planie zdjęciowym. Na widok Lindsay, posiniaczonej, bladej i przerażonej, uśmiechnął się.

- Cześć - powiedział. - Jeszcze żyjesz, kochaneczko? Wielka szkoda. Miałaś szczęście, suko. - Zamknął drzwi na zamek. - Nie martw się o dziewczynę z wielkimi cyckami. Nie wróci tu szybko. Jest zbyt zajęta pieprzeniem się z tym gliną w policyjnym wozie. Dżentelmen zaparkował w ustronnej alejce, żeby nikt im nie przeszkodził. Kto powiedział, że gliniarze są pozbawieni subtelności? Jesteśmy tylko we dwoje. Boże, wyglądasz teraz jak brzydkie kaczątko. Nie lepiej umrzeć, niż tak okropnie wyglądać przez resztę życia?

Lindsay poczuła, że skręcają jej się wnętrzności. Usłyszała walenie swego serca. Czy on także je słyszy? Czy poczuł jej strach? Czy widzi jej przerażenie? Czy to go bawi? A potem usłyszała swój głos, słabiutki i cichy:

- Ale dlaczego? Dlaczego chcesz mnie zabić? Co ja ci zrobiłam?

Bert Oswald wzruszył ramionami.

- Szkoda, że wyglądasz jak straszdyłło, bo moglibyśmy się troszkę zabawić, zanim cię załatwię, tym razem na dobre. Słuchaj, przykro mi, ale raczej się śpieszę.

Sądząc po tempie, w jakim ten gliniarz odchodził z dziewczyną, wkrótce będzie po wszystkim. Oczywiście ja także mogę z nią mieć trochę przyjemności, kiedy tu wróci.

Lindsay zawróciła i pobiegła. Usłyszała głośny świst. Kula rozplątała boazerię, sześć cali ponad jej głową. Usłyszała, że mężczyzna biegnie tuż za nią. Znów usłyszała świst i, o Boże, pocisk trafił ją w ramię. Poczowała lodowato piekące uderzenie, a potem nic tylko odrętwienie. Wbiegła do sypialni, zatrzasnęła za sobą drzwi i przekręciła zamek. W tej samej chwili przypomniała sobie coś, co nieraz widziała na filmach i szybko odskoczyła w bok. Szczęśliwe posunięcie. Pocisk przebił drzwi,

rozsiewając drzazgi.

Lindsay przypadła do ściany, dysząc z przerażenia. Wiedziała, że musi myśleć, działać, ale, dobry Boże, nie mogła się nawet poruszyć. Ile potrzeba czasu na zniszczenie kulą zamka?

Ile ma czasu?

Otworzyła oczy i rozejrzała się po sypialni. Nie spostrzegła nic, co by się mogło okazać pomocne. Bez wahania pobiegła do łazienki. Jeszcze jedne drzwi, jeszcze jeden zamek. Dodatkowa ochrona. Ale kiedy znalazła się w środku, nie miała już odwrotu.

Drzwi łazienki były grubsze niż w sypialni. Zaklęła, żałując, że nie zastawiła ich jakimiś meblami; w ten sposób zyskałaby na czasie. Za późno. Już za późno. Zapaliła światło. Zobaczyła w lustrze własne odbicie i nie poznała kobiety o dzikim wzroku, która wyglądała, jakby ujrzała śmierć.

Broń. Potrzebuje broni. Nie ma zamiaru pozwolić się zabić bez walki. Otworzyła apteczkę. Wygarnęła butelki z pólka na podłogę. Toczyły się, podskakiwały, tłukły. Usłyszała, jak drzwi do sypialni uderzają w ścianę. Napastnik był już blisko. Szybko się zorientuje, gdzie ukryła się Lindsay. Kobieta rozejrzała się w popłochu. Dzięki Bogu, łazienka była staroświecka, o wysokim suficie, obszerna. Lindsay miała gdzie się poruszać.

W apteczce nie znalazła nic przydatnego.

Upadła na kolana i otworzyła szafkę pod zlewem. Środki czyszczące. Szczotka klozetowa, gąbki, jedna zielona i jedna żółta, obydwie starte od używania, puszka Ajaksu, rolka papieru toaletowego i butelka sosnowych soli do kąpieli - och, tak - ale, niestety, prawie pusta. Lindsay odrzuciła ją na podłogę. O, Boże, w głębi szafki, dostrzegła puszkę lizolu. Środek w aerozolu do czyszczenia muszli klozetowej, wanny i kafelków. Mocno się pieniący i gwałtownie wydobywający się z pojemnika. Chwyciła go i zaczęła potrząsać. Był prawie pełny. Przycisnęła korek i uwolniła pianę. Stop, dość, musi mieć ją na napastnika.

Usłyszała jego głos. Przyciskał twarz do drzwi.

- Jesteś tam, mała? Nie mam czasu do stracenia. Przeciąłem kable od telefonu i nie wiem, ile trzeba czasu, żeby przyszedł tu ktoś do naprawy. Nie chciałbym skrzywdzić twojej cyncatej pielęgnareczki. Musisz otworzyć drzwi. Jeśli tak zrobisz, załatwię sprawę naprawdę szybko i bezboleśnie. Nic nie poczujesz. W przeciwnym razie... - zawiesił głos w nadziei, że ją przerazi. Ale Lindsay tylko się uśmiechnęła.

Ścisnęła w dłoniach puszkę lizolu. Jak to zrobić? Jak go dopaść?

Powoli podniosła się z kluczek i podeszła do drzwi. Uważała, by nie stanąć na wprost nich, w razie gdyby tamten zechciał strzelać.

- No - namawiał Oswald. Jego głos brzmiał zachęcająco i przymilnie. Boże, pomyślała Lindsay, czy jest tak głupi, by sądzić, że go wpuszczę?

Rozległ się ostry dźwięk; pocisk przebił drewniane drzwi i wpadł do łazienki, rozbijając płytkę nad wanną.

Lindsay poczuła uderzające ją okruchy, ostre małe kawałeczki, ale w ogóle się tym nie przejęła.

Teraz. Wiedziała, że musi działać.

Zbliżyła się do wyjścia. Przysunęła prawą rękę w kierunku klamki. Zobaczyła krew przesiąkającą przez flanelę koszuli, dużo krwi, ale w tej chwili nie obchodziło jej to. Krew po prostu wyglądała dziwnie, obrzydliwie, taka czerwona i mokra, na miękkim białym materiale. Nie czuła bólu.

Kiedy Oswald strzelił, tym razem w zamek, Lindsay przekreśliła gałkę. Jeszcze raz. Tak, jeszcze raz.

Oswald strzelił ponownie, głośno przeklinając.

Lindsay gwałtownie otworzyła drzwi.

Trzymał w ręku rewolwer. Drzwi uderzyły go i odepchnęły. Ale wciąż mocno ścisnął broń i był szybki. Jednak Lindsay go zaskoczyła i to dało jej przewagę.

Parsknął i niemal od razu się pozbierał, ale ona była szybsza. Uniosła pojemnik z lizolem, wycelowała w twarz napastnika i przycisnęła korek. Gęsta biała piana trysnęła prosto w oczy Oswalda.

Wrzeszczał, a piana wypełniła mu usta i zaczęła z nich wypływać. Upuścił rewolwer. Odskoczył do tyłu, zasłaniając twarz rękami. Wygrzebywał palcami pianę z oczu. Lindsay odrzuciła puszkę. Schyliła się i uderzyła mężczyznę z całej siły pięścią w brzuch. Potem kopnęła go w jądra. Zawył i upadł na kolana. Wtedy kopnęła go w kark.

Krzyczał, leżąc na boku. Z pianą na ustach wyglądał jak chory na wściekliznę. Lindsay dyszała ciężko, a on patrzył na nią z takim bólem i furią w oczach, że znowu poczuła paraliżujący strach. Cofnęła się.

- Jeszcze cię urządzę - wydyszał Oswald. - Boże, i to jak. - Podniósł się na klęczki i usiłował wstać. Dostrzegł swój rewolwer i rzucił się, by go podnieść.

Lindsay kopnęła go w nerki. Upadł płasko na twarz.

Przez drzwi wejściowe wbiegł Taylor, a za nim dwaj policjanci. Zastygli na chwilę, słysząc straszliwe wrzaski.

Taylor wpadł do sypialni. Zatrzymał się. Patrzył. Patrzył na Lindsay, kopiając napastnika w nerki. Oswald upadł na podłogę i skulił się, krzycząc i wymyślając. Lindsay uniosła nogę.

- Wystarczy! Lindsay, dosyć! - zawołał Taylor. Czowała w sobie moc. Czyniła ją niezwyciężoną. Było to potworne, a jednocześnie cudowne uczucie; miała ochotę zabić. Chciała go zabić, natychmiast.

Właśnie próbowała wymierzyć kolejny cios. Taylor chwycił ją i szarpnął, a potem mocno do siebie przytulił. Czuł dziki łomot jej serca, czuł skurcze jej mięśni i zrozumiał, co się z nią dzieje.

- Dopadłeś go - powtarzał. - Zniszczyłeś go. Pobiłeś, Lindsay. Już po wszystkim. Po wszystkim, kochanie.

Była sztywna. Bardzo daleka od niego. Od samej siebie. Minęło kilka minut, zanim się odprężyła. Spojrzała na Taylora.

- Lizol - powiedziała. - Piana. Zaskoczyłam go tym lizolem z nienacka i z odległości cała trysnęłam mu w twarz. Z tą pianą na mordzie wyglądał jak wściekły pies. - Roześmiała się nienaturalnie. - Albo jak beza. Starał się ją wyjąć palcami. Nie wiem, czy wypaliło mu oczy. - A potem nagle jęknęła: - Moje ramię.

Spojrzała na przesiąkniętą krwią flanelę, zobaczyła krople spadające na podłogę. Zamilkła. Starła się zrozumieć. Zbladła, popatrzyła na męża niewidzącym wzrokiem i po raz pierwszy w życiu zemdląca.

- O, Boże! Nie!

Taylor odwrócił się. Oswald sięgał po swój rewolwer. Jeden z policjantów już trzymał go na muszce. Wrzasnął na Oswalda, żeby tego nie robił. Żeby nie był durniem.

- Rzuć broń!

Ogłupiała z bólu Oswald skupił całą swoją furię na źródle owego bólu i wycelował rewolwer w Lindsay.

Policjant wystrzelił.

Oswald wydał z siebie ciche miauknięcie. Zwrócił głowę w stronę policjanta, usiłując coś powiedzieć, a potem upadł na bok.

- Myślę - powiedział Taylor - że potrzebne są dwie karetki. - Był wdzięczny losowi, że Lindsay nie widziała, co się stało.

Podniósł ją z podłogi i położył na łóżku, podwijając rękaw flanelowej koszuli.

- Oswald nie żyje?

- Żyje, ale jest poważnie ranny. Dave postrzelił go w głowę. Rana nie jest śmiertelna. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Dobrze. Musimy go utrzymać przy życiu, dopóki nie powie, kto go wynajął.

- Co z panią Taylor? Taylor obnażył jej ramię.

- Pocisk przeszedł na wylot. Krwawi jak zarzynany wieprz, ale nic jej nie będzie, dzięki Bogu. - Z uśmiechem spojrzał na jej twarz. - Poradziła sobie. Gdybyśmy nie przyszli na czas, chyba by go zabiła. Starajcie się go utrzymać przy życiu, chłopaki.

Policjant owinał głowę Oswalda ręcznikiem. Taylor pochylił się nad Lindsay.

- Kocham cię - powiedział i pocałował ją w usta.

*

- Znow ten cyrk z mediami - westchnął Demos i zasapany wszedł do separatki. - Prawie mnie dorwali, ale w ostatniej chwili Glen wepchnął mnie do windy służbowej.

- Tak, prawdziwe szaleństwo - zgodził się Taylor. Spojrzał na Lindsay, która nie spała, ale była oszołomiona środkami przeciwbólowymi.

- Taylor, przykro mi to mówić, ale...

- O co chodzi, Demos?

- O jej ojca. Jest na dole i wygląda na to, że znowu będą z nim kłopoty.

- O, nie. Tylko nie to. Co powiedział?

- Glen go słucha i czeka na nas. Słyszałem, jak bredził coś o tym, że Lindsay zawsze lubiła rozgłos, nawet gdy miała osiemnaście lat, wtedy w Paryżu, kiedy uwiodła swego szwagra. Lubi się pokazywać - jest w końcu modelką, prawda? - i chętnie się publicznie rozbiera. Kiedy jest w pobliżu, zawsze dzieje się coś złego. Jezu, można by pomyśleć, że sama się postrzeliła! Nie wiem, czy mówi to teraz reporterom. Prawdopodobnie tak.

Taylor powoli podniósł się z krzesła stojącego przy łóżku Lindsay. Uśmiechnął się do Demosa.

- Załatwione. Dość tego. Ojciec nie ojciec, idę mu przyłożyć w łeb.

Demos nie próbował go zatrzymać. Najchętniej pomógłby mu, gdyby Taylor się zgodził. Pod drzwiami stał teraz inny policjant.

- Nie ruszaj się stąd na krok, Dempsey. I nie wpuszczaj tu nawet samego Pana Boga ani żadnych jego pomocników, zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, sir. - Dempsey słyszał o tym, co zrobił Fogel. Nikt nie wejdzie do pokoju pani Taylor, chyba że po jego trupie.

Taylor był spokojny. Zrobi, co powinien. Nie mógł zrozumieć nienawiści, jaką ojciec darzył Lindsay. Własną córkę. Już on go oduczy tej nienawiści, raz na zawsze. Zjechał na dół. W holu panowało istne piekło. Reporterzy wyrzaskiwali pytania, wszędzie było pełno kamer i aparatów. A W środku tego chaosu stał Royce, Foxe, wytworny i przystojny, w każdym calu sędzia federalny. Milczał. Obok niego znalazła się Sydney - Unosiła wysoko głowę, piękna i zdecydowana. Patrząc z

uśmiechem przed siebie, wyciągała ojca spośród ciżby. Spostrzegła Taylora i skinęła mu głową. Powiedziała coś do ojca.

Taylor bez słowa poszedł za nią, odpychając napierających reporterów. Reporterzy natychmiast go rozpoznali i rzucili się za nim. Taylor milczał, nie przestając ich usuwać z drogi. Dziennikarze byli niemiłosierni. Sydney przepychała się w kierunku działu administracji szpitala. Weszła do jakiegoś gabinetu, za nią sędzia, zaraz potem Taylor i wreszcie Demos. Jakiś bystry człowiek zatrzasnął drzwi tuż przed nosem reportera.

- Dziękuję - powiedziała Sydney do trzech pracowników administracji. - Proszę, zostawcie mnie teraz z moim ojcem. Nie czuje się dobrze i muszę z nim porozmawiać.

Pracownicy nie wyglądali na zachwyconych.

- Tak - powiedział Taylor. - Lepiej wyjdźcie na korytarz, zanim reporterzy rozniosą szpital.

Trzej mężczyźni szybko wyszli z biura. Demos zamknął za nimi drzwi.

- W porządku, Taylor - powiedziała Sydney, spoglądając na szwagra. - Nic z tego, co powiedział, nie trafiło do reporterów. Słyszeli go tylko Glen i Demos oraz kilku pracowników szpitala. Uciszyłam go w porę. Teraz muszę go zapakować do samolotu i odtransportować do Kalifornii. Demos, pomożesz mi?

- Dlaczego go powstrzymałaś, Sydney?

- Bo pluje nienawiścią i... - I?

Tylko pokręciła głową.

- Ach, tak, Sydney. Gdyby wygarnął wszystko mediom, straciłby wszelkie szanse na odzyskanie pieniędzy, prawda? Dlatego go powstrzymałaś.

- Nie!

- W takim razie bałaś się o własną skórę. Bałaś się, że tym razem skandal zaszkodzi tobie, nie Lindsay. Boże, ale z ciebie ziółko.

Spoliczkowała go.

Taylor zacisnął pięści, ale ani drgnął. Uśmiechnął się do niej.

- Mam nadzieję, że Lindsay cię wykopie! - krzyknęła.

Taylor tylko pokręcił głową.

*

Lindsay siedziała na łóżku, spoglądając na ciemność za oknami. Myślała o tym, że ma szczęście. Po dodatkowych badaniach zaordynowanych przez doktora Perry, który był bardzo zaniepokojony, okazało się, że jej twarz goi się bardzo dobrze. Po tym wielkim wysiłku trzeba było specjalną taśmą naciągnąć skórę wzdłuż zdjętych szwów. Żebra ucierpiały bardziej, ale także się goiły. Rana postrzałowa nie była groźna, jednak Lindsay straciła sporo krwi. Okazało się, że Taylor ma tę samą grupę, więc mógł być dawcą.

Nie doznała szoku, co wprawiło wszystkich w zdumienie. Spojrzała na zszyte ramię i spytała Taylora:

- Och, kochanie, czy będę miała bliznę?

Roześmiał się, nie przestawał się śmiać, kiedy pielęgniarka bandażowała ranę.

Lindsay znowu dostała separatkę. Tym razem inną, ale od poprzedniej różniła się tylko tym, że jej okna wychodziły na rzekę, a na ścianie naprzeciw łóżka wisiała reprodukcja obrazu Degasa.

- Niech tu zostanie na noc - mówiła doktor Shantel do Taylora. Dlaczego nie mówi do mnie? - zastanawiała się Lindsay. Nie jest przecież omdlewającą panią z czasów wiktoriańskich. Zagryzła

wargi.

- To była seria urazów - ciągnęła doktor ściszym głosem. - Może polecę państwu dobrego psychiatrę, który pomoże jej przez to przebrnąć.

- Nie potrzebuję psychiatry - powiedziała Lindsay głośno. - Chcę wiedzieć, kto wynajął Oswalda. Jeśli się tego nie dowiemy, doznam szoku i wyląduję u czubków.

- Ona ma rację - powiedział Taylor. - Będę miał na nią oko, pani doktor. - Lindsay ma charakter i potrafi być zła jak sam diabeł. No, i nie jest głupia. Powie mi, gdyby coś było nie w porządku. Proszę się nie martwić. Nawet jeśli mi nie powie, nie jestem ślepy.

Kiedy w końcu zostali sami, po raz pierwszy od czasu zajść w mieszkaniu, Taylor powiedział:

- Rozmawiałem z Barrym. Oswald jest na chirurgii. Jego szanse przeżycia wynoszą jakieś pięćdziesiąt procent. Nie, to nie na skutek twoich kopniaków. Policjant postrzelił go w głowę. A teraz, droga żono, jak się czujesz?

- Dostanę rentę dla weteranów wojennych?

Taylor był zachwycony. Zastanawiał się, ile z jej brawury było na pokaz, ale doszedł do wniosku, że to nie ma znaczenia. Trzymała się i pokazywała mu, że się trzyma. A to miało dla nich obojga wielkie znaczenie.

Taylor położył się obok niej na łóżku.

- Twoja twarz się nie rozpadła. Doktorowi Perry kamień spadł z serca. Powiedział, że opuchlizna utrzyma się dłużej i że musisz mieć tę taśmę na liniach szwów.

- Mnie też ulżyło. Wyglądam okropnie?

- Tak. Ale jestem krótkowidzem, więc za bardzo mi to nie przeszkadza.

- Wiesz co, Taylor?

- Co? - spytał, muskając jej szyję ustami.

- Odkąd cię poznałam, nie nudzę się ani przez chwilę. Z drugiej strony, obawiam się, że mogę nie nadążyć ze zdrowieniem, bo z pewnością nadejdą nowe rozrywki.

Taylor milczał.

- Taylor?

Uniósł się na łokciu i spojrzał na Lindsay.

- Myślę, kochanie, że właśnie trafiłaś w dziesiątkę. Patrzyła na niego bez słowa. Piekło ją ramię, ale to nie miało znaczenia. Prawie tego nie zauważała.

- Nie mogę uwierzyć, że wcześniej na to nie wpadłem. Może patrzymy na sprawę pod złym kątem. Powiedziałaś, że dostarczam ci coraz to nowych rozrywek. A jeśli te ataki są skierowane nie przeciwko tobie, lecz przeciwko mnie?

- Czy to możliwe?

- Narobiłem sobie wrogów. Przez wiele lat byłem gliniarzem. Muszę porozmawiać z Barrym. Barry obiecał, że przyjdzie do szpitala, kiedy skończy jeść kolację.

- Czy wy dwoje nigdy nie myślicie o jedzeniu? - spytał poirytowany.

- A teraz - powiedział Taylor, nachylając się nad Lindsay - muszę ci zadać pytanie.

- Strzelaj.

- Tylko nie to, Lindsay. Powiedz mi, dlaczego ojciec cię nienawidzi.

Spojrzała na niego czystymi szczerymi oczami.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Zastanawiałam się nad tym i wciąż się zastanawiam. Pytałam o to matkę i babkę, ale one zawsze odpowiadały, że to sobie wymyśliłam albo że ojciec ma stresującą

pracę. W końcu babcia przyznała, że ojciec kocha Sydney najbardziej na świecie. Powiedziała: „Wygląda na to, że on należy do ludzi, którzy nie potrafią kochać więcej niż jedną osobę”.

- Zawsze cię źle traktował? Pokręciła głową.

- Nie, to się zaczęło jakiś czas przed ślubem Sydney. Zanim skończyłam szesnaście lat. Po prostu odwrócił się ode mnie. Całe swoje uczucie i zainteresowanie przeniósł na Sydney, która zresztą większość czasu spędzała poza domem. Teraz, kiedy o tym myślę, widzę, że jego nieporozumienia z moją mamą zaczęły się w tym samym czasie. Mama bardzo przybrała na wadze i zaczęła nadużywać alkoholu, zupełnie tak samo jak teraz Holly.

- Sydney jest od ciebie o dziewięć lat starsza.

- Tak. To oznacza, że kiedy się to zaczęło, musiała być na studiach w Harvardzie. Nie w San Francisco.

- Pamiętasz coś, co mogłoby wpłynąć na uczucia i zachowanie ojca? Co tłumaczyłoby tę jego złośliwość?

- Nie. Co masz na myśli, Taylor? Pocałował ją.

- Myślę, że w końcu znajdziemy jakąś odpowiedź. I jeszcze jedno, kochanie. Po operacji Oswald będzie śpiewał jak z nut. Nie martw się.

- Dlaczego miałabym się martwić. Mam przecież ciebie.

ROZDZIAŁ 23

Barry Kinsley stał obok Taylora. Obydwaj wpatrywali się w dwuskrzydłowe drzwi, w których miał się pojawić chirurg.

- Spostrzegłem dziś u siebie siwy włos - powiedział Taylor, nie spuszczając oczu z drzwi.

- A ja przez te wszystkie kłopoty twojej żony cierpię na niestrawność. Moja żona powiedziała, że jeżeli dzisiaj nie złapię winnego, nie będzie ze mną sypiać przez pięć miesięcy.

- Dlaczego akurat pięć miesięcy?

- Bo za pięć miesięcy nasz dzieciak idzie na uczelnię i ona się obawia, że stanie się taka chutliwa, że będzie jej wszystko jedno, co zrobiłem.

- Nie wiedziałem, że macie dziecko. Jedno?

- Czworo. Chodzi o najmłodszego, który wybiera się na studia. Prawdziwy dynamit.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

Wyszły z nich dwie rozmawiające pielęgniarki. Ani śladu chirurga.

Minęły trzy minuty. Taylor i Barry spacerowali w milczeniu.

I wtedy pojawił się chirurg. Starszy mężczyzna o zmęczonych wyblakłych oczach. Miał na sobie zielony, poplamiony krwią kitel. Zdjął z głowy czepek i powiedział:

- Nie przeżył. Przykro mi. Pocisk spowodował poważniejsze uszkodzenia, niż sądziłem. Gdyby nawet przeżył, byłby jak jarzyna. Przykro mi.

- Cóż, stało się - westchnął Barry. - Dziękujemy, doktorze.

Taylor ruszył w stronę windy. Czuł się podle. Wcisnął guzik.

- Czy ten facet nie miał żadnych krewnych? Może skontaktowalibyśmy się z kimś, przez kogo został wynajęty?

Barry pokręcił głową.

- Ani żywego ducha. Sprawdzałem. Samiuteńki jak palec. Jezu, Taylor, znowu jesteśmy w punkcie wyjścia.

- Co będziemy teraz robić, Barry?

- Z niego już nic nie wyciśniemy. Ale mówiłeś, że masz jakieś nowe pomysły. Chodźmy do Lindsay.

Kiedy podeszli do separatki, zobaczyli Sydney kłócącą się z Dempseyem, który nie chciał jej wpuścić. Widać było, że Sydney gotowa jest go pobić.

- Nie, madame - powtarzał niestrudzenie Dempsey. - Przykro mi, ale nikt tam nie może wejść. Nawet sam Pan Bóg i jego aniołowie. Takie otrzymałem rozkazy. Jeśli kogoś wpuszczę, Taylor wypruje mi flaki.

Słyszając to, Barry uniósł brew. Zanim Sydney zdążyła przyłożyć Dempseyowi, Barry zawołał:

- Będziemy na nią mieli oko, stary! - Uśmiechnął się do Sydney i otworzył przed nią drzwi. - W

porządku, chłopie - dodał, wchodząc.

Taylor milczał.

Lindsay spała. Z opuchniętą i posiniaczoną twarzą wyglądała jakby wróciła z wojny. Taylor zapytał szeptem:

- Sędzia odleciał do domu?

- Tak. Czekałam, aż wsiądzie do samolotu, a potem, aż samolot wystartuje. - Sydney spojrzała na przyrodną siostrę. - Boże, wygląda okropnie. Wylize się z tego?

- Tak, powiedziała, że chce rentę dla weteranów wojennych.

- Przychodzę, żeby zawrzeć ugodę. - Spojrzała na sierżanta Kinsleya. - Nie chcę, żeby tego słuchał. To sprawa pomiędzy nami, Taylor. Kiedy usłyszysz, co mam do powiedzenia, nie zechcesz, żeby Lindsay była w to zamieszana.

- Dobrze. Jaka ugoda?

Nie odpowiedziała, tylko znów spojrzała na Barry'ego.

- Mógłbyś poczekać na korytarzu, Barry? - zapytał Taylor. - To niedługo potrwa.

- Nie powinno - zgodziła się Sydney. Milczała, dopóki Barry nie zamknął za sobą drzwi.

Odsunęła się od Taylora. O dobre dwanaście stóp.

- Więc? - spytał Taylor.

- Chodzi o mojego ojca. Na pewno się zastanawiałeś, dlaczego tak jej nienawidzi. Jestem tu po to, żeby ci wyjaśnić.

Taylor upewnił się, czy Lindsay nadal śpi.

- Dobrze. Tylko nie podnoś głosu - powiedział.

- Słowo daję, nic nie wiedziałam, aż do chwili śmierci babci. Dowiedziałam się już po odczytaniu testamentu, kiedy Lindsay odleciała do Nowego Jorku. Grayson Delmartin, adwokat babci, odwiózł Lindsay na lotnisko i wrócił do rezydencji. Ojciec natychmiast na niego napadł, wrzeszczał, że go oskarży, że te pieniądze się Lindsay nie należą, że poinformuje wszystkie gazety stanowe. Że następnego ranka zamieści w prasie ogłoszenie i że odzyska pieniądze. Nie miałam pojęcia o czym mówi. Holly także nie.

- Sydney, na miłość boską, do rzeczy.

- Powiedział, że Lindsay nie jest jego córką. Dowiedział się o tym jakieś dziesięć lat temu i poinformował o tym swoją matkę. Ale ona już o tym wiedziała. Wiedziała i w ogóle jej to nie przeszkadzało. Nakazała mu, żeby milczał, że nie życzy sobie, by o tym rozpowiadał. Zgodził się, a jakże, powiedział, że będzie milczał, ale tylko pod warunkiem, że matka zapisze mu całą forszę Foxe'ów.

- Sędzia nie jest jej ojcem - Taylor pokręcił głową. - To szaleństwo. Widziałem ich razem. Odziedziczyła po nim oczy - mają identyczne, ciemnoniebieskie, tajemnicze, głębokie. I ich kształt, dokładnie taki sam. Czy ten człowiek jest ślepy? A może chodzi o dawno zaginionego brata bliźniaka?

- Ojciec wyrzeszczał Delmartinowi, że to jego stryjeczny brat, Robert, jest ojcem Lindsay i że potrafi to udowodnić.

- Stryjeczny brat? - powtórzył Taylor, nie rozumiejąc. - Lindsay nigdy nie wspomniała o stryjecznym bracie ojca, który byłby do niej podobny. Nigdy nie mówiła o krewnych.

- Nigdy go nie widziała. Nie wiedziała nawet o jego istnieniu. Bo i skąd? Ta nieszczęsna suka, jej matka, nie powiedziała jej, to pewne. A stryjeczny brat był tam krótko, a potem wyjechał i już

nigdy nie wrócił. Nie żyje. Zginął pod koniec lat siedemdziesiątych w wypadku narciarskim w Alpach. Dowiedziałam się tego wszystkiego, kiedy ojciec wydzierał się na Delmartina.

- Są jakieś zdjęcia tego Roberta? Babcia nigdy o nim nie wspominała?

- Żadnego zdjęcia, żadnych informacji.

- Cóż to za jakaś cholerna rodzina? Ach, przepraszam, zapomniałam, jesteś jej częścią. Dalej, Sydney, kończ z tym. Domyślam się już, do czego zmierzasz.

- Moja cena rośnie, z każdą twoją złośliwością, Taylor. Ten Robert był synem młodszego brata mojej babki i najwyraźniej jego wiernym odbiciem. Te oczy są dziedziczne. Oczywiście, nigdy nie grzebałam w rzeczach babci. Ani przed, ani po jej śmierci. Pamiętam, że się zastanawiałam, dlaczego ojciec tak nie znosi Lindsay. Oczywiście, nigdy mnie ona zbyt nie interesowała, ale pamiętam, że w pewnej chwili zauważyłam, że coś się zmieniło. Nie byłam tylko pewna, kiedy to się stało, bo często przebywałam poza domem. Ojciec zaczął się od niej opędzać. Oczywiście, zawsze uwielbiał mnie - głównie z powodu mojej matki. Mówił, że wyglądam tak jak ona. Kochał moją matkę ponad wszystko. I tak, poprzez nią, całą jego miłość i całe zainteresowanie, przeszły na mnie.

- A ty poszłaś w ślady ojca i przejęłaś od niego nienawiść do siostry.

Sydney wzruszyła ramionami.

- Była beznadziejna. A zresztą jest moją daleką krewną.

- W porządku, Sydney. Będę dokuczliwy. Jak zamierzasz powstrzymać ojca przed rozgłoszeniem prawdy?

- Przed przyjściem do szpitala zatelefonowałam do Delmartina - powiedziała Sydney z uśmiechem. - I powiedziałam mu, czym ojciec zagroził. Roześmiał się i powiedział, że babcia przewidziała jego pogroźki i przedsięwzięła kroki, by im zapobiec i że ojciec będzie bardzo rozczarowany i nie dopnie swego.

- Jakie kroki?

- Nie wiem.

- Prawdopodobnie coś w rodzaju legalnej adopcji, załatwionej pomiędzy matką i babką Lindsay.

- To by było bardzo w stylu starszej pani - powiedziała Sydney. - Ta nędzna stara...

- Do rzeczy, Sydney.

- Dobrze. Za pięć milionów dolarów możesz sobie kupić moje milczenie; Lindsay nigdy nie pozna prawdy. - Taylor uniósł brew. - Nazwę to po imieniu, kochasiu, za pięć milionów dolarów Lindsay nigdy się nie dowie, że jej matka była zdzirą, a ona sama jest bękartem.

Taylor się roześmiał.

- Dlaczego sądzisz, że jej ojciec nie będzie rozgłaszał prawdy dla samej zemsty?

- On będzie się z tobą targował osobiście, możesz być pewien. Kiedy tylko ochłonie i zrozumie, jakie możliwości niesie z sobą znana mu prawda, zjawi się tutaj i zechce dobić interesu.

Taylor milczał.

Sydney wiedziała, że nie należy go popędzać.

- Dobrze - powiedział w końcu.

- Ot tak, po prostu? Rozstaniesz się z pięcioma milionami?

- O, nie. Nie dostaniesz ani centa.

- Wiesz, jaki to będzie miało wpływ na twoją ukochaną żoneczkę? Twoją bezcenną, bardzo, bardzo bogatą żoneczkę?

- Nigdy się nie dowie. Przynajmniej nie od ciebie. Co do twego ojca, na razie jest niewiadomą.

Będę się z nim układał, kiedy się tu zjawi.

- Będziesz się układał ze mną!

- Nie.

- W porządku. Obudźmy Lindsay i powiedzmy jej prawdę.

- Nie podnoś głosu, Sydney - powiedział Taylor, chwytając ją za ramię. - Nie obudzisz jej.

Wysłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia. Ja także chcę z tobą zrobić interes.

- Nic na mnie nie masz - powiedziała, ale w jej oczach pojawił się wyraz niepokoju.

- Twoja cudowna matka - powiedział Taylor bardzo cicho. - Kobieta, którą twój ojciec uwielbiał, kobieta, która umarła, kobieta idealna, po której wszystkie inne były tylko jej nędznymi kopiami. A ty jesteś taka jak ona i dlatego ojciec tak cię uwielbia.

- Co z moją matką?

Taylor dosłyszał strach w jej głosie. Dobrze ukryty, ale obecny. Była dobra, naprawdę dobra.

- Chciałabyś dostać jej adres, Sydney? Odskokczyła od niego, jakby ją uderzył.

- Kłamiesz!

- Nie podnoś głosu, bo cię wywlokę na korytarz. Nie musiał jej wywlekać. W jednej chwili wyminęła Taylora i wybiegła z pokoju. Taylor popędził za nią. Nie uśmiechał się. Ktoś w końcu musi to zrobić. On to robi.

Sydney stała na korytarzu, opierając się o ścianę. Głowę odchyliła do tyłu, zamknęła oczy. Nie otwierając ich, bardzo cicho spytała:

- Kłamiesz, prawda?

- Zapytaj swego ukochanego ojca.

- Ona nie żyje. Umarła, kiedy miałam sześć lat. Ojciec przyszedł do mnie do szkoły i powiedział, że mama jest w niebie. Płakał i tulił mnie do siebie. Ona nie żyje. Znienawidziłam Jennifer, kiedy ojciec przyprowadził ją do domu. Pokazała, ile jest warta, prawda? Dziwka. I urodziła Lindsay, bękarta. Była żoną ojca niecały rok, a już zaczęła się puszczać! Niech cię diabli, moja matka nie żyje.

- Nieprawda - Taylor chciał jej powiedzieć, że jej matka prawdopodobnie odeszła od ojca, bo był jej niewierny. Że tym samym odeszła także od własnej córki, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło.

I wtedy, z sekundy na sekundę, oczy Sydney stały się lodowate.

- Więc co proponujesz, Taylor? To, co mówisz, może być prawdą, kogo to obchodzi. Ale ta prawda nie ma żadnej wartości.

- Myślę, że obchodzi twego ojca. Okłamał cię. Myślę, że nie byłby zachwycony konfrontacją z własnym kłamstwem oraz z tamtą kobietą. Kto wie? Skoro wierzysz, że tak bardzo ją kochał, może, kiedy ją znowu zobaczy, uda mu się namówić ją do rozwodu z aktualnym mężem i do powrotu.

- Ona nie żyje!

- Może zechce przylecieć do Nowego Jorku i będziesz ją mogła przedstawić swoim wystrzałowym przyjaciółkom. A może zechce odwiedzić swoją wnuczkę w Mediolanie. Co o tym myślisz, Sydney?

- Kłamiesz, łajdaku!

- Zastanawiam się, ile masz małych przyrodnych siostrzyczek, a ilu przyrodnych braciszków? Myślisz, że wszyscy są równie sprytni, piękni i czarujący jak ty?

Spoliczkowała go. Odchylił głowę do tyłu.

Taylor bardzo spokojnie chwycił ją za obie ręce i unieruchomił.

- Szczerze mówiąc, nie posiadam się ze szczęścia, że nie jesteś moją szwagierką. Choć prawdopodobnie masz jakieś dobrze ukryte zalety, bo ma je większość ludzi. A teraz słuchaj. Nie piñiesz Lindsay ani słówka na temat jej matki. Polecisz prosto do domu, do tatusia i powiesz mu, że jeśli otworzy jadaczkę, jego eks-żona zjawi się na progu. Skoro chce skandalu, będzie go miał. Zrozumiałeś, Sydney?

- Mam nadzieję, że Lindsay od ciebie odejdzie. Roześmiał się.

- Nie mieliśmy jeszcze miesiąca miodowego. Masz zamiar kupić laleczkę voodoo?

- Lindsay jest taka pokrecona, że to ty od niej odejdziesz!

- Jestem twemu ojcu za coś głęboko wdzięczny. Za to, że nie powiedział ci o Lindsay.

Wyobrażam sobie, jak byś przez te dziesięć lat im obydwu dokuczała - Lindsay i jej matce. A teraz już idź, Sydney. Idź i trzymaj się od nas z daleka.

Puścił jej nadgarstki. Sydney roztarła je i bardzo powoli odeszła. Nie obejrzała się ani razu.

Taylor westchnął. Jezu, pomyślał, chyba dobrze zrobiłem. Nieważne, jak postąpią Sydney i jej ojciec. I tak powie Lindsay o jej matce i prawdziwym ojcu. W swoim czasie. Wiadomość, że sędzia Royce Foxe nie jest jej ojcem, odniesie pożądany skutek.

Zastanawiał się, czy matka Sydney rzeczywiście żyje.

Pół godziny później Lindsay się obudziła. Barry i Taylor usiedli przy niej na łóżku.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość - powiedział Barry. - Nikt z twojej rodziny nie był zamieszany w sprawę. Wygląda na to, że Taylor ma rację.

- To znaczy?

- Poprzez ciebie chcą się zemścić na nim. Lindsay poczuła uderzenia własnego serca oraz całkowitą bezsilność. Spojrzała na Taylora.

- Wytlumacz mi, proszę.

- Mam kilka pomysłów. Niestety... - urwał. Odetchnął głęboko i dokończył. - Oswald nie żyje, kochanie. Ale nie martw się, dowiemy się, kto go wynajął. Już wkrótce.

Chciało jej się płakać. Wyc. To niesprawiedliwe! Taylor rozumiał, co czuła. Bardzo spokojnie wyjął z futerału swoją trzydziestkę ósemkę i podał Lindsay, mówiąc:

- Weź to i trzymaj w szufladzie szafki nocnej. Kiedy drań się do ciebie zbliży, nie wahaj się ani chwili. Odbezpiecz, wyceluj i naciśnij spust. OK?

Barry chciał przypomnieć, że przy drzwiach stoi policjant w mundurze, ale zmilczał. Zeszłym razem policjant nie zdał się na wiele.

Poklepał Lindsay po ramieniu i życzył jej dobrej nocy.

Taylor miał spać w separacie. Na dostawionym łóżku. Dla wygody i dla bezpieczeństwa. Poszedł do łazienki umyć zęby i wziąć prysznic. Wrócił po kilku minutach, ubrany w koszulę, której Lindsay nigdy przedtem nie widziała.

- Jest nowa - wyjaśnił, widząc jej uniesione brwi. - Nie chcę gorszyć lekarzy i pielęgniarek. Nie mogę tu przecież paradować nagi, chociaż takiego pewnie chciałybyś mnie widzieć.

- Nie możesz zamiast tego spać ze mną?

Taylor westchnął. Miał na to ochotę, ale bał się, że może zrobić jej krzywdę.

- Może potrzynam cię w objęciach, dopóki nie zaśniesz? Proszek nasenny powinien zaraz podziałać.

Objął ją lekko i ostrożnie. Lindsay westchnęła i powiedziała:

- Nie mogę uwierzyć, że Oswald ośmielił się umrzeć.

- Ja także. Gnida.

- Co teraz będziesz robił?

- Muszę przejrzeć wszystkie sprawy, którymi się zajmowałem przez, powiedzmy, trzy lata przed odejściem z policji. Zajmie to trochę czasu, ale poradzę sobie. Nie masz powodu do obaw.

- Wiem - powiedziała i przytuliła się do niego mocniej.

Taylor nie mógł uwierzyć, że Lindsay jest przy nim, że jest jego żoną i że go kocha. Pocałował ją w skroń.

- Jesteś dzielna i odważna, L.

- I jestem lepsza w łóżku od wszystkich kobiet, jakie miałeś?

- Tak. Jest pewna historia, którą chciałbym ci opowiedzieć, może powinienem był to zrobić wcześniej, a może nie. To historia o dziewczynie.

- O jednej z twoich przyjaciółek?

- Nie. Pamiętasz, jak ci opowiadałem, że byłem w Paryżu w tym samym czasie, co ty? W kwietniu 83 roku? - Skinęła głową i Taylor poczuł, że sztywnieje w jego ramionach, usiłując otoczyć się pancernem, ukryć się, obronić. - Oczywiście, że pamiętasz. Jak ci mówiłem, kocham Francję. Jechałem przez Paryż na motocyklu, a wtedy ten przeklęty Peugeot wypadł z rykiem z bocznej uliczki i potracił mnie. Miałem szczęście. Wpadłem w kępę krzaków, ale tylko złamałem rękę. Karetka zawiozła mnie na pogotowie do szpitala Świętej Katarzyny. Leżałem, czekając na lekarza w małym pomieszczeniu. I wtedy przywieźli tę młodą dziewczynę, która została zgwałcona. Położyli ją w tym samym pokoju, za przepierzeniem.

- Taylor, nie, cholera, nie.

- Ciii. Słuchałem jej krzyków i płaczu. Słyszałem, co mówili lekarze, w ogóle się nią nie przejmując, bo była cudzoziemką. Słyszałem, jak pielęgniarka starała się ją uspokoić i ochronić. Ale we Francji roku 83 lekarzami i szefami byli mężczyźni, w dodatku akurat wtedy zdarzył się karambol i mieli wielu rannych. W końcu zobaczyłem tę dziewczynę, kiedy ją stamtąd wywozili. Potem, na lotnisku de Gaulle'a, czekając na samolot, kupiłem parę gazet i przeczytałem o tym zdarzeniu. Praktycznie żaden z artykułów nie pisał o niej prawdy, o czym dobrze wiedziałem, bo leżałem obok na pogotowiu. Zapamiętałem jej nazwisko. Nazywała się Lindsay Foxe. Pamiętam, jak myślałem, że nikt nie powinien przeżywać takiego upokorzenia, takiej niesprawiedliwości. I to mnie odmieniło. Nie mogłem uwierzyć w to, co czytałem, bo znałem prawdę z pierwszej ręki. Lindsay cicho płakała. Taylor mówił dalej:

- Ten gwałt na tobie, Lindsay, zupełnie mnie odmienił. Nigdy przedtem nie zetknąłem się z gwałtem. Owszem, wzywano mnie czasem do spraw tego rodzaju, ale nie zdawałem sobie sprawy z upokorzenia i bezsilności kobiety. Prawdę mówiąc, jednym z powodów, dla których odszedłem z policji, był właśnie gwałt. Młoda, czternastoletnia dziewczyna została zgwałcona przez swego wuja. Masz więcej szczęścia niż ona, Lindsay. Ona tego nie przetrzymała. Ty przeżyłeś, bo jesteś silna i masz charakter. I, szczęśliwie dla mnie, odnalazłem cię i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Prawda?

Taylor poczuł się cudownie oczyszczony.

- Lindsay? Już po wszystkim, kochanie. Wkrótce schwytemy tego bandytę. A potem już tylko Connecticut i biały domek, i pies, i pół tuzina dzieciaków. Jak ci się to podoba?

Cisza.

W końcu powiedziała cicho:

- Na Manhattanie dzieje się tyle różnych rzeczy, Taylor. Jest tyle rozmaitych rzeczy, których nigdy

nie doświadczyłam, a zawsze chciałam przeżyć. Czy moglibyśmy przeżyć je razem? Kocham nasze mieszkanie. - Jestem ustępliwy. Masz to jak w banku.

*

Taylor i Barry siedzieli w biurze. Taylor przeglądała stare sprawy. Powiedział Lindsay, że wróci do niej z teczkami i razem je przestudiują.

Lindsay czekała na Taylora. Ramię pulsowało, chciała je rozetrzeć, ale kiedy go dotknęła, poczuła gwałtowny ból. Twarz pulsowała jeszcze bardziej i Lindsay co chwila dotykała palcami sklejoną taśmą linię szwów.

Miała ochotę wstać i pospacerować. W końcu odrzuciła cienki koczek i spuściła nogi z łóżka.

Ten niewielki wysiłek sprawił, że zakręciło jej się w głowie i musiała odpocząć, ciężko dysząc. Rozbolały ją żebra. Zakłęła. Miała dwadzieścia sześć lat, a czuła się jak niedołączona staruszka.

Wkrótce wróci do zdrowia. Już niedługo. Musi być cierpliwa. Boże, przecież jest cierpliwa. Postawiła stopy na podłodze.

Usłyszała, że drzwi cicho się otworzyły.

- To ty, Taylor? Tak się cieszę, że wróciłeś. Znalazłeś coś ciekawego?

W progu stał lekarz w białym kitlu i ze stetoskopem na szyi. W ręce trzymał kartę. Uśmiechał się do Lindsay. Skinął głową i zamknął za sobą drzwi.

- Kim pan jest?

- Doktor Grey. Doktor Shantel prosił mnie, żebym do pani zajrzał i zrobił pani zastrzyk.

- Znowu zastrzyk! Jaki tym razem?

- Antybiotyk. - Wyjął z kieszeni strzykawkę. Podeszedł do Lindsay. - Może być w rękę. Proszę wrócić do łóżka.

Lindsay zamarła.

Doktor Shantel jest przecież kobietą!

Lekarz uśmiechał się do niej zachęcająco. Nie widziała go nigdy przedtem. Nigdy w życiu. Nie, nie, nie jest przecież głupia. Przyjrzała mu się. Była pewna. Nigdy go nie widziała.

Przyszedł tu, żeby ją zabić.

Nie miała dokąd uciekać. Otworzyła usta i wrzasnęła na całe gardło. A potem jeszcze raz.

W jednej chwili znalazł się przy niej. Rzucił się na nią i powalił na łóżko. Unieruchomił ją lewą ręką. W prawej trzymał strzykawkę.

Lindsay wrzasnęła jeszcze raz.

- Zamknij się, do cholery!

Uniósł dłoń, żeby ją uderzyć, ale Lindsay wywinęła się i uniosła nogi. Poczuła przypływ siły i uderzyła go kolanami w plecy; krzyknął i przewrócił się na podłogę.

Lindsay wpadła w panikę. Wysunęła szufladę szafki nocnej. Z uśmiechem wyjęła z niej trzydziestkę ósemkę Taylora i wycelowała w napastnika. Kręcił głową, był blady z wściekłości. Błyskawicznie wstał, trzymając strzykawkę wysoko nad głową, tak aby Lindsay nie mogła mu jej wytrącić.

- Ten przeklęty bękart dał ci broń! - wrzasnął i natarł na Lindsay.

Nacisnęła na spust. Strzykawka „wyskoczyła” w powietrze. Mężczyzna chwycił się za prawy nadgarstek. Spomiędzy palców pociekła mu krew.

Patrzył na Lindsay.

- Ty przeklęta suko!

Nacisnęła spust po raz drugi. Tym razem bez rezultatu.

- O, cholera! - powiedziała i rzuciła w niego rewolwerem. Nie trafiła, ale to już nie miało znaczenia.

Wyskoczyła z łóżka i w jednej chwili znalazła się przy nieznanym. Jak oszalała okładała go pięściami, a z jej gardła dobywał się przeraźliwy wrzask. Mężczyzna wywinął się, zaklął i starał się ją uderzyć, ale ból w nadgarstku był nie do wytrzymania. Lindsay rąbnęła go pięścią w gardło. Facet zacharczał, odskoczył i wybiegł z separatki, podtrzymując zraniony nadgarstek.

Lindsay stała, dysząc, i patrzyła na drzwi.

Kiedy Taylor i Barry wbiegli do separatki, zobaczyli zdysznaną kobietę z rewolwerem Taylora w dłoni.

- Cholera, nie można ufać technice - powiedziała. - Ta rzecz wystrzeliła tylko za pierwszym razem.

Taylorowi serce skoczyło do gardła. Widząc, że Dempsey oddalił się z posterunku, omal nie umarł z niepokoju. Patrzył na Lindsay i na rewolwer, który zawiódł.

- Chryste - powiedział.

Pięć minut później odnaleźli funkcjonariusza Dempseya nieprzytomnego, w męskiej toalecie. Szukała go połowa szpitalnego personelu.

Nikt nie widział człowieka, który usiłował zabić Lindsay.

Taylor wiedział, kto to był.

*

Dwie godziny później Taylor, Barry i jeszcze dwaj policjanci pojechali do domu maklerskiego, Huma, Drinwatera i Hendersona przy Water Street. Wcześniej wstąpili do luksusowego mieszkania Ashcrofta, ale znaleźli tam jedynie kilka zakrwawionych ręczników i otwartą apteczkę. Oraz notes z terminami spotkań.

- Łajdak - powiedział Barry, wsiadając do samochodu.

- Wiem, gdzie jest jego biuro - powiedział Taylor.

- Jedziemy - zadysponował Barry.

- Z przyjemnością.

Kiedy wjechali na czternaste piętro, Taylor powiedział:

- Dzwoniłem, żeby sprawdzić notatki z jego terminarza. Sekretarka mnie poinformowała, że Brandon Waymer Ashcroft jest oczekiwany na spotkaniu rady nadzorczej za dwadzieścia minut. To właśnie teraz.

- Wujek Bandy - powiedział głośno Barry, kręcąc głową. - Cóż za zdrobnienie.

- Chcesz poznać prawdę teraz czy potem, Barry?

- Teraz.

Taylora dziwił spokój Barry'ego.

- Wujek Bandy molestował seksualnie swoją siostrzenicę, Ellie, odkąd skończyła dziesięć lat. Pewnego popołudnia znalazłem się przypadkowo koło jej domu i zobaczyłem matkę Ellie, wybiegającą z eleganckiej kamienicy. Wrzeszczała, że jej mała córeczka wykrwawi się na śmierć. Ellie rzeczywiście krwawiła. Ten łajdak właśnie ją zgwałcił i dostała krwotoku. Zmusiłem matkę Ellie, żeby świadczyła przeciwko niemu. Nagrałem zeznanie dziewczynki. Serce by ci pękło, gdybyś ją słyszał, Barry. Była takim słodkim dzieckiem i takim zaszczutym.

Barry chrząknął, wpatrując się w ścianę windy.

- Okazało się, że wujek Bandy jest bogaty i ustosunkowany i że kieruje tym domem maklerskim. Utrzymał siostrę, a w zamian żądał rewanzu w naturze, to jest, mówiąc bez osłonek, dostępu do malej. Zaareztowaliśmy go, a on po godzinie był na wolności. Zmusił siostrę, żeby odwołała zeznania. Wywinał się. Odtworzyłem nagranie z zeznaniem Ellie sędziemu Rikerowi. Musiałem coś zrobić, ale to, oczywiście, nie wystarczyło. Sędzia skasował nagranie i powiedział, że istnieje szansa, że wujek Bandy zapłacił siostrze za odwołanie zeznań i że matka z córką znikną z Nowego Jorku. Sędzia naprawdę wierzył, że Ellie będzie już bezpieczna. Ale tak się nie stało. Dwa tygodnie później dziewczynka wyskoczyła z trzeciego piętra przez okno toalety w swojej szkole.

- I wtedy odszedłeś z policji, Taylor?

- Tak. Ale musiałem jakoś pomścić Ellie. Sprąłem wujka Bandy'ego na kwaśne jabłko. Dorwałem go przed jego luksusową kamienicą. Chciałem go zabić, ale nie zabiłem. Może powstrzymały mnie twoje nauki wyniesione z akademii policyjnej. Kto wie? Jakiś czas potem powiedział, że jeszcze mnie dopadnie. Śmiałem się z tego, Barry. Nie patrzyłem mu w oczy. Gdybym spojrział, uwierzyłbym mu.

- Jesteśmy na miejscu.

Drzwi windy rozsunęły się, ukazując wielki hol z francuskimi antykami, grawiurami i dyskretnym oświetleniem.

Na ich widok podniosła się z za biurka jakaś kobieta. Odrazu zrozumiała, że przybysze nie są członkami rady. Wyglądali nieodpowiednio.

Joanna Bianco, przebiegła i energiczna, podeszła do nich i powiedziała aksamitnym głosem:

- Panowie, przykro mi, ale pan Ashcroft jest teraz na spotkaniu rady nadzorczej. Proszę mi podać nazwiska, a ja...

Barry pokazał jej odznakę.

- Sierżant Kinsley, madame. A to jest S. C. Taylor. Zobaczymy się z panem Ashcroftem niezwłocznie.

- W takim razie go przyprowadzę.

- O, nie - powiedział Taylor. Chcę, żeby został tam, gdzie jest. U szczytu swego wielkiego mahoniowego stołu, przewodnicząc zgromadzeniu dżentelmenów po sześćdziesiątce. Krótko mówiąc, chcę go upokorzyć. To ścierwo.

Joanna Bianca zmierzyła go nieprzeniknionym wzrokiem.

- Myślę, że zrobił coś naprawdę podłego, żeby zasłużyć na to miano.

- Coś bardzo podłego - powiedział Taylor. Cofnęła się i wskazała im drzwi.

- Tędy - powiedziała.

Barry zwrócił się do policjantów:

- Miejcie oczy otwarte, chłopaki. Widzieliście jego zdjęcie. Jeśli facet będzie próbował umknąć, strzelajcie, ale nie zabijajcie go.

Taylor pchnął ciężkie dwuskrzydłowe drzwi. Otworzyły się bezszelestnie, do wewnątrz. Pokój miał co najmniej trzydzieści stóp długości. Na podłodze leżał jasnokremowy dywan berberyjski, ściany pokryte były ciemnym drewnem i półkami pełnymi książek. Dłuższą ścianę stanowiło okno, zakryte w tej chwili grubymi rypсовymi zasłonami. Pośrodku pokoju znajdował się długi stół. Wzdłuż niego poustawiano srebrne tace ze srebrnymi karafkami. Przed każdym uczestnikiem zebrania stała kryształowa szklanka z wodą. U szczytu stołu siedział wujek Bandy - pan Brandon Waymer Ashcroft. W dłoni trzymał wskaźnik i mówił coś na temat wiszącego za nim wykresu.

Na wyłożonych pluszem fotelach siedziało dziesięć osób. Pośród nich znajdowało się sześciu starszych mężczyzn, jeden młody i trzy kobiety. Wszystkie były po pięćdziesiątce i wyglądały na bardzo eleganckie. Wszyscy zebrani sprawiali wrażenie konserwatywnych, poważnych i zamożnych.

Taylor natychmiast zauważył, że Ashcroft trzyma wskaźnik w lewej ręce. Lindsay postrzeliła go w prawy nadgarstek.

- Mogę? - zapytał Barry'ego. - Jest twój, stary.

Taylor odchrząknął. Uczestnicy zebrania jeden po drugim odwrócili głowy. Na ich twarzach malowało się umiarkowane zainteresowanie. Ashcroft cofnął się i pobladł.

- Bardzo przepraszam, że zakłócam zebranie. To jest sierżant Barry Kinsley. A ja nazywam się S. C. Taylor. Przyszliśmy tu, aby aresztować pana Ashcrofta za usiłowanie morderstwa.

Zebrani wstrzymali oddechy. A potem rozległy się pytania:

- Co to jest, do diabła?

- Brandon, co tu się dzieje?

- Kim są ci ludzie, Ash?

Taylor czekał. Ashcroft milczał. Pobladł jak ściana.

- Przypuszczam, że większość z państwa słyszała o próbie zabójstwa modelki Eden podczas zdjęć na Skwerze Waszyngtona. Obecny tu wujek Bandy, to jest Brandon lub Ash, wynajął człowieka o nazwisku Oswald, aby ją zabił. Kiedy Oswald dwukrotnie go zawiódł, Brandon osobiście udał się do szpitala, nie dalej jak trzy godziny temu, aby wykonać robotę. Na nieszczęście dla niego ofiara okazała się sprytniejsza, a także odważniejsza, i postrzeliła go w prawy nadgarstek. Czy zechce pan unieść prawą rękę, wujku Bandy?

Wszyscy członkowie rady nadzorczej patrzyli teraz na człowieka u szczytu stołu. Przyglądali mu się jak komuś obcemu, kogo nie rozumieją i nie chcą rozumieć.

Brandon Waymer Ashcroft uniósł głowę.

- To jakaś absurdalna pomyłka, panowie. A co do zranionej ręki, to jeszcze większy nonsens. Jeżeli zechcą panowie przejść do mego gabinetu, poświęcę kilka minut, aby wyjaśnić to śmieszne nieporozumienie.

Taylor pokręcił głową i zwrócił się do zebranych:

- Chcecie się państwo dowiedzieć, dlaczego usiłował zabić Eden? Zaraz wam opowiem. Kilka lat temu byłem gliniarzem. Przypadkiem natrafiłem na czternastoletnią dziewczynkę, która silnie krwawiła na skutek gwałtu. Zgwałcił ją jej wujek Bandy, który molestował ją seksualnie, odkąd skończyła dziesięć lat. Krótko mówiąc, obecny tu wujek Bandy doprowadził swoją małą siostrzenicę do samobójstwa. A ja go pobitem. To była jedyna kara, jaka go spotkała. Obiecał, że się na mnie zemści. Usiłował zabić moją narzeczoną, ale mu się to nie udało. Teraz jest już po wszystkim i tym razem sprawiedliwości stanie się zadość.

- Zwariowaliście! Wynoście się z mego biura!

- I jeszcze jedno - ciągnął Taylor. - Lindsay Foxe, czyli Eden, bo taki przybrała sobie pseudonim, ma fotograficzną pamięć. Opisała pana dokładnie, łącznie z trzema włoskami, które wyrastają panu z prawego ucha.

Rozległy się westchnienia, pełne zdziwienia okrzyki, parsknięcia oburzenia, pomruki powątpiewania.

- Podejrzewam, sir - powiedział Barry, występując naprzód - że znajdziemy na pańskim prawym nadgarstku ranę po pocisku. Mamy także szkic, sporządzony przez rysownika, na podstawie opisu

Lindsay. - Barry wyjął z kieszeni na piersi zwinięty arkusz papieru. Rozwinął go i podał najbliższemu siedzącemu starszemu dżentelmenowi.

Starszy pan przyglądał się rysunkowi.

- To ty, Ash - powiedział beznamiętnym tonem i podał rysunek dalej.

Barry i Taylor czekali, aż wszyscy przy stole obejrzą szkic.

Młody mężczyzna otrzymał go jako ostatni. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. W końcu uniósł głowę i powiedział:

- Miał rację, co do tych włosków sterczących ci z ucha. Zawsze myślałem, że powinieneś je wyrwać.

Rozległy się nerwowe chichoty.

- A teraz zrobimy głosowanie - powiedział Taylor. - Wszyscy, którzy rozpoznali na szkicu pana Ashcrofta, niech podniosą rękę.

W pokoju zapanowała cisza. Jeden ze starszych dżentelmenów cmoknął z niesmakiem i uniósł dłoń. Za nim uniósł rękę następny i następny.

- Jest pan gotowy, wujku Bandy? - zapytał Taylor.

- To głupota. Szaleństwo. Nigdzie z wami nie pójdę!

- Przykro mi, sir, ale pójdzie pan z nami. - Barry obszedł stół i zbliżył się do Brandona Ashcrofta. Wyjął z kieszeni kajdanki. - Pójdzie pan po dobroci, czy mam być brutalny, żeby pan zrozumiał, że to nie żarty?

- Odejdź ode mnie, ty pieprzony kretynie! Niech cię diabli! Zobaczysz, Taylor, jeszcze się przekonasz! Wyjdę z aresztu szybciej niż poprzednim razem! Słyszysz mnie? A wtedy dopadnę tę twoją sukę, zobaczysz!

- Tak, słyszę - powiedział Taylor. Patrzył, jak Barry skuwa ręce Ashcrofta za jego plecami. Mężczyzna jęknął z bólu.

- A teraz, chłopaczku - szepnął mu Barry do ucha - przygotuj się na to, że wysmarujemy ci te wypielegnowane palce tuszem i weźmiemy twoje odciski. Przygotuj się i na to, że wielki, silny strażnik każe ci się schylić i sprawdzi, czy nie masz gdzieś ukrytej koki. *Znam* jednego, który naprawdę kocha swoją pracę.

Ashcroft pękł. Usiłował się uwolnić. Rzucił się i przeklinał.

- Cholera, Taylor! To przez ciebie! Ty świnię, ty morderco! Zabiłeś moją małą Ellie. Przez ciebie stała się taka nieszczęśliwa, że nie chciała żyć! To ty zmusiłeś ją, żeby wyskoczyła przez okno. Ty odpowiadasz za jej śmierć! Boże, chciałem cię dopaść! A ty mnie pobiłeś! Poprzysięgłem, że mi za to zapłacisz. Zabiję kogoś, kogo kochasz. Ale nie śpieszyło ci się. Nie miałeś kobiety, na której naprawdę ci zależało. I wreszcie spotkałeś tę modelkę.

Wypluł to z siebie i zapanowało głucho, pełne niesmaku milczenie.

Taylor patrzył, jak Barry wlecze wierzgającego i opierającego się Ashcrofta i wyprowadza go za drzwi.

- Wkrótce wyjdę, Taylor! - krzyknął Ashcroft przez ramię. - Dopadnę cię, przeklęty łajdaku! A potem tę twoją przeklętą dziwkę!

Taylor uśmiechnął się.

Epilog

- Już po wszystkim, Lindsay. Ława przysięgłych ogłosiła wuja Brandona winnym. Teraz trochę posiedzi - przez ten czas zdążymy umrzeć i mieć jeszcze co najmniej dwa nowe wcielenia.

- Dzięki Bogu. To tak długo trwało, Taylor.

Lindsay miała rację. Dziewięć miesięcy, zanim odbyła się rozprawa sądowa, a potem dwa tygodnie, zanim sprawa została przedstawiona ławie przysięgłych. Lindsay świetnie sobie radziła w roli świadka.

Taylor odczuwał wielką ulgę. Był nagi i wilgotny po wyjściu spod prysznic. Czuł się doskonale. Spojrzał na swoją żonę, na jej piękną twarz i gęste włosy. Nie była już taka chuda jak dawniej, ale nadal pracowała jako modelka i dobrze jej to służyło.

Taylor podszedł do telewizora i go wyłączył. Wracając do łóżka, powiedział:

- Media będą miały czym żyć przez najbliższe kilka tygodni, kochanie. A potem staniemy się częścią bezimiennego tłumu.

Lindsay przytuliła się do niego.

- Tak sobie myślałem - mówił Taylor, gładząc żonę po plecach i nagich pośladkach. - Co byś powiedziała, gdybyśmy polecieali na jakiś tydzień lub dwa na Hawaje? Moglibyśmy się ukryć na plaży, prasa zapomniałaby o nas, a my kochalibyśmy się tak, że nie mogłabyś chodzić.

- To mi się podoba - westchnęła i przysunęła się bliżej. Jej dłoń spoczywała na brzuchu Taylora. Zapragnął, by jej palce powędrowały niżej i wiedział, że tak się stanie. Lindsay nigdy się nie spieszyła i doprowadzała go tym do szaleństwa, a potem do błogostanu.

- W drodze na Maui możemy się zatrzymać na kilka dni w Los Angeles.

Lindsay uniosła się na łokciu i spojrzała na Taylora. - Nie.

- Co „nie”?

- Chcę, żebyś mi pokazał Francję. Taylor był zdumiony. Nie mógł uwierzyć.

- Francję?

- Tak, myślę, że wtedy... nie pozwoliłam, żeby mnie oczarowała.

- Francja - powtórzył. Od jego ostatniej podróży minął przeszło rok. Zawrzała w nim krew. Pojadą motocyklem wzdłuż doliny Loary. Pokaże jej Bretanię, Stół Kupców w Locmariaquer, pokaże jej Salę Rycerską w opactwie Saint-Michel, pokaże jej tak wiele.

- Może w najbliższy wtorek?

- Francja - powiedział jeszcze raz. - We wtorek? - Tak, ale najpierw to, co najważniejsze. - Palce Lindsay powędrowały niżej i Taylor westchnął z rozkoszy.

- Nie mam wiele do spakowania... Lindsay ścisnęła go trochę, aż jęknął.

- Twarda z ciebie sztuka - powiedział. - Jedziemy. Lindsay czuła się miękka i podatna. To Taylor był twardy.

Wtedy sobie przypomniała.

- Nasza noc poślubna minęła, Taylor.

- Smutne, ale prawdziwe. Nie skarżę się jednak.

- I nie powinienes. Nie pamiętasz? Obiecałeś, że w noc poślubną powiesz mi, co oznaczają inicjały S. C.

- Masz przerażającą pamięć.

- Daj spokój, Taylor. Znasz wszystkie moje tajemnice. To prawda, pomyślał. Znał także tajemnice, których ona może nigdy nie pozna, jak tę dotyczącą mężczyzny, który nie był jej ojcem. Nie rozmawiali z nim od owej wizyty w szpitalu. Lindsay zapisała rezydencję Foxe'ów nie jemu, lecz Holly. Zacierała przy tym ręce. Taylor był także zadowolony. Nie dlatego, że uważał Holly za dobrego człowieka, lecz na myśl, iż Royce Foxe będzie zgrzytał zębami, wchodząc do tego domu, który nigdy nie będzie do niego należał. Nigdy. A gdyby się rozwiódł z Holly, dom zostanie przy niej. Była w tym słodczy sprawiedliwości. Taylor zastanawiał się, czy Royce Foxe ma teraz śmiałość posuwać inne kobiety za plecami żony. Była w tym miła ironia losu. Sędzia nie powiedział mediom ani słowa o Lindsay ani o jej matce. Sydney także milczała. Ach, Sydney stała się jeszcze bardziej sławna niż w zeszłym roku. Widywano ją wszędzie, w towarzystwie wszystkich ważnych osobistości. Była czczona, podziwiana. Paparazzi uganiali się za nią. Taylor miał nadzieję, że czuła się nieszczęśliwa. Książę nadal przebywał we Włoszech i ani trochę się nie zmienił. Sprawiedliwości stało się zadość - każdy grosz zawdzięczał swojej żonie. Taylor ucałował żonę i powiedział:

- Moje inicjały, co? No, dobrze. Obiecałem. S. C. pochodzi od Samuel Clemens. Czyli Mark Twain.

Lindsay milczała.

- To cudowne - powiedziała wreszcie. - Czyżbym poślubiła mężczyznę, którego matka pragnęła, by stał się wielkim pisarzem? A ja myślałam, że S. C. pochodzi od czegoś śmiesznego. Jak Santa Claus. Zachichotała.

- Wiedziałeś, że na drugie miał Langhorne? Dowiedziałam się o tym na wyższym kursie literatury.

- A więc mogłem być S. L. C. Dzięki Bogu, mama nie wiedziała.

- A jak nazywała się mama?

- Rebecca Thatcher.

- To wspaniale, Taylor. A jakie imiona nadała twojej siostrze?

- Ann Marie Taylor.

- Po kim?

- Torturowała tylko mnie.

- Kocham cię, Taylor.

- Ja też cię kocham, Lindsay. A więc, naprawdę chcesz się wypuścić do Francji?

- Tak. We wtorek. Pokażesz mi wszystko?

- Wszystko - powiedział.